

– WSZYSTKO DLA PAŃ –

ISABEL WOLFF

Kwestia miłości

Przekład
Ewa Spirydowicz



Rozdział 1

Dzień dobry państwu - zaczął Terry Wogan głosem aksamitnym jak guinness. - Jest za dziesięć ósma. Serdecznie witamy wszystkich nowych słuchaczy.

- Dzięki - mruknęłam. Otworzyłam mahoniową szafę Nicka i z bólem w sercu przyglądałam się jego ubraniom. Z lewej strony wisiały garnitury - dwa wełniane i trzy lniane - i kilka par spodni, a dalej dziesięć, może dwanaście koszul. Powiodłam po nich dłońmi, wyobrażając sobie, jak wypełniają się jego ciałem. Zatrzymałam się przy ciemnoniebieskiej jedwabnej z krótkim rękawem, w kolorowe tropikalne rybki. Bardzo ją lubił. Nosił ją na naszym ostatnim urlopie cztery lata temu.

-A teraz jedna z moich ulubionych piosenek - ciągnął Wogan radośnie jak zwykle. Wzdrygnęłam się, słysząc pierwsze słowa: „Kiedy cię potrzebuję...”

Wyjęłam koszulę z szafy, ukryłam w niej twarz. Wdychałam męski zapach zmieszany z aromatem morza i wspominałam, jak Nick stał w niej na balkonie, roześmiany i beztroski, z kieliszkiem wina w ręku.

„Teraz tęsknię za tobą jeszcze bardziej...”

Odetchnęłam głęboko i zabrałam się do pracy.

„Bóg jeden wie, gdzie znajdę pocieszenie...”

Zdjęłam koszulę z wieszaków, przerzuciłam sobie przez ramię i zaniiosłam do pokoju gościnnego. „Zostawiłeś mnie... kiedy najbardziej cię potrzebowałam...”

- No właśnie, Nick - szepnęłam. - Właśnie tak.

Otworzyłam stary drewniany kuferjego ojca, wrzuciłam do niego koszulę. Zastanawiałam się, co zrobiłyby inne kobiety w mojej sytuacji. Pewnie

oddalyby ubrania męża organizacji charytatywnej. Aleja nie mogłam. Wydawało mi się to niestosowne. Wróciłam do sypialni.

- A teraz - mówił Wogan, gdy zdejmowałam z wieszaków garnitury Nicka - mam do państwa pytanie. Wcale niełatwe. Czy wiecie, jaki dziś dzień?

- Środa - odparłam i położyłam garnitury na łóżku. - Dziewiąty lutego. - Drżącymi palcami zapinałam guziki.

- Pierwszy dzień wielkiego postu.

- Tak jest.

- Dzień, który skłania do refleksji i w którym z czegoś rezygnujemy. Z czego państwo dziś zrezygnują?

Zaniosiłam garnitury do pokoju gościnnego i starannie ułożyłam w kufrze między warstwami gazet.

- Może z czekolady? - proponował Wogan w radio. Rozprostowałam plecy trochę mnie bolały - i wyrzłam do ogrodu. Prószył śnieg. - To niełatwe, prawda? A może z alkoholu? - Wróciłam do sypialni, wyjęłam swetry Nicka z szuflady i zaniosiłam do pokoju gościnnego. - Z hamburgerów? Albo słodczy?

Zabrałam się za buty i krawaty. Musnęłam palcami niebiesko-złoty - Nick miał go na sobie w dniu naszego ślubu - i zrobiło mi się słabo z rozpacz.

- Z przeklinania? - wyliczał Wogan. - Palenia? Czytania brukowców? Zastanówmy się wszyscy, czego się wyrzekamy w pierwszym dniu wielkiego postu.

Spojrzałam na ślubne zdjęcie stojące przy łóżku. Wyciągnęłam rękę i podniosłam je.

- Czego się wyrzekam? To proste. Przeszłości.

czasami trzeba się postarać i pogodzić z pewnymi rzeczami, prawda? O niektórych sprawach trzeba zapomnieć i iść dalej, jak radzą gazetowi psycholodzy. W końcu i mnie się to udało. Spakowałam rzeczy Nicka, bo mam dosyć życia z duchem. Ale chociaż wiem, że muszę to zrobić, cały czas czuję, że nie powinnam. Jakbym zaprzeczała, że Nick w ogóle istniał, jakbym się wypierała naszych wspólnych sześciu lat.

Najgorsza była automatyczna sekretarka. Przez trzy lata nie zmieniałam nagrania, nie mogłam się na to zdobyć, ale w końcu zrobiłam i to. Dzwoniący nie słyszą już uprzejmego głosu Nicka: „Dzień dobry, niestety nie ma nas w domu...”, który zresztą działał wszystkim na nerwy. Teraz słyszą mnie.

„Cześć, tu Laura" - mówię pogodnie, jakbym wreszcie przyznawała w szumie wiatru, że już go nie ma.

Siostry od dawna namawiały mnie, żebym to zrobiła.

- To nie do wytrzymania! — strofowała mnie starsza, Felicity. -- Nie możesz tak dalej, Lauro! Przecież to istne mauzoleum! Musisz pogodzić się z przeszłością i żyć dalej!

Hope, moja młodsza siostra, o wiele bardziej opanowana, mówiła tylko:

- Skoro jeszcze nie jesteś gotowa na zmiany, nie rób tego.

Ale w styczniu sama uznałam, że już najwyższy czas. Moje postanowienie noworoczne brzmiało: przemeblować mieszkanie i spakować rzeczy Nicka. Nie wyrzuciłam ich, to byłoby zbyt gruboskórne, ale schowałam tak, że nie został po nim ślad. Jego książki, jego ubrania, jego komputer - wszystko wylądowało w pokoju gościnnym. Z jednej strony poczułam się wolna, z drugiej - jak zdrajczynie, chociaż przecież wiem, że to nieprawda.

Brakuje mi Nicka. I ciągle jestem na niego zła. Podobno to typowa reakcja, zwłaszcza u ludzi młodych. W jakimś sensie przyzwyczaiłam się - bo musiałam - że go nie ma, ale wciąż miewam chwile załamania. Na przykład gdy przychodzi list od kogoś, kto o niczym nie słyszał, i muszę odpisać i wszystko wyjaśnić. Czasami też wyprowadzają mnie z równowagi sąsiedzi. Jak choćby dzisiaj.

Wychodziłam z domu o wpół do dziesiątej. Po raz pierwszy od wieków czułam się pełna energii i optymizmu, gotowa zacząć nowe życie. Zamknęłam drzwi i zobaczyłam panią French z naprzeciwka. Właśnie wybierała się z wózkiem na zakupy. Uśmiechnęłam się do niej, a ona odpowiedziała tym samym, tyle że w jej uśmiechu była litość i niemal słyszałam żalostne cmoknięcie nad moją niedolą. Świadomość, że dla sąsiadów ciągle jestem obiektem litości i współczucia, nie ułatwia rozpoczęcia nowego życia. Weźmy panią Singh. Za każdym razem kiedy mnie widzi, bierze mnie pod rękę i pyta z troską, czy się trzymam. Zawsze odpowiadam najgrzeczniej, jak potrafię, że tak, że wszystko w porządku. Nie podoba mi się to, ale ich rozumiem. Przecież znali Nicka, więc do dzisiaj jestem dla nich „biedaczką spod ósemki".

Bonchurch Road to mała uliczka na skraju Portobello, niedaleko Ladbroke Grove. Wszyscy mieszkańcy znają się od lat, ale nie wszyscy są tak serdeczni jak panie French i Singh. Już dwa razy słyszałam, jak ta ponuraczka spod dwunastki mówiła sprzedawcy, że to ja „doprowadziłam biedaka do takiego stanu". I wiem, że kiedy to się stało, po okolicy krążyły różne nieprzyjemne plotki. Jedni oskarżali mnie - doprawdy nie wiem dlaczego, bo przecież byliśmy z Nickiem szczęśliwi - inni uważali, że wykończył go stres w pracy.

Najłagodniejsi twierdzili, że jego życie po prostu tak się skomplikowało, że nie mógł się z tym uporać. Skąd się wzięły te wszystkie spekulacje, nie mam pojęcia, ale rozumiem, że musiały się pojawić, choćby dlatego, że ze względu na pracę Nicka pisano o nim w gazetach. W każdym razie mnie też sporo zważyło się na głowę, ale teraz, jak już powiedziałam, jestem gotowa zacząć nowe życie i zostawić smutną przeszłość za sobą.

Wytracona z równowagi spotkaniem z panią French, skupiłam się na myśleniu pozytywnym, żeby poprawić sobie nastrój. Idąc tak Portobello wśród mokrych płatków śniegu, powtarzałam sobie, że przynajmniej moja sytuacja finansowa znacznie się poprawiła. Na początku było mi bardzo ciężko. Nie dostałam pieniędzy z polisy Nicka, więc musiałam spłacać kredyty tylko z pensji. Na szczęście bank zgodził się na opóźnienie spłat o trzy miesiące, pomogła mi rodzina, a Tom, mój szef, dał mi podwyżkę. Mimo to ciągle miałam ogromne długi i marne szanse na ich uregulowanie. A jednak w końcu znalazłam sposób na problemy finansowe.

W marcu zeszłego roku przeczytałam w „Timesie” artykuł o firmie InQuizzitive, która układa pytania do quizów. Szukali współpracowników, więc się zgłosiłam. Wiedziałam, że łatwo sobie z tym poradzę, poza tym taka praca oprócz pieniędzy - dwa i pół funta za pytanie - pozwalała mi zapomnieć o problemach. Co wieczór siadałam otoczona encyklopediami i wymyślałam pytania.

Kto skonstruował samochód napędzany benzyną? Karl Benz.

Co przechowujemy w silosie? Ziarno.

Ile jest pól na planszy do scrabble'a? 225.

Jakie miasto jest stolicą Ukrainy? Kijów.

Świetnie się przy tym bawiłam. Odpoczywałam i jednocześnie nabierałam energii. Ten artykuł w „Timesie” całkiem zmienił moje życie.

Pewnego pięknego wieczoru w czerwcu zeszłego roku siedziałam w mikroskopijnej sali konferencyjnej Trident TV z Tomem, naszym szefem, i Sarą, która tak jak ja zajmuje się szukaniem pomysłów na nowe programy.

- Nasza sytuacja finansowa jest kiepska - powiedział Tom, przesuwając między palcami gumkę recepturkę.

Pracowałam dla Trident TV od pięciu lat, od samego początku, kiedy byliśmy tylko we dwójkę z Tomem i nakręciliśmy naprawdę ambitne pozycje: dwa serie dokumentalne o I wojnie światowej, fabularyzowany dokument o Helenie Trojańskiej, czteroczęściowy serial o etyce w biotechnologii i półgodzinny film o Całunie Turyńskim. Zrobiliśmy też kilka mniej ambitnych, żeby było z czego zapłacić rachunki, ale staliśmy się znani jako firma produkująca poważne rzeczy.

- Świetnie, że zostaliśmy nominowani do nagród BAFTA i tak dalej. - Tom przechylił się do tyłu i splótł ręce za głowę. - Ale potrzebny nam przede wszystkim hit.

Zrobiło mi się słabo. Podobały mi się programy, które realizowaliśmy. Nigdy nie chciałam pracować przy programach kulinarnych czy talk show z gwiazdami.

- Hit? - powtórzyłam.

Tom się skrzywił.

- Tak. Między innymi po to, żebyśmy mogli odnowić to miejsce. - Zerknął na podłogę. - Ten dywan już dawno zasłużył na emeryturę. Macie pomysły na coś bardziej... komercyjnego? - Spojrzał na mnie.

- Cóż, może... *Żony gwiazd!* - rzuciłam. - Albo *Modernizacja mieszkań?* Albo *Idź na całości* Albo może *Jestem z kosmosu?*

Tom strzelił we mnie gumką.

- Po co ten sarkazm, Lauro? Nie proponuję przecież, żebyśmy produkowali chłam.

- Przepraszam, jestem zmęczona.

- Imprezowałaś?

- Skąd. Pracowałam.

- Nad czym? Jeżeli wolno spytać - rzucił grzecznie.

Wzruszyłam ramionami.

- Pewnie, że wolno. Układałam pytania do quizów.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, dlatego, że potrzebuję pieniędzy, a po drugie, bo mnie to bawi. Pochylił się.

- Jak to wygląda?

- Firma zamawia u mnie zestaw pytań z określonej dziedziny. Wczoraj było ciężko, bo - stłumiłam ziewnięcie - prosili o dwadzieścia z historii Rosji i dwadzieścia ze szkockiej ligi piłkarskiej. Później mi się śniło, że caryca Katarzyna grała w Celtic Rangers.

- Hm. - Tom złożył palce w piramidkę.

- Wymyślam pytania - ciągnęłam - a oni je sprawdzają i układają quiz. Dzisiaj muszę wymyślić piętnaście o sztukach Ibsena, a jutro piętnaście o kościele rzymskokatolickim. W dobrym miesiącu zarabiam do pięciuset funtów, a pieniądze są mi bardzo potrzebne.

- Quizy... - powtórzył Tom. Przyglądał mi się w milczeniu. Na ogół świetnie się czuję w jego towarzystwie i doskonale nam się razem pracuje, ale dziś zaczął działać mi na nerwy.

- Możemy kontynuować? - spytałam po chwili. - Chciałabym wyjść dzisiaj wcześniej, bo jestem zmęczona i...

- Zróbmy teleturniej - przerwał mi Tom.

Świetny pomysł. - Sara się rozpromieniła. - Właśnie o tym myślałam.

Teleturniej - powtórzył Tom. - Naprawdę dobry. Nie wiem, czemu do tej pory na to nie wpadłem.

- Pewnie dlatego, że na rynku jest już sporo dobrych teleturniejów - zauważyłam sucho.

Tom strzelił kolejną gumką, tym razem w otwarte okno.

- Co nie znaczy, że nie możemy zrobić jeszcze jednego.

- Musi się czymś wyróżniać. - Sara zdjęła okulary w czarnej oprawce i zaczęła je wycierać o skraj spódnicy; znak, że intensywnie nad czymś myśli. - Musi być inny niż wszystkie.

- Czyli oryginalny - dodał Tom. - Pytanie tylko, jak to osiągnąć?

Przez kolejną godzinę analizowaliśmy najpopularniejsze teleturnieje, usiłując dociec, co jest przyczyną ich sukcesu. *Milionerzy* przyciągają napięciem, po mistrzowsku potęgowanym przez prowadzącego. *Rosyjska ruletka* kusi mroczną atmosferą - muzyka, błyskające światła, natomiast w *Najslabszym ogniwie* fascynuje uległość, z jaką uczestnicy przyjmują złośliwe komentarze prowadzącej. A wszystkie łączy to, że bazują na jednej cesze naszego charakteru - każdy lubi chwalić się wiedzą. Kiedy oglądamy teleturniej, budzi się w nas ośmiolatek z ręką wyciągniętą w górę, który aż się pali do odpowiedzi.

- Tak - dumał Tom. - Teleturniej. Co ty na to, Lauro?

Wzruszyłam ramionami. Lubię teleturnieje tak jak wszyscy, ale ani przez chwilę nie sądziłam, że zajmami się produkcją takiego programu.

- Hm... to niezły pomysł. Podoba mi się, oczywiście pod warunkiem, że to będzie teleturniej z prawdziwego zdarzenia - zastrzegłam szybko. - Taki, który sprawdza prawdziwą wiedzę, a nie bzdury. Nie będę układała pytań o bohaterów oper mydlanych czy... sama nie wiem... ile przedmiotów książkę William zdawał na maturze.

- Oczywiście. - Tom skinął głową i spojrzał na mnie dziwnie. - A swoją drogą, ile przedmiotów książkę William zdawał na maturze?

- Trzy. Geografię, historię sztuki i biologię. Dostał szóstkę, piątkę i czwórkę.

- Jak to ma wyglądać? - Tom kręcił się na obrotowym krześle. - Czym nasz będzie się różnił od innych?

W poniedziałek już wiedzieliśmy. Przez weekend Tom wymyślił nową formułę - oryginalną, choć bez radykalnych zmian. Powiedział, że wpadł na ten pomysł w łazience, i kazał nam przysiąc, że dotrzemy tajemnicy. Zaplanowaliśmy odcinek pilotowy i przez kolejny miesiąc zasuwaliliśmy w pocie czoła. Tom był producentem, a ja układałam pytania. Sara, nasza sekretarka Gili i Nerys, nasza recepcjonistka, wystąpiły jako uczestnicy, a ja, żeby jak najbardziej obniżyć koszty, poprowadziłam program. Nie minął tydzień, a sprzedaliśmy *Wiem wszystko* nowej stacji kablowej Challenge TV. Kupili nasz teleturniej, ale pod jednym nieoczekiwanym warunkiem - że ja będę go prowadzić.

Tom i ja przyjęliśmy ten warunek z równym zdumieniem. Nie miałam żadnego doświadczenia w pracy przed kamerą, zresztą byliśmy pewni, że Challenge TV zaangażuje jakąś gwiazdę. Adrian, główny dyrektor, wytłumaczył, że zależy mu na mnie, bo po pierwsze, mało kobiet prowadzi teleturnieje, a po drugie, jestem młoda.

- Większość prowadzących jest w średnim wieku - mówił, gdy siedzieliśmy w jego gabinecie, a na umowach wysychał atrament naszych podpisów.
- Trzydziestolatka prowadząca teleturniej to miła odmiana po tych wszystkich facetach po pięćdziesiątce. Podoba mi się także pani... - zawiesił głos - nietypowa uroda.

Skrzywiłam się.

- Nie, Lauro, proszę mnie źle nie zrozumieć - dodał zdecydowanie za szybko. - Naprawdę jest pani oryginalna. Jak to mówią Francuzi, *une jolie laide*.

- Czyli ładna brzydula? - burknęłam zirytowana.

- Nie, skądże. Jest pani bardzo atrakcyjna - odparł znowu za szybko.

- To prawda. Jest urocza - potwierdził Tom.

- Jest pani bardzo atrakcyjna, Lauro - powtórzył Adrian - w pewien... oryginalny sposób? - podsunęłam grzecznie.

- No tak. - Przyglądał mi się, lekko przechyliwszy głowę. - Jest pani... niekonwencjonalna. - Teraz poczułam się jak człowiek słoń. - Jest pani trochę podobna do Andie McDowell...

- Tylko brzydsza? - dokończyłam.

- Cóż... taak. Można tak powiedzieć. Mam nadzieję, że pani nie uraziłem - dodał niezdarnie.

- Skąd - odparłam. - Ani trochę. Przyzwyczaiłam się już. Moje siostry są ładne, a ja mam kanciastą szczękę ojca i jego długi nos. Najbardziej

wkurzające jest to, że jako dziecko byłam śliczna - jestem ślicznym łabędziem, z którego wyrosła kaczką.

- Ale najbardziej podoba mi się w pani aura wiarygodności, poczucie władzy - dodał.

- Tak? - zdziwiłam się. Nie wiedziałam, że posiadam coś takiego, ale bardzo mi się to spodobało. Powinłam była zostać policjantką.

- Emanuje pani władzą i autorytetem, a to najważniejsza cecha prowadzącego teleturniej. Osiąga się ją na różne sposoby. W *Najslabszym ogniwie* prowadząca ziele złośliwością, w *Miliardzie w rozumie* prowadzący imponuje wiedzą i pozycją społeczną, jest znanym dziennikarzem. Pani także ma autorytet. Widzowie poczują się bezpieczni w pani rękach, zwłaszcza że zapewne potrafiłaby pani odpowiedzieć na większość pytań.

- Pewnie. - Tom pokiwał głową. - Jest bardzo mądra.

- Błędy młodości - zażartowałam. - Za dużo czytałam.

- I do tego ma fantastyczną pamięć - chwalił mnie Tom.

Wzruszyłam ramionami, ale tak między nami, to prawda. Fakty i liczby, choćby najbardziej beużyteczne, czepiają się mojej pamięci jak guma chodnika. Wystarczy, że przeczytam coś raz, a już to pamiętam. Zawsze uważałam to za swego rodzaju wybryk natury, jak szósty palec czy słuch absolutny, ale czasami się przydaje.

Nigdy na przykład nie robię listy zakupów. Świetnie pamiętam nazwiska i daty, a kiedy miałam dziewięć lat, wygrałam dla całej rodziny wyjazd do Paryża, bo wyrecytowałam wszystkie pięćdziesiąt stanów USA w odwrotnej kolejności alfabetycznej.

- No właśnie - ciągnął Adrian. - Widzowie poczują, że nie tylko czyta pani pytania, a przy naszej formule to bardzo ważne.

Tom był zachwycony, że to ja poprowadzę teleturniej. Jak już mówiłam, świetnie się rozumiemy, choć tylko na gruncie zawodowym. Lubię Toma: jest inteligentny, sympatyczny, bardzo przystojny i ma ten uroczy amerykański akcent. Ale nigdy nie traktowałam go inaczej niż jako kolegę z pracy, bo po pierwsze, jest moim szefem i byłaby to niezręczna sytuacja, a po drugie, wiem, że w przeszłości zrobił coś... bardzo nieładnego.

Wróćmy jednak do teleturnieju. We wrześniu zeszłego roku nasz program trafił na antenę. Ponieważ pokazywano go w stacji kablowej, oglądalność nie była duża, zaledwie pół miliona, ale liczyliśmy, że z czasem wzrośnie. Wkrótce w „Time Out” ukazała się recenzja, w której określono nasz teleturniej jako „rewolucyjny” i „trendy”, i zanim się obejrzelśmy, podkupił go Channel 4, oferując o trzydzieści tysięcy funtów więcej za odcinek.

Dzisiaj jest wielki dzień, bo *Wiem wszystko* po raz pierwszy trafi na ekrany telewizorów w całym kraju. Można by pomyśleć, że prowadzenie teleturnieju mnie cieszy, i w pewnym sensie tak oczywiście jest, ale z drugiej strony...

Cieszyłam się, a zarazem pragnęłam, żeby program zrobił klapę, bo wtedy nikt nie wygrzebie tej starej historii z Nickiem.

Zatrzymałam się przy kiosku i kupiłam „Independent”. Poczułam przyływ adrenaliny, gdy czytałam program telewizyjny. Jest, o ósmej, jako hit dnia. Przebiegłam wzrokiem opis. *Wiem wszystko*. Teleturniej inny niż wszystkie. Prowadząca Laura Quick (na zdjęciu) wygląda na niegłupią - i oby pozory nie myliły. Rewelacja.

Dopiero kiedy skręciłam w Ali Saints' Mews, napięcie trochę zelżało. To moim zdaniem najpiękniejsza ulica w Londynie. Nawet w taki zimny, ponury dzień jak dzisiaj domy o ścianach pomalowanych na pastelowe kolory - różowy, niebieski i żółty - z balkonami z kutego żelaza oplecionymi bluszczem wyglądają uroczo. Mijając dwunastkę, poczułam zapach klematisu i dostrzegłam pękate donice z liliowymi kwiatami.

Siedziba Trident TV mieści się w połowie uliczki, w jedynym tutaj budynku biurowym, który powstał z połączenia dwóch białych bliźniaków. Nie wygląda jak typowy biurowiec, ale sprawia przyjemnie profesjonalne wrażenie. *Ziożynam* parasol i weszłam do środka. Nerys jak zwykle siedziała w recepcji i rozmawiała przez telefon.

- Wtedy jej powiedziałam... - dobiegło do mnie, jak opowiada głośno, gdy rozkładałam parasolkę. - A ona odwróciła się do mnie i powiedziała... No, naprawdę... Ma czelność, co? Pomyślałam sobie, że nie będę tego tolerować, więc odwróciłam się i powiedziałam... Ojej, Shirl, poczekaj chwilę...

- Dzień dobry - pozdrowiłam ją grzecznie. Nie przepadam za Nerys, ale zawsze jestem dla niej miła.

- Bry, Lauro. Zadzwoń później, Shirl. - Odłożyła słuchawkę. - To dla ciebie. - Skinęła głową w stronę bukietu z żółtych tulipanów, białych róż i złocistej mimozy. Poprawiła sobie włosy koloru marmolady i spryskane taką ilością lakieru, że wyglądały jak hełm. - Przyniesiono je godzinę temu.

- Śliczne. - Moja irytacja rozwiła się bez śladu. Zapach mimozy był rozkoszny. Odpięłam bilecik. - Ciekawe od kogo.

- Od twojej siostry Hope i jej męża.

Irytacja wróciła.

- Skąd wiesz?

- Dzwoniła i pytała, czy już dotarli.
- No cóż - rzekłam pogodnie. - Zawsze uważałam, że niespodzianki to przereklamowana przyjemność.

Nerys przyglądała się swoim paznokciom.

- Przykro mi, Lauro, ale sama pytałaś.

- To było pytanie retoryczne - wyjaśniłam słodko i zdjęłam płaszcz.

Złośliwość spłynęła po niej jak woda po kaczce - Nerys ma skórę słońca. Spojrzała na mnie z dezaprobatą.

- Chyba nie zamierzasz wystąpić w tym na planie - powiedziała.

- A dlaczego miałabym nie wystąpić?

Przechyliła głowę i skrzywiła się lekko.

- Cóż, jeśli chcesz znać moje zdanie, w tym kolorze ci nie do twarzy.

- Nie interesuje mnie twoje zdanie, Nerys.

- Uwierz mi, jasnozielony... - Wciągnęła powietrze przez zęby. - Nie, zdecydowanie nie. O wiele lepszy byłby różowy. - Zadzwoił telefon. - Albo brzoskwińowy. A przede wszystkim powinnaś pójść do stylistki. Wyglądasz mi na klasyczne lato. - Podniosła słuchawkę. - Dzień dobry, Trident TV.

Mówiąc, że nie przepadam za Nerys, miałam na myśli, że jej po prostu nie znoszę. I to do tego stopnia, że czasami wyobrażam sobie, jak siekam ją na kawałeczki i podaję w potrawce kotu sąsiadów. Często się zastanawiam, dlaczego tak mnie wkurza. Może dlatego, że ciągle dzwoni z pracy do znajomych? Nie, to nie moja sprawa - właścicielem firmy jest Tom. Więc może dlatego, że jest złośliwa? To też nie. Brakuje jej taktu, ale nie chce nikomu sprawić przykrości. Nie chodzi także o jej ciągle kokietyjne pytanie: „Nie do wiary, że mam pięćdziesiąt trzy lata, prawda?” Nerys doprowadza mnie do szału, bo należy do ludzi, którzy wszystko wiedzą najlepiej. Niezależnie od tematu, Nerys wie wszystko. „Uwierz mi”, mawia: „Jeśli chcesz znać moje zdanie...”, albo: „Powiem ci, co o tym myślę”. A że to mały budynek i otwarta przestrzeń, może to robić bardzo często.

Omawiamy na przykład coś w związku z programem i nagle przerywa nam radosny głosik z recepcji, przy czym pewność siebie Nerys jest równa jej ignorancji. Nie dalej jak wczoraj rozmawiałam z Dylanem - to nasz nowy pracownik, typowy jajogłowy, idealny do takiego teleturnieju - o którymś z pytań dotyczących Wallis Simpson. Zastanawialiśmy się właśnie, gdzie księżę Windsoru był gubernatorem.

- Na Bermudach - zawołała Nerys z recepcji. - Był gubernatorem Bermudów, prawda?

- Nic, Nerys? - odparł Dylan grzecznie. - Wysp Bahama.
- Naprawdę? - Chwila ciszy, pełnej zdumienia i powiedzmy szczerze, niedowierzania. - Jesteście pewni?
- Tak, Nerys. Jesteśmy pewni - powiedział Dylan z anielską cierpliwością. Bo mi się wydawało, że na Bermudach.
- Źle ci się wydawało, Nerys - włączyłam się. - To były wyspy Bahama. Sprawdziliśmy to w dwóch książkach i w Internecie, jak zawsze.
- Skoro jesteście tacy pewni...

Zdaję sobie sprawę, że Nerys ma dobre zamiary. Ona naprawdę chce pomóc. Nic jej nie sprawia większej przyjemności. Ale właśnie to jest najgorsze. Widziałam na własne oczy, jak niemal siłą ciągnie turystów na Portobello, słyszałam, jak udziela nieznajomym porad w sklepie:

- Po co płacić piętnaście funtów. W Woolworths to samo jest za dziesięć. Tak, za dziesięć... To niedaleko... Druga przecznica w lewo, trzecia w prawo, potem prosto jakieś osiemset metrów i pierwsza w prawo, czwarta w lewo, naprzeciwko apteki... Nie ma sprawy, proszę bardzo... Naprawdę nie ma o czym mówić.

Nerys uważa, że wszyscy są jej dłużnikami, i pławi się w wymyślonej wdzięczności. Nasze rozpaczliwe przytyki odbijają się od niej jak piłeczki pingpongowe od czołgu; nawet ich nie czuje. Ale chociaż doprowadza nas wszystkich do szału, Tom jej nie zwalnia. Dlaczego? Z dwóch powodów.

Po pierwsze: obecność recepcjonistki sprawia, że wydajemy się większą, poważniejszą firmą,

I po drugie: Nerys kocha swoją pracę. Od dwóch lat ani razu się nie spóźniła i nie wzięła ani jednego dnia urlopu. Właściwie jest pracownicą idealną. Jako pierwsza otwiera firmę wczesnym rankiem. Jeśli kserokopiarka się zepsuje, ściąga ludzi z serwisu. Załatwia całą robotę papierkową, organizuje nam transport do studia i z powrotem. Wymienia przepalone żarówki, podlewa kwiatki. Tom docenia jej oddanie, poza tym czuje się za nią odpowiedzialny, bo, jak mówi, z takim charakterem miałyby małe szanse na znalezienie innej pracy. A Nerys, która uważa się za chodzącą encyklopedię, bardzo się cieszy, że teraz robimy teleturniej.

- Szkoda, że nie mogę się zgłosić - powtarza. - Byłabym niezła.

Weszłam do biura, które coraz bardziej przypomina małą bibliotekę - wszędzie piętrzą się sterty encyklopedii i słowników niezbędnych do układania pytań. Wiekowe półki uginają się pod kompendiami wiedzy filmowej, księgami cytatów, albumami przyrodniczymi, księgami rekordów i słownikami bitew.

Dylan siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon, nawijając na palec wąski krawat. Tom walczył z drukarką, która wypluwała kolejne strony scenariusza.

- Cześć! - zawołałam, przekrzykując warkot drukarki.

Tom zazwyczaj chodzi w dżinsach, ale że dzisiaj kręcimy, wbił się w swój jedyny garnitur.

- Cześć - odpowiedział z uśmiechem. - Słuchaj, Laura, muszę ci zadać bardzo ważne pytanie.

- Wał śmiało.

- Kto ci przysłał kwiaty?

- Moja siostra Hope i jej mąż. A co?

- Nic, myślałem, że to od wielbiciela.

- Niestety. - Podeszłam do biurka. - Nie mam wielbicieli.

- Na pewno masz.

- Nie, od lat nie byłam na randce.

- Więc najwyższy czas to zmienić. Jesteś jeszcze młoda.

- Powiedzmy.

- I piękna.

- Bynajmniej, ale i tak dziękuję.

- Więc musisz ruszyć się z domu i chwycić... dzień.

- Tak, może masz rację. - Nowy związek pozwoliłby mi zacząć nowe życie, choć brzmi to przerażająco. A Nick, cóż, on nie ma prawa głosu w tej sprawie.

- Dzisiaj jest twój wielki dzień.

Mój żołądek wywinął salto.

- Tak, dzisiaj jest wielki dzień. - Dzisiaj moje życie zmieni się nieodwracalnie.

Tom wyjął z drukarki ostatnie strony i zaczął je układać.

- Dobrze się czujesz?

Pokręciłam głową.

- Szczerze mówiąc, umieram ze zdenerwowania.

- Widzowie oszaleją na twoim punkcie - zapewnił, sięgając po zszywacz.

- Nie o to mi chodziło.

Przestał zszywać.

- Och. Zniżył głos. - Chodzi ci o... Nicka.

Skinęłam głową.

Tom wie, co się stało. Wszyscy w pracy wiedzą.

- Czuję się jak cel na strzelnicy wyznałam.

Tom spojrział na mnie i ponownie zajął się zszywaniem.

- Cóż, to ryzyko, które podjęłaś. Rozmawialiśmy o tym, kiedy zdecydowałaś się poprowadzić nasz teleturniej, pamiętasz?

- Tak - mruknęłam. - Tylko że wtedy mieliśmy być programem w stacji kablowej i nawet nam się nie śniło, że trafimy do telewizji krajowej, i to w najlepszym czasie antenowym.

- Mam nadzieję, że nie żałujesz swojej decyzji?

- Nie - odparłam. - Ale po prostu ogarnia mnie przerażenie na myśl o za-interesowaniu ze strony mediów.

- Niepotrzebnie. Przecież to, co się stało z Nickiem, to nie twoja wina.

Spojrzałam na niego.

- Nie, to nie była moja wina.

- Jeśli program się spodoba - ciągnął Tom - media mogą zacząć węszyć. Dopilnuj więc, żeby twoi najbliżsi trzymali buzie na kłódkę. - Tak, muszę przypomnieć siostrze, żeby niczego nie mówiły. - Tak czy owak, ty nie zrobiłaś nic złego. Nie masz się czego wstydzić, prawda?

- Nie, nie mam się czego wstydzić.

W dzisiejszym „Timesie” piszą o nas same dobre rzeczy. Tom podał mi gazetę. - Masz, przeczytaj.

- Przeczytałam. Recenzent „Timesa” nie skąpił nam komplementów. Zwrócił uwagę na oryginalną formułę teleturnieju, wspomniał też o moich zaleceniach jako prowadzącej. Zrewanżowałam się Tomowi artykułem z „Independent”.

- Elektryzujące... - Przeczytał na głos. - Świetnie. Cóż, moim zdaniem mają rację, o ile wolno mi tak mówić o własnym dziecku. - Sięgnął po płaszcz. - Musimy już jechać do studia. Nerys! - zawołał. - Jest już mój samochód?

Widziałam, jak wygląda przez szpary w żaluzjach.

- Właśnie podjechał.

- Zobaczymy się za godzinę, tak, Lauro?

Skinęłam głową.

- Nie spóźnij się.

- Nie, jeszcze tylko przejrzymy z Dylanem scenariusz.

Wstawiłam kwiaty do wody i posłałam Hope maila z podziękowaniem. W tym czasie Dylan skończył rozmawiać. Pomachał do mnie. Kiedyś pracował przy *Mastermindzie*, teraz razem ze mną układa pytania do *Wiem wszystko*. Ustala, które pytania pojawią się w danym odcinku i w jakiej kolejności. Zawsze je ćwiczymy przed nagraniem.

- No dobra, Lauro, zaczynamy. - Otworzył notes. - Jak się nazywa stop miedzi i cyny?

- Mosiądz! - zawołała Nerys z recepcji.

- Brąz - odpowiedziałam.

- Dobrze.

- Jaka litera odpowiada liczbie tysiąc w systemie rzymskim?

- C! - Znowu Nerys.

- M.

- Stolica Armenii?

- Ułan Bator!

- Erewan.

- Erewan. - Dylan przewrócił oczyma. Usiadłam przy biurku.

- Jaki azjatycki kraj był do XVIII wieku źródłem prawie wszystkich diamentów?

W zadumie bawiłam się długopisem. Podniosłam wzrok.

- Słucham?

- Jaki azjatycki kraj był do XVIII wieku źródłem prawie wszystkich diamentów?

- Pas! - wrzasnęła Nerys. - To za trudne pytanie, uwierzcie mi. Dzień dobry, Trident TV...

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Indie. Kto odkrył źródła Nilu?

- Livingstone - odparłam machinalnie. - Nie, chwila, nie on... Speke.

- W jakim szkockim paśmie leży szczyt Aviemore?

- W Cairgorms.

- W tradycji islamskiej kolor żałoby to...

- Białą.

- Jakim terminem określamy wczesny etap rozwoju płodu?

Poruszyłam się niespokojnie.

- Nie wiesz? - zdziwił się Dylan. - Niemożliwe, taka mądra kobieta?

- Oczywiście, że wiem. Błastuła.

- Tak.

Wyobraziłam sobie drobinę mniejszą niż kropka w zdaniu, a już nabrzmiałą życiem, wtuloną w przytulne ciemności ścianki macicy.

- Dobrze się czujesz? Lauro?

- Co? Tak, oczywiście. Dalej.

Przewrócił stronę.

- Jak brzmi nazwa Indii w języku hindi?

Sindh? - zastanawiałam się. Nie, to jedna z prowincji... Indie w hindi...
Zaczyna się na b, tego jestem pewna... B...b...

- Bharat?

- Tak.

Mamy wszystkie dziedziny? - zapytałam, kiedy przejrzelśmy sześćdziesiąt pytań do dzisiejszego programu.

Dylan skinął głową.

- Jest wszystko: historia, polityka, nauka, literatura, religia, filozofia, geografia, muzyka klasyczna, muzyka pop, rozrywka, architektura, balet, sztuki piękne i sport.

- Super.

- Scenariusz w porządku?

Rzuciłam na niego okiem.

- Chyba tak.

- Samochód już podjechał, Lauro! - zawołała Nerys.

Złapałam torebkę.

- Jedziesz ze mną? - spytałam.

Dylan sięgnął po skórzaną kurtkę i kask.

- Nie, zobaczymy się na miejscu. Pojadę na motorze.

- Uważaj na siebie! - głos Nerys towarzyszył nam aż do drzwi. - I to bardzo!

- Dobrze, Nerys.

Kiedy biegłam do drzwi, podała mi dużą kopertę.

- Lista uczestników. Sara prosiła, żebym ci dała, zanim pojedziesz do studia.

- Dziękuję. Przejrzę w drodze.

- Powodzenia, Lauro. - Przyjrzała mi się z aprobatą. - Tak, jesteś latem, to widać. Dzień dobry, Trident TV...

Nagrywamy w studio w Acton, więc droga z Notting Hill nie trwa długo. Dzisiaj jednak samochody wyjątkowo się wlokły, przez pogodę - śnieg przeszedł w zacinający deszcz. W White City przez dziesięć minut nie posunęliśmy się ani o centymetr z powodu wypadku, a potem zatrzymały nas roboty drogowe. Gdy wściekły kierowca wyliczał, co zrobiłby Kenowi Livingstone'owi, przypominałam sobie o liście uczestników. Widzę ich po raz pierwszy dopiero w dniu nagrania - to Sara ich wybiera - ale tuż przed spotkaniem

dostaję krótką informację o każdym z nich. Już miałam otworzyć kopertę i poznać cztery nazwiska dzisiejszych graczy, gdy rozdzwoniła się moja komórka. Nerwowo szukałam jej w torebce.

- Laura! - To Felicity, moja starsza siostra. Uwielbia gadać, niestety tylko na jeden temat. Uzbroiłam się w cierpliwość. - Nie zgadniesz, co Olivia odkryła dziś rano! - zaczęła tajemniczo.

- Co to może być? - mruknęłam ze wzrokiem utkwionym w okno. - Lekarstwo na raka? Życie na Marsie? Kwadraturę koła?

Słuchawka zatrzęsła się od śmiechu.

- Nie wygłupiaj się, Lauro.

- Więc co takiego odkryła?

- Swoje... stopki! To cudowne!

- Doprawdy? - Zatrzymaliśmy się na przejściu dla pieszych. - A gdzie były?

- Jak to gdzie? Na jej nóżkach, ma się rozumieć!

- Czy nie tam jest ich miejsce?

- No tak, ale maluszki tego nie wiedzą, prawda? Odkrywają je, kiedy mają mniej więcej pół roku, i są zachwycone. Chciałam się tym z tobą podzielić. - Stłumiłam ziewnięcie. - Wyobraź sobie, dzisiaj rano leżała sobie na stole i właśnie miałam ją przewinąć. Gaworzyła i uśmiechała się do mnie, wiesz, tak po prostu leżała i uśmiechała się do mnie... prawdziwie jakby malutki skalbeńkumamusi? - zaszczębiotała Felicity. - I nagle spojrzała na swoje stopy, złapała je i zaczęła się nimi bawić. To było niesamowite... zaczęła się bawić własnymi stopami i... Jesteś tam, Lauro?

- Tak... tak, jestem.

- Nie uważasz, że to niesamowite? - Myślałam o mikroskopijnej drobinie i komórkach, które dzielą się i mnożą.

- To cud. - Wyrzłam przez okno.

- Cóż, nie posuwałabym się aż tak daleko, ale to ważny moment. - Felicity puchła z dumy. - A najwspanialsze w tym wszystkim, że Olivia ma dopiero pięć miesięcy i trzy dni, więc jest nad wyraz rozwinięta jak na swój wiek, skoro odkryła to o miesiąc wcześniej. Twoja siostrzenica jest bardzo mądra. Plawdamójskalbeńku? - Jej głos znowu podskoczył o dwie oktawy.

- Karmienie piersią przynosi efekty - stwierdziłam z całym entuzjazmem, na jaki było mnie stać.

- Och, jak najbardziej. Dzieci są dzięki temu o wiele mądrzejsze.

- No nie wiem, Fliss. Mama karmiła nas tylko przez dwa tygodnie i...

- Wiem - przerwała mi z oburzeniem. - Pomyśl tylko, o ile byłybyśmy mądrzejsze! O Boże, zwymiotowała na mnie... poczekaj... nicnieszkodzi-mójskalbenku gdzie ściereczka? Nigdy, ale to nigdy nie mogę jej znaleźć... cholera, cholera... O, jest! Jesteś tam, Lauro?

- Tak, ale właśnie jadę do studia i...

- Mówiłam ci już, że powoli wprowadzam do jej diety stałe pożywienie?

- Tak, Fliss, mówiłaś.

Felicity to najnudniejsza matka pod słońcem, w związku z czym opowiada mi dosłownie wszystko o Olivii. Znam najdrobniejsze szczegóły jej rozwoju, wiem, ile ma włosów, ciągle słucham, o ile jest ładniejsza od innych dzieci w jej wieku. Fliss nie robi tego, żeby się wywyższać czy chwalić, jest na to za dobra i za prostoduszna. Nie, ona po prostu nie posiada się ze szczęścia. Ponieważ we trzy jesteśmy ze sobą bardzo blisko, a Hope i ja nie mamy dzieci - Hope nigdy ich nie chciała - Fliss dzieli się z nami wszystkimi szczegółami macierzyństwa. Uważa, że uszczęśliwia bezdzietne siostry, dzieląc się z nimi częstką Olivii. Wiem, że ma jak najlepsze intencje, ale czasami mnie denerwuje. A nawet... tak, przyznaję, doprowadza mnie do szału. Jednak ilekroć tak się dzieje, przypominam sobie, ile ją kosztowało urodzenie tego dziecka.

- Przeszłabym po rozpalonych węglach, żeby mieć dziecko - powiedziała kiedyś przez łzy.

I w pewnym sensie właśnie tak było, bo zanim urodziła Oliwię, minęło dziesięć lat i sześciokrotnie zawiodły różne terapie. Jej praca tylko pogarszała sytuację - Felicity była przedszkolanką.

Próbowała wszystkiego: chodziła na jogę, akupunkturę i hipnozę i całkowicie zmieniła sposób odżywiania. Wykluczyła ze swojej diety kofeinę i alkohol. Przemeblowała dom zgodnie z zasadami feng shui, jakby ustawienie szafy miało wpływ na takie sprawy. Wymieniła sobie wszystkie plomby z amalgamatem na kompozytowe. Poszła na pielgrzymkę do Lourdes. I wreszcie, w wieku trzydziestu ośmiu lat, zaszła w ciążę. Teraz, gdy w końcu jest matką, oddaje fanatyczny hołd bóstwom macierzyństwa i z czcią wita każde beknięcie i pisk swojej córki.

- Jak wam poszło z ziemniaczkiem? - spytałam.

- Oj, niełatwo. Żałuj, że nie widziałaś jej minki za pierwszym razem! Ale teraz je uwielbia, plawdamójkłóliczkuukochany? Miksuję go z odrobiną kabczka.

Wysłuchałam wykład i-o szkodliwości karmienia dzieci zbyt dużą ilością marchewki - nie trawią witaminy A i stają się pomarańczowe - i wstrząsającą

opowieść o ekologicznej szkodliwości jednorazowych pieluch. Felicity ma obsesję na tym punkcie.

- Zajmują miejsce na wysypiskach śmieci - oznajmiła ze świętym oburzeniem. - I nigdy, ale to nigdy nie ulegną rozkładowi. Wszystko przez ten żel. Wyobrazasz to sobie, Lauro? Za pięćset lat potomkowie Olivii nadal będą się zmagać z problemem jej pieluch! Koszmarna wizja, prawda?

- Owszem. Więc używasz tetrowych?

- Chyba żartujesz! To okropne zawracanie głowy i do tego ten zapach... Nie, przeszliśmy na jednorazowe ekologiczne, bez żelu. Są przyjazne dla środowiska, chociaż dość drogie.

- Ile?

- Czterdzieści pięć pensów za sztukę.

- Czterdzieści pięć pensów za sztukę?! - Policzyłam szybko w myślach. Dzieciak zużywa średnio sześć pieluch dziennie, czyli dwa funty siedemdziesiąt pensów, razy siedem - mamy osiemnaście funtów dziewięćdziesiąt pensów tygodniowo, pomnóżmy to przez pięćdziesiąt dwa tygodnie i mamy prawie pięćdziesiąt osiemdziesiąt funtów, a jeśli pieluchy nosi się przez, powiedzmy, dwa i pół roku, prawie dwa tysiące pięćset funtów. - Biedny Hugh - powiedziałam.

- Cóż, nie musiał rezygnować z pracy - zachnęła się.

- To fakt - przyznałam.

Hugh, mąż Felicity, jest miły, raczej przystojny i bardzo spokojny. Kiedyś pracował w Nokii i odnosił tam niemałe sukcesy, dzięki czemu stać ich było na dom przy Moorhouse Road. Ale tego samego dnia, gdy Felicity triumfalnie pokazała mu błękitny pasek na teście ciążowym, oznajmił, że rzucił pracę. Od lat marzył o czymś zupełnie innym. Niestety, jak dotąd jego marzenia nie przynoszą wymiernych efektów.

- Jak się ma wielki wynalazca? - zapytałam, gdy samochód skręcał na parking przed studium. - Coś nowego na horyzoncie?

Pełne irytacji westchnienie.

- Chyba żartujesz. Nie rozumiem, dlaczego nie poszuka sobie jakiejś przyzwoitej pracy. Albo niech chociaż wynajdzie coś użytecznego, jak koło!

- Muszę kończyć, Fliss. Jesteśmy na miejscu. Zaraz nagrywamy.

- Powodzenia. Będę cię dzisiaj oglądać. O ile Olivia zaśnie do tego czasu.

- Uraczyła mnie kolejną opowieścią, jak to stara się zmusić OUVię, żeby nie budziła ich o czwartej rano, i co robi, żeby szybciej zasypiała.

Słuchałam, powtarzając w myślach: Przestań wreszcie gadać o tym dziecku. Tak, OHvia jest cudowna i bardzo ją kocham, ale to przecież twoje dziecko, nie moje... I wtedy Felicity powiedziała, impulsywnie jak zawsze:

- Wiesz, Lauro, jestem z ciebie bardzo dumna.

- Co?

Moja frustracja zniknęła bez śladu, miałam za to łzy w oczach.

- Uważam, że jesteś wspaniała. No bo ja ci zawracam głowę Olivią, pewnie zanudzam cię na śmierć...

- Ależ nie - zaprzeczyłam grzecznie. - Naprawdę...

- Popatrz tylko, co osiągnęłaś! Uporałaś się z całym tym koszmarem, z tym, co on zrobił. Wredny egoista - dorzuciła, jak zawsze, gdy mówi o Nicku. - Nie poddałaś się, poradziłaś sobie ze wszystkimi trudnościami i... no, popatrz tylko na siebie! Od dzisiaj będziesz sławna! Twoje życie będzie jednym pasmem przyjemności! A najważniejsze - zakończyła triumfalnie - że na pewno kogoś poznasz!

- I będziemy żyli długo i szczęśliwie - mruknęłam, otwierając drzwiczki samochodu. - W ślicznym białym domku z krzewami różanymi pod oknem i dwoma labradorami.

- Tak - powiedziała Felicity, jak zwykle nie wyczuwając ironii. - Tylko daj sobie szansę. Wiesz co, wpadnij do nas jutro po pracy. Strasznie dawno cię nie widziałam. Będziemy mogły pogadać, a przy okazji pobawisz się z Olivią, Plawdomójkwiatuszku? Taktaktakbaldzochciemięzobaczyciocia-laula! - W tle słyszałam krzyki Olivii. Serce mi pękało.

- Może wpadnę. To do zobaczenia.

Odetchnęłam głęboko, żeby się uspokoić, i zerknęłam na zegarek. Dwa-dzieścia pięć po pierwszej, a nagranie zaczynamy o drugiej. Wbiegłam do środka, wsiadłam do windy i na piątym piętrze od razu pobiegłam do makijażystki. Marian przyjrzała mi się z uznaniem.

- Fajny żakiet - oceniła. - Świetny krój.

- Nie jestem pewna co do koloru - powiedziałam, przypomniawszy sobie kamerton Nerys.

- Racja, jest dla ciebie za ostry. Trzymaj. - Podała mi marynarkę w odcieniu muszli. - Ta będzie lepsza.

I była. Cóż, Nerys czasami miewa rację, pomyślałam wielkodusznie, zapinając marynarkę. Przynajmniej w drobiazgach. Marian upięła mi włosy i nakładała podkład. Jak zwykle poczułam przypływ adrenaliny, gdy usłyszałam stłumione śmiechy i szmery publiczności, którą właśnie wprowadzono na widownię. Tom przywitał ich na planie i wyjaśnił, że choć większość programu nagrywamy na bieżąco, pod koniec trzeba będzie zrobić kilka powtórek. Poprosił, żeby się nie wiercili, nie podnosili rąk i nie chrząkali, choć właściwie trudno byłoby oszukiwać w naszym teleturnieju.

- [proszę nie wykrzykiwać odpowiedzi - zakończył. Rozległy się chichoty. - Wydaje się to państwu zabawne, ale zdarzały się takie przypadki.

Do garderoby zajął Ray, nasz dźwiękowiec.

- Lauro, masz trzy minuty. - Przypiął mi malutki mikrofon do klapy zakie-
tu, umieścił mikroport pod marynarką, podał słuchawkę.

- Próba dźwięku.

- Raz, dwa, trzy... jadłam tosty na śniadanie... spóźniłam się do studia...
i nadal nie widziałam listy uczestników. - Szperałam w torebce, a Ray usta-
wiał dźwięk. - Gdzie ona jest, do cholery?

- Dzięki, Lauro, u mnie wszystko OK.

- A teraz powitajmy naszych zawodników! - usłyszałam Toma. Rozległy
się oklaski, a potem kroki zawodników na drewniej podłodze.

- Jacy są? - zapytałam Marian. W końcu ich też malowała. •- Opowiedz
mi, bo nie mogę znaleźć listy.

- Dwaj są beznadziejni - zaczęła, rozcierając korektor pod oczami. - Nu-
dziarze. I brzydcy.

- Nic nowego.

- Jest też dość ładna dziewczyna, jakieś dwadzieścia pięć lat, i fantastycz-
ny facet. Tak mi się spodobał - przyznała ze śmiechem - aż zakręciło mi się
w głowie. Boskie oczy. Ale było widać, że nie może się doczekać spotkania
z tobą.

Spojrzałam na nią.

- Naprawdę?

Założyła za ucho popielaty kosmyk.

-Tak.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. - Wybrała szminkę spośród dziesięciu na stoliku. W me-
talowych tulejkach wyglądały jak naboje. - Powiedział tylko, że bardzo się
cieszy na spotkanie z tobą, więc pomyślałam, że to fan.

Marian mieszała dwa odcienie szminki na grzbiecie dłoni, a ja nadal szuka-
łam w torbie koperty z nazwiskami uczestników. Nigdzie jej nie było. Cholera.

- Spójrz na mnie, Lauro. - Marian była gotowa.

Nałożyła mi szminkę pędzelkiem, później musnęła jeszcze usta błyszcz-
kiem, a Tom instruował zawodników:

- Uważnie słuchajcie pytań mówią. - I nie odpowiadajcie za szybko, bo
w naszym teleturnieju za błędną odpowiedź tracicie pieniądze. Warto pomy-
śleć, zanim się odpowie.

Marian musnęła mi policzki różem, dodała odrobiną pudru na czoło.

Tom oznajmił:

- Jesteśmy gotowi.

- Skończyłaś makijaż, Lauro? - usłyszałam w słuchawce głos Sary.

- Tak. - Marian przyskała mi włosy lakierem.

- Tom, Laura już idzie - powiedziała Sara. - Muzyka.

- Oto prezenterka teleturnieju *Wiem wszystko* - Laura Quick! - Marian zdjęła ze mnie czarną pelerynką ochronną i na wpół weszłam, na wpół wbiegłam do studia. W pierwszej chwili oślepiły mnie ostre reflektory. Czułam bijące od nich ciepło i specyficzny zapach. Tom podał mi rękę, a potem odwrócił się do widowni i dał znak, żeby bili brawo. Spojrzałam na nich i uśmiechnęłam się. Tom zszedł ze sceny, a ja zerknęłam na galerijkę za plecami widzów, gdzie za szybą stała Sara, producentka programu, i Gili, jej asystentka. Obok stał Dylan ze słuchawkami na uszach i ekipa dźwiękowców i montażystów. Oklaski powoli cichły. Spojrzałam na plan: po bokach cztery niebieskie kolumny różnej wysokości, na środku wielki różowy znak zapytania, w tle tytuł programu napisany wielkimi zielonymi literami i ogromny żółty zegar - chodziło nam o jak najbardziej kiczowaty efekt - a przede mną, za stanowiskami, czterech zawodnicy. Uśmiechnęłam się, nie patrząc na ich twarze.

- Witajcie na planie - zaczęłam, mrużąc oczy w ostrym świetle reflektorów. - Życzę wam wszystkim powodzenia. Później jeszcze porozmawiamy, ale tymczasem nie denerwujcie się i pamiętajcie, że najważniejsze to dobrze się bawić, jak już mówił Tom! - Zerknęłam na imiona wypisane na stanowiskach, a potem na twarze. Zauważyłam, że trzy osoby denerwują się, natomiast czwarty gracz uśmiecha się spokojnie, i to uśmiecha się do mnie. Gdy wreszcie odpowiednio ustawiono reflektory, zobaczyłam go dokładnie. I poczułam się, jakbym wskoczyła do lodowatej wody.

- Gotowa? - szepnęła mi Sara do ucha, kiedy usiłowałam zamaskować nagły jęk atakiem kaszlu. Przez moment obawiałam się, że zemdleję. Na końcu języka miałam:

- Nie, Saro, nie możemy zaczynać, bo próbuję się uporać ze świadomością, że mój pierwszy chłopak, którego nie widziałam od dwunastu lat i którego, powiedzmy"sobie szczerze, nigdy nie zapomniałam, stoi cztery metry ode mnie.

- Odliczamy - usłyszałam w słuchawce. - Pięć... cztery... trzy... dwa... jeden i... muzyka! - Rozległ się radosny motyw muzyczny programu, publiczność klaskała entuzjastycznie.

Spojrzałam w kamerę.

- Witajcie w teleturnieju *Wiem wszystko* - zaczęłam z całą pewnością siebie, jaką zdołałam z siebie wykrzesać. Kiedy czytałam tekst z promptera, było mi już nie zimno, tylko przeraźliwie gorąco. - Nazywam się Laura Quick i prowadzę ten teleturniej. Pozwólcie, że najpierw wyjaśnię zasady. Trzymam w ręku karty z pytaniami. - Podniosłam je do góry. Będę kolejno czytała pytania, a prawo do odpowiedzi zdobędzie ten zawodnik, który pierwszy naciśnie przycisk. Na odpowiedź ma tylko pięć sekund. Spójrzmy na monitory przy stanowiskach zawodników. Jak widzimy, każdy zaczyna z jednym funtem. Ilekroć udzieli poprawnej odpowiedzi, jego majątek podwoi się, a my usłyszymy taki dźwięk... - Rozległo się głośnie „brzdęk”, jakby otwierała się gigantyczna staroświecka kasa. - Jeśli odpowie źle, straci połowę zarobionej sumy, a my usłyszymy... - Buu! - ponury, głuchy odgłos. - Zwycięży ten, kto zbierze najwięcej pieniędzy. Będzie miał szansę podwoić wygraną, jeżeli zdecyduje się na odwrócenie ról i zada mi pytanie, na które nie znam odpowiedzi. To jednak ryzykowna decyzja, bo jeśli odpowiem poprawnie, straci połowę zarobionej sumy. - Buu! - A teraz poznajmy dzisiajszych zawodników!

Zawodnicy przedstawiali się sami. Patrzyłam na Luke'a, wściekła na siebie, że zgubiłam listę. Przynajmniej byłabym przygotowana na to spotkanie.

- Spokojnie, Lauro - syknęła mi Sara do słuchawki. - Jesteś bardzo spięta. - Przywołałam na twarz profesjonalny uśmiech. - Teraz lepiej. I nie pędź tak.

- Christine Schofield - przedstawiła się ładna blondynka. - Mieszkam w York i jestem nauczycielką.

- Doug Dale odezwał się mężczyzna koło pięćdziesiątki. Brodaty, łysy, w kwadratowych okularach, wyglądał jak mnich. - Pochodzę z Islington, piszę sprawozdania finansowe.

Przy nim Lukę wydawał się jeszcze przystojniejszy. Miał wystające kości policzkowe i ciemne kręcone włosy, które opadały na kołnierzyk. Tylko drobne zmarszczki wokół oczu świadczyły, że minęło tyle lat od naszego ostatniego spotkania.

- Lukę North, marszand z Londynu - przedstawił się.

- Cześć, nazywam się Jim Field - powiedział ostatni zawodnik, wysoki, chudy facet po pięćdziesiątce. - Jestem dojrzałym studentem psychologii, mieszkam w Bedford.

Umiarkowane oklaski. Podniosłam karty i w studiu zapadła cisza.

- No, dobrze. Zaczynamy. Pierwsze pytanie. Jak brzmiała łacińska nazwa miasta Bath?

Doug Dale pierwszy nacisnął przycisk i jego stanowisko zaślniło złoto.

- Doug.

- Sulis.

- Dokładnie rzecz biorąc, Aquae Sulis, ale uznaję. - Brzdęk! Co nadaje dżinowi specyficzny aromat? Christie.

Jałowiec.

- Tak jest. - Brzdęk! - Stolica Liberii? Lukę?

- Monrowia.

- Tak. - Brzdęk! Zadziwiająco, pomyślałam, pierwsze słowa, jakie usłyszałam z jego ust po dwunastu latach, to nie: „Cześć, Lauro” czy: „Jak miło cię zobaczyć”, czy choćby nawet: „Przepraszam, że cię skrzywdziłem”, tylko: „Monrowia”.

- Jaka kultura epoki brązu rozwinęła się na Krecie?

- Minojska - tym razem odpowiedział Jim. Brzdęk! Teraz wszyscy mieli po dwa funty.

Odczytałam następne pytanie.

- Nazwa jakiego kanału to imię greckiego boga czytane od tyłu?

Lukę był pierwszy.

- Suez.

- Tak. - Brzdęk! - Oczywiście grecki bóg, o którego chodzi, to Zeus. Kto napisał *Pożegnanie z bronią*?

Doug Dale.

- Ernest Hemingway.

- Tak. Jaka francuska dynastia użyczyła nazwiska alkoholowi? Christie?

- Ludwików - powiedziała pewnym głosem. Buu!

- Nie, Burbonów. - Z jej dwóch funtów zrobił się jeden. - Jaka wojna zaczęła się od ostrzelania Fort Sumter? Lukę?

- Wojna secesyjna.

- Tak jest. - Brzdęk! - Jak się nazywał rzymski bóg ognia? Doug?

- Prometeusz?

- Nie. - Buum! - Prometeusz wykradł ogień bogom, ale chodziło o Wulkana. Z czego wytwarzany jest sztuczny jedwab? Christine?

- Z celulozy.

- Tak. - Brzdęk! - Jakie państwo w Ameryce Południowej zawdzięcza swoją nazwę włoskiemu miastu? Doug?

- Argentyna. - Buum!
- Nie, Wenezuela, nazwana na cześć Wenecji. Kim była Amaltea z mitologii greckiej? Lukę?

Śmiał się, nie wiadomo dlaczego.

- Kozą - odparł.

- Poprawna odpowiedź. - Brzdęk.

I tak dalej:

- Pierwsza kobieta, która przeleciała nad Atlantykiem... Nie, nie Amy Johnson - Buum! - Amelia Earhart... Co to jest okapi? Tak, Jim, to rodzaj żyrafy. - Brzdęk! - Co symbolizują koła na fladze olimpijskiej? Nikt nie ryzykuje? Pięć kontynentów. Kto odkrył źródła Nilu? Nie, nie Livingstone! - Buum! - Spece. Jak Rzymianie oznaczali tysiąc? Tak, Doug, literą M. - Brzdęk! - Jaki azjatycki kraj był do XVIII wieku źródłem prawie wszystkich diamentów? Nie. - Bum! - Indie. - Jaka książka sprzedaje się najlepiej na świecie? Tak jest, Lukę, Biblia. - Brzdęk! - Nad jaką planetą zobaczymy różowe niebo? Dobrze, Jim, nad Marsem. - Brzdęk! - Jakiego koloru boi się człowiek cierpiący na leukofobię? Doug? Nie, to nie jest żółty... - Bum! - Tylko biały. - Przez cały czas, gdy zadawałam pytania i obserwowałam, jak fortuny zawodników rosną i maleją, przed oczami stawały mi obrazy z przeszłości: ja i Lukę na trawniku przed uniwersytetem, na rowerach, przy jednym stoliku w bibliotece, wtuleni w siebie na jego wąskim łóżku.

- Pięć minut do końca - szepnęła mi Sara do ucha. - Świetnie idzie. - Zanim przeczytałam kolejne pytanie, zerknęłam na wyniki. Doug Dale prowadził, miał cztery tysiące dziewięćdziesiąt sześć funtów, Lukę był o jedno pytanie za nim, miał dwa tysiące czterdzieści osiem funtów, Christine i Jim ciągnęli się daleko za nimi, bo odpowiadali bezmyślnie.

- Jakie zwierzę widnieje na fladze stanu Kalifornia?

Sekunda ciszy i Doug nacisnął przycisk.

Orzeł? - Buum! Skrzywił się, niezadowolony.

- Nie, przykro mi. Niedźwiedź. - Teraz on i Lukę mieli tyle samo.

- Trzy minuty do końca - przypomniała Sara. Spojrzałam na kolejne pytanie.

- Ile jest kart w talii tarota?

- Siedemdziesiąt osiem. - Luke.

- Tak! - Brzdęk! Miał cztery tysiące dziewięćdziesiąt sześć funtów.

- Dwie minuty - Sara kontynuowała odliczanie.

Spojrzałam na kartę.

-- Kto zaprojektował mundury Straży Papieskiej? - Lukę nacisnął przycisk, ale wyglądało na to, że w decydującej chwili odpowiedź wyleciała mu z głowy. Zamknął oczy, jakby usiłował sobie przypomnieć, a ja niemal słyszałam uciekające sekundy. Jeszcze trzy... dwie... jedna... Zaraz straci dwa tysiące funtów.

- Michał Anioł - rzucił.

- Tak.

Bach! - rozległ się głośny gong oznaczający koniec rundy. Lukę wygrał. Odpowiedział poprawnie na trzynaście pytań, czyli miał osiem tysięcy sto dziewięćdziesiąt dwa funty.

Odwrociłam się do kamery.

- Spójrzmy na wyniki. Na czwartym miejscu Jim, który zdobył pięćset dwanaście funtów, na trzecim Christine z sumą dwukrotnie wyższą. Drugie miejsce zajął Doug z wygraną wynoszącą dwa tysiące czterdzieści osiem funtów. Zwycięzcą w tym tygodniu jest Lukę North, który zdobył osiem tysięcy sto dziewięćdziesiąt dwa funty! - Widzowie bili brawo, Lukę się uśmiechał. - Ale to nie koniec - ciągnęłam. - Teraz czas na odwrócenie ról. Pytanie tylko, czy Lukę tego chce? - Spojrzałam na publiczność. - Kto z państwa uważa, że powinien zaryzykować? Jeśli to robi, może stracić cztery tysiące. Z drugiej strony, może wygrać kolejne osiem. Proszę głosować, panele są umieszczone przy państwa fotelach.

Po chwili wyniki rozbłysły na wielkim ekranie.

- Sześćdziesiąt osiem osób uważa, że powinien zaryzykować - przeczytałam. - Natomiast sto dziesięć osób radzi, by pozostał przy swojej wygranej. - Spojrzałam na Luke'a. - Lukę, publiczność radzi ci poprzestać na tym, co masz, a jaka jest twoja decyzja?

- Chcę odwrócić role.

- Na pewno?

- Na pewno. - Uśmiechnął się.

- No dobrze. - Spojrzałam do kamery. - Jeśli nie odpowiem na pytanie Luke'a w ciągu przepisowych pięciu sekund, jego wygrana się podwoi, jeśli natomiast mi się uda, straci połowę. Zapewniam państwa, i tu w studiu, i w domach przed telewizorami, że nie mam pojęcia, o co mnie zapyta. A więc słucham, Luke.

Wyjął z kieszeni złożoną karteczkę. Modliłam się, aby nie zapytał mnie o coś z muzyki pop ani z piłki nożnej.

- No dobrze... - zaczął. Rozległy się werble. - Chciałbym cię zapytać... - Urwał, odchrząknął. - Czy... - Wsunął palec pod kołnierzyk. - No więc...

moje pytanie brzmi... - Spojrzał na mnie. - Moje pytanie brzmi... - Co z nim? - Czy pójdziesz ze mną na kolację?

Chwila ciszy, potem stłumione chichoty na widowni.

- O co mu chodzi, do cholery?! - krzyknęła Sara.

Teraz śmiała się już cała publiczność, a Luke z nimi.

- Pójdziesz ze mną na kolację, Lauro? - powtórzył. Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo w tym momencie Tom krzyknął:

- Cięcie!

Rozdział 2

Teraz już wiemy, dlaczego tak się cieszył na spotkanie z tobą - stwierdziła Ł Marian, zmywając mi makijaż. Przyglądałam się jej w lustrze, gdy usuwała podkład długimi, płynnymi ruchami. - Pewnie przeżyłaś niezły szok.

- Delikatnie mówiąc. - Spojrzałam na ręce. Nadal drżały. - Wystarczająco trudno było znowu go zobaczyć, a teraz jeszcze... to.

- A kiedy go przedtem znałaś, był fajny?

- O tak. Bardzo.

- I zabójczo przystojny. - Rozmarzyła się, sięgając po wacik.

Oddychałam powoli przez nos, próbując się uspokoić.

- Tak. Do tego mądry, charyzmatyczny, oryginalny, uroczy i... irydujący.

- Bardzo się zmienił?

- Nie. Jeśli już, jest jeszcze przystojniejszy.

- Coś takiego, zobaczyć go po tylu latach... i to w takich okolicznościach! - W końcu spojrzałam na listę uczestników, którą znalazłam w kieszeni płaszcza. Przebiegłam wzrokiem informacje o Luke'u. Luke North, trzydzieści sześć lat, studiował w Cambridge historię sztuki, przez kilka lat pracował w domu aukcyjnym Christies, od trzech lat prowadzi w Baywater galerię sztuki współczesnej. Mieszka w Notting Hill. Przeczytałam to jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze.

- Czy między wami było coś poważnego? - zapytała Marian.

- Co?

- No, wasz związek? Czy to było coś poważnego? Nie musisz odpowiadać - zastrzegła się. - Ale chyba się nie dziwisz, że jestem ciekawa, zwłaszcza po tym, co zrobił.

- Nie ma sprawy. - Byłam tak poruszona, że chciałam o tym opowiadać. - Tak, to było coś poważnego - zaczęłam. Ja studiowałam filologię klasyczną, a on historię sztuki. Ciągłe się kłóciliśmy, ale to typowe dla takich związków jak nasz. Burzliwych, intensywnych, nieprzewidywalnych... - Westchnęłam gorzko. - To był najwspanialszy związek w moim życiu.

- Więc co się stało? Uznaliście, że jesteście za młodzi na stały związek?

- Nie. Po studiach chcieliśmy zamieszkać razem w Londynie, nawet już znaleźliśmy mieszkanie, ale wtedy... - nie mogłam powiedzieć Marian strasznej prawdy - ...wszystko się zepsuło.

Zapadła cisza. Marian położyła mi rękę na ramieniu.

- Nieważne. - Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze; na trzydziestoczteroletniej twarzy pojawiły się pierwsze zmarszczki. - To było tak dawno. - Wstałam, zdjęłam pelerynkę. - Idę na przyjęcie.

- Powodzenia. On pewnie też tam będzie.

Pojechałam windą na najwyższe piętro. Przepęłniały mnie sprzeczne uczucia, serce waliło jak szalone. Byłam oburzona, że Lukę ponownie wtargnął w moje życie, że ze mną flirtował, że mnie wytrącił z równowagi... a jednocześnie czułam dziwną radość. Idąc korytarzem, słyszałam coraz głośniejszy szum z sali, w której odbywało się przyjęcie. Chwilę stałam w progu, w końcu weszłam do środka. Powietrze przepęłniał zapach kanapek, kawy i taniego białego wina, podstawowego menu na spotkaniach po zdjęciach. Większość ekipy już była. Filmowcy rozmawiali z uczestnikami; na mój widok kilka osób uśmiechnęło się pod nosem. Słyszałam, jak Dylan mówi Christine, że nakręcony dzisiaj odcinek trafi na antenę pod koniec marca. Jim i Doug dyskutowali zawzięcie o gramatyce, a w kącie przy oknie Lukę rozmawiał z Sarą. To idiotyczne, ale poczułam zazdrość. Zobaczył mnie, pomachał i z typową dla siebie bezczelnością skinął na mnie palcem. Gdyby nie Sara, zignorowałabym go. Postanowiłam sobie, że będę chłodna i wyniosła.

- Cześć, Lauro. - Uśmiechnął się. Marian miała rację: ma cudowne oczy. Ocienione długimi, gęstymi rzęsami, w głębokim, ciepłym odcieniu brązu z odrobiną złota i topazu. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś go zobaczę, a co dopiero stanę koło niego. Czasami łąpałam się na tym, że tęsknym wzrokiem odprowadzam mężczyzn choć trochę do niego podobnych.

- Cześć, Luke.

- Przepraszam za tamto. Speszyłem cię?

- Tak. I pewnie o to ci chodziło.

- Nie, naprawdę. - Wskazał głową Toma. - Reżyser nie był zachwycony.

- Myślał, że chcesz zepsuć nagranie.

- Wcale nie. - Wzruszył ramionami. - To było... zabawne.
- Na szczęście powtórka się udała. - Sara próbowała ratować sytuację.

Więc nie ma powodu do zmartwień. - Przerobiliśmy końcówkę i Luke zdecydował się nie odwracać ról.

Wziął kanapkę z tacy.

- Przecież sama mówiłaś, że mogę zadać dowolne pytanie.
- Z wiedzy ogólnej - uściśliłam.

- Program był świetny - wtrąciła Sara. - Luke, byłeś bardzo dobrym zawodnikiem i nic złego się nie stało. No, to ja już pójdę - dodała taktownie. - Pewnie macie sobie dużo do powiedzenia.

Odeszła, a Luke znowu się do mnie uśmiechnął, z lekkim zdziwieniem, jakby nie pojmował, skąd mój chłód i wyniosłość. A czego niby się spodziewał? Że będę tryskać radością i ciepłem po tym, jak narobił mi wstydu na planie?

- Mogę cię o coś spytać? - zaczęłam.

- Oczywiście. - Sięgnął po kolejną kanapkę. - W końcu zadawanie pytań to twoja praca. Rany, umieram z głodu.

- Planowałeś to?

Nie. Chciałem zadać zwykłe pytanie. - Wytarł okruszki z ust. - Ale nagle poczułem przemożne pragnienie, żeby cię zaprosić na kolację.

- Rozumiem. Więc to był żart?

Uśmiechnął się.

- Chyba tak.

- A dlaczego się śmiałeś, gdy zapytałam o Amalteę?

Przewrócił oczami.

- To długa historia, opowiem ci przy kolacji. Bo pójdziesz ze mną na kolację, prawda? Tyle czasu minęło.

Uśmiechnął się znowu i nagle uświadomiłam sobie, że oprócz gniewu, który czuję, powróciło stare pożądanie. Chciałam, żeby jak dawniej otoczył mnie ramionami.

- Pójdziesz? - Chciałam ukryć twarz w zagłębieniu jego szyi. Chciałam błędzić palcami po jego pięknych ustach. - Prawda, że pójdziesz?

- Ja... nie wiem.

- Udajemy trudną do zdobycia?

-Nie.-Nagle wróciłam na ziemię.-Ależ ty jesteś bezczelny, Luke. Wkraczasz w moje życie w, przyznasz to, dziwaczny sposób i zakładasz, że pójde z tobą na kolację, chociaż nie rozmawialiśmy od dwunastu lat.

- To nie moja wina.

- Owszem! - ściszyłam głos, świadoma, że wszyscy ciekawie zerkają na naszą stronę. - To twoja wina.

- Nieprawda. Nie odpowiadałaś na moje listy, nie odbierałaś telefonów. Wyrzuciłaś mnie ze swojego życia, jakbym nigdy nie istniał.

- I jeszcze masz czelność mnie obwiniać! - oburzyłam się. Niesamowicie!

- Widzisz, jest jak dawniej - stwierdził zadowolony.

Nagle zrozumiałam, że ma rację. Wystarczyły dwie minuty razem, a już rozdrapaliśmy stare rany.

Usiłowałam sprowadzić rozmowę na bezpieczne tory.

- O co chciałaś mnie zapytać?

- Cóż, długo nad tym myślałem. Nie chciałem pytać cię o coś, czego nie będziesz wiedziała, bo byłoby mi głupio, gdybyś przeze mnie dała plamę na oczach milionów widzów.

- Jakiś ty troskliwy.

- Postanowiłem więc zapytać cię o coś, co zdołasz wymyślić.

- Czyli?

- Ile razy na dobę bije ludzkie serce?

Spojrzałam na niego pustym wzrokiem.

- Brzmi jak twoje ukochane bezużyteczne informacje.

- I jest. Ale zawsze szybko liczyłaś w pamięci, więc myślałem, że ci się uda.

- Przecież nie mogłam tego policzyć w ciągu pięciu sekund, twoja wygrana byłaby zatem dwa razy większa. Żart sporo cię kosztował.

Wzruszył ramionami.

- Trudno. Osiem kawałków też wystarczy.

- Na co? O ile oczywiście mogę zapytać. Dlaczego właściwie się zgłosiłaś?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak. Zdziwiłam się na twój widok, delikatnie mówiąc.

- No dobra. Namówili mnie przyjaciele. Marudziłem, że przydałoby mi się parę tysięcy na opłatę za studia - pamiętasz, że zawsze chciałem studiować malarstwo?

- Tak. Oczywiście.

- No i dostałem się do Slade na zaoczne. A że chwilowo nie mam pieniędzy z przyczyn, którymi nie będę cię zanudzał, zaproponowali, żebym spróbował swoich sił w *Wiem wszystko*. Kiedy się dowiedziałem, że ty prowadzisz

ten teleturniej, byłem mocno zaskoczony i nawet miałem się wycofać, ale im więcej o tym myślałem, tym bardziej chciałem znowu cię zobaczyć, zwłaszcza gdy się okazało, że wasze studio jest niedaleko mojego domu.

- A dlaczego po prostu do mnie nie napisałeś?

- Bo sądziłem, że mi nie odpowiesz. Nie zrobiłabyś tego, prawda?

- Nie wiem. Pewnie nie.

- No właśnie. Więc postanowiłem wziąć udział w programie. Szczerze mówiąc, myślałem, że dowiesz się wcześniej.

- Dowiedziałabym się, ale nie przeczytałam listy uczestników.

Zerknął na zegarek.

- O rany, czas na mnie, muszę odebrać Jessicę.

- Jessicę?

- Mój skarb - wyjaśnił z dumą. Poczułam, że uchodzi ze mnie całe powietrze. - To miłość mojego życia.

- Rozumiem.

- Jest boska. Ma wielkie niebieskie oczy...

- Cudownie. Wiesz, muszę porozmawiać z innymi zawodnikami.

-1 zabójczy uśmiech.

- Bardzo się cieszę. - Wyciągnęłam rękę. - Fajnie, że się spotkaliśmy, Luke. - Uśmiechnęłam się z trudem i już miałam odejść, gdy zapytał:

- Chcesz zobaczyć zdjęcie?

- Nie obraż się, ale wolałabym nie.

- Chwileczkę... O, jest... - Wyjął z kieszeni skórzany portfel, otworzył i podał mi. Ze zdjęcia uśmiechała się do mnie śliczna mała dziewczynka.

- To twoja córka? - Pokiwał głową, a ja poczułam taką ulgę, że zbiło mnie to z tropu. - Nie wiedziałam, że masz dziecko.

-Nie?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie miałam pojęcia, co się z tobą działo. - Nie dodałam, że wolałam nie wiedzieć. Zerwałam wszystkie stare znajomości, żeby o nim nie słyszeć. Znowu spojrzałam na zdjęcie. - Śliczna. Naprawdę.

- Cóż, ja też tak uważam, ale dzięki.

- Ile ma lat? Pięć?

- Właśnie skończyła sześć.

- Więc... ożeniłeś się i w ogóle?

-Tak.

- Aha. - Wszystko jasne.

- Czas na mnie. - Wyjął z kieszeni kluczyki. - Dzisiaj moja kolej odebrać małą ze szkoły. Więc nie chcesz zjeść ze mną kolacji... - Wzruszył ramionami. - Cóż, trudno.

- Chwileczkę, wcale tego nie powiedziałam.

- Ale nie powiedziałaś, że chcesz. - Sięgnął po szalik. - Czyżbyś zmieniła zdanie?

Jak mogłam je zmienić, skoro jeszcze się nie zdecydowałam? Jesteś strasznie... przebiegły.

- Nie, po prostu szczery. - Uśmiechnął się. - Zapytam jeszcze raz: zjesz ze mną kolację? Może w piątek? Śpieszę się, więc jeśli nie odpowiesz, potraktuję twoje milczenie jako zgodę. Przyjadę po ciebie o ósmej, dobrze?

- Ale...

- Ale co? - Spojrzał na mnie i klepnął się w czoło. - Jasne! Nie znam twojego adresu. Ależ ze mnie głupiec. Podaj mi go.

- Nie, Lukę, nie o to mi chodziło. Chodziło mi o... Co na to twoja żona? - Serce waliło mi tak głośno, że byłam pewna, że je słyszy. - Powiedziałeś, że masz żonę. Co ona na to?

Pokręcił głową.

- Nie powiem jej.

- Aha. Cóż, w takim razie nie zgadzam się.

Przewrócił oczami.

- Nie nadymaj się, Lauro. Nie powiem jej z tego prostego powodu, że nie muszę. Jesteśmy w separacji.

- Ojej! - Chciało mi się śpiewać z radości. Nie tylko śpiewać, ale także tańczyć i klaskać. - Tak mi przykro. Od kiedy?

- Od maja... Słuchaj, naprawdę muszę lecieć. Więc jak brzmi odpowiedź? - Włożył kurtkę.

- Cóż... - Dopiero teraz pozwoliłam sobie na uśmiech. - Odpowiedź brzmi... sto tysięcy. Ludzkie serce bije mniej więcej sto tysięcy razy na dobę, tak?

- Tak. - Pocałował mnie w policzek. - Czasami o wiele więcej.

Mówi się, że pierwsze rany najbardziej bołą - i to prawda. Spotkanie z Lukiem sprawiło, że postrzegałam cały świat z innej perspektywy. To, co dobrze znane, wydawało się obce, jakby zmienił się mój punkt widzenia. Kiedy tamtego wieczoru wróciłam do domu, miałam wrażenie, że przeszłość ożyła, zasłaniając teraźniejszość, i widzę znajome pomieszczenia po raz pierwszy.

Podeszłam do biurka i wyjęłam z szuflady rzeźbioną drewnianą szkatułkę, w której przechowuję pamiątki zbyt bliskie, by je wystawiać na widok publiczny. Mam tam czarno-białe zdjęcie rodziców, kosmyk włosów babci, moją obrączkę ślubną i pierścionek zaręczynowy, a na samym dnie - rysunek Luke[^]. Kiedy się rozstaliśmy, spaliłam wszystkie pozostałe, ale ten zostawiłam, sama nie wiem dlaczego. Narysował mnie w pewien niedzielny ranek w pierwszym miesiącu naszego związku, kiedy wszystko było bardzo... intensywne. Patrzyłam na młodszą wersję siebie i zastanawiałam się, jak inaczej mogło wyglądać moje życie.

Nalałam sobie wina, pociągnęłam kilka sporych łyków dla ukojenia nerwów, a potem ułożyłam się na sofie i pozwoliłam, by wspomnienia, które od dawna odpychałam od siebie, powróciły nostalgiczną falą...

Łup! Łup! Otworzyłam oczy.

Łup! Łup! Spojrzałam na sufit. Tylko nie to. Moja nowa sąsiadka z góry to medium i czasami jej seanse są dość głośne.

Łup! Łup! Łup! Przewróciłam oczami, wyobrażając sobie pękające żarówki i meble fruujące po całym pokoju. Nie rozmawiałam z nią jeszcze, widziałam tylko, jak się wprowadzała. To efektowna brunetka w średnim wieku, jak to się mówi. Wiem, czym się zajmuje, bo od miesiąca ludzie dzwonią do mnie domofonem i pytają, czy tu wróżka Cynthia. Łup! Łup! Korespondencja jest zaadresowana do Cynthii del Mar. Łup! Łup! Widziałam jej kota na schodach przeciwpożarowych.

Łup! Łup!

- Au! - Tego już naprawdę za wiele. Mogłaby się trochę opanować albo chociaż kończyć działalność o przyzwoitej porze. Zerknęłam na zegarek. Za minutę ósma - czas włączyć telewizor. Przy odrobinie szczęścia zagłuszy hałas z góry.

- Szanowni państwo gotowi do zabawy? - pytał prezenter w Channel 4. - Za chwilę zobaczycie nasz nowy teleturniej *Wiem wszystko*. - Na ekranie pojawiły się napisy, a potem ja: prosiłam czwórkę zawodników, dwóch mężczyzn i dwie kobiety, żeby się przedstawili. Nagraliśmy ten odcinek na początku stycznia.

- Nazywam się Peter Watts, jestem urzędnikiem państwowym.

- Sue Jones, pracuję w bankowości.

- Jestem Geoff Cornish, handluję drobiem.

- Kate Carr, bibliotekarka.

- Zaczynamy. Pierwsze pytanie...

Było mi smutno, że oglądam program sama, ale nie wiem, kto mógłby mi towarzyszyć. Rodzice mieszkają w Yorkshire, Hope i Mike wyszli, a do Felicity nie chciałam iść, przecież umówiłam się z nią na jutro. Tom też był ciągle zajęty. Wydaje mi się, że kogoś ma. Zbliżaliśmy się do trzeciego czy czwartego pytania, gdy z góry rozległo się:

- Auu! Auuu! Łup! Łup!

Może niektórych niepokoiłoby sąsiedztwo wróżki, ale ja nie mam z tym problemów, bo nie wierzę w zjawiska nadprzyrodzone. Jestem racjonalistką i wierzę tylko w to, co można udowodnić naukowo, więc duchów się nie boję. Nie znoszę natomiast hałasów. Geoff od drobiu właśnie źle odpowiedział na pytanie o Noela Howarda, gdy na schodach rozległ się tupot, a po chwili pukanie do drzwi.

- Halo! - usłyszałam, wypowiedziane miłym dla ucha, ale przesadnie modulowanym głosem. - Jest tu kto? Halo?

Wstałam zrezygnowana.

- Przecież jesteś medium - mruknęłam pod nosem. - Powinnaś to wiedzieć.

Otworzyłam drzwi. Na progu stała Cynthia.

- Bardzo przepraszam. - Splotła ręce na piersi. - Mam pewien problem.

- Tak? - spytałam grzecznie. Przesadziła z perfumami Knowing. Zapachy też zapamiętuję.

- Mam na imię Cynthia. - Wyciągnęła wymanikiowaną dłoń ozdobioną dużą ilością biżuterii. - Wprawdzie nie miałyśmy jeszcze okazji się poznać, ale liczę, że mi pomożesz.

- Jeśli tylko zdołam. Co się stało?

- Zepsuł mi się telewizor. Znowu. Zwykle reaguje na przemoc fizyczną, ale dzisiaj odmówił współpracy. - No tak, to wyjaśnia tajemnicze hałasy. Ale czego ona ode mnie oczekuje? Sama mam go walnąć czy może zadzwonić po serwis? - A bardzo, ale to bardzo chciałabym obejrzeć nowy teleturniej.

- Rozumiem.

- Ponoć jest naprawdę świetny.

- Hm.

Więc pomyślałam sobie, że mogłabym obejrzeć go u ciebie.

-Cóż...

- Jeszcze raz przepraszam - sapnęła. - Wiem, że to bezczelne z mojej strony...

Właściwie dlaczego nie, pomyślałam. Po spotkaniu z Lukiem byłam wyjątkowo wielkoduszna.

- Alez proszę, nie ma sprawy. Ja też go oglądam.

Podniosła dłoń do szyi i szarpnęła za długi sznur pereł.

- Cudownie! Widzisz, ja uwielbiam teleturnieje! - Minęła mnie i usadowiła się na kanapie. Oglądam wszystkie i jestem naprawdę dobra. O, czy to wino? Chętnie napiję się odrobiną.

Nie przeszkadzały mi ani jej obecność, ani tempo, z jakim wypijała mojego merlota, gdyby tylko powstrzymała się od ciągłych komentarzy. Siedziała wyprostowana na brzegu kanapy ze wzrokiem wbitym w ekran. Gdyby miała pudełko z prażoną kukurydzą, potrzasałaby nim gniewnie.

- Rany, co za okropna koszula! A ta powinna sobie zrobić zęby. Chodzi o krater Ngorongoro, idioto! Ngorongoro! Prezenterka jest jakaś dziwna, nie sądzisz? Nie, durniu, nie modlitewnik, mnisi tam jadają! - Chwilami denerwowała się tak bardzo, że miałam wrażenie, że uniesie się w powietrze. Co parę minut posyłała mi porozumiewawcze spojrzenie i zaraz wracała wzrokiem do ekranu.

- Nie, kretynie, nie „Titanic”, tylko „Lusitania”! Ile jest pól na planszy do monopolu? Czterdzieści! O, dwadzieścia dwa? Hm... - Co i rusz poganiała zawodników, jakby mogli ją usłyszeć: - Dawaj, dawaj, szybciej! - Aż nadzedeł czas na odwrócenie ról. - O Boże! - jęknęła. - Teraz on zada jej pytanie! Niezły pomysł! Anne Robinson z *Najslabszego ogniwa* byłaby wściekła!

Patrzyłyśmy, jak zwycięzca odcinka, Geoff od drobiu, pyta mnie z drwiącym uśmiechem, jakby był pewien, że nie odpowiem:

- Co to jest quadrimum?

- Cquadrimum? - powtórzyła Cynthia z przerażeniem. - Nie mam zielonego pojęcia! Biedaczka, nigdy na to nie odpowie! Co za wstyd, nie mogę na to patrzeć! - Ukryła twarz w dłoniach. Słyszałyśmy, jak powoli upływają sekundy. - Quadrimum? mamrotała Cynthia zza palców. Trudne, bardzo trudne...

- To bardzo dobre stare wino - usłyszałyśmy moją odpowiedź. - Co najmniej czteroletnie.

- To... dobra odpowiedź - wyjąkał Geoff, zdumiony i zarazem rozczarowany. - Jakby nie było, właśnie stracił dwa tysiące.

Cynthia miała oczy wielkie jak anteny satelitarne.

- Nie do wiary, że znała odpowiedź.

- To nie takie trudne - wyjaśniłam. - Quadrimum jest w każdym słowniku wyrazów obcych. Kiedyś uczyłam się pięciu nowych słów dziennie, pomo-

gły także studia na filologii klasycznej. To słowo występuje w pięknym wierszu Horacego.

- I tak jestem pod wrażeniem, bo przecież... Znowu na mnie patrzyła, ale teraz z inną miną. - Przecież... - Przyglądała mi się uważnie. Teraz w końcu zaskoczyła. - To ty... Nie zauważyłam... Nie wiedziałam... - Podniosła dłoń do ust. - Ale to ty, prawda? - Skinęłam głową. - Oczywiście, masz na imię Laura. - Zerknęła na ekran. - Ona też!

- No... tak.

Rozpromieniła się, jakby nagle dostrzegła wynikające z tego możliwości.

- Ależ to wspaniałe! Moja sąsiadka jest sławna! Moja sąsiadka występuje w telewizji! - zawołała. - Proszę, powiedz mi, jak to się zaczęło?

W kilku słowach opowiedziałam, jak zostałam prezenterką.

- Więc sława sama do ciebie przysła.

- Cóż, nie szukałam jej, to pewne. - Z ciężkim sercem pomyślałam o Nicu. - Sława to ostatnie, na czym mi zależy. A ty? - zmieniałam temat. - Jesteś medium, prawda? - Dołałam jej wina. - Zajmujesz się spirytyzmem?

- Och, nie! Za żadne skarby nie uczestniczyłabym w seansie spirytystycznym i nie komunikuję się ze zmarłymi. Za bardzo się boję. - Wzdrygnęła się. - Kiedyś byłam na kursie dla mediów, ale dałam sobie z tym spokój po nieprzyjemnej przygodzie z ektooplazmą.

- Więc czym się zajmujesz? - Dołałam i sobie.

- Jestem jasnowidzem. Mam dar przewidywania przyszłości i wykorzystuję go, udzielając ludziom rad. Pomagam w sprawach miłosnych, rodzinnych, zawodowych, znajdują nawet zaginione zwierzaki. Niektórzy uważają mnie za swojego duchowego przewodnika, za anioła stróża.

- Cóż... - Uważałam to za stek bzdur, ale szukałam nieco miłszego określenia. - To ciekawe.

- Bardzo, ale szczerze mówiąc - Cynthia zmarszczyła czoło - przydałoby mi się więcej klientów. Więc jeśli znasz kogoś, kto potrzebuje rady...

- Och tak, oczywiście. Może powinnaś zamieścić ogłoszenia w gazetach?

- Zrobiłam to, mam nawet stronę w Internecie. Problem w tym, że w Londynie jest tyle wrózek... Rynek się nasycił. O, cześć, Hans! - Jej kot dołączył do nas; wszedł przez otwarte drzwi, mrucząc jak malutkie ferrari. - Nie masz nic przeciwko kotom? - zapytała, gdy włożył jej na kolana.

- Nie, bardzo je lubią.

- Jest taka słodka.

- Rzeczywiście. Przepraszam, ale dlaczego nazywa się Hans, jeśli to kotka?

- Bo znalazłam ją przed poprzednim mieszkaniem, na Hans Place.
- Na Hans Place w Knightsbridge? - Skinęła głową. - To dobry adres.
- O tak. Było mi tam jak w raju.
- Więc co cię tu sprowadziło? - spytałam. - Ladbroke Grove jest nieco...
inne.

- Wiem, ale cóż... - Wzruszyła ramionami. - Zmieniła się moja sytuacja. Widzisz, poprzednie mieszkanie nie należało do mnie. Niestety. - Nerwowo złamała słony paluszek. - Więc kiedy... skończył się tamten... związek, uznałam, że muszę kupić sobie coś własnego, a było mnie stać tylko na to. Ale podoba mi się tutaj.

- Jakim cudem zajęłaś się... wróżbiarstwem?

- Cóż, to ciekawa historia. Chcesz posłuchać? - Nie chciałam, ale skinęłam głową. Cynthia usiadła wygodniej, podniosła kieliszek do ust i wyruszyła na spacer aleją wspomnień.

- Wszystko zaczęło się od mewy - zaczęła. - Mewa medium - uściśliła. - Uratowała mi życie.

- Naprawdę?

- O, tak. Widzisz, w zeszłym roku byłam w bardzo złej formie, moje życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Pojechałam na jakiś czas do siostry do Dorset i któregoś dnia poszłam na spacer nad morze. Stałam za blisko urwiska, poślizgnęłam się i spadłam jakieś piętnaście metrów. Leżałam na piasku uwięziona między dwoma głazami, ze złamaną nogą, niezdolna się ruszyć. - Przykleiła ręce do boków, żeby mi to zademonstrować.

- To straszne.

- Byłam przerażona, zwłaszcza że zbliżał się przypływ. Wołałam o pomoc, ale na plaży nikogo nie było. Leżałam tam i już myślałam, że wkrótce umrę, kiedy pojawiła się ta mewa. Latała nade mną i ani myślała się oddalić, więc zdesperowana krzyknęłam do niej: Na rany boskie, leć po pomoc! Ku mojemu zdumieniu zniknęła. Cynthia pochyliła się, jej szare oczy rozbłysły. - A teraz będzie najlepsze. Później dowiedziałam się, że poleciała do domu mojej siostry, zastukała dziobem w okno, tłukła skrzydłami i strasznie hałasowała. Siostra próbowała ją odpędzić, ale na próżno, więc pomyślała, że może mewa chce jej coś powiedzieć, i wyszła na dwór. Mewa odfrunęła, ale tylko kawałek; co chwila zatrzymywała się, sprawdzała, czy moja siostra za nią idzie, i leciała dalej. W końcu dotarły na wybrzeże. Mewa zawisła nad urwiskiem. Moja siostra wyjrzała za krawędź, zobaczyła mnie i wezwała straż pożarną. - Cynthia oparła się wygodniej i pokręciła głową. - Niesamowita historia, co?

- Owszem.

- Ale prawdziwa. Zobacz... - Zepchnęła kota z kolan, zadarła elegancką jedwabną spódnicę i pokazała mi wielką bliznę na udzie. - Później cały czas się zastanawiałam, jakim cudem to ptaszysko zrozumiało, że jestem w tarapatkach? I skąd wiedziało, jak wezwać pomoc? Doszłam do wniosku, że jest tylko jedno wytłumaczenie...

- Czyli?

Że w jakiś sposób się z nią porozumiałam i dzięki temu ocalałam. To zaś oznaczało, że posiadam rzadki dar, którego nie wolno mi zmarnować. I tak zostałam wróżką - zakończyła. - Jeśli chcesz, zajrzę w twoją przyszłość, za darmo, w rewanżu za sąsiedzką uprzejmość. - Złapała mnie za nadgarstek. - Wystarczą mi elektryczne wibracje twojego zegarka.

- Dziękuję, ale nie. - Wyrwałam rękę. - Nie wierzę w to.

- Nie wierzysz? - Była zdumiona.

- Nie. - Zdenerwowała mnie jej reakcja. - Nie wierzę też w Świętego Mikołaja, elfy i duchy, w potwora z Loch Ness i, szczerze mówiąc, mam pewne wątpliwości co do Boga. Niestety przemawia do mnie tylko to, co można udowodnić. Interesują mnie fakty, nie fantazje.

Cynthia kręciła głową.

- Ale przecież są rzeczy na niebie i ziemi, o których...

- Może i tak - weszłam jej w słowo - ale sądzę, że większość zjawisk da się wytłumaczyć logicznie.

Była rozczarowana.

- No cóż, to twoja sprawa. Na pewno nie chcesz, żebym odczytała...?

- Nie - uciąłam. - A czym się zajmowałaś, zanim zostałam wróżką? - spytałam, żeby zmienić temat.

- Cóż, byłam... aktorką.

- Naprawdę? W czym grałaś?

- Och, w wielu filmach.

- Jest szansa, że któryś widziałam?

- To było dawno, w latach pięćdziesiątych. Byłam wtedy bardzo młoda, ledwie skończyłam szkołę. - Czyli jest po sześćdziesiątce, ma co najmniej dziesięć lat więcej, niż na to wygląda. - Grałam głównie w filmach klasy B, ale świetnie się przy tym bawiłam. Pięć razy zatonął mój statek, sześciokrotnie mnie porwano, przy czym cztery razy zrobili to kosmici, a raz pożarły mnie żywcem ogromne mrówki. - Uśmiechnęła się tęsknie. - Ach, co to było za życie...

- A później? Co robiłaś?

- Kiedy skończyłam trzydziestkę, moja kariera zwolniła... wiesz, jak to jest z aktorkami... - Chyba nie miała ochoty o tym mówić, a ja nie naciskałam. - Na pewno nie chcesz, żebym zajrzała w twoją przyszłość? - wróciła do poprzedniego wątku. - Bardzo bym chciała, bo masz fascynującą aurę. Ja widzę takie rzeczy. I to wyraźnie. - Przyjrzała mi się badawczo. - Jest zielonożółta, z odrobiną fioletu. No, proszę, zgódź się.

- Nie, naprawdę dziękuję. Szczerze mówiąc, Cynthia, moim zdaniem to stek bzdur.

- W takim razie - oznajmiła - nic się nie stanie, jeśli odczytam twoją przyszłość?

Pokonana jej logiką, skapitulowałam.

Złapała mnie za lewy nadgarstek, zamknęła oczy, po chwili je otworzyła i wbiła wzrok w przestrzeń. Mrużyła je co chwila, jakby usiłowała dostrzec coś w oddali.

- Zmierzasz w nowym kierunku - powiedziała. Też mi nowina, pomyślałam cynicznie. - Byłaś bardzo nieszczęśliwa. - Kolejna rewelacja. A kto nie był? - Miłość jest tuż-tuż. - No, lepiej. Z rozkoszą pomyślałam o Luke'u. Znowu zamknęła oczy, głośno wciągnęła powietrze, aż koniuszek jej nosa zadrgał jak u królika. - Wzięłaś własne życie w swoje ręce - poinformowała mnie, otwierając oczy. Jak większość kobiet w moim wieku, pomyślałam. Nie, to kompletne bzdury.

Cynthia znowu zamknęła oczy. Teraz wyglądała, jakby spała. Patrzyłam na jej powieki, cienkie jak bibułki, pokryte srebrzystym cieniem. Słuchałam, jak tyka zegar na kominku - ślubny prezent od moich rodziców. Zastanawiałam się, jak długo Cynthia ma zamiar tak siedzieć i czy powinnam ją obudzić, kiedy nagle otworzyła oczy i spojrzała na mnie z przerażającą intensywnością.

- Tęsknisz za kimś - powiedziała głosem już nie ochryplym i modulowanym, tylko przenikliwym i jasnym. - Prawda? Ktoś zniknął z twojego życia. Ktoś bardzo ci bliski. Doszło do... tragedii i teraz go nie ma. - Nagle ogarnęło mnie ciepło, jakbym zanurzyła się w roztopionym wosku. - Zostałaś sama, Lauro. - Zamknęła oczy. - Sama. Cisza zdawała się pulsować. Cynthia uniosła powieki. - Czy to prawda, Lauro? Prawda? - Słyszałam każdy swój oddech.

- Tak.

- Wiedziałam! - ucieszyła się, bardziej poruszona trafnością swoich wizji niż przejęta moim cierpieniem. - Wiedziałam, odkąd cię zobaczyłam. Czulałam to... - rozejrzała się po pokoju i wzdrygnęła lekko. Są tu dziwne wi-bracje. Dobrze, kontynuujmy - mruknęła.

- Wolałabym nie - powiedziałam, ale nadal trzymała mnie za rękę. - Naprawdę, Cynthia. - Usiłowałam wyrwać dłoń. - Już wystarczy.

Znowu patrzyła w przestrzeń, ale tym razem mrugała szybko. Podniosła rękę do piersi.

- Widzę go.

Słucham?

- Widzę go. I to wyraźnie.

Nie było mi już gorąco, tylko zimno.

- Stoi na polu... na polu... kwiatów? - zastanawiała się. - Tak, pięknych kwiatów. Otaczają go. To wspaniały widok, ale on jest smutny.

- Mam już dość. - Energicznie wyrwałam rękę. Nadal czułam dotyk jej palców na nadgarstku. - Nie ma go na polu kwiatów. To bez sensu.

- Nieprawda. Widziałam go. Ale to nie wszystko. Jest jeszcze ktoś.

Zrobiło mi się słabo.

- Prawda? - spytała.

- Jak to?

- Z twojego życia odeszła nie jedna osoba, ale dwie. - Poczułam, że włosy na karku stają mi dęba. Cynthia zamknęła oczy i zaraz znowu je otworzyła. - Nie widzę tej drugiej osoby, ale wyczuwam jej obecność.

Wstałam.

- Nie znałaś jej długo, ale kochałaś. Nie chciałaś, żeby odeszła... Czy to ma dla ciebie jakiś sens? - zapytała miękko.

Przyglądałam się jej i czułam gęsią skórę na ramionach.

- Nie - odparłam. - Żadnego.

- Aż mi się zimno zrobiło - opowiadałam następnego dnia Felicity. Siedziałam w jej kuchni w domu przy Moorhouse Road, a Olivia radośnie garczyła na moich kolanach. Fliss płukała sałatę nad zlewem. - Twierdziła, że widzi Nicka na polu kwiatów. Co ty na to?

Felicity zapatrzyła się w zmrok, który zapadał nad ich małym ogródkiem.

- To dla niego za dobrze. Jak w raj. - Odgarnęła pasmo włosów za ucho. - Nie zasłużył na taki rajski koniec.

- Nie przesadzaj, Fliss.

Słyszałyśmy, jak Hugh kręci się na górze, bo głośnik monitorujący dziecko był stale włączony. Ilekroć Hugh się poruszył, na panelu pojawiały się kolorowe światełka.

- Ktoś musi się wreszcie zdobyć na odwagę i to powiedzieć - odparła Felicity. - Nick był draniem, robiąc to, co zrobił, i to bez uprzedzenia! Wiem,

że niektórzy są dla niego bardziej wyrozumiali, ale za dużo przez niego wycierpiał, żebym mogła mu wybaczyć.

- To nie ty masz mu wybaczyć, tylko ja - zauważyłam łagodnie. - Zresztą w tej sytuacji dyskusja, która z nas ma mu wybaczyć, jest czysto akademicka.

- No pewnie, a koleś jest na wiecznej dziekance - roześmiała się ponuro.

- Daj spokój, Fliss.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się. - Co jeszcze powiedziała ta wróżka z bożej łaski?

Nie powtórzyłam, co Cynthia mówiła na końcu. Felicity dzieli się ze mną najdrobniejszymi szczegółami swego życia, ale w moim są rzeczy, o których nigdy się nie dowie.

- Nie mogła jakoś nawiązać z nim łączności? - dopytywała się Fliss. - Zapytać, dlaczego to zrobił i wpakował nas w takie tarapaty?

Poruszyłam się niespokojnie.

- Nie jest medium, zresztą wcale nie chciałam, żeby to zrobiła. A jeśli chodzi o to, dlaczego Nick to zrobił... pewnie nigdy się nie dowiemy. I pamiętaj, Fliss, nikomu ani słowa na ten temat. Nie chcę, żeby cokolwiek prze dostało się do prasy.

Wrzuciła sałatę do miski.

- No... dobrze.

- Alegbalkokala zagruchała Olivia.

Felicity odwróciła się do córki z uśmiechem tak szerokim, że obawiałam się, że jej odpadnie górna część głowy.

- Tak uważasz, skarbenku? Uwielbiam, kiedy gaworzy - dodała. - Gada jak mały kosmita.

- Telakojagwuploatej.

- Tak się mówi na twojej planecie, pulpeciku?

Trzymałam Olivie na kolanach, a jej mięciutkie włoski łaskotały mnie w brodę. Głaskałam małe pulchne ramionka, klepałam ją po okrągłych kolankach. Kocham Olivie, ale jest to miłość zaprawiona goryczą.

- Jesteś cudowna - powiedziałam tęsknie. - Naprawdę. - Pocałowałam ją w główkę.

Spojrzała mi prosto w oczy z umiarkowanym zainteresowaniem, podniosła małą rączkę i dotknęła mojego policzka.

- Tizgalikagojagojagoja.

- A jakże, gojagoja. - Fliss pochyliła się pocałowała małą w policzek z głośnym cmoknięciem. Olivia roześmiała się, więc zrobiła to jeszcze raz i wróciła do zlewu.

-W nocy czasami stoję przy jej łóżeczku i patrzę, jak śpi. Czuję jej oddech na twarzy i aż nie mogę uwierzyć, że jest moja. Tak bardzo ją kocham - zwierzała się Fliss, krojąc pomidory - że mogłabym na nią patrzeć godzinami, mogłabym ją bez przerwy całować. Z każdym dniem kocham ją coraz bardziej. Nie sądziłam... - głos jej się załamał - że można kogoś aż tak kochać.

- Wiem - szepnęłam. - To znaczy, wyobrażam sobie.

- To coś zupełnie innego niż miłość do mężczyzny. Szczerze mówiąc, Lauro, związek z Olivią wystarczy mi w zupełności. Niemal zazdroszczę samotnym matkom - wyznała. - Jakie to musi być cudowne, tylko ty i dziecko, nikt nie zawraca ci głowy. - Cały czas słyszałyśmy, jak Hugh kręci się po pokoju, otwiera i zamyka szuflady. - Lada moment zejdzie na kolację. - Podała mi butelkę Olivii. - Nakarm ją, dobrze? Wieczorami dostaje mleko z proszku, bo już nie mam pokarmu.

Zaczęłam karmić OHwię, a Fliss wyjęła z lodówki steki, śmietanę i masło.

- Jesteś na diecie Atkinsa? - spytałam. Powinna być, to pewne. Średnio kobiety tyją w ciąży do czternastu kilogramów, ale Felicity, i wcześniej pulchna, przybrała na wadze prawie trzydzieści.

- Na diecie? Żartujesz. - Wyjęła frytki z zamrażalnika. - Za bardzo kocham jeść. Zresztą nadal karmię piersią, więc nie mam co myśleć o diecie. Tak to sobie tłumaczę.

- Mleko powstaje z rezerw tłuszczowych, więc nic się nie stanie, jeśli zrzuć parę kilo.

- Wiem, wiem. ~ Poprawiła spodnie na gumkę. - Zostało mi jeszcze ze dwadzieścia do zrzucenia. - Co najmniej! - Ale myślałam - zmarszczyła brwi - że jeśli dalej będę karmiła piersią, tłuszcz sam zniknie.

- To bujda. Początkowo rzeczywiście traci się na wadze podczas karmienia piersią, ale później osiągasz martwy punkt i nic z tego.

Przyjrzała mi się podejrzliwie.

- Skąd to wiesz?

Nawet nie mrugnęłam.

- Czytałam gdzieś.

- Tak czy owak, jestem zbyt szczęśliwa, żeby zawracać sobie głowę wyglądem, a Hugh jest do tego stopnia pochłonięty swoimi wynalazkami, że niczego nie zauważa. Kiedy naprawdę muszę dobrze wyglądać, wbijam się w elastyczne body.

- Nie zaniedbuj się. Tak piszą we wszystkich książkach.

- Och, prędzej czy później wrócę do starej wagi - zapewniła beztrzesko. - A Hugh nie jest taki powierzchowny. - Byłam tego samego zdania, ale mimo wszystko... - Nie męcz mnie, dobrze? I tak mi ciężko. Przecież mam dwie chude siostry.

Zauważyłam torbę z ekskluzywnego sklepu na krześle, więc zmieniłam temat:

- Co kupiłaś?

Wytarła ręce w ścierkę.

- Coś bardzo pięknego. - Wyjęła z torby obłok jasnożółtej bibuły, w której spoczywał mały biały sweterek. - Cudowny, prawda?

Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło.

- Tak. - Olivia wyciągnęła rączkę i usiłowała wepchnąć sobie rękaw do kieszeni. - Kaszmir - zauważyłam.

Felicity skrzywiła się.

- Wiem. Osiemdziesiąt funtów. Będzie go nosiła tylko trzy miesiące, ale był taki śliczny, że nie mogłam oprzeć się pokusie. Zresztą moja córeczka zasługuje na wszystko, co najlepsze.

I wszystko to już dostała. Olivia nosi ubranka od Baby Dior, sypia na lnia-nej pościeli, a podróżuje w wózku za pięćset funtów albo w nosidełku wyłożonym owczą skórą. Jej uśmiechnięta twarz widnieje na torbie z przyborami do pielęgnacji, **stopki** już uwieczniono w brązie, a w niedzielę przystąpi do chrztu w szytej na miarę kreacji za dwieście dwadzieścia funtów.

- Stać was na to? - zapytałam.

- Skąd. Ale te chwile nigdy się nie powtórzą, więc nie będę żałować pieniędzy. - Felicity w kółko powtarza, że te chwile nigdy się nie powtórzą, więc nie zamierza oszczędzać. Teraz wdała się w opis planów chrztu: ksiądz bardzo jej się podoba, kościół też, muzyka będzie uroczysta, zatrudniła świetną firmę cateringową, zaprosiła mnóstwo ludzi, wystąpi w nowym kostiumie.

- A kiedy wracasz do pracy? Chyba już niedługo?

Wstrzymała oddech.

- Nie wracam.

- Co?

- Już zdecydowałam. Otworzyła lodówkę. - Nie wracam, przynajmniej nie przez najbliższe trzy lata. Ale nie wspominaj o tym przy Hugh. Powiedziałam mu dopiero dzisiaj rano i nie najlepiej to przyjął.

- Nie dziwię się. - Mieli do spłacenia ogromny kredyt, między innymi przez wieloletnie leczenie bezpłodności. - Będzie mu ciężko, Fliss.

Wzruszyła ramionami.

- To jego wina - przecież miał dobrą pracę. Wiem, uznasz, że jestem bez serca, ale przez osiemnaście lat opiekowałam się dziećmi innych ludzi i teraz chciałabym zająć się własnym - tłumaczyła, wyjmując z lodówki sos do sałatki. - Chcę, żeby przez pewien czas Hugh nas utrzymywał, i tyle. Jeśli będzie musiał wrócić do pracy, to nawet lepiej, bo z tych jego wynalazków i tak nic nie będzie.

- Sama nie wiem... może kiedyś znajdzie coś naprawdę użytecznego, no wiesz... praktycznego.

- Niestety, nic na to nie wskazuje. Pamiętasz to coś, co wygląda jak klej w sztyfcie, tylko że zamiast kleju jest tam masło, żeby zaoszczędzić na zmywaniu? Albo małe parasolki, które przyczepiasz sobie do butów...

- A tak, żeby nie zmokły.

Przewróciła oczami.

- No właśnie. Albo parasolka z okienkiem, żeby sprawdzić, czy nadal pada, nie moknąc przy tym?

- No tak... i jadalne sztucce...

- Sama widzisz. Bez sensu. - Fliss westchnęła ciężko. - Co dalej? Nadmuchiwana tarcza do rzutek?

Zaskrzypiały schody. Oliwia wypila mleko do ostatniej kropli.

- Skończyła. - Wytarłam jej buzię serwetką.

- Szybko się uwinęła. Chodź, skarbie... - Fliss wzięła małą na ręce, pocałowała i ułożyła sobie na lewym ramieniu. - Przecież Hugh mógłby wynaleźć coś naprawdę użytecznego.

- Na przykład co? - zapytał z ledwo słyszalną nutką urazy. Jest bardzo wysoki, ma prawie dwa metry wzrostu, a w starych sztruksach i powyciąganych swetrach wygląda jak roztargniony naukowiec. - Cześć, Lauro. - Uśmiechnęła się i cmoknęła mnie w policzek. - Co użytecznego mam wynaleźć, Fliss?

- Coś naprawdę praktycznego - wyjaśniła. - Na przykład lakier do paznokci, który schnie w ciągu sekundy, pończochy, w których nigdy nie leczą oczka, mikrofalówkę, w której można wybrać opcję cofnij, tak żebym już nigdy niczego nie przypalała, albo automatyczną sekretarkę, w której możesz wykasować bzdury, które nagrałeś, albo... o rany, ułało jej się. - Na ramieniu Fliss pojawiła się miniaturowa biała laguna i spływała w dół jej pleców. - Gdzie ścierka? - rozglądała się nerwowo. - Nigdy nie mam jej pod ręką, kiedy jest potrzebna.

- I dlatego wyglądasz jak chodzący obraz Jacksona Pollocka - zauważył Hugh.

- Podaj mi papierowy ręcznik! - Posłusznie urwał kawałek i wytarł ogromną koszulkę żony.

- O rany, znowu muszę ją uprać - westchnęła. - Trudno, to się zdarza, dobrze, że tak mało. - Jasna główka Olivii opadała jej na pierś. - Jest bardzo śpiąca. Hugh, połóż ją, a ja dokończę kolację.

- Właśnie miałem sobie zrobić drinka. Miałem ciężki dzień.

- Później się napijesz. - Podała mu dziecko. - Teraz mała musi iść spać. Hugh wziął córeczkę i żartobliwie zasalutował żonie.

- Tak jest. Dobranoc, ciociu Lauro - zapiszczał i podsunął mi małą, żebym ją pocałowała. - Twój program był super.

Dzięki.

- Wszyscy nasi znajomi go widzieli, więc chyba macie niezłą oglądalność.

- Tak, jak na pierwszy raz wyniki były rewelacyjne - prawie trzy miliony widzów.

- Widziałś recenzję w „Standard”?

- Tak, chyba im się spodobało.

- I to bardzo - zapewniła Fliss. - Nam też.

- Quadrimum - mruknął Hugh. - To mi się podoba. No dobra, panienko, idziemy.

- Robię, co mogę, żeby nauczyć ją spać bez przerwy - opowiadała Felicję, a ja nakrywałam do stołu. - Budzi się co najmniej dwa razy w ciągu nocy. To bardzo męczące.

- Hugh to nie przeszkadza?

- Nie, nadal śpi w pokoju gościnnym.

- Naprawdę? - Podniosłam miniaturową białą skarpetkę ze szlaczkiem z różyczek. - Nie ma nic przeciwko temu?

- Chyba nie. W każdym razie nie narzeka. A to już coś, zważywszy że już od wieków nie... no wiesz - zniżyła głos.

- Tak? - zdziwiłam się uprzejmie. Jak mówiłam, Fliss nie ma przede mną żadnych sekretów. Musi dzielić się wszystkim, najdrobniejszymi szczegółami. Pod tym względem jest całkowitym przeciwieństwem chłodnej, opanowanej Hope.

- Tak - potwierdziła. - Ostatni raz był, jeszcze zanim mała się urodziła. - Wyjęła z kredensu trzy talerze. - Nie miałam ochoty.

- Fliss, to dosyć... ryzykowne. Nie powinnaś go zaniedbywać...

Słyszałyśmy, jak Hugh czule przemawia do Olivii. Mała chichotała radośnie.

- Wiesz, to przystojny mężczyzna...

Roześmiała się.

Och, jest zbyt prostolinijny, żeby mnie zdradzić. Zresztą która by go chciała? - dodała pogardliwie. - Nawet nie zarabia, tylko całymi dniami siedzi w szopie.

No wiesz, w poradnikach dla młodych matek zawsze piszą, żeby nie zaniedbywać męża.

Zerknęła na mnie spod oka.

A skąd ty wiesz, co piszą w poradnikach dla młodych matek?

- Zajrzałam do twoich. - Wskazałam głową biblioteczkę. - Wiesz, że uwielbiam wszelkie poradniki. I piszą tam, że młode matki nie powinny zaniedbywać tej sfery życia.

- Sama nie wiem - westchnęła. - Seks nie jest mi potrzebny do szczęścia. Wcale mi go nie brakuje.

- A mnie tak - wyznałam, nakrywając do stołu. - Od trzech lat nawet się nie całowałam.

Felicity wyjęła kieliszki z kredensu.

- To istne szaleństwo! Ciągłe powtarzam, że powinnaś sobie kogoś znaleźć.

- Niby jak? Byłam w depresji, miałam zerową pewność siebie. Kto by mnie chciał? Do tego z moim bagażem? - zakończyłam ponuro.

- No cóż, przyznaję, twoja sytuacja nie była zbyt... korzystna. Słuchaj, a co z twoim szefem? - Wlała sos do miski z sałatą. - Ilekroć do ciebie dzwonię i on odbiera, łapię się na tym, że myślę, jaki jest fajny. A może tylko ma taki głos.

- Nie, Tom naprawdę jest fajny. I rzeczywiście ma cudowny głos. Przywykłam do tego i już nie zwracam na to uwagi.

- Skąd pochodzi?

- Z Montrealu, ale jest tu już od dziesięciu lat.

- Więc co z nim? - Pokręciłam głową. - Nie podoba ci się?

- Nie tak, jak myślisz.

Energicznie mieszała sałatę.

- Nie pociąga cię?

- Nie, to nie to. Jest przystojny, i to bardzo.

Dolała więcej sosu.

- Jak wygląda?

- Ma chłopięcy urok, ciemne włosy, niebieskie oczy, jest średniego wzrostu, przeciętnej budowy. Taki Toby McGuire.

- A ty mu się podobasz?

- Boże, nie mam pojęcia. Chyba nigdy nie myślał o mnie w tych kategoriach. Chyba mnie lubi, ale to wszystko.

- Porządnie się zachował w związku z Nickiem, prawda?

- Tak, był dla mnie prawdziwym oparciem. Pracujemy razem już sześć lat, na początku byliśmy tylko we dwoje, więc świetnie się rozumiemy na gruncie zawodowym.

- A czemu nie na prywatnym?

- Bo po pierwsze, to mój szef, więc byłaby to niezręczna sytuacja, a po drugie, i masz tego nikomu nie mówić...

- Obiecuję - zapewniła.

- Kilka lat temu zrobił coś okropnego. Nigdy ci o tym nie wspominałam, chciałam być lojalna wobec niego, ale szczerze mówiąc, właśnie dlatego mnie... odrzuca, choć pod innymi względami jest bardzo atrakcyjny.

Felicity miała oczy jak spodki.

- Co takiego zrobił?

- Zostawił żonę...

- I co z tego? - ponownie zajęła się sałatką. - To się ciągle zdarza. Nie możesz mieć mu tego za złe. Czasami naprawdę przesadzasz.

- ...miesiąc po tym, jak urodziło się ich dziecko. - Sztućce do sałaty zastygły w powietrzu.

- No tak. Rozumiem. To okropne. - Skrzywiła się. - Biedaczka.

- Delikatnie mówiąc.

- Przechodził załamanie w związku z ojcostwem?

- Nie, po prostu zostawił ją dla innej.

- Boże...

- Pisali o tym we wszystkich brukowcach.

- Tak? Dlaczego?

- Bo rzucił żonę dla Tary McLeod.

- Tej aktorki?

- Tak. Grała główną rolę w fabularyzowanym dokumencie o Helenie Trojańskiej, który kręciliśmy, i tak się poznali. Ich związek nie trwał długo, ale małżeństwo Toma się rozpadło. Tara była wtedy wschodzącą gwiazdą, więc prasa się nią interesowała i w wielu artykułach wspomniano, jak załamana jest Amy, żona Toma.

- W gazetach piszą różne bzdury, więc skąd pewność, że to prawda?

- Po pierwsze, wiele razy widziałam go z Tarą, a po drugie, powiedziała mi to jego rodzona siostra. Kiedy była w Londynie - zasiada w zarządzie firmy

- poszliśmy we trójkę na obiad. Tom na chwilę odszedł i wtedy powiedziała mi o tym, jakby chciała go wytłumaczyć.

Pewnie było jej głupio.

- Chyba tak. Powiedziała, że pewnie wiem, że odszedł od Amy, a gdy potwierdziłam, wzruszyła ramionami i powiedziała, że to był *coup de foudre*. Czyli stracił głowę i rozum.

Felicity wyjęła butelkę wina.

- Zostawić żonę z malutkim dzieckiem... to szczyt wszystkiego.

- Wiele razy zastanawiałam się, jak to możliwe, że ktoś tak miły jak Tom zrobił coś tak okropnego. No, ale Nick nauczył mnie, że nawet najmiłsi ludzie robią paskudne niespodzianki.

- Utrzymuje kontakt z dzieckiem? - zainteresowała się Felicity.

- Nie sądzę. Żona rozwiodła się z nim i wróciła do Kanady. Nie wiem, czy widuje się z dzieckiem, kiedy tam jeździ. Nigdy o nim nie mówi, nie ma zdjęcia w gabinecie, więc chyba nie.

Cóż, nie dziwię ci się, że nie chcesz się z nim wiązać. Lepiej niech to będzie tylko kolega z pracy.

Felicity grzebała w szufladzie w poszukiwaniu korkociągu, a ja dumalam, jakie to dziwne, że pracuję z ludźmi od kilku lat, a tak mało o nich wiem. Dziewczyna Dylana jest producentką serialu *Richard i Judy*, Gili niedawno się zaręczyła, chłopak Sary jest nauczycielem, Nerys mieszka w Paddington w towarzystwie dwóch kanarków, a Tom odszedł od żony miesiąc po narodzinach ich dziecka.

- A może jest ktoś jeszcze? - spytała Fliss, podając mi butelkę. Zaczęłam się mocować z folią na szyjce. - Bo zapraszam na chrzciny uroczego wolnego mężczyzny.

Spojrzałam na nią oburzona.

- Fliss, błagam, nie.

- Kiedyś uczyłam jego córkę.

- Nie chcę.

- Niedawno spotkałam go przypadkiem na Portobello i mówił, że się rozwiodł.

- A już zwłaszcza nie na uroczystości rodzinnej.

- Ma na imię Norman i jest maklerem.

- To nie wypada. Jezu, ta cholerna folia nie chce zejść.

- Przykro mi, już go zaprosiłam.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, zaprosiłam mnóstwo ludzi, więc jedna osoba więcej i tak nie ma znaczenia, a po drugie, i to jest główny powód, chcę, żebyś kogoś poznała. - Spojrzała na mnie. - Lauro, w czerwcu skończysz trzydzieści pięć lat. Chcę, żebyś miała rodzinę. Chcę, żebyś wiedziała, jaka to rozkosz spodziewać się dziecka. - Poruszyłam się niespokojnie. - Chcę, żebyś wiedziała, jakie to uczucie, kiedy rośnie w tobie nowe życie - dodała z niemal religijnym zapałem, podczas gdy męczyłam się z nieszczęsną folią. - Chcę, żebyś zaznała rozkoszy, jaką jest trzymanie w ramionach dziecka...

- Zamknij się, Fliss! Au! - Na moim środkowym palcu pojawiła się krew. - Skaleczyłam się! Przestań truć i daj mi plaster.

- Nie chciałam być obcesowa - powiedziała Felicity cicho - ale chyba trafiłam w dziesiątkę.

- Bzdura. Wiesz, że nienawidzą widoku krwi.

Owinęła mi palec serwetą, która błyskawicznie zabarwiła się na czerwono. Zrobiło mi się niedobrze.

- Przepraszam, że cią zdenerwowałam. - Felicity objęła mnie i poczułam, jak mój gniew topnieje. - Po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa. Wiesz, ile trwało, zanim zaszłam w ciążę. Skąd pewność, że tobie będzie łatwiej? - Mój żołądek fiknął salto. - Nie chcę, żeby ominęło cię to cudowne doświadczenie, a to oznacza, że musisz jak najszybciej kogoś poznać. Rozumiesz? Chcę ci pomóc.

Spojrzałam na nią.

- Może wcale nie potrzebuję twojej pomocy. - Ostrożnie zerknęłam na palec. Już prawie nie krwawił.

- Jak to? - Felicity rozerwała opakowanie plastra. - Co to ma znaczyć?

- Może już kogoś poznałam. Widzisz, wczoraj stało się coś wyjątkowego...

Felicity zajęła się moim palcem, a ja opowiedziałam o spotkaniu z Luke'em.

- Luke! - zawołała rozpromieniona. - Bardzo go lubiłam. Był taki fajny! - Otworzyła butelkę i nalała wina do kieliszków. - Zawsze nas zarzucał przedziwnymi informacjami... Czekał, co on takiego opowiadał? O, już mam... że samica hipopotama daje różowe mleko, tego nigdy nie zapomniałam, i że Virginia Woolf pisała wszystkie książki na stojąco. Tak... - Pokiwała głową z zachwytem. - Luke był wspaniały. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że znowu go spotkałaś. To, co się wtedy stało, było... żałosne.

- Racja. To doprawdy żałosne, że zastałam go w łóżku, czy raczej w wannie, z inną.

- No tak, ale wtedy był bardzo młody. Ty też. - Napila się wina. - Spędził z nią tylko jedną noc, prawda?

- Tak twierdził. Ale miałam wrażenie, że weszłam na minę i wszystko legło w gruzach.

- Może teraz będzie inaczej. Z wiekiem zmieniamy punkt widzenia.

~ Może i tak. Po Nicku jest niewiele rzeczy, z którymi nie zdołam się uporać. Ale to było wtedy, nie teraz.

- A teraz... - Przyjrzała mi się uważnie. - To wasza druga szansa, Lauro. Druga szansa na starą miłość, nie zwlekając, korzystaj z okazji. Już i tak za długo czekałaś. Trwałaś w stanie emocjonalnej hibernacji. Musisz z tym skończyć i... chwytać dzień! - Zabawne, Tom mówił to samo. - *Carpe diem!* - zakończyła Fliss triumfalnie. - Powiedz, iskrzyło między wami?

- No, tak. Często się zastanawiałam, jak by to było, gdybym znowu spotkała Luke'a, i teraz już wiem. Tak samo. Tylko że my się zmieniliśmy. On jest w separacji i ma sześcioletnią córeczkę, a ja... - Przełknęłam ślinę. Nigdy nie wiem, jak to powiedzieć.

- Spotkasz się z nim? - dopytywała się Fliss. - Powiedz, Lauro. No, mów wreszcie!

Moje serce na chwilę przestało bić.

- Jutro idę z nim na kolację.

Rozdział 3

W niektórych teleturniejach grający zna kategorię, zanim usłyszy pytanie, na przykład w *Najślabszym ogniwie* (Geografia: Gdzie leży Brunei?). U nas pytanie pada od razu (Gdzie leży Brunei?) i zawodnik musi błyskawicznie przeskakiwać z dziedziny na dziedzinę:

Czego boginią była Hekate? Świata podziemi.

Jaka linia geograficzna wyznacza granicę między Koreą Północną i Południową? Trzydziesty ósmy równoleżnik.

Gdzie znajduje się Morze Spokoju? Na Księżycu.

Kto jako pierwszy wykonał projekt spadochronu? Leonardo da Vinci.

Zdecydowaliśmy się na taką formułę, bo to dodaje programowi tempa i postręgu napięcie. Kiedy w piątkowy wieczór szłam Ladbroke Grove na spotkanie z Lukiem, miałam w głowie ciąg pytań:

Czy zdradziłeś mnie tylko raz podczas naszych dwóch wspólnych lat?
Ile dziewczyn miałeś później?

Czy twoja żona jest ładna?

Mądra?

Zdolna?

Dlaczego się rozstaliście?

- Nie miej takiej poważnej miny, Lauro! - Luke stał na rogu Kensington Park Road, przed restauracją. Pocałował mnie w policzek i odrobinę zbyt długo przytulał. Znowu poczułam, jak budzi się stare pożądanie. Gdy wchodziliśmy do restauracji, czułam jego dłoń na talii. Kręciło mi się w głowie.

- W pierwszej chwili pomyślałam, że chcesz mnie zaprosić do ENO na operę - powiedziałam, kiedy kelner prowadził nas do stolika w rogu sali.

- Następnym razem. - Więc przewiduje następny raz! Od razu poprawił mi się humor. - Dobrze?

Stłumiłam uśmiech.

- Zobaczymy. - Rozejrzałam się po przestronnym wnętrzu, zwróciłam uwagę na jasne podłogi i ciemne ściany. - Fajne miejsce.

- Nie przychodziłaś tu z mężem? - zapytał charakterystycznym tonem, pełnym szacunku, jakiego używają wszyscy, mówiąc o Nicku.

- Nie, rzadko jadaliliśmy poza domem, nie mieliśmy pieniędzy.

- Pracował w organizacji dobroczynnej, prawda?

- Był dyrektorem SudanEase.

- To ciężki kawałek chleba. Musiał być porządnym człowiekiem.

- Był. - Nie lubię mówić o Nicku w czasie przeszłym; zawsze ogarnia mnie smutek. - Pod wieloma względami był bardzo dobrym człowiekiem.

- Chciałem do ciebie napisać. - Luke odłożył serwetkę. - Nawet zacząłem. Ale było mi... niezręcznie. Nie wiedziałem, co napisać.

- Nie przejmuj się. - Uśmiechnęłam się z trudem. - Mnóstwo ludzi miało ten sam problem.

Sądząc po minie Luke'a, chętnie dowiedziałaby się czegoś więcej o Nicku, ale nie chciał być wścibski, więc zapytał mnie o rodzinę. Piliśmy szampana, a ja opowiadałam, że moi rodzice przenieśli się na wieś i otworzyli pensjonat, Hope robi karierę i nie chce mieć dzieci, a Mike, jej mąż, akceptuje tę decyzję. I o Fliss.

- Widziałem ją - przyznał. - Z wózkiem, na Westbourne Grave.

- Mieszka niedaleko.

- Ja też, na Lonsdale Road. Dziwne, że wcześniej jej nie spotkałem. Chciałem ją zagadnąć - byłem ciekaw, co się z tobą dzieje.

- Więc czemu tego nie zrobiłeś?

Wzruszył ramionami.

- Było mi głupio. Uznałem, że nikt z twojej rodziny nie zechce ze mną rozmawiać.

- To było dawno temu.

- Wiem, ale na pewno byli na mnie źli.

- Skądże - skłamałam.

- Naprawdę?

- No dobrze, byli wściekli. Ale głównie dlatego, że tydzień później miałam być druhną Felicity...

- Pamiętam.

- I byłam w fatalnym stanie.

- O Jezu.

- Płakałam przez całe nabożeństwo. Mama mówiła wszystkim, że to ze wzruszenia.

- Rozumiem.

- A kiedy Fliss rzuciła mi bukiet, odskoczyłam.

- O rany.

- Byłam załamana.

- Spójrz. - Poklepał się po marynarce. - To włosiennica.

Przewróciłam oczami i roześmiałam się.

- Akurat!

- Mam też ze sobą niewielki pejczyk do samobiczowania, chyba że zrobisz mi ten zaszczyt i sama się tym zajmiesz. A tak poważnie... - Ściszył głos. - Czy możemy załatwić to raz na zawsze i nie wracać do tego nigdy więcej? Przepraszam za to, co wtedy zrobiłem. To było dawno, a ja byłem młody i głupi, ale jeśli nadal masz do mnie pretensje, a chyba masz, przepraszam z całego serca. Zachowałem się jak ostatni drań. Nie zasłużyłaś na takie traktowanie. Bardzo przepraszam. Czy to wystarczy?

Uśmiechnęłam się.

- Tak, wystarczy. Przeprosiny przyjęte. Rozpakowałam pałeczki.

- Nie zapominaj, że drogo za to zapłaciłem. Ty się po prostu spakowałaś i wyprowadziłaś. Nie odbierałaś telefonów. Odsyłałaś listy. Z uporem godnym lepszej sprawy wykluczyłaś mnie ze swojego życia.

- Nie mogłam tego znieść. Nie mogłam zapomnieć tego widoku... ciebie... z nią.

Przed oczyma znowu stanęła mi scena sprzed lat: Lukę nagi w wannie i Jennifer, też naga, przy umywalce. Nigdy nie zapomnę przerażenia na jej twarzy, gdy spojrzała w lustro i mnie zobaczyła...

W sobotę pojechałam do domu, żeby przymierzyć suknię drużny. Miałam wrócić w niedzielę po południu, ale przyjechałam wcześniej, bo chciałam zrobić Luke'owi niespodziankę. Tyle że sprawiłam ją sobie. Jennifer była bardzo ładna - miała długie, proste włosy, takie, o jakich zawsze marzyłam - i bardzo głupia, mało brakowało, a przegralibyśmy przez nią uniwersytecki konkurs.

- Bardzo mi przykro - powtórzył. - Zdradziłem cię wtedy po raz pierwszy i ostatni. To był błąd i bardzo tego żałuję.

- A właściwie dlaczego to zrobiłeś?

Zmrużył oczy, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Bo byłem młody i głupi. Właśnie zdaliśmy egzaminy końcowe i wpadłem w panikę, że muszę się odnaleźć w dorosłym świecie. Ciągłe się kłóciliśmy, ty akurat wyjechałaś, a Jennifer była... chętna. No i byłem ci wierny przez dwa lata, więc może zapragnąłem wolności? Ale to nie znaczy, że cię nie kochałem. Bo kochałem.

- W porządku. - Od tego czasu aż zbyt boleśnie przekonałam się, że także ci, którzy nas kochają, potrafią nas ranić. - Ale dlaczego Jennifer Clarke?

Skrzywił się.

- Masz rację. To był zły wybór. Nie chcę być niedelikatny... - pochylił się nad stołem - ale ona nie wiedziała nawet, że stolicą Kuby jest Hawana.

-I że to Fellini nakręcił *Słodkie życie*.

-I że Ermitaż jest w Petersburgu. Myślała, że w Paryżu!

- Żałosne. Nie wiem, jak się dostała do drużyny. Chyba tylko dlatego, że na nią leciałeś.

Zagryzł wargi.

- Możliwe, bo wiedzę miała zadną. Przez nią byliśmy o krok od przegranej. Pamiętasz?

- Jasne. Rany, ona nawet nie wiedziała, że największym organem wewnętrznym jest wątroba.

- Ani że najlepiej sprzedającą się powieścią wszech czasów jest *Dolina lalek*.

- Tak? Zapomniałam.

- Trzydzieści milionów egzemplarzy.

- Super, wykorzystam to w *Wiem wszystko*.

Wziął mnie za rękę.

- Wybaczysz mi, Lauro?

- Oczywiście. - Uśmiechnęłam się. - Teraz tak, ale wtedy nie mogłam. Za bardzo mnie zraniłeś, to był wręcz fizyczny ból. Tutaj. - Dotknęłam piersi. -

Miałam wrażenie, że wyrwano mi serce. Lukę, byłam z tobą szczęśliwa. Szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Może już nigdy się nie zobaczymy, więc chcę, żebyś to wiedział. - Poczułam wyrzuty sumienia na myśl o Nicku, ale zaraz je odepchnęłam. Zrobił mi coś o wiele gorszego.

- Byliśmy szczęśliwi - zadumał się. - Przeżyliśmy razem coś naprawdę pięknego.

- Tak. - Uśmiechnęłam się do moich wspomnień. Cudownych wspomnień. To Lukę nauczył mnie cieszyć się życiem. Przy nim rozkwitłam, nabrałam pewności siebie, wypiękniałam. Kochałam go jak nikogo innego. Był miłością mojego życia. Gdybym wtedy to wiedziała, może wybaczyłabym mu i moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

Teraz atmosfera między nami była wręcz krystalicznie czysta.

- Co się z tobą działo? - zapytałam. - Poszedłeś do Christie's, tak?

- Tak, na osiem lat. Zaczynałem jako odźwierny, a skończyłem jako dyrektor działu sztuki współczesnej. Miałem kilka nieudanych romansów, a potem poznałem Magdę.

- Miłość od pierwszego wejrzenia?

Zastanawiał się chwilę.

- Nie. Ale bardzo mnie pociągała. - Poczułam ukłucie zazdrości. -1 fascynowała. Jest Węgierką, choć mieszka w Anglii od wielu lat. Wydawała mi się taka niezależna, wolna. Nosila stare ciuchy, miała wielkie niebieskie oczy i długie jasne włosy, które upinała w kok.

- Jak się poznaliście?

- Na zajęciach.

- Też zajmuje się sztuką?

Skinął głową.

- Spotykaliśmy się przez kilka miesięcy. Nagle poczułem, że mnie osacza. Jest o pięć lat starsza i chyba chciała się ustatkować, a ja zacząłem mieć wątpliwości.

- Dlaczego?

- Cóż, bywała urocza, ale zdarzały się jej gorsze dni. Przymierzałem się do zerwania, kiedy powiedziała mi, że jest w ciąży. - Wzruszył ramionami. - Zmartwiłem się, bo choć byliśmy ze sobą od kilku miesięcy, nawet nie rozmawialiśmy o mieszkaniu razem, a co dopiero o dzieciach. Ale zdecydowałem, że musimy się pobrać.

- Opowiedz mi o Jessicę.

Uśmiechnął się i pokręcił głową, jakby z niedowierzaniem.

- Jessica? Cóż... uwielbiam ją. To dzięki niej co rano chce mi się wstać z łóżka i iść do pracy. Jest dla mnie najważniejsza na świecie, jest... po prostu... wszystkim... - głos mu się załamał, a w oczach załśniły łzy.

- Lukę - szepnęłam miękko.

Zawstydzony odwrócił wzrok.

- Przepraszam - wychrypiał. - Denerwuję się, bo Jess już ze mną nie mieszka i bardzo za nią tęsknię. Brakuje mi jej, jej śpiewu, paplaniny, zabaw. Serce mi się kraje, kiedy widzę jej pusty pokój. Czasami siadam na jej łóżeczku i płaczę.

- Ale widzisz ją?

- Co sobotę. I często odbieram ją ze szkoły.

- Więc nie jest tak źle.

Wzruszył ramionami.

- Mogło być gorzej, ale chciałbym mieszkać z własnym dzieckiem. Choć nie byłem szczęśliwy z Magdą, nie odszedłbym od niej ze względu na Jessicę.

- Więc dlaczego odszedłeś?

Westchnął ciężko.

- Początkowo była tylko ekscentryczna, ale z czasem zachowywała się coraz dziwniej...

- Czyli?

- Ciągle urządzała awantury. Chowała moje rzeczy, niszczyła je. Któregoś dnia, gdy wzięłam samochód, choć ona też chciała gdzieś jechać, wyrzuciła przez okno kryształowe świeczniki po mojej babci. - Wzdrygnął się. - Do dziś pamiętam huk, z jakim się rozbiły. Wyrzuciła pierścionek zaręczynowy do sedesu. Była niegrzeczna dla moich przyjaciół. Wychodziła z przyjęć, jeśli nie spodobał się jej czyjś komentarz.

- To okropne.

- Tak. Zrobiła to nawet w domu mojego szefa. Obawiałem się, że to się odbije na mojej karierze. Urządzała okropne sceny. Zaprosiłam ją do Connaught na urodziny i poprosiłam, żeby wybrał coś z karty, kiedy będzie w łazience. Zamówiłam łososia, wiedziałem, że go lubi, ale kiedy podano nam jedzenie, zaczęła płakać. Spytałem, co się stało, a ona wrzasnęła na cały głos: „Ja chciałam pstrąga!”

- Jak myślisz, czemu to robiła?

- Uwielbia być w centrum uwagi. Nudziło ją zwykłe życie małżeńskie, więc urządzała awantury, żebyśmy mogli się godzić. Ale mnie to męczyło.

- Nie chciałeś więcej dzieci?

- Ja tak, ale ona nie, może dlatego, że sama jest jedynaczką. W każdym razie szybko zaczęło być źle. Miałem wrażenie, że dąży do separacji, czego nie chciałem ze względu na Jess, więc robiłem, co w mojej mocy, żeby zachować spokój. Aż w końcu, i to nas rozdzieliło, Magda zaczęła hodować kozy.

- Kozy?

- Miniaturki. Podobno jej babka w Karpatach też hodowała kozy i wiązały się z nimi cudowne wspomnienia. Któregoś dnia wracam do domu, a w ogrodzie buszuje mała kózka i radośnie zajada moje dalie. „Poznaj Heidi” - oznajmiła dumnie moja żona. Pomyślałem sobie, że zniosę i kozę, jeśli dzięki temu Magda będzie w lepszym nastroju. Ale ona, nic mi nie mówiąc, zaprowadziła Heidi do kozła i wkrótce mieliśmy jeszcze bliźnięta, Yogiego i Phoebe. A kiedy zauważyłem, że to nierozsądne, prychnęła i oświadczyła, że skoro chciałem więcej maluchów, to mam. I tak mieszkaliśmy w modnym Notting HiU z inwentarzem w ogrodzie. Wszyscy się z nas śmiali.

- Więc dlatego roześmiałeś się, kiedy zapytałam o Amalteę.

Skinął głową.

- Wiem o kozach wszystko. Właściwie są całkiem przyjemne. Bardzo je polubiłem.

- Śmierdzą?

- Nie, samice i wykastrowane samce nie. Ale ciągle uciekają, więc trzeba na nie uważać, albo wchodzą do domu i znajdujesz je na szafie. Odżywiają się specjalnym sianem alfalfa i solą z minerałami, które oczywiście ja musiałem im dostarczać. W weekendy Magda często wyjeżdżała z nimi na pokazy rolnicze, specjalnie po to kupiła przyczepę. Wracałem z pracy, a w kuchni czekała karteczka z informacją, że Magda wyjechała na cały weekend, a ja mam się zająć Jess. Strasznie się o to kłóciliśmy. I ani się obejrzałem, a Magda pakowała walizki.

- Chciałem ją powstrzymać, ze względu na Jess. Zastanawiałem się też, czy nie wystąpić o ograniczenie praw rodzicielskich, ale w końcu uznałem, że walka w sądzie byłaby bardzo długa i kosztowna.

- Zaczęliście już postępowanie rozwodowe?

- Jeszcze nie, nie ma powodu do pośpiechu. No i nie chcemy stresować Jessiki. Najgorsze, że ona uważa, że to jej wina. Wbiła sobie do głowy, że gdyby była grzeczniejsza, nadal byłibyśmy razem.

- Biedactwo.

- Tak. Powtarzam jej, że to nieprawda, że jest cudowną córeczką i że czasami po prostu tak bywa. - Pokręcił głową. - Ale ona nie potrafi tego

zrozumieć. Czasami, kiedy jest u mnie, słyszę, jak modli się przed snem. Zawsze na zakończenie prosi, żeby rodzice znowu byli razem. - Spuścił wzrok.

- Serce mi się kraje.

- Gdzie Magda teraz mieszka?

- W Chiswick, tam, gdzie mieszkała, zanim się poznaliśmy. Ma tam większy ogród, więckozy są szczęśliwe, zresztą to niedaleko. Spłacam jej hipotekę, płacę wszystkie rachunki i za szkołę Jessiki...

- Magda nie pracuje?

- Nie. Była tłumaczką i całkiem dobrze zarabiała, ale już nie pracuje.

- Nie jest ci łatwo.

- Nie. Na szczęście galeria przynosi niezły dochód. Udało mi się zatrzymać dom przy Lonsdale Road, ale nie grzeszę nadmiarem pieniędzy. Naprawdę trudno było mi związać koniec z końcem.

Zanurzyłam krewetkę w sosie sojowym.

- Stąd pomysł udziału w teleturnieju?

- Częściowo. Jak ci mówiłem, dostałem się na studia zaoczne. Ale zdecydowałem się także dlatego, że chciałem cię zobaczyć, Lauro. Nigdy o tobie nie zapomniałem. - Głaskał moją dłoń. - Często o tobie myślałem, zwłaszcza kiedy się dowiedziałem, co się stało. Mam nadzieję, że ty o mnie też.

- Nie pozwalałam sobie na to - wyznałam cicho. - Odpychałam wspomnienia. Ale wracałeś w moich snach.

Uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że się zgodzisz na tę kolację.

- Naprawdę? Skąd ta pewność?

Spojrzał na moje ręce.

- Bo zauważyłem, że nadal nosisz zegarek ode mnie.

Podążyłam za jego spojrzeniem. Na ręce miałam wąski złoty zegarek, prezent od Luke'a na dwudzieste pierwsze urodziny. Kosztował go całe stypendium.

- Cóż. - Wzruszyłam ramionami. - To ładny zegarek, więc szkoda byłoby go nie nosić, prawda?

Zadzwoiła komórka Luke'a. Zerknął na wyświetlacz i skrzywił się.

- Przepraszam, Lauro, zaraz wracam.

Wyszedł na dwór. Widziałam przez wielkie okna, jak przechadza się wolno po mokrym chodniku. Kilka razy nerwowo przecesał włosy. Po chwili energicznie zamknął kłapkę telefonu.

- Problemy z małą - wyjaśnił, gdy wrócił do stolika. - Magda chce, żeby jej durny przyjaciel podrzucił Jessicę jutro rano. Robi to tylko po to, żeby mnie zdenerwować, głupia krowa. Sam po nią pojedź!

- Co to za facet ten jej przyjaciel?

- Steve? Czterdzieści parę lat, księgowy, rozwiedziony, troje dzieci. Nie mam pojęcia, jak się dogaduje z kozami, ale Magda nie przepuszcza żadnej okazji, żeby mnie poinformować, jaki jest szarmancki, uprzejmy i cudowny i jaki z niego wspomniały ojczym.

- A ty? Masz kogoś?

- Nie. Byłem bardzo zajęty i żyłem jak mnich, poza tym za mocno dostałem w kość, żeby ryzykować nowy związek. - Popatrzył na mnie. - A ty, Lauro? Jak wyglądało twoje życie? Twoje małżeństwo?

Moje serce zamarło. Nie znoszę mówić o Nicku, ale chciałam, żeby Luke znał całą prawdę.

- Jak się poznaliście? - zapytał.

- W Radio 4. - Napiłam się wody. - Zaprosiłam go na wywiad o Sudanie i zabawiałam rozmową, dopóki nie weszliśmy na antenę, a później ku mojemu zaskoczeniu zaprosił mnie na randkę.

- Kiedy to było?

- Jedenaście lat temu, wiosną dziewięćdziesiątego czwartego.

- Niedługo po naszym rozstaniu.

Grzebałam widelcem w talerzu.

-Tak.

- Kochałaś go?

- Niedyskretne pytanie.

- Przepraszam, ale chciałbym to wiedzieć. Kochałaś go?

- Chyba tak. To znaczy tak, kochałam go. - Zapatrzyłam się w płomyk świecy.

- Mówisz jak książkę Karol.

- Słuchaj, Luke, Nick był szlachetny i dobry, i robił coś pięknego. Poza tym bardzo mu na mnie zależało, więc... Jasne, nie był podniecający jak ty. Ale był ciekawym człowiekiem i dobrym. Nie sądziłam, że mnie kiedykolwiek skrzywdzi. - Uśmiechnęłam się blade. - Co za ironia, prawda?

- Nie chciałaś mieć dzieci? - Poruszyłam się niespokojnie. - Wiem, to też niedyskretne pytanie, ale przy tobie nie mam zahamowań. - Ujął moją dłoń, delikatnie musnął koniuszki palców. Zrobiło mi się słabo z pożądania. - Więc jak? - Spojrzał na mnie z wyczekiwaniem. - Nie myślałaś o dzieciach? Zawsze wyobrażałem sobie ciebie z gromadką dzieci.

- Nigdy... Nie było na to czasu. - Cofnęłam rękę. - Oboje robiliśmy karierę, a potem... wiesz, co się stało.

- Przykro mi - powiedział miękko. - Kiedy to było?

- Pierwszego stycznia 2002 roku.
- Zrobił to w Nowy Rok?!
- Nie mógł wybrać gorzej. Zepsuł mi cały ten rok. I następne.
- Chyba nie można zrobić nic gorszego bliskiej osobie. - Odłożył pałeczki i spojrzał na mnie ze współczuciem. - Musiałaś bardzo cierpieć. I dręczyć pytaniami, na które nie ma odpowiedzi...

- Tak.

- Ale uporałaś się z tym?

Pomyślałam o rzeczach Nicka ułożonych w pudłach.

- Tak, teraz już tak.

Zapadła cisza. Wyjrzałam przez okno. Ludzie kulili się pod parasolami, chowali w kołnierzach płaszczy.

- Jak myślisz, jest szansa, że on kiedyś wróci?

Powoli wypuściłam powietrze.

- To mało prawdopodobne.

- Ale czasami się zdarza.

Pokręciłam głową.

- Bardzo rzadko. Zwłaszcza po tak długim czasie. Gdyby Nick chciał wrócić, zrobiłby to w ciągu pierwszych trzech miesięcy. Tak twierdzą specjaliści. Ponoć im dłużej kogoś nie ma, tym trudniej jest mu wrócić.

- Więc tak po prostu zniknął? Bez śladu?

- Najmniejszego. Znalaziono tylko jego samochód nad morzem.

- Powiedz, jak to się stało? Chyba że nie chcesz o tym rozmawiać...

- Chętnie ci opowiem - odparłam. - Poszliśmy na London Eye. Pomyślałam, że to miły początek nowego roku. Mieliśmy za sobą ciężki okres i uznałam, że dzięki temu radośniej spojrzymy w przyszłość. Pamiętam, że kiedy to mówiłam, Nick miał na twarzy taki dziwny, smutny uśmiech.

- Zniknął tego samego dnia?

- Tak, koło szóstej. Wiem, bo kręciłam się po kuchni i słuchałam wiadomości w radio. Nick zawołał z korytarza, że wychodzi po mleko. Gdy po godzinie nie wrócił, zaczęłam się denerwować. Otworzyłam lodówkę i zobaczyłam, że mamy kilka butelek mleka. Pobiełam do sklepu na rogu i zapytałam sprzedawczynię, czy go widziała. Nie. Wróciłam do domu i zobaczyłam, że nie ma naszego samochodu. Zadzwoiłam do biura, ale Nicka tam nie było. No to zadzwoniłam na komórkę - nie odbierał. Czekałam jeszcze dwie godziny, a potem, już nieźle spanikowana, zadzwoniłam do rodziców. Poradzili, żebym zawiadomiła policję. Zrobiłam to, ale powiedzieli mi, że mogę zgłosić zaginięcie dopiero dwadzieścia cztery godziny po fackie. Wyobra-

zasz sobie, co czułam przez następną dobę? Fliss przyjechała do mnie na noc. Ilekroć dzwonił telefon, miałam wrażenie, że razi mnie prądem. Ciągle wierzyłam, że to wszystko da się logicznie wyjaśnić i że nagle klucz Nicka zazgrzyta w zamku. Nie zazgrzytał. Ani tamtej nocy, ani żadnej innej.

Luke pokręcił głową.

- Zabrał coś ze sobą? - spytał.

- Tylko samochód. Trzy dni później znaleźli go nad morzem, w Norfolk, niedaleko Blakeney. W dzieciństwie Nick jeździł tam na wakacje. W środku był jego telefon, klucze i portfel, a w nim nietknięte karty kredytowe. Następnego ranka znaleźli jego szalik. Morze wyrzuciło go na brzeg. - Wzdrygnęłam się na samo wspomnienie. - Szukali ciała w wodzie, ściągnęli helikoptery i nurków, ale na darmo. Twierdzili, że jeśli popełnił samobójstwo, w co zresztą nie wierzyłam, bo znałam go na tyle dobrze, że wiedziałam, że nigdy by tego nie zrobił, ciało wypłynie dalej na południe. Minął miesiąc i nic.

- Czekanie musiało być dla ciebie okropne - zauważył Luke. - Dla jego krewnych też.

- Nick nie miał rodzeństwa, a jego rodzice nie żyli. Matka zmarła, gdy był na studiach, a ojciec trzy miesiące przed jego zniknięciem. Bardzo mi pomogła fundacja zajmująca się poszukiwaniem zaginionych. Rozwiesili plakaty w Londynie i Norfolk. Doradzili mi też, żebym rozmawiała z bezdomnymi, na wypadek gdyby Nick pojawił się wśród nich. Przez miesiąc zaglądałam do różnych pubów i barów, pokazywałam ludziom jego zdjęcie i pytałam, czy go widzieli. Pamiętałam, że jeśli wybrał życie włóczęgi, mógł zmienić wygląd. Na przykład zapuścić brodę albo ufarbować włosy. Przez cztery tygodnie dzień w dzień szłam na Leicester Square, siadałam na ławce i obserwowałam przechodniów w nadziei, że nagle go zobaczę. Kiedyś nawet pobiegłam za jakimś mężczyzną, pewna, że to Nick, i wołałam go po imieniu... Pewnie wziął mnie za wariatkę... - Zaciśnęłam dłoń na serwetce. - I miał rację, bo rzeczywiście zachowywałam się, jakbym była szalona.

- A praca?

- Musiałam pracować. Było mi ciężko, ale potrzebowałam pieniędzy... i zapomnienia. A równocześnie chciałam być w domu, na wypadek gdyby Nick zadzwonił, gdyby wrócił. Bałam się, że jeśli przyjdzie i mnie nie zastanie, znowu zniknie. Tom, mój szef, pozwolił mi pracować w domu. Był cudowny. - Przypominałam sobie, jaki był troskliwy mimo własnych problemów małżeńskich. Przywoził mi niezbędne książki, pożyczał kasyety wideo z komediami, pilnował, żebym miała co jeść.

- W ogóle nie wychodziłaś?

- Właściwie nie, a jeśli już, to bardzo blisko. Założyłam dodatkową linię telefoniczną, żeby stara zawsze była wolna, na wypadek gdyby zadzwonił. Kiedy wychodziłam, co zdarzało się rzadko, zostawiałam mu kartkę w drzwiach. Nie tknęłam jego rzeczy. Nasz dom był jak „Marie Celeste”.

- Jak długo to trwało?

- Dwa miesiące. Byłam już wrakiem człowieka. Dzień w dzień żyłam w pustce. Prawie nie jadłam. Rzadko się myłam. A potem, na początku marca, były dwa głuche telefony, jeden po południu, drugi następnego ranka. Słyszałam oddech po drugiej stronie i wiedziałam, po prostu wiedziałam, że to on. „Nick, proszę, nie rozłączaj się, proszę, powiedz coś” - powtarzałam i za każdym razem słyszałam westchnienie. A potem się rozłączał. Aż do... - Urwałam, czekając, aż kelner zabierze nasze talerze.

- Aż do?... - powiedział Lukę, gdy kelner odszedł.

- Aż do połowy kwietnia. W telewizji robili program o zaginionych i poprosili mnie o wywiad.

- Oglądałem ten program. Właśnie z niego się dowiedziałem.

- Następnego ranka kobieta z fundacji prowadząca moją sprawę zadzwoniła i powiedziała, że ma fantastyczną nowinę: Nick się odezwał! Byłam taka szczęśliwa... po prostu wniebowzięta. W kółko powtarzałam, jak to cudownie, dziękowałam im za pomoc... Zapytałam, kiedy mogę się z nim zobaczyć. Nie odpowiedziała, więc powtórzyłam pytanie. Znowu cisza. W końcu dowiedziałam się, że Nick zadzwonił na gorącą linię „Wiadomość do domu” i powiedział, że jest cały i zdrowy, ale nie życzy sobie dalszych kontaktów.

- Nie życzy sobie dalszych kontaktów?

Ukryłam twarz w dłoniach.

- Czuałam ulgę, że nic mu nie jest, a jednocześnie miałam świadomość, że nie chce mnie widzieć... po tym wszystkim, co przesłam... - Łza spłynęła mi po policzku. - Przepraszam. Zawsze płacę, kiedy o tym opowiadam.

- Nic dziwnego. - Lukę podał mi chusteczkę. Ale przynajmniej żył.

Przełknęłam ślinę.

- Tak, też to sobie powtarzałam. Przynajmniej żył. Choć w pewnym sensie zginął. I tak jest do dziś. Jestem jak wdowa, dostaję nawet listy z kondolencjami, a jednocześnie wiem, że Nick żyje. Nie mogłam zacząć życia od nowa z kimś innym, bo formalnie rzecz biorąc, nadal jestem mężatką. Oczywiście tylko formalnie, nawet gdyby wrócił, nie potrafiłabym z nim być.

- Nie możesz się rozwieść?

- Bez zgody współmałżonka rozwód otrzymuje się po pięciu latach. Zresztą nie wyobrażam sobie, że spotykam się z kimś i tłumaczę, że nadal jestem mężatką, ale nie wiem, gdzie się podziewa mój mąż, bo on tego nie chce. Jestem tak okropna, że on nie mógł znieść mojego widoku, ba, nawet rozmowy ze mną. Straciłam całą wiarę w siebie.

Luke wziął mnie za rękę. Tym razem nie cofnęłam dłoni.

- Jesteś cudowna, Lauro. To z nim było coś nie w porządku. Pewnie miał problemy, z którymi nie mógł się uporać, a które nie miały nic wspólnego z tobą.

- Może... Sama nie wiem.

- Nie nawiązał z tobą żadnego kontaktu?

- Nie. Co kilka miesięcy przesyła do fundacji e-maila z informacją, że nic mu nie jest. Ostatnio odezwał się przed Bożym Narodzeniem.

- Nie można go wysledzić?

Pokręciłam głową.

- Za każdym razem pisze z innego konta. Zniknął bez śladu, a najgorsze, że ma do tego prawo. To nie przestępstwo i tysiące ludzi robi to co roku. Znikają bez śladu, a ich bliscy mogą tylko czekać i się modlić. Nie mogę zmusić Nicka do powrotu. Chciałabym tylko, żeby ten rozdział mojego życia zakończył się definitywnie.

- Nie był chory psychicznie?

- Nie. I nie miał kłopotów w pracy. Podejrzewano, że dokonał malwersacji, ale finanse fundacji były w porządku. Niektórzy sądzili, że miał kochankę albo nawet drugą żonę, ale w jego kalendarzu i e-mailach niczego takiego nie znalazłam. Inni sugerowali, że to ja miałam romans i dlatego Nick odszedł albo że był gejem i miał dość życia w ukryciu. Albo że był transwestytą, wstąpił do sekty, dowiedział się, że zostało mu tylko kilka miesięcy życia, zamieszkał na Księżycu z EWisem...

- Ludzie zawsze szukają przyczyny.

-Tak.

- Nie chcą uwierzyć, że czasami tak się zdarza.

- Masz rację. Dla mnie to był koszmar. Te ciągłe podejrzliwe spojrzenia, złośliwe komentarze, nawet wzmianki w prasie.

- A przyjaciele? Pomagali ci?

- Tylko na początku. Pewnie dlatego jeszcze bardziej zbliżyłam się do Hope i Felicity. Czasem doprowadzają mnie do szału, ale wiem, że mogę na nich polegać. Jedyna moja bliska przyjaciółka wkrótce po zniknięciu Nicka

wyjechała z mężem do Stanów. Pozostali to byli nasi wspólni znajomi. Początkowo byli bardzo pomocni, ale z czasem zaczęli mnie unikać. Bo co mieli mówić? W mojej sytuacji budziłam tylko ciekawość... i plotki. Teraz występuję w telewizji i obawiam się, że brukowce znowu zaczną o tym pisać, więc nikomu ani słowa, dobrze? Obiecujesz?

- Tak. Domyślasz się, dlaczego Nick to zrobił?

- Nie, naprawdę nie mam pojęcia. Chociaż gdy wrócił z Sudanu, był w depresji. Dodatkowo załamała go śmierć ojca, który zmarł na atak serca kilka tygodni wcześniej, a miał dopiero sześćdziesiąt cztery lata. Nick zamknął się w sobie, a później było jeszcze coś... - Westchnęłam. - Mieliśmy wypadek samochodowy. Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem.

- Coś mu się stało?

Przypomniałam sobie błękitne pulsujące światła radiowozów i zawodzenie karetki. Proszę się nie martwić - mówiły pielęgniarki w szpitalu. - Wszystko będzie dobrze.

Ale nie było.

- Nick uderzył się w głowę. Miał wstrząs mózgu i później już nie był... sobą.

- To miałaś na myśli, mówiąc, że przechodziliście trudny okres?

- Tak. Myślałam, że może doszło do zmian neurologicznych albo że cierpiał na amnezję...

- A teraz?

Odetchnęłam głęboko.

- Teraz jestem tylko zła. On wie, gdzie jest, aleja nie. To jak zabawa w chowanego. Chwilami nienawidzę go za to, co mi zrobił.

- Musiał być bardzo zagubiony.

- Tak, i bardzo mu współczuję. Ale on zostawił swoje problemy za sobą. Że już nie wspomnę o stresie i kłopotach finansowych. Sama musiałam spłacać hipotekę, dziewięćset funtów miesięcznie. W wypadkach zaginięć firma ubezpieczeniowa nie wypłaca polisy, zostałam więc bez grosza. Gdyby nie dodatkowa praca i pomoc rodziny... - Znowu przypomniał mi się Tom. Przyznał mi premię w wysokości dwóch tysięcy funtów, choć akurat się rozwodził.

- Dlaczego nie sprzedałaś mieszkania i nie poszukałaś czegoś mniejszego?

- Bo to wspólna własność. Nie mogę.

- Czy Nick podjął pieniądze z waszego konta?

- Nie, ale na dziesięć dni przed zniknięciem wypłacił pięć tysięcy ze swoich oszczędności. - Westchnęłam. - Teraz wiesz już wszystko.

- Tak, i jestem pełen podziwu, że zdołałaś sobie z tym poradzić.
- Czekałam trzy lata, ale w końcu uznałam, że już dosyć. Nick postawił sprawą jasno: nie chce mnie więcej widzieć.
- Luke znowu ujął mnie za rękę.
- Ale ja tak. Ja bardzo tego chcę, Lauro - powiedział cicho i zerknął na zegarek. - Masz pięć sekund na odpowiedź.
- Spojrzałam mu w oczy.
- Czas upływa... - Miał ciemne źrenice, widziałam w nich siebie. - Pięć sekund minęło! Twoja odpowiedź brzmi...
- Cóż...
- Szybciej!
- Tak.
- Naprawdę? - Skinęłam głową, a on się uśmiechnął. - Świetnie. Kiedy? Zastanówmy się... Jutro jestem zajęty, mam Jessicę, więc może w niedzielę po południu? Może umówmy się na lunch? Co ty na to?
- Nie mogę. Mam chrzciny Olivii.
- Więc w poniedziałek. Właściwie to nawet lepiej.
- Dlaczego?
- Bo to walentynki.

Rozdział 4

Wsobotni rano leżałam w łóżku, rozkoszując się wspomnieniami randki z Lukiem. Byłam zadowolona - wreszcie miałam cel w życiu, które od lat zmierzało donikąd. O wpół do dziesiątej zadzwonił telefon. Może to Luke chce mi powiedzieć „dzień dobry”? Odczekałam cztery dzwonki, zanim podniosłam słuchawkę.

- Laura?
- Tom! Cześć!
- Jesteś w świetnym humorze.
- To prawda - odparłam. - A ty?
- Ja też. Przepraszam, że dzwonię w sobotę...
- Tom, wiesz, że możesz dzwonić, kiedy chcesz.
- Wiem, ale chciałem ci zadać bardzo ważne pytanie.
- Tak? - Uśmiechnęłam się. - Jakie?

- Widziałeś już dzisiejszy „Daily Post”?

- Nie. - Podniosłam się na łokciu. - A powinnam?

- Owszem. Piszą o naszym teleturnieju. Nerys zadzwoniła i od razu pobiegłam do kiosku. Mieliliśmy już kilka dobrych recenzji, ale ta jest długa i bardzo dobra.

Poprawiłam kołdrę.

- Co piszą?

- Nie oni, tylko Mark McVeigh, ten krytyk, który zawsze jest okropnie złośliwy.

- Wredny bardziej do niego pasuje. Mówi się o nim Mark McŻółć.

- Cóż, dla ciebie to Mark McSłodycz. Recenzja ma tytuł *Narodziny gwiazdy*.

- O Boże!

- Podoba mu się i tempo programu, i, jak to ujął, „tandetna scenografia z wyrafinowaną treścią”, a przede wszystkim „spokojna pewność siebie Laury Quick”. O, tutaj: „Laura Quick nie dziwi się jak Anne Robinson, gdy zawodnik odpowie poprawnie; nie kpi z niego jak Jeremy Paxman, gdy odpowie źle, i dzięki temu wnosi świeży powiew na nasze ekrany. Kontynuuje najlepsze tradycje brytyjskich prezenterów telewizyjnych, sprawia, że i widz, i uczestnik czuje się przy niej bezpieczny. Co ważniejsze, ma się wrażenie, że Laura Quick sama odpowiedziałaby na większość pytań... i to bez telefonu do przyjaciela”.

Zakręciło mi się w głowie.

- Mówiłem ci, że krytycy oszaleją - cieszył się Tom. Słyszałam, jak zadzwoniła jego komórka. - Halo? - krzyknął do drugiej słuchawki. - O, cześć!

- Znow zwrócił się do mnie: - Mam drugą rozmowę na linii... Tak, bardzo chętnie... świetnie... Przyjdę do ciebie... - Zabawne, znamy się tak dobrze, a nigdy nie rozmawiamy o sprawach osobistych. - Może w Ravenscourt Park? O wpół do jedenastej? Przy placu zabaw? Świetnie. - Zastanawiałam się, z kim się umawia. - Przepraszam, Lauro. O czym to ja mówiłem? A, już wiem. Chciałem cię uprzedzić, że gazety zaczynają się tobą interesować.

Strach ścisnął mi żołądek.

- Już?

- Tak, bo mamy dużą oglądalność i program spotkał się z ciepłym przyjęciem. Poza tym widzowie zawsze chcą się czegoś dowiedzieć o prowadzącym.

- Przecież nie mogę udzielać wywiadów, bo będą mnie pytali o Nicka.

- Jasne. Ale Chanel 4 chce, żebyś odpowiedziała na kilka naprawdę niewinnych pytań.

- A konkretnie?

- „Daily Mail” i „Sunday Post” proszą o parę słów do ich kroniki towarzyskiej. Nerys przesłała ci wszystko e-mailem. Miłego weekendu.

Podeszłam do komputera. Teksty w kronikach towarzyskich. Zwykle są albo beznadziejnie głupie i naiwne: mój wiejski domek, moja sypialnia, albo oschłe i profesjonalne: mój największy błąd, mój pierwszy dzień na planie. „Sunday Post” prosił o listę rzeczy, które działają mi na nerwy. Miałam podać trzy. Po pierwsze Nerys, pomyślałam złośliwie, a dalej: wścibscy sąsiedzi i Felicity ciągle gadająca o dziecku. Niestety, nie mogłam ich podać, więc kiedy brałam prysznic, zastanawiałam się, co odpowiedzieć. Trzy rzeczy, których naprawdę nie lubię... Ludzi, którzy się wpychają bez kolejki, ciemności i... już mam, więźniów na zwolnieniu warunkowym, którzy sprzedają środki czystości. Nie znoszą ich nie dlatego, że nie podoba mi się sam pomysł, ale jako samotna kobieta umieram ze strachu, ilekroć w moim progu staje obcy mężczyzna, oznajmia, że jest na zwolnieniu warunkowym i pyta, czy nie kupiłabym ściereczki do kurzu. Po prostu boję się odmówić, więc mam już imponującą kolekcję gumowych rękawic i środków czyszczących.

„Daily Mail” pytał o pięć ostatnich pozycji na mojej karcie kredytowej. Idealnie, właśnie wybieram się na zakupy, które będę mogła ujawnić ze spokojnym sumieniem. Nie mam jeszcze prezentu na chrzciny OHvii, muszę też kupić sobie odpowiednią kreację na tę uroczystość.

Pół godziny później szłam Portobello wśród tłumów japońskich i włoskich turystów. W małym antykwariacie kupiłam Olivii wiktoriańską srebrną szkatułkę na biżuterię wyściełaną granatowym aksamitem. Potem skręciłam w Westbourne Grove. Pięć lat temu było tu pełno sklepów, teraz ta uliczka to miniatura King Road. Jest tu jedyny znany mi butik, który regularnie urządza wyprzedaże Prądy.

Kupiłam egzemplarz „Posta” i weszłam do Cafe 202 na kawę. Siedziałam w ogródku, rozkoszując się wiosennym słońcem i recenzją McVeigha. Później zajrzałam do Agnes B po drugiej stronie ulicy. Rozglądałam się po sklepie z cudowną świadomością, że brak pieniędzy już nie spędza mi snu z powiek. Przez trzy lata kupowałam tylko to, co niezbędne, ale teraz oprócz normalnej pensji dostawałam honorarium za każdy odcinek teleturnieju, więc mogłam zaszaleć. W Dinny Hall wydałam dwieście funtów na złote kolczyki

z perłami. To doprawdy wspaniale móc sobie pozwolić na taką ekstrawagancję. Nie, to nie ekstrawagancja. To nagroda za trudne chwile.

Przymierzałam eleganckie suknie w Dianę von Furstenberg, zwiewne szyfonowe spódnice w Joseph and Whistles, kaszmirowe swetry w Brora, aż w L K Bennett zdecydowałam się na ciemnoróżowy kostium, który, jak wiedziałam, będzie dobrze wyglądał także na ekranie. Nie spodobały mi się żadne buty w tym sklepie, więc poszłam do Emmy Hope. Gdy czekałam, aż sprzedawczyni przyniesie mi czerwone sandały w moim rozmiarze, spojrzałam w okno i moje serce przestało bić. Luke. Szedł drugą stroną ulicy, za rękę z Jessicą. Jego twarz promieniowała miłością i dumą.

W pierwszej chwili chciałam wybiec ze sklepu i zawołać do niego, ale uznałam, że nie powinnam mu przeszkadzać. Jessica miała na sobie niebieską kurtkę i kalosze w białe groszki. Jej jasne kucyki podskakiwały radośnie. Powiedziała coś zabawnego, bo Luke roześmiał się i przytulił ją do siebie. Zrobiło mi się ciepło na sercu. Odprowadzałam ich wzrokiem, aż minęli kościół, przeszli na drugą stronę i zniknęli mi z oczu. Wyobraziłam sobie, że mieszkam z Luke'em i Jessicą. Wspaniale nam się żyło we troje...

Co sobota chodziliśmy do Holland Park i szaleliśmy na placu zabaw. Luke i ja huściliśmy Jessicę, która krzyczała z radości i odrzucała głowę do tyłu, aż fruwały jasne włoski. Później wracaliśmy do domu na podwieczorek - na czekoladowe ciasto z mnóstwem lukru, Jessica zawsze się brudziła, więc musiałam wycierać jej buzię. Później pomagałam jej w lekcjach i w nauce nut albo uczyłam ją robić na drutach. Mówiłam jej, że kupiłam bilety na *Jeziro Łabędzie* do Covent Garden i że przed przedstawieniem pójdziemy na zakupy.

A wieczorami oglądaliśmy razem na wideo różne filmy dla całej rodziny, na przykład *Shreka* albo *Pamiętnik księżniczki*. Jessica tuliła się do Luke'a, a ja taktownie siedziałam z boku. Kiedy film się kończył, Luke brał córkę na rękę i mówił:

- Czas do łóżka, kochanie. Powiedz dobranoc Laurze.

Jessica całowała mnie, przytulała swoją twarz do mojej, a ja szeptałam, że jutro mamy lekcję jazdy konnej, bo przecież ona uwielbia kucyki.

- Lauro, tak się cieszę, że jesteś moją macochą... - słyszałam jej zaspany głosik.

I odpowiedziałam:

- To ja się cieszę, Jess, że mogę się tobą opiekować. Kocham małe dziewczynki, a ty jesteś najcudowniejsza na świecie...

- Zechce pani je przymierzyć? - Sprzedawczyni stała koło mnie i trzymała sandaalki. - Pani buty. Rozmiar 41.

- Słucham?

- Dobrze się pani czuje? Może wody?

Pomyślałam, że już niedługo poniedziałek i następna randka z Lukiem. Uśmiechnęłam się.

- Nie, dziękuję, wszystko w porządku.

- Ależ z ciebie elegantka - powiedziała mama, gdy o wpół do drugiej w niedzielę spotkaliśmy się wszyscy przed kościołem Świętego Marka.

- Z ciebie też. - Pocałowałam ją w policzek, czy raczej próbowałam, bo przeszkodziły nam w tym kapelusze. - Ale uważam, że trochę przesadziłam.

- Ja chyba też - przyznała mama. - No, ale to chrzciny naszej pierwszej wnuczki i Fliss kazała nam się odstawić.

Tak bardzo baliśmy się spóźnienia, że przyszedliśmy dwadzieścia minut przed czasem. Weszliśmy do środka i usiedliśmy w trzeciej ławce po prawej stronie. Słoneczne światło sączące się przez witraże zalewało kościół barwnymi plamami, jakby odłamkami tęczy. Wdychaliśmy słodki zapach kurzu i wosku. Zabrzmiały organy. Przebiegłam wzrokiem plan uroczystości, który Felicity kazała wydrukować. Przeczytałam dedykację - fragment wiersza Emily Dickinson.

- Zobacz, ile hymnów - mruknęła mama. - Strasznie to wyszukane, co? - zachichotała.

- Fakt.

Mogliśmy się tego spodziewać, kiedy dostaliśmy zaproszenia. Były tak sztywne, że same stały, a czcionka była tak wypukła, że można było ją czytać opuszkami palców, jak pismo Braille'a. Mimo kłopotów finansowych Felicity zrezygnowała ze skromnej rodzinnej uroczystości na rzecz wystawnej ceremonii. Za naszymi plecami zbierał się chór. Przed nami cicho przygrywał kwartet smyczkowy. Po obu stronach ołtarza pyszniły się kwiatowe kompozycje wielkości kolumn. Ławki ozdobiono wiązkami białych i różowych lili.

- To wygląda jak ślub - sapnęła mama, gdy Mike i Hope usiedli koło nas.

- I to królewski - dodała Hope z uśmiechem. - Przed kościołem czeka fotograf, a inny kręci całą ceremonię na wideo.

- Przesada - mruknął Mike. Spojrzałam na niego, bo ta uwaga wydała mi się nie na miejscu.

- Dlaczego? - zachnęła się Hope. Otworzyła elegancką torebkę od Hermesa i wyjęła puderniczkę. - To jej wielki dzień.

Przypomniał mi się inny wielki dzień Felicity, dwanaście lat wcześniej, i to, jak fatalnie się wtedy czułam. Dzisiaj wręcz przeciwnie, byłam w doskonałym humorze.

- Cudownie wyglądasz, Hope - pochwaliła mama. I miała rację. Hope zawsze jest nieskazitelnie ubrana w bardzo drogie, idealnie leżące kostiumy. Do tego świetnie dobrane buty, świetna fryzura, delikatny makijaż. Drobna, szczupła i ciemnowłosa Hope to całkowite przeciwieństwo Fliss, wysokiej, tęgiej blondynki. Ja nie jestem podobna do żadnej z nich: wysoka, z burzą niesfornych włosów, o ostrych rysach. Luke mawiał, że gdybym była obrazem, to Modiglianiego. Felicity, jasna i pulchna, to klasyczny Rubens. A Hope?

Zastanawiałam się, obserwując jej profil. Może Dora Carrington? Drobna i ostra. Nieprzenikniona. Skuteczna. Emanuje chłodem. Przeglądała śpiewnik, zaznaczając właściwe strony karteczkami.

Nigdy nie mogę się nadziwić, że ten sam zestaw genów stworzył moje siostry. Fliss jest roztrzepana, hojna i spontaniczna, Hope - zorganizowana, opanowana i zamknięta w sobie. Czasami ma się wrażenie, że to ona jest rozsądną najstarszą siostrą, a Fliss to rozpuszczony maluch. Ja zawsze byłam gdzieś między nimi. Jako nastolatki dowiedziałyśmy się, że mama była w ciąży jeszcze raz, między Fliss a mną. Czasami się zastanawiam, co wyrosłoby z tamtego dziecka.

Za naszymi plecami narastał szmer. Ławki powoli się zapełniały.

- Ile osób Fliss zaprosiła? - Tata dyskretnie obejrzał się do tyłu.

- Sto pięćdziesiąt. - Hope strzepnęła z mankietu niewidoczny pyłek. - Jest niedziela, więc pewnie większość przyjdzie.

- Idiotyczne. - Mike splótł ręce na piersi. Gdybym go nie lubiła, zdenerwowałby mnie ten komentarz, ale złożyłam te słowa na karb stresu. Oboje z Hope pracują w City; ona jest szefową PR dużej firmy, a on kieruje bankiem i ostatnio pracował nad poważnym kontraktem. Wyczuwałam jednak, że jego złośliwość to nie tylko zmęczenie. Zachowywał się, jakby nie chciał tu być. Pewnie chrzciny śmiertelnie go nudzą.

Mike i Hope nie mają dzieci - za obopólną zgodą. Mike nigdy nie okazywał entuzjazmu na widok maluchów, a Hope żartuje, że jest antyrodzinna. I nie jest to ucieczka przed ewentualnym rozczarowaniem, tylko świadomy wybór.

- Nie mam uczuć macierzyńskich - powtarza radośnie, ilekroć ktoś poruszy ten temat. - Żadnych.

Zawsze taka była. Kiedy miała dziesięć lat, rodzice podarowali jej królika. Nie chciała go. Dali jej więc chomika, ale i jego nie chciała. Wyjaśniła, że

nie ma ochoty opiekować się ani królikiem, ani chomikiem, ani białą myszką - niczym. Gdy dorosła, miała taki sam stosunek do dzieci. Kiedyś powiedziała mi, że nie chce bałaganu, chaosu i odpowiedzialności, które wiążą się z dziećmi.

Jest przemiła dla cudzych dzieci. Uśmiecha się do nich, zabawia je, biega z nimi po ogrodzie, ale po zabawie z ulgą oddaje je rodzicom. Są z Mikiem od sześciu lat. Już na pierwszej randce powiedziała mu, że nie zamierza mieć dzieci, na pewno nie zmieni zdania i chce, żeby wiedział to od początku. Szalała za nią, więc przyjął to do wiadomości. Felicity zapytała go kiedyś, czy nie ma nic przeciwko temu. Wzruszył ramionami i powiedział, że to kwestia miłości.

Żyje im się z Hope jak w bajce. Mają wielki dom w Holland Park, luksusowy, z kuchnią zaopatrzoną w najnowocześniejsze gadzety. Sama kuchenka kosztowała sześć tysięcy, przy czym prawie z niej nie korzystają, bo najczęściej jadają na mieście. Jeżdżą na fantastyczne urlopy, a w weekendy wyskakują do Pragi albo do Paryża. Hope zawsze wszystko się udaje.

Dyskretnie zerknęłam do tyłu. Fliss i Hugh nadal nie było. Nic nie szkodzi. Z przyjemnością gawędziłam z rodzicami. Rzadko przyjeżdżają do Londynu, bo prowadzą pensjonat na północy. Dorastałyśmy w Ealing, ale pięć lat temu przeszli na emeryturę i wyjechali do Nether Poppleton, pięknej wioski w Yorkshire, z której pochodzi mama.

- Lauro - powiedziała. Organy zagrały głośniejsze. - Jak tam twoje sprawy osobiste? Poznałaś kogoś? O ile wiem, Fliss zaprosiła kilku wolnych panów?

Zrobiło mi się słabo.

- Niepotrzebnie. - Hope odpowiedziała za mnie, strzepując kurz z pantofli od Gucciego. Jedwabną chusteczką. - Laura znowu spotyka się z Lukiem.

- Skąd wiesz? - mruknęłam gniewnie.

- Od Felicity. Wiesz, jaka z niej gaduła. Zadzwoiła do mnie tylko po to, żeby mi to powiedzieć.

- Z Lukiem? - powtórzyła mama. - Tym ze studiów? - Zarumieniłam się. - Znowu?

- Cóż... Spotkaliśmy się dopiero raz. - Opowiedziałam, jak mnie zaskoczył na planie teleturnieju.

- Lubiłam go! - oznajmiła. Przypomniało mi się, że w kółko to powtarzała, kiedy się rozstaliśmy. Doprowadzało mnie to do szału. - Derek! - trąciła ojca. - Laura znowu spotyka się z Lukiem.

- Co?

- Z Lukiem. Nasza Laura znowu spotyka się z Lukiem. Pamiętasz go? Chodziła z nim na studiach. No wiesz, to ten, co złamał jej serce.

- Mamo!

- Przykro mi, kochanie, ale tatuś słyszy dużo gorzej niż dawniej - wyjaśniła. - Naprawdę lubiłam Luke'a. Był bardzo zabawny.

Była to aluzja do Nicka, którego moja rodzina uważała za zbyt poważnego. Zwłaszcza Felicity nigdy się do niego nie przekonała.

- Za bardzo zadziera nosa - narzekała przed rodzicami w przeddzień naszego ślubu. - Wiem, że pochodzi z dobrej rodziny i tak dalej, ale nie jest zabawny.

To mnie zabolalo, bo wiedziałam, że Fliss ma rację. Nick nigdy nie był duszą towarzystwa, za to był troskliwy i ciepły, odpowiedzialny i dobry; bezpieczny. Tak przynajmniej sądziłam.

- Luke zawsze miał w zanadru jakąś ciekawostkę - mama pograżyła się we wspomnieniach. - Czasami opowiadał niewiarygodne rzeczy, na przykład... Zaraz, co to było? Że komar ma czterdzieści sześć zębów. Wyobrażacie sobie? Czterdzieści sześć zębów! Komar! Przecież to więcej, niż ma człowiek!

- Nie, jeśli policzysz mleczne - zauważył ojciec. - W takim układzie człowiek ma pięćdziesiąt dwa.

- Nie czterdzieści sześć, tylko czterdzieści siedem - poprawiłam. - Zresztą to nie są ciekawostki, tylko nieistotne informacje.

- A to nie to samo?

- Nie. Ciekawostką jest nazwisko pedikiurzystki Victorii Beckham, a ogólnie - wiadomości ze świata popkultury - kto jest kim w jakim serialu i tak dalej. Natomiast nieistotne informacje to fakty naukowe, które są bezużyteczne, ale bardzo ciekawe, na przykład to, że Anna Boldyn miała trzy piersi.

- A miała? - zdziwili się wszyscy.

- Tak, i sześć palców u lewej dłoni. A niemowlęta nie mają rzepki kolanowej.

- Naprawdę nie mają?

- Tak, rzepka wykształca się dopiero koło drugiego roku życia. Albo to, że ośmiornica ma trzy serca.

- Naprawdę?

- To wszystko to nieistotne informacje - wyjaśniłam. - Luke zawsze miał ich mnóstwo w zanadru - przyznałam z dumą. I tym sposobem przypominałam sobie, jak się poznaliśmy.

Zauważyłam go od razu, ma się rozumieć, ale unikałam go, bo był taki przystojny, że wydawał się poza moim zasięgiem. Aż pewnego wieczoru podszedł do mnie na imprezie, na której podpierałam ścianę, obserwując tańczących. Przez chwilę stał w milczeniu, sącząc piwo z butelki, i bez zbędnych wstępów (nawet się nie przedstawił) zapytał:

- Wiedziałas, że ślady misia koala niczym się nie różnią od ludzkich?

- Naprawdę? - Udawałam średnio zainteresowaną, chociaż bałam się, że serce wyskoczy mi z piersi.

- Na miejscu przestępstwa powoduje to niezły bałagan. - Napił się piwa. - Czasami nawet prowadzi do pomyłek sądowych.

- To straszne.

Skinął głową.

- Tak. A wiesz, że ślimak uprawia seks jeden jedyny raz w życiu?

Zerknęłam na jego profil i nogi się pode mną ugięły.

- Nie, tego też nie wiedziałam.

- A czy wiesz, że... - wreszcie na mnie spojrział - Adolf Hitler i Napoleon mieli tylko jedno jądro?

- Jak to? Do spółki?

Znowu upił łyk piwa i pokręcił głową.

- Nie, każdy swoje.

- Fascynujące - mruknęłam.

Wtedy jakaś dziewczyna zaciągnęła go na parkiet i już z nim nie rozmawiałam. Ale później, ilekroć się spotkaliśmy, zazwyczaj w bibliotece, podchodził od mnie i od niechcienia rzucał jakąś informację, fascynującą, ale całkowicie nieistotną. Aż pewnego dnia stanął za mną i zaczął:

- Wiesz, że...

- Tak? - odparłam grzeczenie.

- Że się w tobie zakochałem?

- A co u Luke'a? - dopytywał się tata.

- Jest w separacji. Ma córeczkę. I galerię sztuki. Gdzie Fliss? - Odwróciłam się do drzwi i wtedy pomachał do mnie łysy facet w okularach, siedzący jakieś pięć rzędów za nami. Nie miałam pojęcia, kto to, więc udałam, że go nie zauważam, zresztą akurat zjawiała się Felicity. Podświadomie oczekiwałam, że zaraz rozlegnie się triumfalny dźwięk organów; to ona powinna być gwiazdą telewizyjną, nie ja. Felicity uwielbia być w centrum uwagi.

Hugh niósł Olivie, prześliczną w ręcznie haftowanej koronkowej sukieneczce z odpinanym żabocikiem, na wypadek gdyby zwymiotowała. Felicity

także wyglądała zadziwiająco dobrze w nowym kostiumie; pewnie miała na sobie elastyczne body, bo nie wydawała się monstrualnie gruba. Lecz nawet pod ogromnym kapeluszem, idealną fryzurą i makijażem oraz szerokim uśmiechem widziałam, że jest zła jak osa.

- Wszystko w porządku? - zapytał tata, gdy usiadła przed nami.

- Nie. - Z uśmiechem przyklejonym do twarzy wyglądała jak kukielka brzuchomówcy. - Pieprzony wikary nie przyjdzie, ma grypę, więc w zastępstwie przysłali jakiegoś innego, kompletnego idiotę.

Wreszcie pojawił się ksiądz. Wyglądał na dwanaście lat, choć pewnie miał koło trzydziestki. Był dalekowidzem; jego oczy pływały za szklami grubymi jak denka od butelek.

- Witajcie w kościele Świętego Marka - zaczął. - Jak nas wielu! - dodał, gdy ogarnął wzrokiem nietypowo liczny tłum: przyszło ponad sto osób. - Zebraliśmy się tu dzisiaj, by być świadkami chrztu świętego tej uroczej dziewczyny Olivii Clementyny Sybilli Alexandry Margarity...

- Pina colady - rzucił Mike złośliwie.

- ... Florence, Mabel Carter - dokończył kapłan - i powitać ją we wspólnocie chrześcijańskiej. Zaśpiewajmy razem pierwszą pieśń, hymn...

Msza przebiegała bez problemów, choć ksiądz wydawał się nieco zdziwiony liczbą rodziców chrzestnych - pięć matek chrzestnych (w tym, na prośbę Felicity, Hope i ja, chociaż jestem niewierząca) i tyluż ojców chrzestnych. Szczerze mówiąc, uważałam, że to przesada.

- Czy wyrzekacie się szatana? - zapytał kapłan. Ten fragment zawsze wydaje mi się cudownie prymitywny.

- Wyrzekamy się - odparliśmy poważnie.

- I jego kłosa?

- Wyrzekamy się.

- I jego pokusa?

- Wyrzekamy się.

Przynajmniej większości, dodałam w duchu. A gdy przyszła pora na kazanie, zrozumiałam zdenerwowanie Felicity. Kapłan chciał nam uzmysłowić znaczenie sakramentu chrztu, więc jego kazanie miało formę koszarnej sesji pytań i odpowiedzi, jakbyśmy siedzieli w szkółce niedzielnej.

- Jezus jest synem... - Spojrzył na nas wyczekująco i przytknął dłoń do ucha. - No, proszę! Kto mi powie? Kto jest tatą Jezusa? - Zapadła cisza tak przejmująca, że niemal słyszałam, jak zebrani nerwowo przelękają ślinę. - No, śmiało! Na pewno wszyscy wiecie, ale powiedzcie to głośno. No dobrze, powiedzmy to razem, bardzo głośno. Ojcem Jezusa jest...

- Bóg! - zawołał gromko tata.
- Tak! Świetnie! Doskonale! A kto pomaga Panu Bogu, zwłaszcza przy sakramencie chrztu? No, kto? - Znowu nikt nie odpowiadał, więc ksiądz podpowiadał ochoczo: - Duch Ś...

- Duch Śnięty - mruknął Mike pod nosem.

- Nie, nie Duch Śnięty - wikary pobłażliwie pokręcił głową.

- Święty! - krzyknęła Hope, żeby zatuszować gafę Mike'a.

Wikary obdarzył ją promiennym uśmiechem.

- Tak jest! Duch Święty. A kto mi powie, jak się nazywał ten, który ochrzcił Jezusa w rzece Jordan? - wypytywał dalej. - Podpowiem wam: miał na imię Jan. I nie był to Jan Ewangelista, choć niektórzy mogą tak pomyśleć. Chodzi o Jana... - Znowu przyłożył dłoń do ucha. - No, kochani, Jan Ch... Chrz...

Nasze palce skrzyły się ze wstydu w korkociągi idealne. Ba, zmieszanie ogarnęło nawet Olivię, bo nagle się rozpląkała. Podejrzewam, że Felicity ją uszczypnęła; jeśli tak, działanie przyniosło pożądany skutek. Mała była jak syrena straży pożarnej. Straszliwe kazanie skończyło się błyskawicznie i w kościele rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi. Jeszcze tylko dwa czytania z Pisma Świętego, kolejny hymn, mikronezjańska kołysanka w wykonaniu chóru i byliśmy wolni.

- Dzięki Bogu - mruknęła Felicity, rozpromieniona jak kandydatka na miss.

- I pomyśleć, że wybuliłam dwieście funtów! Gdybym wiedziała, że dadzą mi tego błazna, wystarczyłoby pięćdziesiąt. Ale przynajmniej mam spokój aż do bierzmowania. - Podała małą Hugh. - Dobra, idziemy do domu na szampana i tort.

Już z daleka widać było, dokąd zmierzamy. Nad furtką kołysały się biało-różowe balony z imieniem bohaterki dnia, na drzwiach wisiał wieniec z białych kwiatów. Wtoczyliśmy się do środka; gdyby nie namiot w biało-różowe pasy, nie wszyscy zmieściliby się na przyjęciu. Przeciskałam się do dalekiej kuzynki, której nie widziałam od lat, kiedy mężczyzna, który machał do mnie w kościele, podszedł z wyczekującym uśmiechem.

- Laura? - Zastąpił mi drogę, co uznałam za oznakę złego wychowania.

- Tak? - Przyglądałam mu się pustym wzrokiem. - Chyba się nie...

Wyciągnął kościstą rękę.

-Norman Scrivens. - Dobry Boże! Więc takiego partnera znalazła mi Fliss!

- Felicity radziła, żebym cię poszukał - wyjaśnił.

- Doprawdy? - mruknęłam. Czułam na sobie jego taksujący wzrok. Zrobiło mi się niedobre.

- Więc jestem! - oznajmił z radosną desperacją. - Bardzo mi miło. - Jego dłoń była sucha jak skóra węża. - Znamy się z Felicity z przedszkola.

- Tak?

- Kilka lat temu była wychowawczynią mojej córki.

- Rozumiem.

- Piękna uroczyść - zauważył łaskawie. - Choć może nieco zbyt wystawna - dodał i przewrócił oczami; co za bezczelność! Myśli, że szkalując siostrę, zyska moją sympatię?

- Moim zdaniem była wspaniała - odparłam chłodno. - Felicity zadała sobie mnóstwo trudu.

- Och, tak, z pewnością, ale ksiądz był koszmarny, prawda? - Uśmiechnął się krzywo.

Nawet w połowie nie tak koszmarny jak ty, cisnęło mi się na usta. Był łysy jak kolano, miał wąską, surową twarz, małe niebieskie oczy za okularami w metalowych oprawkach, a kiedy się uśmiechał, jego szyja marszczyła się jak u starego żółwia.

- Felicity dużo mi o tobie opowiadała - zauważył. Niemał cmokał ustami z zadowoleniem.

- Czyżby? - Na samą myśl robiło mi się niedobrze.

- I oczywiście rozpoznałem cię z telewizji. - Więc odrobił pracę domową. - Muszę przyznać, że mądra z ciebie dziewczyna. - Czulałam, jak opada mi szczeka. - Wiesz tyle rzeczy... - Znieczuliłam się kolejną lampką szampana. - Quadrimum... - zachichotał. - Co prawda przypominam sobie, że to słowo było w jakiejś łacińskiej czytance. Straszne nudy - dorzucił.

- Skądże. Występuje w wierszu Horacego. Horacy jest autorem powiedzenia *carpe diem*. Pisał wspaniałe wiersze. Zmuszają do refleksji.

- *Carpe diem*, co? Tak się składa, że też się znam na winach - ciągnął. I rozpoczął przeraźliwie nudny monolog o piwnicze winnej w jego dużym domu niedaleko Chelsea, jakby mnie to obchodziło! Wspomniał też, że lubi jeździć na wakacje do Francji, chodzić po górach i zbierać antyki. Po dziesięciu minutach zastanawiałam się, dlaczego nie przyklej sobie na czole ogłoszenia matrymonialnego, zamiast strzępić na darmo język.

- Miło było cię poznać - powiedziałam uprzejmie - ale muszę porozmawiać z innymi gośćmi.

Weszłam pod namiot i rozmawiałam z wujostwem, ale już po chwili dostrzegłam Scrivensa kątem oka. Dlaczego nie zrozumiał aluzji? Przeszłam

do salonu i tam rozmawiałam ze znajomymi. Trzy minuty później znowu deptał mi po piętach. Chcąc go zniechęcić, wdałam się w długą rozmowę z dawnym kolegą Hugh z pracy. Wypytywał mnie o teleturniej.

- Można się jakoś przygotować?

Odpowiedziałam, że tak. Można na przykład nauczyć się na pamięć tablicy Mendelejewa, stolic wszystkich państw, kolejności amerykańskich prezydentów i angielskich królów, najważniejszych dzieł najslawniejszych kompozytorów, najważniejszych dat w historii powszechnej, planet w Układzie Słonecznym.

- Do tego warto czytać gazety, oglądać telewizję i mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Ale najważniejsza jest podzielność uwagi. W teleturniejach liczy się nie tyle inteligencja, ile pamięć i zdolność kojarzenia faktów. Nie ma czasu na zastanawianie się i analizy. Ja szybko się nudzę i proszę, dokąd mnie to zaprowadziło - zażartowałam. - Masz trzy sekundy, żeby zapamiętać imiona żon Henryka VIII; jeśli poświęcisz im więcej czasu, umkną ci setki innych informacji. - Upiłam kolejny łyk szampana. - Ale kogo obchodzi psychologia i motywacja? - zakończyłam.

Hugh konferował z zapałem z Chantal Vale, koleżanką Felicity ze studiów. Fliss ją uwielbia, ja nie - dla mnie to zimna ryba.

- Może jeszcze szampana?

Ku mojemu zdumieniu kieliszek znowu był pusty.

- Czemu nie?

Piłam więcej niż zwykle, szczęśliwa, że jestem w gronie najbliższych i czuję się bezpieczna. Miałam za sobą długi okres lęków i niepewności, ale teraz przyszłość rysowała się w jasnych barwach. Wciąż jednak czułam na sobie wzrok Scrivensa. O, nie, znowu się do mnie zbliżał! Czy ten facet nie ma pojęcia o języku ciała? Równie dobrze mogłabym wrzasnąć na całe gardło, żeby się odwalił. Pobiełam na górę do salonu. Goście powoli się rozchodzili. Zamieniłam kilka słów z sąsiadką i wychyliłam kolejny kieliszek szampana, zanim Scrivens znowu mnie dopadł.

- Proszę. - Wręczył mi wizytówkę. - Musimy się kiedyś umówić na lunch. Masz wizytówkę? A może zadzwonię do ciebie do pracy?

- Cóż... - Mogłam powiedzieć, że muszę iść do łazienki, ale to takie niegrzeczne...

- Znam świetną knajpkę w St. James. Masz wizytówkę czy nie? - powtórzył.

Może udać, że zobaczyłam starego znajomego?

- Nie, niestety, nie przy sobie.
- Jaki dzień ci pasuje? - Nie dawał za wygraną.

Albo zemdleć?

- Może w piątek? - ciągnął.
- Ale wtedy - ohyda! - mógłby chcieć mnie ratować.

- Chyba że trudno ci się wyrwać w ciągu dnia... Tak, lepiej umówmy się na kolację.

Było mi coraz bardziej niedobrze i obawiałam się, że zaraz zwymiotuję; nagle dotarło do mnie, ile wypiłam. Poza tym drażnił mnie jego nieświeży oddech.

- Hm... - Zachwiałam się lekko.
- Dobra. - Wyjął kalendarz. - Umówmy się od razu. Jak powiedziałaś, *carpe diem*. Więc kiedy?

Nigdy, miałam już na końcu języka. Modliłam się o ratunek, gdy zadzwoniła moja komórka.

- Przepraszam - mruknęłam, gorączkowo grzebiąc w torebce.

Spojrzałam na numer dzwoniącego. Luke.

- Cześć - powiedziałam z autentyczną radością. - Bardzo się cieszę, że dzwonicz. Przepraszam. - Uśmiechnęłam się do Normana.

Był zrozpaczony, kiedy zrozumiał, że będę rozmawiać. Kręcił się w pobliżu jeszcze chwilę, aż w końcu odwrócił się na pięcie i odszedł. Pobiełam piętro wyżej, do sypialni Felicity, zatrzasnęłam za sobą drzwi i rzuciłam się na łóżko.

- Jak się masz? - spytał Luke.

Zamknęłam oczy. Pokój zawirował.

- Lekko wcięta, a poza tym OK.

- Chyba się nie gniewasz, że dzwonię w czasie uroczystości?

Zerknęłam na komódkę. Szlaczek rozmywał mi się przed oczami.

- Skądże. Jestem zachwycona.

- Czemu?

- Bo podrywał mnie koszmarny facet.

- Tak? A kto taki?

- Niejaki Norman Scrivens, makler. Felicity chciała nas wyswatać.

- O!

- No tak, zanim się dowiedziała, że się spotkaliśmy. Ale i tak nie wiem, co jej chodziło po głowie! Jest co najmniej piętnaście lat za stary i paskudny. Chudy, łysy i śmiertelnie nudny. Felicity twierdzi, że bardzo chce kogoś poznać, bo żona go rzuciła. Wcale się jej nie dziwię.

- Nie miej mu za złe, że próbował, Lauro.
- No dobra, trochę przesadzam. Ale wypiałam za dużo szampana... - Znowu zamknęłam oczy. - A on męczył mnie przez całe przyjęcie. Nie docenia poezji Horacego i... ojej, kręci mi się w głowie... - Kurczę. Jeszcze tylko czkawki mi brakowało. - Ale naprawdę, był taki nachalny, za wszelką cenę chciał się umówić. Już wyciągał kalendarz, kiedy zadzwoniłeś. Nie rozumiem, skąd mu przyszło do głowy, że jestem zainteresowana. Jest za stary, za brzydki i do tego śmierdzi mu z ust!
- Straszne!
- No właśnie. Ojej. Za dużo wypiałam. Chyba będę rzygać. Ciekawe, czy Fliss ma tu wodę. - Podparłam się na łokciu i spojrzałam na nocny stoliczek, gdzie wśród kremów, chusteczek i zasypek migotało czerwone światełko. - Co to? - wybełkotałam. Pochyliłam się, zaciekawiona. I nagle zrozumiałam.
- O cholera.

Rozdział 5

Taki wstyd! - syknęła Felicity dwadzieścia minut później. Kuliłam się przy kuchennym stole i wlewałam w siebie piątą litr wody. - Wszyscy cię słyszeli.

- Ile osób? - sapnęłam.
- Co najmniej trzydzieści. Z twojego jakże elokwentnego opisu było doskonale wiadomo, o kogo chodzi. Ludzie zrywali boki ze śmiechu. Wyłączyłam to cholerstwo, kiedy tylko zdałam sobie sprawę, co się dzieje, ale było już za późno. Stał tuż przy głośniku, rozkręconym na pełny regulator, i był śmiertelnie obrażony. Żebyś widziała jego minę, gdy wychodził!
- Naprawdę mi przykro, Fliss - westchnęłam. - Wypiałam zdecydowanie za dużo, zresztą głównie dlatego, że nie dawał mi spokoju, i nie miałam pojęcia, że urządzenie jest włączone. A właściwie dlaczego było włączone? Nie musiało. Więc to twoja wina.
- Zawsze jest włączone - wyjaśniła gniewnie. - Zresztą było schowane za kartą z życzeniami i zapomniałam je wyłączyć.
- Przepraszam - powtórzyłam. - Dręczył mnie przez całe przyjęcie i chciałam sobie ulżyć. Nie miałam pojęcia, że to usłyszysz.
- Co za wstyd - jęknęła znowu Fliss.

- A dla mnie to było zabawne - zauważył Hugh, który także trochę za dużo wypił. - Może jeszcze tortu? Lukier jest pyszny. - Jak na człowieka na skraju bankructwa był w świetnym humorze.

- Hugh, nie ma nic zabawnego w obrażaniu naszych gości!

- Daj spokój, Fliss. Prawie go nie znamy, zresztą zaprosiłaś go tylko ze względu na Laurę. Która, tak przy okazji, według mnie ma rację. Naprawdę jest dla niej za stary i za brzydki. Nie wiem, co ci strzeliło do głowy.

- Dzięki za wsparcie - warknęła.

- Nie ma za co.

- Niefortunne zajście - przyznał tata.

- Przecież nic się nie stało. - Hugh wzruszył ramionami. - Scrivens pracuje w City i nie zna żadnych znajomych Laury, więc to się i tak nie rozejdzie, nawet gdyby o tym opowiadał, w co wątpię.

- O kim mowa? - zapytała Hope. Poszła do samochodu po prezent dla Oli vii i ominęła ją cała rozmowa.

Fliss wyjaśniła.

- Nazywa się Norman Scrivens. Kilka lat temu uczyłam jego córkę. Jest maklerem.

- Norman Scrivens? - powtórzyła Hope. - Był tu? Nie jest maklerem.

- Jak to? - zdziwiła się Fliss.

- Był, dopóki go nie zwolnili. Teraz jest dziennikarzem, pisze o finansach. Jest zastępcą naczelnego w „Daily Post”.

Poczułam ukłucie niepokoju.

- Przyjaźni się z naczelnym - ciągnęła Hope - i podobno zajmuje się jego akcjami. Nie znam go, ale to kawał drania.

- Skąd wiesz? - zainteresował się Hugh. - Wydawał się całkiem miły.

- W zeszłym roku przeprowadzał wywiad z Carol Stokes, która odniosła największy sukces na giełdzie metalowej. Nie chciała się z nim umówić, więc w swoim artykule zmieszała ją z błotem. Wcale się nie martwię, że Laura go obraziła.

- O mnie nie napisze - zauważyłam. - Jego czytelnicy mają mnie w nosie.

- To prawda.

- I na pewno będzie chciał jak najszybciej o wszystkim zapomnieć - dodałam. - Tak jak ja. Naprawdę nie musimy się przejmować Normanem Scrivensem.

- Albagojagajagoja - skomentowała Olivia.

Następnego ranka obudziłam się z potężnym pragnieniem, upiornym bólem głowy i niejasnym złym przeczuciem.

- Mam nadzieję, że nie powiedziałam nic głupiego i nie narobiłam sobie wstydu - mruczałam, wlokąc się do łazienki. - A zresztą - stwierdziłam, wchodząc do wanny - za późno, żeby tego żałować. - W drodze do pracy wypiałam trzy kawy.

- I wtedy odwróciła się do mnie - powitało mnie od progu. - Więc ja też się odwróciłam i powiedziałam... tak, Maureen, naprawdę tak było, odwróciła się i powiedziała...

To kolejna rzecz, która mnie wkurza u Nerys. W jej opowieściach nikt czegoś po prostu nie mówi. Najpierw musi się odwrócić, Bóg jeden wie czemu. Te ciągłe piriuty muszą być bardzo męczące. Dzisiaj na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze.

- Kiepsko wyglądasz - zauważyła Nerys, odkładając słuchawkę. Miała włosy koloru keczupu. Co tydzień farbuje je na inny odcień czerwieni.

- Mam kaca - mruknęłam.

- Wiesz, co ci pomoże, prawda?

- Transfuzja.

- Przede wszystkim witaminy i wapń. - Chwilę szperała w szufladzie, a potem wręczyła mi fiolkę z tabletkami. - Proste, ale skuteczne. - Postukała w wieczko paznokciem pociągniętym bezbarwnym lakierem. - Wierz mi, nie ma lepszego lekarstwa na kaca.

- Jest - odparłam. - Tom zrobi mi trepanację czaszki. W kuchni na pewno mamy otwieracz do puszek.

- Poczta do ciebie. - Nerys spojrzała na moją przegródkę. - Dostałaś pięć kart na walentynki.

- Tak? Miła odmiana po trzech latach bez choćby jednej.

- Tom też dostał kartkę - dorzuciła od niechcenia.

Przypomniała mi się rozmowa, którą niechcący podsłuchałam w sobotę. Spojrzałam na dużą czerwoną kopertę w przegródce Toma. Adres był wydrukowany, więc nie mogłam niczego wywnioskować z charakteru pisma, a deszcz rozmazał stempel pocztowy.

- Ciekawe od kogo - zaczęłam w nadziei, że Nerys nie oprze się pokusie poinformowania mnie, jeśli wie. A raczej wie, bo musiała już rozmawiać z tą nową przez telefon.

- Cóż, Tom jest bardzo popularny. To bardzo przystojny mężczyzna. I do tego mądry, bardzo mądry. - Wychwała go, jakby był jej rodzonym synem. - Nie uważasz, Lauro?

- Owszem, uważam. - Dostałam pięć walentynek, więc mogłam się zdobyć na wielkoduszność. - Tom jest bardzo przystojny, bardzo mądry i jest wspaniałym szefem.

- Wspaniałym szefem - zgodziła się radośnie - i wspaniałym mężczyzną.

- Tak.

- Taki odpowiedzialny.

- Hm. - Pomyślałam o jego żonie i dziecku.

- Świetny partner - ciągnęła Nerys.

- Na pewno. Ta, która go złapie, będzie szczęściarą.

- Cóż... - Nerys bawiła się złotym medalionem na szyi. Czasami zastanawiam się, czyje zdjęcie tam ukrywa. - Powiedzieć ci, co o tym myślę?

- Tak - odparłam.

Zerknęła na mnie porozumiewawczo, jakby za chwilę miała się podzielić wyjątkowo soczystą plotką.

- Myślę, że... - Nagle zadzwonił telefon. - Dzień dobry, Trident TV... O, cześć, Joan.

No cóż, pomyślałam. Wyciągnę to z niej innym razem.

- Nie, nie ma sprawy. Tak, tak. Znam ją. Naprawdę?

Pierwsza walentynka była od anonimowego wielbiciela teleturnieju, który podsuwał mi serię pytań do wykorzystania w programie. Wszystkie dotyczyły pewnej części jego anatomii. Od razu cisnęłam ją do kosza. Dwie kolejne przystali zdesperowani przyszli zawodnicy, którzy liczyli, że tym sposobem zaskarbią sobie moją sympatię i szansę na występ. Czwartą przysłało Towarzystwo Quizowe z Meyerside. Na planszy do monopolu wcale nie ma 22 pól, napisali. Jest ich 28, jeśli policzyć dworce, elektrownie i tak dalej. Są natomiast 22 działki budowlane. Jeśli nie liczyć tego oczywistego błędu, pani teleturniej bardzo nam się podoba. Z quizowym pozdrowieniem, TQM. Piąta walentynka była od Luke'a. Otworzyłam ją na końcu, bo poznałam jego charakter pisma. *Przyjadę po Ciebie o wpoi do ósmej, napisał. Porywam Cię na tajemniczą randkę...*

O wpół do siódmej byłam już w domu i usiłowałam poskromić moje włosy za pomocą przemysłowych ilości pianki. Zadzwonił domofon. Otworzyłam drzwi. Na progu stał młody wysoki mężczyzna z tekturowym identyfikatorem na szyi i wielką reklamówką.

- Jestem więźniem z Wandsworth, mam przepustkę - zaczął i podniósł identyfikator. Mój entuzjazm opadł. - Proszę nie zamykać mi drzwi przed nosem, proszę coś ode mnie kupić, choćby ściereczkę do kurzu...

To kolejna rzecz, której nie znoszę - kliwe teksty, jakie zawsze od nich słyszę. Do mojej okazałej kolekcji dołączył kolejny pojemnik z Astonish.

Dziesięć po siódmej właśnie malowałam sobie oczy, gdy znowu rozległ się domofon. Usłyszałam, jak otwierają się drzwi Cynthii, a potem jej kroki na korytarzu.

- Och, przepraszam - doszedł mnie jej głos. - Myślałam, że pan to mój z siódmej. Lauro! Ktoś do ciebie!

Uśmiechnęłam się i otworzyłam drzwi. Luke stał na progu z bukietem kwiatów w garści.

- Dzięki, Cynthio - powiedziałam. Unikałam jej od zeszłego tygodnia, więc pomyślałam, że czas okazać odrobinę sympatii, zwłaszcza że jestem taka szczęśliwa. Luke wchodził do środka, a ja rozpoznałam jej zapach - rym razem Intuition - i zauważyłam, że ma na sobie kaszmirowy sweter w kolorze piasku; jak zwykle była świetnie i drogo ubrana.

- Przepraszam, przyszedłem trochę za wcześnie - powiedział Luke i w tej samej chwili rozległ się sygnał jego komórki. Skrzywił się, patrząc na wyświetlacz.

- Miałś rację, mówiąc, że romans jest tuż-tuż - zwróciłam się do Cynthii, gdy znowu wyszedł na zewnątrz.

- Tak - skinęła głową w stronę Luke'a. - Ale nie z nim.

- Słucham?

- Nie z nim - powtórzyła, gdy schodził po schodach. Co za bezczelność?

- Tak, Magdo - doszedł nas jego głos. - Nie, szczerze mówiąc, to nie jest odpowiedni moment. Dobrze, no dobrze... - Odwrócił się i przewrócił oczami. - Nie, Magdo, to nie tak...

- Dzięki, Cynthio - powiedziałam - ale nie mam ochoty na kolejne przepowiednie. I tak się nie sprawdzają.

No dobra, odgadła, że Nick zniknął, ale równie dobrze mogła się tego dowiedzieć od sąsiadów. I pewnie tak było, o ile ich znam. A to o kwiatkach to już kompletna bzdura.

- Nagrać ci *Najslabsze ogniwo!* - zaproponowała, puszczając moje słowa mimo uszu.

- Nie - rzuciłam dość ostro.

- Jesteś pewna?

- Tak, całkowicie.

- Przepraszam. - Luke wrócił na górę. - To była moja codzienna porcja wyrzutów.

- O co?

- O wszystko. Więc tu mieszkasz. - W piątek odwiózł mnie do domu, ale nie wszedł na górę, dlatego teraz oprowadziłam go po mieszkaniu. - Klasycy - powiedział, patrząc na półki z książkami.

Podążyłam za jego wzrokiem. Ciekawe, gdzie jest Horacy, nigdzie go nie widziałam.

Rozpakowałam kwiaty: biało-różowe tulipany o postrzępionych płatkach.

- Wiem, że tradycyjnie daje się czerwone róże - wyjaśnił - ale pamiętam, że uwielbiasz tulipany.

- Tak, są przepiękne.

- Masz miłą sąsiadkę -- zauważył. - Ale za kogo mnie wzięła? Mój z siódmej brzmiało dość dziwnie.

Podalam mu jedną z ulotek, które Cynthia wyklada w holu.

- „Wróżka Cynthia rozwiąże twoje problemy” - przeczytał. - „Dzięki niej poznasz sekrety przeszłości, teraźniejszości i przyszłości”. - Uśmiechnął się.

- Zabawne.

Wkładając kwiaty do wazonu, przypomniałam sobie, co powiedziała o Nicuku.

- To stek bzdur. A kwiaty są naprawdę piękne. Czego się napijesz?

- Dzięki, musimy już iść.

Sięgnęłam po torebkę.

- Dokąd?

- Do kina.

- Na co?

- Pamiętasz, jak kiedyś w walentynki poszliśmy na *Casablanca*?

- Tak - odparłam z uśmiechem. - Byliśmy na dwóch seansach. Dziś znów idziemy na *Casablanca*? Cudownie.

- Nie, nie na *Casablanca*. Idziemy na *Satanistyczne obrzędy Draculi*. W Electric jest przegląd filmów wytwórni Hammer.

- Jakie to... romantyczne. - Włożyłam płaszcz. - Zawsze lubiłeś horrory.

- To fakt. Jestem istnym horrorfilem - przyznał.

Szliśmy Portobello. Luke opowiadał mi o unikatowej mieszance erotyki i horroru, dzięki której filmy wytwórni Hammer zyskały taką sławę.

- Pod koniec parodiowały same siebie - mówił - ale te pierwsze to istne perły.

- To prawda - zgodziłam się.

Miał rację. Ciepła aksamitna ciemność kina w połączeniu z grozą filmu wręcz wymuszały fizyczną bliskość. Zapadliśmy się w miękkie skórzane fo-

tele. Luke pomógł mi zdjąć płaszcz i objął mnie ramieniem. Zaczął się film. Kiedy Christopher Lee wbił kły w szyję Joanny Lumley, Luke wziął mnie za rękę i nasze palce się spłotyły. Czułam jego zapach, znajomą mieszkankę cytrusów i tabaki. Widziałam, jak jego pierś unosi się rytmicznie.

- Nie ma to jak dobry horror - powiedział, kiedy zapaliły się światła. - To takie... orzeźwiająjące. - Spojrzał na zegarek. - Pięć po jedenastej. Co powiesz na szampana i lody czekoladowe?

- Gdzie? Już późno.

- Lonsdale Road 34. - Pochylił się, tak że jego usta były tuż przy moim uchu. - Pójdziemy do mnie? - Nie odpowiedziałam. - Mam nową szczoteczkę do zębów. Twardą. Zawsze lubiłaś twarde, prawda? - Czułam, że twarz mi płonie. - I sypiasz nago, więc to też żaden problem, prawda? - Skinęłam głową. - Więc zgadzasz się?

Znowu skinęłam głową. W tej chwili nie zdołałabym wykrztusić z siebie ani słowa.

- Gdybyśmy poznali się dopiero teraz, musielibyśmy zachowywać się bardziej... powściągliwie - powiedział, kiedy wyszliśmy z kina. - Pójść na jeszcze... boja wiem? ...cztery grzeczne randki, zanim... no wiesz. - Znacząco uniósł brew. Było mi gorąco. - Ale ponieważ już się znamy, możemy sobie darować te... wstępy, prawda?

- Hm - mruknęłam w odpowiedzi.

- W naszej sytuacji dwie randki to aż nadto, nie sądzisz?

- Jak najbardziej - zgodziłam się. Moje ciało drżało z niecierpliwości.

Szliśmy w milczeniu. Dom Luke'a był przy mniej eleganckim końcu Lonsdale Road, niedaleko Colville Esteta. Otworzył drzwi i wyłączył alarm. Światelko na automatycznej sekretarce migało gniewnie, ale je zignorował. Zapalił światło. Na wszystkich ścianach wisiały abstrakcyjne obrazy.

- To głównie prace moich klientów - wyjaśnił, biorąc ode mnie płaszcz. - Wolę, żeby wisiały na ścianach, niż stały w piwnicy i zbierały kurz.

Spojrzałam na wielkie barwne płótno przy kominku.

- To Craig Davie. Pod koniec marca będzie miał u mnie dużą wystawę retrospektywną. Uwielbiam go.

- A to Luke North - powiedziałam, patrząc na portret Jessiki. - Naprawdę świetny.

Obecność dziewczynki była widoczna w całym domu: przy drzwiach stały malutkie różowe adidas, na wieszaku wisiał mały płaszczyk przeciwdeszczowy, w salonie poniewierały się jej książeczki i lalki Barbie, na ścianach wisiały zabawne rysunki. I do tego dziesiątka zdjęć. Luke otwierał szampana,

a ja przyglądałam się fotografiom w kuchni. Jessica, mniej więcej półtoraroczna, uśmiecha się promiennie do obiektywu; małecka Jessica w ramionach ojca; nieco starsza w brodziku i na różowym rowerku; Jessica w Disneylandzie; Jessica z rodzicami... Zesztywniałam na ten widok.

Magda była dokładnie taka, jak Luke ją opisał. Niska, szczupła i bardzo ładna. Miała piękne jasne włosy upięte w kok na czubku głowy, co w połączeniu z sukienką w kwiatki nadawało jej uroczy staroświecki wygląd. W jej oczach był złośliwy błysk, jakby szykowała się do kłótni.

- Naprawdę masz ochotę na lody? - zapytał Luke.

Oderwałam wzrok od zdjęcia.

- Nie - odparłam. Pożądanie pozbawiło mnie apetytu. Pragnęłam go szalenie, niemal do bólu. Wziął mnie za rękę i poprowadził na górę. Na półpiętrze zatrzymałam się. Na małym stoliku stało czarno-białe zdjęcie w srebrnej ramce. Przedstawiało Luke'a, Magdę i Jessicę. Poczułam się nieswojo, jakbym była intruzem, więc powtórzyłam sobie, że to Magda odeszła od Luke'a, a nie on od niej.

- Przeszkadza ci? - zapytał cicho.

- Nie - skłamałam. W oczach Magdy był ten sam bojowy błysk.

- Trzymam je tu ze względu na Jess - wyjaśnił, wchodząc do sypialni. - Bardzo przeżyła nasze rozstanie, więc staram się łagodzić skutki.

- Rozumiem.

Zamknął drzwi i przez chwilę patrzył mi w oczy. Potem pocałował mnie, rozpiął mi bluzkę i powoli rozsunął suwak spódnicy.

- Laura - szepnął. Jego usta muskały moje ucho. - Moja cudowna Laura... Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś... - Nie było między nami wstydu. Dwanaście lat opadło na ziemię razem z naszymi ubraniami. Nasze ciała pamiętały się; poruszały się instynktownie, naturalnie.

Obudziłam się o szóstej. Luke obejmował mnie jedną ręką, a drugą dotykał mojej piersi.

Cudownie mieć cię znowu przy sobie - szepnął, muskając moje udo. Nigdy cię nie zapomniałem.

Spojrzałam na niego i ukryłam twarz w zagłębieniu jego szyi. Milczałam, uszczęśliwiona. Miałam wrażenie, że odzyskałam nie tylko Luke'a, ale i najwspanialsze chwile w moim życiu, gdy wszystko wydawało się możliwe.

Gładził mnie po włosach, po twarzy, a potem delikatnie pocałował.

- Nigdy więcej nie pozwolę ci odejść - szepnął.

- To dobrze - odparłam. - Bardzo dobrze...

Znowu przyciągnął mnie do siebie. Działał na mnie jak magnes...

Zza okna docierały odgłosy budzącego się miasta i śpiew ptaków. Przez zasłony przenikało blade światło. Leżeliśmy spowici blaskiem świtu.

- Chyba musimy wstawać - stwierdził leniwie. - O której musisz być w pracy?

- Najwcześniej o dziesiątej.

- Więc weźmy razem prysznic.

-Hm.

- Jak dawniej, pamiętasz?

-Tak.

- A później zjemy śniadanie w łóżku. Pójdę po bułeczki.

- Lubię chrupiące.

- Pamiętam. To i tyle innych rzeczy.

- Na przykład?

- Że twoja babka była Francuzką i że miałaś chomika Percy'ego. Pamiętam, że kiedy miałaś siedem lat, zatrzasnęłaś się w toalecie na dworcu Euston i musieli wzywać straż pożarną, żeby cię wydestać.

Uśmiechnęłam się.

-I że bałaś się ciemności...

- Nadal się boję.

- ...a Felicity niechcący złamała ci nos, kiedy uczyła cię grać w hokeja, stąd jego nietypowy, acz uroczy kształt. Przeszedłem do następnej rundy?

- Tak. I dostałeś ekstra punkty.

- A inni zawodnicy?

- Odpadli z gry.

Weszłam do łazienki i puściłam wodę. Pomyślałam, że wiążąc się z Luke'em, mam to, co najlepsze z dwóch światów - cudowne napięcie nowego związku i bezpieczną pewność starego. Powiew świeżości i urok doświadczenia, nowe przeżycia i wspólne wspomnienia. Luke dawał mi przeszłość i teraźniejszość. Sprawdziałam temperaturę wody, kiedy w rozkosznie łagodny nastrój wdarł się dzwonek telefonu, natarczywy jak warkot wiertarki.

- Tak? - odezwał się Luke zmęczonym głosem. - Co? Nie, nie odsłuchałem twoich wiadomości, późno wróciłem. Nie. Byłem w kinie. Z przyjacielem, jeśli już musisz wiedzieć. Magda, o co ci chodzi... jest bardzo wcześnie... to naprawdę coś poważnego? Nie, nie jestem gruboskórny... Po prostu nie wydaje mi się, żeby to było coś... Dałaś jej aspirynę? Nie, nie chcę, żeby opuszczała lekcje, chyba że to konieczne...

Luke rozmawiał z Magdą, a ja otworzyłam szafkę w poszukiwaniu obiecanej szczoteczki do zębów. Zobaczyłam jego przybory do golenia i wodę

kolońską, tubkę pasty Colgate i nić dentystyczną, opakowanie aspiryny, różową gumkę do włosów i plastry z Małą Syrenką. A na dolnej półce - flaszeczkę podkładu Lancôme, perfumy Guerlaina, dwie szminki, tusz do rzęs, chusteczki do demakijażu i pudełko tamponów... Miałam wrażenie, że w żyłach płynie mi żywy ogień.

- Dobrze, już dobrze. Jazda do Chiswick w godzinach szczytu to nie jest wielka przyjemność, poza tym mam dużo pracy w galerii i nie wydaje mi się, żeby to było coś poważnego, ale jeśli sobie nie radzisz...

Odeszła od niego dziesięć miesięcy temu. Dlaczego jej rzeczy nadal tu są? Byłam tak spięta, że oddychałam z trudem.

- Nie, skąd, wcale nie powiedziałem, że nie sprawdzasz się jako matka...

Zrozumiałam, że ta rozmowa szybko się nie skończy, więc zakręciłam wodę. Nagła cisza wydawała się nieść echem, jakbym uderzyła w gong.

- Co? - usłyszałam. - Nikogo tu nie ma. Jestem sam. Miałem się wykąpać, ale zakręciłem wodę. Dobrze, dobrze, zaraz przyjadę, nie będę się kąpał. Zadawalona? Świetnie. Możemy już skończyć? - Z westchnieniem odłożył słuchawkę.

- Przepraszam. - Wszedł do łazienki i odkręcił kurek z zimną wodą. - Nie daje mi spokoju, co już pewnie zauważyłaś.

- Dlaczego powiedziałeś, że jesteś sam?

Ochlapał twarz wodą, sięgnął po ręcznik.

- Bo nie chcę jej drażnić. Dostałaby szału, gdyby się dowiedziała, że jest tu ze mną kobieta.

Wzdrygnęłam się, jakby mnie uderzył.

- Chociaż to ona od ciebie odeszła?

- Tak.

- I chociaż sama kogoś ma?

- Tak. - Zaczął się ubierać.

- Nie uważasz, że to niesprawiedliwe?

- Tak, ale Magda nie jest sprawiedliwa. Jest za to bardzo impulsywna i trochę stuknięta. - Wciągnął dzinsy. - Jeśli ją wkurzę, będzie mi ograniczała spotkania z Jessicą, ciągle mi tym grozi. - Włożył wczorajszą koszulę. - Albo nastawi małą przeciwko mnie...

- Może upaść aż tak nisko?

- Jeśli wystarczająco się wkurzy, tak. Jest bardzo nerwowa, więc robię, co w mojej mocy, żeby jej nie drażnić.

- Jej rzeczy nadal są w łazience - powiedziałam cicho.

- Tak? - Przeczesał palcami włosy. - Uwierz mi, nie zwróciłem na to uwagi, mam tyle na głowie. - Wsunął stopy w buty. - Albo o nich zapomniała, albo po prostu nie chciała ich zabierać. Dobra, muszą lecieć. - Objął mnie i pocałował. - Przepraszam, że nie będzie śniadania.

Zrobiło mi się przykro - chrupiące bułeczki z Lukiem to szczyt moich marzeń.

- Czuj się jak u siebie w domu. Zamknij drzwi zapasowym kluczem i odeślij mi go pocztą. Później pogadamy.

Pocałował mnie jeszcze raz i wyszedł.

Dziwnie się czułam sama w jego domu. Podnosząc bluzkę, zobaczyłam zdjęcie jego rodziców; wyglądali prawie tak samo jak przed laty. Rozpoznałam Kim, jego siostrę, która mieszka w Australii, i Rocky'ego, jego starego psa. Drzwi szafy były otwarte. Chciałam je zamknąć, ale przy okazji zajrzałam do środka. Marynarki Luke'a - raczej codzienne, choć dostrzegłam też kilka eleganckich, pewnie z czasów, gdy pracował w Christie's. Dalej koszule: gładkie, w prążki i w kratkę i jedna w wyraźny geometryczny wzór. Ostatnio takie koszule są modne. Wyjęłam ją i nagle zorientowałam się, że to wcale nie męska koszula, tylko damska bluzka. Poczułam się, jakby oblano mnie kwasem.

Obok - dopiero teraz to zauważyłam - wisiała elegancka satynowa suknia, aksamitny żakiet i jasnozielony jedwabny kostium z tłoczonego jedwabiu. Spojrzałam w dół na trzy pary pantofli na wysokich obcasach. Magda ma bardzo małe stopy. Poczułam do niej irracjonalny żal o te stopy i o to, że nawet teraz, prawie rok po ich rozstaniu, jej rzeczy wciąż są w jego szafie. Powstrzymałam ochotę, by pozrywać je z wieszaków i cisnąć do śmieci, nie oparłam się natomiast masochistycznej pokusie dalszych poszukiwań jej obecności. Nie musiałam długo szukać.

Na kominku, w kryształowej misie z jego spinkami do krawatów znalazłam dwie pary kryształowych kolczyków, brylantową broszkę, spinki do włosów i sznur pereł. Na stoliku leżał *Dziennik Bridget Jones*, słownik węgiersko-angielski i podręcznik hodowli kóz. W najniższej szufladzie komody były dwie jedwabne koszule nocne, kilka par rajstop i, o zgrozo, czarne koronkowe majteczki. Na nocnym stoliku po jej stronie łóżka stała buteleczka czerwonego lakieru do paznokci, skórzana portmonetka, szczotka do włosów i różaniec. Gdziekolwiek spojrzałam, ślady Magdy ciągnęły się jak śluz ślimaka.

Opadłam na łóżko. Serce tłuło mi się w piersi, zbierało mi się na mdłości. Dlaczego jest tu tyle jej rzeczy, w tym bardzo osobistych? Czy ona i Luke

nadal... Oddychałam głęboko, starałam się zmusić do racjonalnego myślenia. Rozsunęłam zasłony. Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki. Odpowiedź na pewno brzmi: nie. Gdyby nadal się kochali, byłiby razem, czego Luke pragnął ze względu na Jess. A w takim układzie nie podrywałby mnie.

Odeszła od niego, mieszka gdzie indziej, z kimś innym - powiedziałam sobie stanowczo. Kiedy się ubierałam, zobaczyłam coś, co mnie zdziwiło i ucieszyło zarazem. Na krześle przy oknie siedział Wilkie, mój stary pluszowy miś. Przytuliłam go mocno. Zamszowe łapki były wytarte, a zielony sweter, dzieło mojej mamy, zmechacił się, ale poza tym miś był w świetnym stanie. Dałam go Luke'owi, kiedy wracał do zdrowia po operacji usunięcia wyrostka - chciałam, żeby miał coś mojego, coś, co kochałam. Zachował go przez te wszystkie lata. Nieco uspokojona, wyszłam.

Niestety, mój spokój ducha szybko się skończył.

- Cześć, Tom - zawołałam, gdy wchodziłam do biura kilka godzin później. Z zapalem czytał gazetę. - Cześć, Tom - powtórzyłam. Ogłuchł czy co? - Słyszysz mnie, szefie?

- Och, Laura... Przepraszam. Cześć.

- Coś się stało?

- Cóż...

Patrzył na mnie tak jakoś dziwnie, podobnie Dylan i Sara. Nerys też tak na mnie patrzyła, kiedy weszłam, ale uznałam, że pewnie domyśliła się, jakim czynnościom oddawałam się przez pół nocy.

Tom przeczesał palcami włosy.

- Obawiam się, że jeden artykuł nie przypadnie ci do gustu.

Podał mi gazetę. W kronice towarzyskiej widniało moje zdjęcie - zrobione wczoraj, kiedy szłam Portobello pogrążona w myślach - a pod nim podpis: WYBUCHOWA LAURA.

Zaczęłam czytać:

Laura Quick, prowadząca nowy teleturniej Wiem wszystko? w Chanel 4, skompromitowała się na przyjęciu w ubiegły weekend. Bystra na ekranie, w rzeczywistości bynajmniej nie popisała się inteligencją. Była pijana i bezczelna, donosi naoczny świadek. Quick ma poważne problemy osobiste - jej mąż, działacz charytatywny Nick Little, przed trzema laty wyszedł z domu po butelkę mleka i nie wrócił do dziś. Nic dziwnego, zważywszy...

Czułam się, jakbym wpadła w otchłań.

- To straszne - wychrypiałam. Odetchnęłam głęboko i posłałam Tomowi błagalne spojrzenie. - To... po prostu... straszne... i nieprawdziwe.

- Tak myślałem, ale co się właściwie stało?

Opowiedziałam mu.

- Więc ten cały Scroggins to zarazem naoczny świadek i dobrze poinformowane źródło.

- A jakże! - Przerzuciłam stronę i oto zobaczyłam go w całej jego paskudnej krasie na fotografii. - Pewnie sam to napisał. - Dopiero teraz z przerażeniem pomyślałam o wszystkich znajomych, którzy mogą to przeczytać. - Tom, musisz ich pozwać.

- Trident nie może. Musisz to zrobić osobiście. Zresztą trudno będzie dowieść znieśławienia, skoro sama przyznajesz, że za dużo wypijaś.

- Byłam lekko wcięta, ale wcale nie byłam bezczelna. To przykry zbieg okoliczności, że moje niepochlebne uwagi o Scrivensie zostały nagłośnione. Obraziłam go niechcący, a on zemścił się z zimną krwią. - Miałam łzy w oczach. - Hope mówiła, że to dupek, i miała rację! Tom, te bzdury przeczyta z milion osób, a połowa z nich w nie uwierzy.

- Jeśli chcesz, zadzwonią do prawników z Channel 4 - zaproponował. - Choć z góry wiem, co powiedzą. To niełatwe, Lauro, ale musisz przyjąć ten cios z podniesionym czołem. Musisz też uważać, bo teleturniej spotkał się z ogromnym zainteresowaniem, więc cokolwiek powiesz czy zrobisz, może trafić do prasy. I nie będziesz miała nic na swoją obronę, bo teraz jesteś osobą publiczną.

Położyłam głowę na biurku. Ranek zaczął się tak pięknie, ale od telefonu Magdy wszystko zaczęło się psuć.

- To kłeska - jąknęłam. - Wszyscy moi znajomi na pewno to przeczytają. Słabo mi się robi...

- Ludzie szybko zapominają - pocieszał Tom. - Wiem o tym, bo, no cóż, sam przez to przeszedłem.

- No tak - mruknęłam.

- Informacja, że prezenterka się upiła, to kiepski materiał na pierwszą stronę, prawda?

Wstałam.

- Ale to, że jej mąż zaginął...

- No... tak - przyznał Tom ze smutkiem. - Niestety tak.

- Jak mogłaś?! - krzyczałam do Felicity pięć minut później. Poszłam do sali konferencyjnej, żeby nikt mi nie przeszkadzał w ochrzanianiu siostry. - Nie dość, że zaprosiłaś tego świra na chrzciny, to jeszcze powiedziałaś mu o Nicku!

- Przepraszam - szlochała. - Nie miałam zielonego pojęcia, że pracuje w prasie.

- Nawet gdyby nie pracował, nie miałaś prawa omawiać z nim mojego życia osobistego, z nim ani z kimkolwiek innym. Mówiłam ci, że dyskrecja jest teraz bardzo ważna. Ale nie, ty musiałaś wypaplać. Powiedziałaś mu nawet, że Nick wyszedł po mleko - co za smakowity szczegół! Miałam nadzieję, że nikt tego nie wyciągnie, a tymczasem dzięki mojej rodzonej siostrze wszystko jest czarno na białym!

- Przepraszam - powtórzyła. - Chciałam, żeby cię polubił.

Przewróciłam oczami. Niemal słyszałam, jak Felicity opowiada z przejęciem, jak zostałam „brutalnie porzucona” przez „tchórzliwego męża”, który „dał nogę”. Nigdy nie przepadała za Nickiem, a kiedy - jak to delikatnie ujmuje mama - „poszedł w siną dal”, przestała mieć jakiegokolwiek opory.

- Przepraszam - powtórzyła po raz trzeci. - Ja tylko chciałam pomóc.

- Ale wyszło odwrotnie.

Odłożyłam słuchawkę. Trochę mi ulżyło, gdy dałam upust złości. Mijając gabinet Toma, zauważyłam, że zostawił otwarte okno i przeciąg przewraca dokumenty na biurku. Weszłam i zaczęłam zbierać papiery z podłogi. Pod wyciągiem bankowym była walentynka: wielki pluszowy miś z czerwonym serduszkim. Mimo wyrzutów sumienia zajrzałam do środka.

Dla Toma, uściski od... Pismo było dziecinne, a podpis ledwo czytelny: S...a...m. Więc spotyka się z Sam... Samanthą. Zostawiłam kartkę na ziemi; nie chciałam, żeby Tom pomyślał, że wtykam nos w nie swoje sprawy.

Schodząc na dół, zastanawiałam się, jaka jest i jak wygląda ta Samantha. Czy jest podobna do Samantha z *Seksu w wielkim mieście!* Kiedy Tom ją poznał? Od kiedy są razem? Nagle z ulgą zdałam sobie sprawę, że te rozważania pozwoliły mi zapomnieć o koszmarnym artykule. I dobrze, bo dzisiaj nagrywaliśmy kolejny odcinek.

Kiedy jednak przyjechałam do studia, zobaczyłam na widowni egzemplarz „Post” i na sam jego widok zrobiło mi się niedobrze. Byłam pewna, że nieszczęsny artykuł odczytano na głos i wszyscy zdążyli się uśmieć.

- Dziwnie na mnie patrzyli - zwierzałam się Marian w garderobie. - Kilka osób czekało na mnie przy wejściu i bardzo dziwnie mi się przyglądali.

- Bo jesteś prezenterką telewizyjną i byli ciekawi - uspokoiła mnie. - Nie wpadaj w paranoję z powodu kilku zdań w brukowcu. Nie myśl o tym i daj z siebie wszystko na planie.

Jakimś cudem mi się to udało, choć za żadne skarby nie mogłam się skoncentrować. Czulałam na twarzy rumieńce wstydu i oburzenia, a w pewnym

momencie upuściłam karty z pytaniami, bo nie byłam w stanie ich utrzymać. Na moje szczęście zwycięzca nie chciał odwracać ról - wątpię, czy odpowiedziałabym na jakiegokolwiek pytanie - a na spotkaniu po zdjęciach nikt słowem nie wspomniał o artykule. Powoli się uspokajałam.

Tom ma rację, ludzie zapomną, powtarzałam sobie, wracając taksówką do biura. Jutro nikt nie będzie o tym pamiętał. Ale na miejscu Nerys poinformowała mnie, że dzwoniło aż osiem gazet z prośbą o wywiad.

- Bardzo chcą z tobą rozmawiać.

- O czym?

- No cóż, o twoim mężu.

Zrobiło mi się słabo. Boże, co ten Scrivens narobił! Właśnie tego za wszelką cenę chciałam uniknąć.

- Chcą, żebyś, jak to ujęli, wyrzuciła z siebie... zaraz, jak to było? O, mam, ból złamanego serca. - Nerys poprawiła sobie medalion na szyi.

- Cholera. Oni, czyli kto?

Zerknęła na kartkę.

- „Daily News”, „Daily Post”, „Daily Mirror”, „Daily Star”, „Daily Express”...

- Same brukowce. Żadnych wywiadów - zdecydowałam. - Po co? Żeby dzięki mnie sprzedali więcej egzemplarzy?

- Na twoim miejscu porozmawiałabym z nimi - stwierdziła Nerys i zdjęła okulary.

- Dlaczego? Przecież nie muszę.

- Nie, ale jeśli tego nie zrobisz, nie dadzą ci spokoju.

Co za denerwująca baba. Wiecznie poucza.

- Dzięki za radę, Nerys - powiedziałam chłodno - ale pozostaną przy swoim zdaniu. Jeśli nie udzielią im wywiadu, nie będą mieli o czym pisać.

Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz. Ale uważam, że robisz błąd. - Przeklęty babsztyl, jak zwykle się wtrąca. - Dzień dobry, Trident TV... Z Tomem O'Brienem? Już łączę...

- Ale zdjęcie jest ładne - pocieszał mnie Luke, kiedy zadzwonił o piątej.

- Owszem, choć zrobiono je bez mojej wiedzy - przyznałam. Wyobraziłam sobie obiektyw wymierzony we mnie z daleka jak karabin snajpera. - A artykuł to zlepek kłamstw i pomówień.

- Do tej pory miałaś świetną prasę, więc co znaczy jeden krytyczny tekst? Kiedy się spotkamy? - Od razu poprawił mi się humor. - Może jutro? Wpadnij do mnie, zrobią kolację.

- Chętnie, ale czy będziemy mogli obejrzeć teleturniej? To nie próżność, tylko obowiązek.

Nie miał nic przeciwko temu. Powiedział, że przepada za teleturniejami, nieważne, ze mną czy bez...

- Uwielbiam dopuszczać do głosu wewnętrznego kujona - wyjaśnił, kiedy następnego wieczoru włączał telewizor. - Kiedy będzie mój odcinek? Nie mogę go przegapić.

- Pod koniec marca, od nagrania do emisji mija mniej więcej sześć tygodni. Mówiłeś Magdzie? - zapytałam, gdy nalewał mi piwo.

- Nie, bo chcę, żeby to była niespodzianka dla Jess. Nie mogę się doczekać jej miny. Dopilnuję, żeby tego wieczoru była u mnie.

Siedzieliśmy na kanapie. Luke co chwila wykrzykiwał odpowiedzi. Magda zadzwoniła w czasie przerwy reklamowej.

- Nie mogę rozmawiać, oglądam telewizję - tłumaczył. - Och, ten nowy teleturniej na Channel 4... Ty też? - Szeroko otworzyłam oczy. - Tak, jest niezły... - Stłumiłam prychnięcie. - Nie, nie wiedziałem, że Kilimandżaro to największy wulkan świata. Tak, prezenterka jest super. - Uśmiechnął się do mnie. - Nie, Magdo, jestem sam. - O, znowu się zaczyna. - Dobrze, Magdo... Tak... Do usłyszenia jutro. Cześć. - Odłożył słuchawkę z westchnieniem ulgi.

- Jest w świetnym humorze - wyjaśnił. - I prawie da się z nią porozmawiać. Lincoln! Chyba dobrze jej się układa z nowym facetem. Najwyraźniej jeszcze się nie zorientował, że ma nierówno pod sufitem. Wallace i Gromit!

- Od dawna są razem?

- Pół roku. Chyba bardzo się stara, ale on wkrótce przejrzy na oczy. Einstein!

- Dlaczego powiedziałeś, że jesteś sam?

- Bo zapytała, czy ktoś u mnie jest. Wolverhampton Wanderers! I nie chciałem jej powiedzieć.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę, żeby się wtrącała w nasz związek. Anagram! Tfu, palindrom!

- Ale dlaczego miałyby to robić?

- Sharon Stone!

- Odeszła od ciebie, Luke.

- Wiem, ale to nie znaczy, że pozwoli, żebym kogoś miał. Frankenstein!

- Więc nie chce, żebyś się z kimś spotykał?

- No właśnie. Powiem jej o tobie, ale muszą to zrobić powoli. Kwas dezoksyrybonukleinowy! Rozumiesz?

- Szczerze mówiąc, nie.

W końcu to nie Luke poinformował Magdę o naszym związku.

Po weekendzie jego lodówka świeciła pustkami, więc poszliśmy do knajpki na rogu na kolację. Opowiadał o przygotowaniach do wystawy. O wpół do jedenastej, odprężeni i szczęśliwi, stanęliśmy w progu. Nie wiadomo skąd naprzeciwko nas znalazł się młody mężczyzna w obszernych spodniach i bluzie z kapturem. W pierwszej chwili myślałam, że chce nas okraść.

- Laura? - zawołał. Spojrzałam na niego. Nagły błysk. - Laura! - I jeszcze jeden. O cholera. - Tu, Lauro! - Zasłoniłam twarz ręką. - No, Lauro!

- Odejdź! - zawołałam.

- Nie! - syknął Luke. Szliśmy coraz szybciej, po chwili biegliśmy, a fotograf deptał nam po piętach, słyszałam za plecami jego kroki. - Nie patrz na niego i nic nie mów.

- Jeszcze jedno, Lauro! - zawołał. - No, pokaż się! Dawaj!

Miałam ochotę się odwrócić i postać go do wszystkich diabłów, ale Luke ciągnął mnie za rękę.

- Biegnij!

Nie mogliśmy zasnąć, więc nie mieliśmy problemów, żeby wstać o szóstej rano. Pobiegliśmy do kiosku i kupiliśmy wszystkie jedenaście dzienników. Liczyliśmy, że moje zdjęcie będzie w najmniej czytym wśród naszych znajomych, na przykład w „Mirror”. Niestety. Byłam na trzeciej stronie „Daily News”.

Na dużym zdjęciu wychodzimy z knajpki, zaskoczeni i jakby zawstydzeni, trzymając się za ręce. Tytuł głosił: SZYBKA ROBOTA!, a podtytuł dodawał, że Laura potajemnie romansuje z żonatym marszandem. Na kolejnym zdjęciu zasłaniałam twarz, a ostatnie pokazywało, jak uciekamy przed fotografem.

- Och! - jęknęłam. Byłam zbyt wstrząśnięta, aby wydobyć z siebie cokolwiek więcej. Bo zdaniem dziennikarzy „Daily Star” byłam nieszczęśliwą prezenterką teleturnieju, która szuka miłości po odejściu męża. Anonimowy (jakżeby inaczej) przyjaciel Nicka powiedział, że Nick po prostu nie mógł tego dłużej wytrzymać. Próbował wszystkiego... Laura jest bardzo inteligentna, ale też bardzo trudna we współżyciu i wymagająca...

- Mam wrażenie, że czytam o kimś innym - mruknął Luke.

Było jeszcze stare zdjęcie Nicka, na którym miał bardzo poważną minę, co u niego normalne, ale podpis głosił: Nieszczęśliwy. Oddychałam z trudem. Na innym zdjęciu Luke i ja całujemy się - Bóg jeden wie, skąd to wytrzasnęli. Quick „a romans z dawnym narzeczonym. Luke North, żonaty ojciec jednej córeczki... Jakim cudem już to wiedzieli? Naprawdę szybka robota.

- To nie romans! - krzyknęłam. - Oboje jesteśmy wolni!

- Magda dostanie szału - mruknął Luke.

Rozzłościłam się jeszcze bardziej; obchodziły go jej uczucia, nie moje. Ale miał rację. Naprawdę dostała szału. Zadzwoiła dziesięć po siódmej. Zawiadomiła ją matka, ranny ptaszek i wierna czytelniczka „Daily News”.

- To stek bzdur - tłumaczył Luke, a ja dolewałam sobie kawy. - Ten dziennikarz wyssał wszystko z palca.

- Więc zaprzeczasz, że się z nią widujesz? - Luke włączył opcję głośno mówiącą, żebym miała pojęcie, z czym się mierzy.

- Nie, Magdo, nie zaprzeczam. Ale zaprzeczam, że robimy coś złego. Sekretny romans! - zachnął się. - Laura jest wolna. Ja też. - Z otuchą podniosłam kciuk.

- Tak - przyznała chłodno. - Jesteś. Tylko dlatego, że mnie rzuciłeś.

- Nie, Magdo - tłumaczył cierpliwie, jak upartej pięciolatce. - To ty mnie rzuciłaś. Pamiętasz?

Chwila ciszy. Niemal słyszałam, jak jej mózg usiłuje się uporać z niewygodną prawdą.

- No tak, ale... dlatego, że mnie zmusiłeś. Byłeś okropny! Taki... paskudny. Złaż, Heidi! Natychmiast!

- Bzdura! Byłem normalny. To ty mnie zostawiłaś, bo miałaś mnie dosyć i uznałaś, że spełniłem moje zadanie, czyli zapłodniłem cię. Ode mnie wolałaś te cholerne kozy!

- Kóz w to nie mieszaj! Co ci zrobiły moje maleństwa? - Skinęłam głową. Co do tego miała rację. - Chyba nie obwiniasz Phoebe i Sweetie za naszą separację?

- Nie. - Wycofał się. - Skądże.

- Wiesz, one też bardzo to przeżyły. Zwłaszcza Yogi nie może się odnaleźć. Ostatnio jest bardzo agresywny i nerwowy.

- No dobrze - starał się ją ułagodzić. - Wycofuję to, co powiedziałem.

- A przecież bardzo cię lubiły. - Przy ostatnim słowie głos się jej załamał.

- Wiem, Magdo. - Teraz było mu głupio.

- Przyznaję, że byłeś dla nich dobry. - Pociągnęła nosem. - Pamiętam, jak je karmiłeś ciasteczkami z kremem waniliowym.

Wzruszył ramionami.

- Bardzo je lubiły.

-Zdrapywałaś lukier... To było... wzruszające. - Głośno przełknęła ślinę i wtedy zdałam sobie sprawę, że i ja mam wilgotne oczy. - Dobrze nam było razem - ciągnęła łzawo. - Prawda?

- Tak, czasami. Nie płacz, Magdo, tylko nie płacz. Wiesz, że tego nie znoszę.

- Byliśmy rodziną - szlochała. - Małą, szczęśliwą rodziną!

- Tak, byliśmy. - Pewnie myślał o Jessicę.

- Nie wiem, co się stało - łkała Magda. - Co się popsuło?

W tym momencie Luke nagle odzyskał rozum.

- Zaraz ci to wytłumaczę. Byłaś dla mnie okropna, i to od dawna. Zostawiłaś mnie i znalazłaś sobie kogoś innego.

- To nieprawda... - Ryczała na dobre. Łzy niemal leciały ze słuchawki.

- Ależ tak, Magdo. Nie rozumiem, czemu przejmujesz się, że się z kimś spotykam. Przecież ty jesteś ze Steve'em od pół roku, do cholery!

- Denerwuję się, bo... - chlipnięcie - ...bo nie wiedziałam, że chodziłeś z tą Laurą w Cambridge.

- Tak, to przynajmniej jest prawda - mruknął znużony.

- Nigdy mi o niej nie opowiadałeś.

- Nie? - zdziwił się.

- Ani razu. A to znaczy, że była dla ciebie bardzo ważna.

- Nie, ja... - Spojrzał na mnie błagalnie. Wzruszyłam ramionami.

- I przez te wszystkie lat miałaś na jej punkcie obsesję.

- Rany boskie, Magda!

- Co oznacza, że nasz związek nic dla ciebie nie znaczył - ciągnęła. - Nic a nic! - Szlochała głośno. Wyobraziłam sobie czerwone oczy i usta w podkówkę.

- To nieprawda.

- Byłam... nieważna.

- Nie wygłupiaj się.

- Byłam tylko nagrodą pocieszenia. - Wpadła w histerię. To wariatka, stwierdziłam. Istna świruska. - Jak mogłeś się ze mną ożenić? - wyła.

W tym momencie Luke parsknął śmiechem.

- Ożeniłem się z tobą, bo, o ile pamiętasz, zaszłaś w ciążę! Bez mojej wiedzy!

Gwałtowny oddech. I cisza.

- Ty bezduszny łajdaku! Więc żałujesz tego, tak? Uważasz naszą córeczkę za zwykłą wpadkę?

Luke skrzywił się ze złości.

- Skądże! Nic takiego nie powiedziałem.

- Jak możesz tak mówić o własnym dziecku?

- Magdo, przesadzasz. Jessica jest dla mnie najważniejsza i dobrze o tym wiesz. Uwielbiam ją. Bez wahania oddam za nią życie. I wiesz co? Jessica to cudowna rekompensata ośmiu koszmarnych lat w twoim towarzystwie!

Chwila milczenia. I szloch.

- Pożałujesz tych słów, Luke - wychrypiała. - Pożałujesz. Bo już nigdy więcej nie zobaczysz naszej córki. - I rzuciła słuchawką.

Luke zaraz wybrał jej numer.

- Halo?

- Nigdy więcej, Luke! Słyszysz?

Rozdział 6

Nie rozumiem, jak ty to znosisz - stwierdziła Hope kilka tygodni później. Przyszła do baru Julie's, bo Luke musiał gnać do Chiswick w połowie przystawki, a Hope mieszkała niedaleko, na Clarendon Road. Przyglądała się jego zupie.

- Gazpacho?

- Tak. Zjadł tylko odrobinę.

- Znowu poleciał do Węgierki.

Podałam jej czystą łyżkę.

- Niestety. A może wolisz mój mus łososiowy? Zobacz, dopiero zaczęłam.

- Kuszące, ale zrezygnuję. - Spojrzała na kieliszek. - A co tu mamy?

- Kalifornijskie chablis. Ledwie zamoczył usta.

- Hm... nie przepadam za białymi winami z Ameryki. - Studiowała kartę win, a ja opowiadałam jej o ostatnich wybrykach Magdy.

Nieskazitelnie pomalowane usta Hope zacisnęły się w wąską linię.

- Koszmar.

- Owszem.

- Ja bym tego nie wytrzymała - orzekła. Zwykle nie była tak bezpośrednia. Wyczuwałam, że jest w bojowym nastroju. - Biedny Luke.

- Jej groźby są bez pokrycia - zauważyłam. Bo tak naprawdę Magda ograniczała się do ostrych słów. Nadal kontaktowała się z Lukiem mniej więcej co dziesięć minut, przy czym ostatnio dzwoniła jeszcze częściej, chyba żeby go ukarać za to, że kogoś ma, i udowodnić, że nadal ma do niego prawo.

- Czyli uważa, że może sobie odejść i mieć nowego faceta, ale Luke musi zostać sam i zawsze do jej dyspozycji - podsumowała Hope.

- Tak. - Odłożyłam sztuce. - W domu jest mnóstwo jej rzeczy. Nie zapomniała ich, zostawiła je celowo.

- Jak kot znaczący teren - mruknęła Hope.

Sączyła francuskie wino, a ja opowiadałam, jak Magda z uporem godnym lepszej sprawy wymyśla nowe kryzysy: ulatniający się gaz, zepsuta mikrofalówka, Marsjanie na ganku... I Luke zawsze musi ratować ją z opresji.

Kiedyś ściągnęła go do siebie, bo złamała rączkę w rondlu. A w zeszłym tygodniu musiał jechać, bo Yogi i Ofelia walczyli. Gdy odmówił, zagroziła, że wezwie policję.

- Mieli aresztować Luke'a za nieposłuszeństwo czy kozy za przemoc w rodzinie?

- Nie wiemy. Najgorsze, że doprowadza go do rozpacz, sugerując, że Jessica ma podejrzenie zapalenia opon mózgowych, po czym okazuje się, że chodzi tylko o ból głowy.

Szczerze znienawidziłam komórkę Luke'a. Każdy dzwonek zapowiadał dwudziestominutową tyradę pełną gróźb, szlochów i zarzutów. Nie wyłączała jej jednak ze względu na możliwość prawdziwego kryzysu. Usiłowałam sobie wyobrazić, jak to jest mieć - jak Magda - władzę absolutną.

- Nie rozumiem, jak ty to znosisz - powtórzyła Hope, kręcąc głową. Jak zwykle wyglądała, jakby dopiero co wyszła od fryzjera.

- Cóż, znoszę to, bo... - Przypomniałam sobie, co Mike kiedyś powiedział Fliss. - To kwestia miłości. Kocham Luke'a. Ale przyznaję, że gdybym nie znała go dawniej, byłoby mi ciężko. Gdyby to był nowy związek...

- To jest nowy związek - zauważyła Hope. - Spotykacie się od... sześciu tygodni?

- Tak, ale znamy się o wiele dłużej.

- Jak to? Życie w innym wymiarze czy co?

- No nie, ale już kiedyś byliśmy razem. Mamy wspólną historię. Nie rozumiesz?

- Nie. - Hope zaczynała działać mi na nerwy. - Moim zdaniem to bardzo wygodny układ dla Luke'a. Może spokojnie zostawić cię samą w restauracji, bo jego była pstryknęła palcami.

- Luke ma ciężkie życie - stwierdziłam stanowczo. - Ma córkę, a to wszystko zmienia. - Nie dodałam, że Hope, która nigdy nie chciała mieć dzieci, może tego nie rozumieć.

- Na pewno - przyznała, bawiąc się złotym wisiorkiem od Tiffany'ego, prezentem od Mike'a na urodziny. - AJe nie pozwól, żeby za szybko poczuł się przy tobie bezpieczny. Niech walczy o nową Laurę, a nie bierze ją jak swoją. Jesteś teraz inna. On też.

- Tak, zmieniliśmy się pod wieloma względami, ale wspólna przeszłość to solidny fundament.

- Czyżby? - Nalała sobie wody.

- Magda wie, że jestem dla niego ważna. Nie może mnie lekceważyć jako przelotnej miłośki. No i jest wściekła, że znam go dłużej niż ona. Właśnie dlatego zachowuje się tak okropnie.

- Zachowuje się okropnie, bo taka już jest - odparła Hope stanowczo. - I chyba ma kłopoty z głową. - To akurat prawda. - Co zamówił jako główne danie?

- Jagnięcinę.

- Jaką?

- Pieczoną.

Skinęła głową z aprobatą.

- A do tego?

- Szpinak i puree ziemniaczane. Luke jest po prostu ostrożny i tyle. Nie chce, żeby cokolwiek zagroziło jego kontaktom z Jessicą.

- No dobrze, więc Jessica spędza z nim soboty. W niedziele masz go dla siebie, tak?

- No... nie bardzo. - Nerwowo bawiłam się serwetką.

- Jak to?

-No... bo... Cóż... chodzi do nich.

Hope patrzyła na mnie jak na wariatkę.

- Chcesz powiedzieć, że spędza z małą soboty, a niedziele z nią i Magdą? Westchnęłam.

- No, tak. Od kiedy Magda wie o mnie, zaprasza go na niedzielne obiady. Mówi, że ze względu na Jessicę powinni spędzać razem jak najwięcej czasu.

- Skoro takjey zależy na rodzinnych obiadkach, nie powinna była od niego odchodzić - syknęła Hope. - Czyli ma w garści groźną broń: gulasz i paprykę.

- Tak. Luke chce spędzać z Jessicą jak najwięcej czasu, więc chociaż serce mu pęka ze względu na mnie, chodzi tam. Poza tym Magda odgraża się, że jeśli nie przyjdzie, zaprosi swojego faceta i w końcu to on będzie tatusiem Jessiki.

- Przebiegła krowa - mruknęła Hope. - A jej facet nie ma nic przeciwko, że zaprasza byłego na domowe obiadki?

- Nie, w niedziele gra w golfa i to mu pasuje.

- Nie wiem, jak ty to znosisz - powtórzyła znowu. - Ja bym nie wytrzymała.

- Zdaję sobie sprawę, że to nie jest idealny układ. Ale dwanaście lat temu rozstałam się z Lukiem, bo... no cóż...

- Bo cię zdradził - przypomniała Hope.

- No, tak. - Gniew w jej głosie zaskoczył mnie. - Ale miał wyrzuty sumienia i błagał o wybaczenie, a ja się zapałam. Za szybko ferowałam wyroki. Wszystko było dla mnie czarne albo białe. Teraz, starsza, mądrzejsza i bogatsza o doświadczenie życiowe, jestem bardziej wyrozumiała.

- Za bardzo. I za łagodnie go osądzasz.

- Słuchaj, Hope, uważam, że to zaleta, że dziecko jest dla niego najważniejsze. Nie kochałabym go tak bardzo, gdyby było inaczej. - Znowu pomyślałam o Tomie, który nad rodzinę przedkładał egoizm. Choć bardzo go lubiłam, ten fakt obniżał jego wartość w moich oczach. - Zresztą to tylko przejściowa sytuacja - dodałam. - Luke prosił mnie o cierpliwość.

Hope wzruszyła ramionami.

- Cóż, to twoje życie. Ale ja nie pozwoliłabym tak się traktować. - Bębniła palcami w blat stołu. - O, nie! - prychnęła. - Za żadne skarby.

Zaczynała działać mi na nerwy, więc szybko zmieniłam temat. Wspominałam o artykułach o mnie. Hope pracuje w PR, więc zna się na rzeczy.

- Padłaś ofiarą wojny między „Daily Post” i „Daily News” - wyjaśniła, gdy kelner zabrał talerze. - Wydawcy się nienawidzą.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, tradycja - obie gazety walczą o tego samego czytelnika z klasy średniej. A po drugie, naczelny „Post” poderwał żonę naczelnego „News”. Scrivens zadbał, żeby w „Post” ukazał się artykuł o twoim pijaństwie, więc „Daily News”: musiało mieć coś więcej, stąd romans i zdjęcie.

- Ale jakim cudem zdobyli stare zdjęcie moje i Luke'a?

- Nic prostszego. Wkręcili się do koła absolwentów i odnaleźli waszych starych wspólnych znajomych.

Pomyślałam o przyjaciółach, z którymi zerwałam kontakty, gdy rozstałam się z Lukiem. Niby dlaczego mieliby być lojalni?

- Poprosili ich o wywiad. Albo twojego fryzjera, albo sąsiadów - wyliczała Hope. Pomyślałam o pani Singh. - Każdego, kogo znasz. Dziennikarze są bardzo sprytni. Dziękuj Bogu, że temat umarł śmiercią naturalną.

- Tak, dzięki ministrowi do spraw rodziny.

Hope uśmiechnęła się po raz pierwszy tego wieczoru. We wszystkich gazetach rozpisywano się, jak to powszechnie szanowany Erie Wilton, szczęśliwy ojciec czwórki dzieci, rozpoczął terapię hormonalną przed operacją zmiany płci. Dzięki temu spadłam z afisza.

- Nadal musisz się pilnować - ostrzegła. - Nie rozmawiaj z dziennikarzami.

- Wolałabym zjeść własną nogę.

- Kiedy wyświetlą odcinek z Lukiem?

- Jutro.

- Tak? Pewnie prasa znowu się wami zainteresuje, więc się przygotuj. - Zrobiło mi się niedobrze. Hope zmieniła temat, mówiła teraz o Fliss. - Chrzcziny kosztowały ich pięć kawałków. Szaleństwo. Za trzy miesiące będą musieli sprzedać dom. Mówiła ci, jak zamierza wiązać koniec z końcem?

- Nie, od dawna z nią nie rozmawiałam.

- Wysłała Olivię do pracy.

- Co?

- Jako modelkę. Wysłała jej zdjęcie do agencji modeli dziecięcych i małą przyjęli do banku twarzy. Fliss nie posiada się ze szczęścia, już wyobraża sobie Olivię na okładkach pism i ludzi się, że zarobią na tym kokosy.

Ukradłam jej odrobinę szpinaku.

- A co na to Hugh?

- Uważa, że to żalosne i poniżające, ale Fliss zamknęła mu usta, mówiąc, że nie ma prawa głosu, bo sam w ogóle nie zarabia przez swoje głupie wynalazki. - Hope napiła się wina. - W pewnym sensie ma rację, ale nie sądzisz, że traktuje go zbyt obcesowo?

- Owszem. Chociaż jego wynalazki naprawdę się do niczego nie nadają

- Fakt. Opowiadał ci o przeciwbłotnych ochraniaczach dla kobiet?

- Nie.

- A o pelerynie z PCV?

- Też nie.

- Cóż, przynajmniej próbuje. Fliss jeszcze będzie żałować - prorokowała Hope posępnie. - Bo jeszcze trochę, a Hugh będzie miał wszystkiego dosyć i utnie sobie romans na boku. - Skrzywiła się, jakby ssała cytrynę.

- Myślisz, że byłby do tego zdolny?

Wzruszyła ramionami.

- Jak każdy facet, jeśli tylko ma ku temu okazję. - Przyglądała mi się intensywnie, jakby czekała na moją reakcję.

- Hm... chyba nie każdy.

- Nie wierzę - odparła. - Czasami nawet zastanawiam się, czy... - Odłożyła sztućce.

- Nad czym, Hope?

- Cóż. - Napiła się wina, odstawiła kieliszek i wodziła palcem po krawędzi. - Czasami zastanawiam się, czy Mike nie ma romansu - powiedziała w końcu. - Ba, właściwie... - urwała na chwilę. - Właściwie jestem pewna, że ma. - Teraz zrozumiałam, skąd jej bojowy nastrój.

- Coś ty! - zaprotestowałam. - Nie on! Nie Mike.

- Też tak sądziłam, ale wiesz, Lauro... - W jej oczach zaślniły łzy. - Jestem w dość trudnej sytuacji... Cieszę się, że możemy porozmawiać... - Jej usta zadrżały, ale zaraz wzięła się w garść.

- Co się stało, Hope?

Otarła oczy i ogromny brylant w pierścionku, który dostała od Mike'a na piątą rocznicę ślubu, zamigotał w mdłym świetle.

- No, dobrze - powiedziała. - Opowiem ci.

Nagle dotarło do mnie, że Hope po raz pierwszy będzie mi się zwierzała z problemów małżeńskich. W przeciwieństwie do Fliss zawsze była bardzo dyskretna. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że MI5 poważnie rozważa jej kandydaturę na agentkę.

- Mike ostatnio dziwnie się zachowuje - zaczęła.

Przypomniały mi się złośliwe uwagi na chrzcinach.

- To znaczy?

- Pracuje do późna.

- Od kiedy?

- Od końca stycznia. Co wtorek i czwartek wraca dwie godziny później niż zwykle. - Bawiła się solniczką. - Początkowo nie zwracałam na to uwagi, bo byłam pewna, że między nami wszystko jest w porządku.

- I słusznie - mruknęłam. - Mike zawsze za tobą szalał.

Wzruszyła ramionami.

- Też tak sądziłam.
- Wydawaliście się bardzo szczęśliwi. - Skinęła głową. - I idealnie do siebie pasujecie.
- Wiem. Mieliśmy sporo szczęścia - kochaliśmy się, ale też przyjaźniliśmy się. A teraz mam wrażenie, że wszystko może się skończyć. Bo we wtorki i czwartki Mike wraca dopiero o wpół do dziesiątej. Zwykle oboje jesteście w domu o wpół do ósmej, chyba że Mike pracuje nad nowym kontraktem albo jest w delegacji.
- Pytałaś go, co się dzieje?
- Oczywiście, ale on unika konkretnej odpowiedzi. Odpowiada wykrętnie, że pracuje. Wyczuwam, że coś jest nie tak. Poza tym kilka razy dzwoniłam do niego w tym czasie i nigdy nie było go w biurze. Nie odbierał telefonu stacjonarnego, a komórkę miał wyłączoną.
- Cholera. - Brzmiało to kiepsko. - Powiedziałaś mu to wszystko? Skinęła głową i nerwowo przesunęła wazon narcyzów.
- Był wkurzony, a to mu się prawie nigdy nie zdarza.
- Co mówił?
- Że pewnie wybrałam zły numer, że linia była uszkodzona albo że nie miał zasięgu, albo był w stołówce, windzie czy łazience.
- H m .
- Innymi słowy, stek bzdur. Przez trzy godziny jest nieosiągalny, a kiedy wraca do domu, ma taki dziwny nastrój, bardzo... uczuciowy. Więc w zeszłym tygodniu przyparłam go do muru. - Wzdrygnęła się. - To było okropne. - Położyła dłonie na stole, jakby szukała oparcia. - Zapytałam go prosto z mostu, czy ma romans. Spojrzał na mnie z takim smutkiem w oczach, że już myślałam, że się przyzna. A on tylko powiedział, że nie ma romansu, nigdy nie miał i nie będzie miał, bo mnie kocha.
- Czyli kategorycznie zaprzeczył. Więc dlaczego nadal się denerwujesz?
- Bo nic się nie zmieniło. W każdy wtorek i czwartek pracuje do późna, jest nieosiągalny i nie mówi, gdzie znika.
- Dziwne. Przeglądałaś wyciągi z jego kart kredytowych? Skinęła głową.
- Po raz pierwszy. Nigdy wcześniej nawet nie przyszło mi do głowy, żeby go szpiegować.
- No i?
- Nic. Ale może płaci za szampana i róże gotówką.
- Obce perfumy na jego ubraniu?

- Nie. Ale jestem pewna, że ma kochankę. No bo dlaczego tak ciągle znika i czemu trzyma to w tajemnicy? I te jego humory, kiedy wraca. Poza tym zbliżamy się do siódmego roku...

- Cóż... Rzeczywiście brzmi to podejrzenie.

Milczaliśmy, gdy kelner zabierał talerze. Hope prawie nie tknęła swojego dania.

- Podobno żona nigdy się nie myli - powiedziała, kiedy kelner odszedł. - I podobno każdy mąż kiedyś ma romans.

Pomyślałam o Tomie; taki porządny, a zachował się tak podle.

- Przecież nigdy nie przyszło ci do głowy, że Nick wywinie ci taki numer, prawda?

- Skądże.

- W kółko słyszy się takie historie - ciągnęła Hope w zadumie. - O żonach, które powtarzają: Nigdy nie przypuszczałam, że mnie zdradzi. To nie ten typ. Albo: Sądziłam, że znam swojego męża, a teraz mam wrażenie, że nasz związek to jedno wielkie oszustwo. Niby dlaczego ze mną ma być inaczej, Lauro? Niby dlaczego ja mam być tą szczęściarą? Mnóstwo ludzi cierpi, na przykład ty - znowu miała lzy w oczach - więc może po prostu teraz moja kolej? I właśnie tak teraz wygląda moje życie. - Gorączkowo szukała chusteczki w torebce.

- H m .

Spojrzała na mnie. Miała wilgotne oczy, rozmazany tusz. Nie do wiary, że i Hope to się zdarza.

- Więc... - Nerwowo bawiła się kieliszkiem. - Więc... - Westchnienie. - Więc... co twoim zdaniem powinnam zrobić?

- Och. - Zaskoczyła mnie. Nigdy mi się nie zwierzała, a tu jeszcze prosi o radę! Hope, która szła przez życie niewzruszona jak jej fryzura, ma problemy i szuka wsparcia.

- Co mam zrobić? - powtórzyła.

- Nie wiem - odparłam szczerze. Nie chciałam powiedzieć, że moim zdaniem jej podejrzenia są słuszne. Więc dlatego Mike zachowywał się tak dziwnie na chrzcinach, myślałam; kościół przypominał mu o przysiędze, którą składał sześć lat temu. Maskował wyrzuty sumienia agresją.

- Pomożesz mi? - poprosiła cicho. Przyglądałam się jej zdumiona. Wyglądała jak dwunastolatka.

- Oczywiście - wykrztusiłam. - Pogadamy, kiedy tylko będziesz chciała, o każdej porze dnia i nocy, przecież wiesz.

- Nie o to mi chodzi.
- A o co? - zdziwiłam się.
- Zamrugła kilka razy i głęboko zaczerpnęła tchu.
- Chciałabym, żebyś go śledziła.
- Co? - Serce stanęło mi w gardle. - Nie prosz mnie o to. Nie mogę...
- Proszę - nie dała mi dokończyć. - Musisz.
- Pokręciłam głową.
- Nie.
- Dlaczego?
- Bo jeśli Mike naprawdę ma romans, nie chce być tą, od której się dowiesz. Niewykluczone, że to zmieni nasze stosunki do końca życia.
- Wolę dowiedzieć się od ciebie niż od kogokolwiek innego. Jesteśmy siostrami, poradzimy sobie z tym.
- Nie byłabym taka pewna, to istne pole minowe.
- Czułam się nieswojo, widząc Hope w takim stanie. Jej niespodziewana kruchość budziła lęk.
- Słuchaj, Lauro, potrzebuję twojej pomocy. Nie mogę przecież poprosić o coś takiego przyjaciółki. Zresztąja ci pomogłam, prawda?
- Miałam nadzieję, że tego nie powie.
- Tak, Hope, ale to było co innego. Musiałś tylko wypisać mi czek, który zresztą spłaciłam najszybciej, jak mogłam. A jeśli zrobię to, o co mnie prosisz, może się okazać, że zapłacę ogromną cenę emocjonalną. Nie rozumiesz? Jeżeli chcesz poznać sekret Mike'a, zatrudnij kogoś z zewnątrz, może detektywa? - Pokręciła głową. - Dlaczego nie? Stać cią na to.
- Nie chodzi o pieniądze - wyjaśniła - tylko o wstyd! Musiałabym się zwierzyć obcemu... I nie miałabym żadnej gwarancji, że tego nie rozgada. A ty na pewno zachowasz dyskrecję. W przeciwieństwie do Felicity. Błagam cię, Lauro - szepnęła. - Miałam do ciebie zadzwonić, ale tak, twarzą w twarz, jest łatwiej. Cieszę się, że Luke musiał wyjść, bo dzięki temu możemy porozmawiać.
- Nie możesz sama go śledzić?
- Nie. - Wzdrygnęła się. - Na pewno zauważyłby mnie, wyczuł moją obecność. A ciebie nie zobaczy. Błagam - dodała. - Błagam.
- Widziałam jej rozpacz. Bardzo chciałam jej pomóc.
- Przykro mi, Hope, ale nie mogę.

Lubię fakty. Czerpię z nich otuchę. Fakty dają poczucie bezpieczeństwa. Można na nich polegać, w przeciwieństwie do opinii. I nie chodzi mi tylko o fakty typu Ryga jest stolicą Łotwy, lecz o fakty w szerszym znaczeniu. I tak, niestety, w zachowaniu Mike'a były pewne fakty, które nieuchronnie prowadziły do smutnego wniosku, że ma romans. Dlatego odmówiłam Hope.

Gdybym uważała, że się myli, spełniłabym jej prośbę z radością; chciałabym móc jej udowodnić, że jest w błędzie. Ale byłam pewna, że ma rację. Bo niby dlaczego Mike zachowuje się tak dziwnie? Gdyby robił coś przyzwoitego - chodził na siłownię czy kurs języka - powiedziałby o tym.

Mógł robić coś w gruncie rzeczy nieszkodliwego, do czego z sobie tylko wiadomych powodów nie chce się przyznać. Na przykład chodzić do psychiatry albo do kościoła, albo na spotkania Strażników Wagi (nie, żeby był gruby), albo Anonimowych Alkoholików (nie, żeby pił), albo do klubu go-go z co śmielszymi kolegami. Ale gdyby to było coś takiego, powiedziałyby w końcu, zamiast pozwolić, żeby Hope się gryzła.

On jednak konsekwentnie odmawiał odpowiedzi i dwa razy w tygodniu wracał do domu znacznie później niż zwykle. Fakty zdawały się potwierdzać teorię Hope, że Mike kogoś ma. To dlatego była taka rozdrażniona. I dlatego czepiała się Luke'a. Zamiast na Mike'u, wyżywała się na nim.

Mimo wszystko czułam się okropnie, odmawiając jej pomocy.

- Przykro mi, Hope - powtórzyłam - ale nie zrobię tego. - Teraz ja bawiłam się serwetką.

- Nawet wiem dlaczego. Odmawiasz, bo jesteś zła, że krytykowałam Luke'a? Bo nie powiedziałam tego, co chciałaś usłyszeć.

- Nieprawda.

- A właśnie, że tak. Zupełnie jak w dzieciństwie. Chcesz mnie ukarać.

- Nie.

Sięgnęła po torebkę.

- Idę do domu. Proszę, nie powtarzaj nikomu, o czym rozmawiałyśmy.

- Oczywiście. Przecież wiesz, Hope.

- Tak - odparła lodowato. - Wiem, że na twoją dyskrecję mogę liczyć, choć nie na twoją pomoc. - Spojrzała na mnie jak konający Cezar na Brutusa i wyszła.

Chcąc się utwierdzić w słuszności mojej decyzji, wyobraziłam sobie, że spełniam jej prośbę. Pijąc espresso, wyobrażałam sobie, że śledzę Mike'a. Idę za nim albo jadę taksówką, zachowując bezpieczną odległość, i mam nadzieję, że nikt mnie nie rozpozna, co teraz, gdy moja twarz staje się znana,

nie jest takie proste. Patrząc, jak wchodzi do domu kochanki albo do obskurnego hotelu, czekam, aż wyjdzie, ze zmierzwionymi włosami i przekrzywionym krawatem, może z nią. Hope na pewno chciałaby mieć zdjęcia. Wyobraziła sobie, jak wręczam jej zdjęcie całującej się pary. Nie, powtórzyłam, nie ma mowy. Chętnie oddam siostrze nerkę, krew, szpik kostny albo oszczędności mojego życia, ale nie przekażę jej złych wieści.

Bo załóżmy, że Hope rzuci Mike'owi w twarz moje dowody i on się przyzna. Co, jeśli się rozwiodą? Do końca życia będę się dręczyła świadomością, że przyczyniłam się do tego. A jeśli Mike zerwie z kochanką, pójdą z Hope na terapię małżeńską i zostaną razem? Świetnie, ale ja już zawsze kojarzyłam im się z kryzysem w ich związku. Mieliby do mnie żal, zwłaszcza Mike. Zresztą nawet gdyby Hope mu wybaczyła, straciłabym do niego całą sympatię i nasze kontakty uległyby znacznemu ograniczeniu. Wiedziałam więc, że muszę się trzymać od tego z daleka, ale nie było mi z tym dobrze. Siedziałam tak i w kółko analizowałam naszą rozmowę, rozważając, co mogę zrobić, żeby pomóc siostrze, aż zadzwonił Luke. Powiedział, że wraca i po mnie wpadnie. Zapłaciłam i postanowiłam naprawić szkody w mojej urodzie, zanim się zjawi. Idąc do łazienki na dole, spojrzałam w lewo, do baru. Kiedy tu wchodziliśmy, był pusty, ale teraz się zapełnił.

Pod oknem siedziała grupka młodych kobiet, w środku dwóch mężczyzn, a w rogu, najbliżej mnie, para trzydziestolatków. Sądząc po napięciu między nimi i szampanie w kubelku, była to randka, jedna z pierwszych, ale rokująca poważny związek. Mężczyzna uśmiechał się i coś mówił, kobieta słuchała go z zainteresowaniem.

Chwilami dotykała jego ramienia, odrzucała głowę do tyłu, eksponując łabędzią szyję. On także zachowywał się zmysłowo. Pochylił się, dotknął jej ramienia, zsunął rękę i mało brakowało, a musnąłby jej pierś. Kobieta uśmiechała się zachęcająco. Byli uosobieniem pary w fazie fascynacji, ślepiej na cały świat. Mogłabym przejść im przed nosem, a i tak nie zwróciliby na mnie uwagi. Nie zrobiłam tego jednak, bo ich znałam i nie chciałam ryzykować. Stałam na schodach, nie wiedząc, co robić, gdy Hugh, szarmancki jak zwykle, rozwiązał mój dylemat. Zapłacił, wstał, podał Chantal Vale płaszcz, otworzył drzwi i oboje wyszli.

Rozdział 7

Nie najlepiej radzimy sobie w małżeństwie, moje siostry i ja. Nasze związki albo całkiem się rozpadły, jak mój, albo stoją na krawędzi przepaści. Wyobraziłam sobie przerażenie mamy, gdyby o tym wiedziała. Oczywiście ode mnie się nie dowie. Ona i ojciec obchodzili w zeszłym roku czterdziestą rocznicę ślubu. Wracałam z Lukiem samochodem i wspominałam, jak Hugh rozmawiał z Chantal na chrzcinach. Pewnie od lat się w nim kochała. Teraz wyczuła małżeński kryzys - jak lew wyczuwa słabość starej antylopy - i czai się w pobliżu.

Luke zdenerwowany zachowaniem Magdy nie zauważył mojego roztargnienia. Opowiadał, że nie musiał do niej jechać, że chciała tylko zepsuć mu humor, że się z nią pokłócił, przez co Jessica się rozplakała, a tego sobie nigdy nie daruje.

- Nie panuje nawet nad sobą - warknął, parkując przed domem - a wydaje jej się, że ma nade mną władzę. Wcale nie!

- Wcale - mruknięłam, gdy w jego kieszeni zadzwonił telefon.

- Tak, Magdo - syknął. - Nie. Tak.

Postanowiłam wykorzystać jego podły nastrój. Zanim się położyliśmy, spytałam, czy mógłby zabrać rzeczy Magdy z szafy i jej odwiedzić. Zastygł ze szczoteczką do zębów w garści.

- Nie - odparł. - To ją tylko sprowokuje. - Pochylił się nad umywalką, splunął. - Uzna, że ją odrzucam.

- Przecież to absurd.

- Wiem. - Starannie czyścił zęby nicią. - Ale Magda chciałaby mieć ciastko i je zjeść. Powie Jessicę, że wyrzuciłem jej rzeczy, i mała się zdenerwuje. Zresztą co nas obchodzą jej łachy, Lauro? - Wziął mnie za rękę i pocałował. Smakował pastą do zębów. - Liczy się tylko to, że znowu jesteśmy razem. Nie wytrzymasz tego?

- Luke, właśnie dlatego, że znowu jesteśmy razem, nie mogę tego wytrzymać. Jestem wobec ciebie o wiele bardziej zaborcza, niż gdybyśmy dopiero zaczynali. Więc nie, nie wytrzymam tego. Zresztą to nie są zwykłe ubrania. Pogodziłabym się z adidasami czy powyciąganą bluzą, ale Magda zostawiła tu inne rzeczy, bardzo seksowne. To prowokacja.

- Fakt - skinął głową. - Jest bardzo bojowa.

- Niby dlaczego mam oglądać jej wieczorowe kreacje obok twoich koszul i jej koronkową bieliznę w twojej szufladzie? - Otworzyłam szafkę nad

umywalką. - I nie życzę sobie widzieć jej tamponów, kiedy szukam pasty do zębów. Czy kiedy u mnie jesteś, oglądasz rzeczy Nicka? Nie. W łazience nie stoi jego krem do golenia. Jego slipy nie poniewierają się wśród mojej bielizny. Wyobraź sobie, jak byś się poczuł na moim miejscu.

- Byłbym wściekły, ale to co innego.

- Owszem - przyznałam. - Mój były zniknął, więc nikomu nie komplikuje życia. Magda popada w drugą skrajność. Odeszła od ciebie, ale ciągle jest obecna.

- Jest częścią mojego życia i zawsze będzie, jako matka mojej córki. Zrozum, że muszę utrzymywać poprawne stosunki z Magdą. Nie mogę sobie pozwolić na wrogość między nami, przynajmniej dopóki Jessica jest mała.

- Ma cię w garści - stwierdziłam już w łóżku.

- Chyba tak - przyznał cicho. - Ale nie zrobię niczego, co ograniczyłoby mi kontakty z Jessicą.

- W porządku, rozumiem, ale są pewne granice. Skoro nie możesz oddać Magdzie jej rzeczy, to przynajmniej je schowaj, żeby nie musiała ich oglądać, ilekroć tu jestem.

- Jezu, miałem już dość problemów jak na jeden wieczór - mruknął z irytacją.

Działamy sobie na nerwy, uświadomiłam sobie nagle. Miesiąc miodowy dobiegł końca.

- Sama to zrób - powiedział Luke, naciągając kołdrę na głowę. Jeśli naprawdę tak ci na tym zależy.

- Dobrze. Zrobię.

Przyniosłam z kuchni trzy plastikowe torby. Do dwóch włożyłam ubrania Magdy i wepchnęłam obie pod łóżko. Do trzeciej spakowałam jej kosmetyki. Ta torba wylądowała w szafce w łazience.

Dopiero teraz rozpakowałam kilka drobiazgów, które chciałam zostawić u Luke'a: błękitne jedwabne kimono, prezent od Hope z Tokio, zielony kaszmirowy sweter, dżinsy, trochę bielizny i kosmetyków. W szafce nad lustrem postawiłam krem do twarzy, balsam do włosów i kosmetyki.

Wróciłam do łóżka.

- Nie pozwól, żebyśmy się pokłócili - mruknął Luke, obejmując mnie. - Właśnie tego chce Magda - wbić klin między nas.

Przysięgłam sobie, że to się jej nie uda.

- Kocham cię, Lauro - szepnął. - Tak się cieszę, że znowu cię odnalazłem. Mój gniew topniał z każdą sekundą.

- Przepraszam, że wieczorem zostałam sama.

Poczułam jego zarost na ramieniu.

- Fajnie było z Hope?

Pomyślałam o jej problemach, o małżeństwie Felicity i uświadomiłam sobie, że wszystkie borykamy się w naszych związkach.

- Bardzo - odparłam.

Nie powiedziałam Hope, że widziałam Hugh z Chantal, bo nie chciała ze mną rozmawiać. Następnego ranka dzwoniłam do niej trzy razy, ale jej asystentka za każdym razem mówiła, że Hope jest zajęta. Po głosie poznałam, że kłamie. Hope, najmłodsza siostra, przywykła, że zawsze dostaje to, czego chce. Było mi jej żal, bo otworzyła się i nie dostała w zamian tego, czego chciała. Wysłałam jej ciepły SMS z numerami telefonicznymi trzech prywatnych detektywów. A potem zastanawiałam się, co zrobić z Fliss...

Mogłabym dać Hugh do zrozumienia, że widziałam go z Chantal, ale jedynym skutkiem byłoby to, że następnym razem zachowają większą ostrożność. Mogłabym sama porozmawiać z Chantal... Nie, nie mogłabym. To byłoby prymitywne. Czyli muszę po prostu pogadać z Fliss. Jest taka szczerza, że od razu będę wiedziała, czy coś podejrzewa. Zadzwoniłam do niej i powiedziałam, że wpadnę po pracy z prezentem wielkanocnym dla Olivii.

- Świetnie... - mruknęła. Wydawała się roztargniona. - No dobra, wpadnij... Może koło piątej.

- Wszystko w porządku, Fliss?

- Szczerze mówiąc, nie. Wiesz co? Martwię się.

- Czym? - zapytałam niewinnie. Po drugiej stronie usłyszałam głośne westchnienie. Wiedziała. Wiedziała o Hugh i Chantal.

- Ouvia ma dziś pierwszy casting. Do reklamy nosidełka. Bardzo, ale to bardzo się denerwujemy. Proszę, trzymaj za nas kciuki.

Po nagraniu poprosiłam szofera, żeby mnie podrzucił na Moorhouse Road. Podeszłam do drzwi i nacisnęłam dzwonek. Tuliłam do piersi grającego królika, którego kupiłam dla Olivii. Tak bardzo się denerwowałam, że ścisnęłam go za mocno i zaczął grać kołysankę. Drzwi się otworzyły. Na progu stała Fliss z Olivią w ramionach i promiennym uśmiechem na twarzy.

- Dostałyśmy rolę! - zawołała. - Właśnie dzwonił agent Olivii. Bomba!

- No, tak. - Z trudem wyminęłam wózek.

- Musiała tylko kilka razy podskoczyć na tej huśtawce, uśmiechać się do kamery i bingo! Siedemset pięćdziesiąt funtów! Fotograf powiedział, że

w życiu nie widział ładniejszej dziewczynki. Tak powiedział pławdaskalbeńku? - Olivia klasnęła w pulchne łapki. - Tak jest myszko! Brawo, brawo! Bal-
dzomądladzidzia! - szczebiotała, wycierając małą buzię rąbkami koszulki.
- Jutro mamy następny casting - ciągnęła, gdy szłyśmy do kuchni. Do
reklamy płynu do płukania przyjaznego dla środowiska. Musi tylko siedzieć
na ręczniku i ślicznie wyglądać, co w jej wypadku nie stanowi żadnego pro-
blemu. Jeśli nam się uda, zarobimy tysiąc dwieście. W przyszłym tygodniu
dwa kolejne castingi. Podobno są dzieci, które nie wychodzą z kojca za mniej
niż pięć tysięcy. Olivia niedługo do nich dołączy. Włożyła małą do kojca,
w którym Olivia wyglądała jak miniaturowy więzień.

- Fliss, nie ekscytuj się tak, ona dopiero zaczyna.

- Wiem, wiem, ale jest taka śliczna, że na pewno zrobi karierę. Poza tym
ma charakter, a na tym bardzo im zależy - powiedziała Fliss, nalewając wodę
do czajnika. Niektóre matki były nie do zniesienia. Bez przerwy opowiada-
ły o swoich dzieciach.

- Doprawdy? - Zerknęłam na powiększone zdjęcie z USG z trzynastego
tygodnia ciąży. - Pewnie okropnie się wynudziłaś.

- Cóż, nic na to nie poradzą. - Machnęła ręką. - Nawet nie zdają sobie
sprawy, że to robią. Zero samokrytyki.

Olivia zerwała papier z prezentu i usiłowała wsadzić go sobie do buzi.

- Śliczny kluczek pławdakochanie? - zaszczebiotała Fliss. - Dziękujemy,
Lauro. - Spojrzała na mnie przez ramię i zobaczyła resztki jedzenia na rękawie
koszulki. - O Jezu. Jak zawsze. - Wytarła się pospiesznie. - Jaką chcesz
herbatę? Lapsang czy kenijską?

- Lapsang, ale nie mam dużo czasu. A właściwie, gdzie jest Hugh?

Wyrzała do ogrodu.

- W tej cholernej szopie. Siedzi tam godzinami. Twierdzi, że wpadł na
genialny pomysł.

- Jaki?

- Nie chce powiedzieć. Uważa, że nie wspieram go dostatecznie. Pewnie
to coś równie przydatnego jak pralka dla nudystów. Jeszcze trochę, a Hugh
przejdzie na utrzymanie sześciomiesięcznej córeczki!

- Felicity - zaczęłam. Niespokojnie przestępowałam z nogi na nogę. -
Słuchaj, Fliss...

- Tak?

- Widzisz, chodzi o to, że...

- Co jest, Lauro? - Spojrzała na mnie. - Wyglądasz jakbyś wracała z włas-
nego pogrzebu. - Nagle spoważniała. - Boże, stało się coś?

- Nie, chyba nie. Przynajmniej jeszcze nie. - Słyszałam, jak woda w czajniku zaczyna bulgotać.

- O co ci chodzi? Jak to: jeszcze nie?
Para osiadała na oknie.

- Co się dzieje, Lauro? Mów jaśniej.

- Cóż, po prostu uważam, że powinnaś spędzać z Hugh więcej czasu.
Wzruszyła ramionami.

- Spędzam z nim całe dnie.

- Ale nigdzie nie wychodzicie z domu.

- Nie możemy. - Postawiła dzbanek na stole. - Nie mamy opiekunki do dziecka.

- Poszukajcie. W agencji.

- Chyba oszalałaś! Nie zostawię Olivii z nieznajomą!

- Więc ja się nią zajmę.

- Naprawdę?

- Tak. Nie wiem, dlaczego do tej pory mnie o to nie prosiłaś.

- Cóż. - Włożyła do dzbanka dwie torebki herbaty. - Nigdy nie wychodzimy z Hugh w tym samym czasie, więc nie było takiej potrzeby.

- No właśnie. I to błąd. Ale Olivia ma już ponad pół roku, więc najwyższy czas, żebyście zaczęli. Uważam też, że powinniście razem wyjechać.

- Tak, jutro jedziemy na Wielkanoc do rodziców Hugh.

- Chodziło mi o wyjazd tylko we dwoje. Może wyskoczą do jakiegoś przytulnego hoteliku? Na przykład na twoje czterdzieste urodziny?

- Przecież to dopiero w lipcu, zresztą nie stać nas na to. Jak wiesz, Hugh nic nie zarabia, a mnie się kończy urlop macierzyński. Czeką nas zasiłki.

- Nie wydasz ani pensa. Ja zapłacę za wszystko w ramach prezentu urodzinowego.

- Naprawdę? - Wyjęła dwa kubki, oba ozdobione podobizną Olivii. - Cóż, to bardzo miło z twojej strony. - Spojrzała na mnie badawczo. - Ale właściwie dlaczego tak ci na tym zależy?

- Bo uważam, że to dobry pomysł. Bardzo dobry.
Otworzyła puszkę z ciastkami.

- No tak, ale dlaczego? - Zerknęła na mnie z ukosa. - Do czego zmierzasz, Lauro?

- Och, do niczego. - Usiadłam.

- Znam cię. Coś ci chodzi po głowie, prawda? Czegoś mi nie mówisz. - Woda w czajniku zawrzała.

- Cóż... masz rację. Uważam, że zaniedbujesz Hugh. Do tego stopnia oszalałaś na punkcie Olivii, że zaniedbujesz męża, a to może mieć... konsekwencje. I to poważne.

Zmrużyła oczy.

- Co ty sugerujesz, Lauro? - Nalała wody do imbryka. Powietrze wypełnił cierpki zapach herbaty Lapsang. - Powiedz szczerze.

- Po prostu uważam, że możesz sobie narobić kłopotów.

- Jakich? - zdenerwowała się. - Mów jaśniej.

- No dobrze. - Głęboko zaczerpnęłam tchu, jakbym miała zanurkować. - Widziałam wczoraj Hugh. W Julie's.

Felicity patrzyła na mnie spokojnie, gdy jej wszystko opowiadałam. Kiedy skończyłam, zapadła długa cisza.

- Hugh i Chantal? - powiedziała wreszcie. - Sugerujesz, że Hugh i Chantal...

- Niczego nie sugeruję - wpadłam jej w słowo. - Po prostu uważam, że powinnaś być ostrożna, i tyle.

Felicity opadła na krzesło. Olivia przyglądała się jej przez szczelki kójca.

- Sugerujesz, że Hugh i Chantal...

- Słuchaj, Fliss, ona leciała na niego jak mucha na lep. Rozumiesz?

Pokręciła głową z niedowierzaniem, ale była wyraźnie wstrząśnięta. Zrozumiałam, że popełniłam błąd. Fliss, tak jak Hope, nie zniesie prawdy. Wykrzywiła usta i - o mój Boże! - zaczęła się śmiać.

- Dawno nie słyszałam niczego równie zabawnego - zdołała wykrztusić.

- To nie jest śmieszne - zachnęłam się.

- Ależ jest! - Jej ramiona trzęsły się ze śmiechu.

- Sama widziałam, jak Chantal flirtowała z Hugh.

- Chantal? Niemożliwe. - Fliss nalała herbatę do kubków.

- Skąd wiesz?

- Bo znam ją od dwudziestu jeden lat. I zapewniam cię, że nie jest... taka.

- Więc dlaczego siedzieli razem w knajpie?

Wzruszyła ramionami.

- A dlaczego nie? Hugh to także jej przyjaciel. Zresztą powiedział mi, że się z nią umówił.

- Ale po co? Bez ciebie?

Ukroiła plasterki cytryny.

- Boja muszę zajmować się Olivią.

- Nie mogli się spotkać tutaj?

- Mogli, ale Julie's jest Chantal po drodze z pracy. A Hugh chciał się jej poradzić.

- W jakiej sprawie?

- Zawodowej. Chodzi o ten jego nowy wynalazek, o którym nie chce mi nic powiedzieć.

- A niby jak Chantal ma mu pomóc? Jest prawnikiem.

- I zajmuje się patentami. Ma ścisły umysł, to coś dla niej.

- Och.

- Pewnie Hugh chciał z nią omówić swój wynalazek - powiedziała Fliss, podając mi kubek.

- Ale... on ją dotykał. Widziałam to. A ona go zachęcała, uśmiechała się uwodzicielsko.

- Hugh to bardzo spokojny człowiek. Chantal obiecała, że pomoże mu przeprowadzić procedurę patentową, co podobno normalnie kosztuje dwa tysiące funtów. Pewnie chciał jej po prostu podziękować. Zresztą mogę zaraz do niej zadzwonić i o wszystko wypytać. - Zachichotała. - Hugh i Chanty... Ale numer.

Wstałam.

- Słuchaj, rób, co chcesz. Ja tylko chciałam cię chronić. Nie chcę, żebyś cierpiała. Jesteś moją siostrą.

- Och, Lauro, wiem, że chciałaś jak najlepiej, i jestem ci bardzo wdzięczna, naprawdę. Tylko że się mylisz.

Nie myślę się, powtarzałam sobie, idąc do domu. Wiem, co widziałam. Język ciała nie kłamie. Widziałam, jak Hugh dotyka Chantal, widziałam, jak mało brakowało, a pieściłby jej pierś. Jeśli Felicity uważała to za niewinny przyjacielski gest, jest jeszcze bardziej naiwna, niż sądziłam. Nie traktuje Hugh jako partnera, męża i dlatego, spragniony seksu i towarzystwa, zwrócił się ku Chantal, która najwyraźniej służyła mu czymś więcej niż pomocą zawodową. No, aleja zrobiłam, co do mnie należało, teraz umyłam ręce. Nie będę też zawracała sobie głowy problemami Hope. Mam dość własnych. Na przykład spotkanie z Jessicą. Jest dzisiaj u Luke'a, bo Magda i Steve idą na bal do hotelu Savoy i Luke uznał, że to świetna okazja, byśmy się z Jess poznały. Zjemy razem kolację, a potem obejrzymy teleturniej. Bardzo się denerwowałam, o wiele bardziej niż przed dwunastu laty, kiedy miał mnie przedstawić rodzicom.

Za dziesięć siódma nacisnęłam dzwonek przy drzwiach. Usłyszałam lekkie kroki, zgrzyt zamka i po chwili drzwi uchyliły się ostrożnie. Jessica stanęła

w progu. Miała na sobie spódniczkę w szkocką kratę i szary sweterek. Na jej nosie tkwiły okulary w niebieskich oprawkach. Przyglądała mi się chwilę, a potem uśmiechnęła się nieśmiało. Kamień spadł mi z serca. Nie zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, nie załała się łzami. Luke pojawił się za jej plecami i posłał mi całusa.

- Cześć, Jessico. - Serce waliło mi jak młotem, mimo zimna byłam cała spocona.

- Jess, to Laura - przedstawił mnie Luke. Mała przechyliła głowę, jak naukowiec, który przygląda się nowemu gatunkowi. - Wpuść ją, dobrze? - Odsunęła się na bok. W świetle lampy jej warkocz, upięte w koronę, wyglądały jak aureola.

- Widziałam cię - oznajmiła.

- Tak?

Skinęła głową. Czuałam się nieswojo pod jej bystrym spojrzeniem.

- W telewizorze. - Podciągnęła podkolanówki. Jej nóżki były blade i cienkie jak patyczki.

- Wiesz, Jess, dzisiaj Laura znowu będzie w telewizji - powiedział Luke. - Obejrzymy ją razem?

Mała znowu skinęła głową. Luke puścił do mnie oko.

- Mam dla ciebie niespodziankę - zwróciłam się do Jess.

- Niespodzianką? - ucieszyła się. - Masz dla mnie niespodziankę?

- Tak. Proszę. - Podałam jej reklamówkę. Spojrzała pytająco na ojca.

- W porządku, kochanie, możesz otworzyć. - Wyjęła wielkie jajo wielkocenne ozdobione różową wstążką. Spoczywało w kubku z Małą Syrenką.

- Dziękuję - powiedziała takim tonem, jakby się spodziewała starej wiedzy, a zobaczyła Śnieżkę.

- To na niedzielę - tłumaczyłam, gdy Luke pomagał mi zdjąć płaszcz. - Ale możesz rozpakować wcześniej, jeśli tatuś pozwoli. Masz fajne okulary - dodałam.

- Nowe - pochwaliła się. - Okultysta mówi, że muszę je nosić.

- Okulista, skarbie - poprawił Luke. - Okulista. Powtórz: okulista.

- Okultysta.

Rozpromienił się.

- Bardzo dobrze.

Odprężyłam się. Wieczór zaczął się świetnie. Poszliśmy do kuchni i Luke zabrał się do kolacji. Na blacie stała siatka z zakupami z supermarketu. Luke wyjmował jedzenie, a Jessica opowiadała mi o szkole i pokazała rysunek z zajęć plastycznych.

- Śliczny. To tatuś? - zapytałam, wskazując wysoką postać w kapeluszu z folii aluminiowej.

- Tak. - Machinalnie macała kciukiem rozchwiany ząbek.

- A to ty? Tutaj, w niebieskim płaszczyku?

- Tak, a to - wskazała kuleczki żółtej wełny - kaczki.

- Śliczne.

- Gdzie jest kurczak? - mruknął Luke. Wysypał wszystko z torby. - Zosta-
wiłem go w sklepie. Cholera!

Jessica spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Nie mów „cholera”, tatusiu.

- Masz rację, skarbie, to brzydkie słowo.

- Pójdę po tego kurczaka - zaproponowałam.

- Nie, poczekajcie na mnie z Jessicą, sam polecę. W porządku, Jess? Zo-
stań z Laurą, wrócę za pięć minut.

Wahała się przez moment, ale skinęła głową. Tak się ucieszyłam, że nie od-
mówiła ani nie rzuciła się do telefonu wzywać Towarzystwo Przyjaciół Dzieci,
że posłałam jej radosny uśmiech. Przy okazji przyjrzałam się jej uważnie. Była
bardzo podobna do ojca: miała jego usta i nos, ale oczy miała jasnoniebieskie,
z dużymi źrenicami. Była śliczna. Gdy za Lukiem zaniknęły się drzwi wejścio-
we, Jess podeszła do szafki i wyjęła żółtą puszkę po ciastkach.

- Chcesz zobaczyć moje zdjęcia? - zapytała.

- Pewnie. Sama je robisz?

Skinęła głową i wyciągnęła z plecaka czerwony aparacik.

- To nie zabawka - pochwaliła się. - Mamusia mi dała na urodziny.

- Śliczny. Robi dobre zdjęcia?

- Bardzo dobre. - Wyjęła z puszek plik fotografii.

Było tam mnóstwo nieostrych zdjęć kóz, którymi przesadnie się zachwy-
całam. Nie wyglądały na miniatutki, raczej na zwykłe kozy na krótkich nóż-
kach. Takie kozie jamniki, pomyślałam.

- Którą lubisz najbardziej?

- Żadną. - Chyba uznała, że to niestosowne pytanie. - Kocham wszystkie
tak samo. - Pokazała czarną kozę z białą bródką i zachichotała. - To Yogi.
Czasami się bije.

- Tak?

- I mama stawia go do kąta.

- Naprawdę? - Skinęła głową i znów zachichotała, podając mi następne
zdjęcie. Spojrzałam na nie i poczułam się jak kukielka, której przecięto sznur-
ki...

Luke obejmował Magdę, a ona uśmiechała się promiennie, wpatrzona w jego oczy. Nagle zrobiło mi się niedobrze. Odwróciłam fotografią w poszukiwaniu datownika i zobaczyłam małe jasnoszare cyferki - 20-03-05. Ubiegła niedziela. Jessica podała mi kolejną fotografią. Znowu Magda i Luke, w niedzielę dwa tygodnie temu. Siedzieli przy stole i uśmiechali się do obiektywu, jasne włosy Magdy opadały na ramię Luke'a. Czułam się, jakby pchnięto mnie nożem.

- Hm - mruknęłam. - Ładne. A gdzie je zrobiłaś?

- U Nagyi.

- U kogo?

- Nagyi. To moja węgierska babcia. Mieszka w Amersham.

-Aha.

- Moja angielska babcia i dziadek mieszkają w Kent.

- Wiem. - Aż za dobrze pamiętałam tamten dom. Jessica podała mi następne zdjęcie. Ona, Magda i Luke stali w ogrodzie jego rodziców, pod wierzbą płaczącą. Jessica ustawiła się między rodzicami i mocno trzymała ich za ręce, jakby się bała, że odejdą. Wręczała mi kolejne fotografie, a na nich zawsze to samo: Luke i Magda czasami objęci, czasami trzymali się za ręce.

- Dzięki, że mi je pokazałaś - wydusiłam z siebie.

- Moja mama jest bardzo ładna - oznajmiła Jessica. Nie była złośliwa, po prostu stwierdziła fakt.

- Tak. - Udało mi się opanować drzenie głosu. - Jak ty.

- Kiedyś była modelką.

-Tak?

- W ten sposób poznała tatusia. Rysował ją.

- Aha, rozumiem. - „Poznaliśmy się na zajęciach...”

- Była taka ładna, że się w niej zakochał. - Jessica zakryła dłonią usta, żeby stłumić chichot. - Była bez ubrania!

- Tak? - mówiłam coraz ciszej.

- Tak. Była golotka.

Nagle wyobraziłam sobie Luke'a, jak pożądliwie przygląda się Magdzie wyciągniętej na szeszlunku niczym współczesna Maja. Jak rysuje ją szybkimi pociągnięciami ołówka. Przypomniało mi się, co powiedział. Magda bardzo go pociągała. Może nadal tak jest...

- Jest bardzo ładna - powtórzyła radośnie Jessica. - Taka ładna, że się w niej zakochał, a ona w nim, i się pobrali i... i ... - Słowa „żyli długo i szczęśliwie" wisiały w powietrzu. Jessica westchnęła ciężko.

- A potem ty się urodziłaś i byli bardzo szczęśliwi - dokończyłam.
Cisza. Słyszałam tylko monotony szum lodówki. Jessica rozłożyła zdjęcia na stole, jak wróżka karty. Zegar na górze wybił siódmą.

- Moja mama mówi... - znowu urwała.
- Co mówi?
Zaczerwieniła się, oparła łokcie na stole, ukryła twarz w dłoniach.
- Mama mówi... - Podrapała się stopą w łydkę.
- Co mówi mama, Jessico?
- Mówi, że... - Głęboko zaczerpnęła tchu i podrapała się w nos. - Że na pewno jesteś okropna.
Poczułam się, jakbym dostała w żołądek.
- A dlaczego? - spytałam spokojnie.
- Bo twój mąż... sobie poszedł i nie wrócił. - Założyła jasny kosmyk za ucho.
- Cóż, to prawda, mój mąż sobie poszedł i nie wrócił. Ale to nieprawda, że jestem okropna. Twój tatuś chyba tak nie uważa.
- Nie. - Pokręciła głową. - Tatuś mówi, że jesteś fajna.
- Może sama zdecydujesz? Poznasz mnie trochę i sama będziesz wiedziała, jaka jestem. Dobrze, Jessi? - Usłyszałyśmy szcęk klucza w zamku i kroki Luke'a w korytarzu.
Spojrzała na mnie dziwnie i skinęła głową.
- Dobrze.
Luke szybko przygotował kolację, panierowane piersi kurczaka, podobno ulubione danie Jessiki.
- Ucięłam sobie z Jess miłą pogawędkę - zaczęłam, kiedy mała wyciskała keczup na talerz. - Opowiedziała mi, jak się poznaliście z Magdą. Była twój modelką?
Zarumienił się.
- Tak. Poznaliśmy się na zajęciach, jak ci mówiłem.
- I pokazała mi zdjęcia - ciągnęłam pogodnie. Fotografie nadal leżały na stole. - Najbardziej podobały mi się twoje z Magdą. - Miałam łzy w oczach.
- O, to na przykład. - Wybrałam jedno. Luke i Magda wznosili toast, uśmiechając się do siebie: kwintesencja małżeńskiego szczęścia.
Luke nawet nie mrugnął.
- Tak, Jessica lubi robić nam zdjęcia, prawda, skarbie? - Skinęła radośnie głową i nabrała jedzenia na widelec. - Ustawia nas jak modeli, prawda? - Znowu skinęła głową. - Cieszy się, kiedy ładnie wyglądamy, więc robimy,

0 co nas prosi. - Uśmiechnął się do mnie znacząco i nagle poczułam się mała i wredna. Luke i Magda odgrywają komedię przed sześciolatką, która oddałaaby wszystko, żeby nadal byli razem.

- Pierwsza! - zawołała Jessica.

- Odłóż ładnie sztucze, o tak, skarbie. Może lody?

Pokręciła głową.

- Chcę zrobić zdjęcie.

- Dobrze, ale będzie ci potrzebny flesz. - Jessica cofnęła się o kilka kroków i wymierzyła obiektyw w Luke'a. Odsuwałam się z krzesłem, żeby nie zepsuć jej ujęcia, kiedy nacisnęła spust.

- Chyba nie wyszło - mruknął. - Spróbuj jeszcze raz. - Uśmiechał się do obiektywu.

Potem ja zrobiłam im zdjęcie razem.

- Zostało ci jeszcze sześć - powiedziałam, oddając Jessice aparat.

- Zachowaj je na weekend - poradził Luke. - We wtorek oddamy film do wywołania. - Zerknął na zegarek. - Za chwilę zaczyna się program Laury! Szybko!

Pobiegliśmy na górę. Luke włączył telewizor. Teleturniej właśnie się zaczynał. Podczas czołówki - mieszaniny wykrzykników i znaków zapytania, planet, wzorów matematycznych i nazwisk sławnych ludzi - Jessica usiadła na kanapie koło Luke'a i przytuliła się do niego. Objął ją mocno. Jak w moim marzeniu, pomyślałam. I ja też tu jestem.

- A oto prowadząca teleturniej Laura Quick!

Jessica spojrzała na mnie z podziwem.

- Poznajmy dzisiejszych zawodników...

- Christine Schoefield...

- Doug Dale...

- Jim Friend...

- Luke North...

Jessica wyprostowała się nagle. Z szeroko otwartą buzią wodziła wzrokiem od Luke'a do ekranu i z powrotem.

Uśmiechnął się.

- Niezła niespodzianka, co, Jess?

Mała nie posiadała się z radości. Patrzyła na ekran i klaskała. Aż zaniemówiła z wrażenia.

- Dla mnie to też była niespodzianka - mruknęłam. - Ogromna.

- Monrowia... Brzdęk! Jałowiec. Brzdęk!... Minojska... Brzdęk! Orzeł...
Buu! Michał Anioł... Brzdęk!

- Wygrałeś, tatusiu! Wygrałeś! - Jessica promieniała z radości, skakała po kanapie, piszczała głośno. - Mam bardzo mądrego tatusia!

Ustaliliśmy z Lukiem, że wyjdę po programie, więc poszłam do holu po płaszcz.

- Ale mama się zdziwi! - pisnęła Jessica. - Strasznie się zdziwi, kiedy jej powiem, prawda?

- Tak, skarbie. - Usłyszałam jego słowa, kiedy podnosiłam torebkę. - Ale wiesz co? - dodał po chwili. - Nie mów jej, że poznałaś Laurę, dobrze? - Powróciło znajome uczucie, że coś ciągnie mnie w dół za kostki u nóg. Wróciłam do salonu.

- Dobrze, Jess? Nie powiesz, że poznałaś Laurę?

Skinęła głową. Po niedawnej euforii nie było śladu, zgarbiła ramiona, opuściła główkę.

- No, dość już niespodzianek na jeden wieczór - stwierdził Luke. - Czas do łóżka, młoda damo.

- Idę do domu - wtrąciłam się. - Do zobaczenia, Jessico. Bardzo się cieszę, że cię poznałam.

Stała na jednej nodze niczym młoda czapla, obca i daleka jak na początku wieczoru.

- Do widzenia - powiedziała cicho.

- Mam nadzieję, że niedługo znowu się spotkamy - powiedziałam. Uśmiechnęła się lekko.

- Na górę, kochanie - odezwał się Luke. - Zaraz przyjdę i przeczytam ci bajkę.

- Dlaczego ma nie mówić Magdzie, że mnie poznała? - spytałam, kiedy wyszła. - Magda jest ze Steve'em, a ty ze mną, i tyle.

- Wiem, ale ostatnio strasznie się odgrażała. Wczoraj powiedziała, że jeśli Jessica dowie się o tobie, ograniczy mi prawo do kontaktu.

- Przecież masz prawo...

- Tak, ale Magda może wszystko. Jeśli zechce, może po prostu odmówić mi spotkań z małą. Wtedy musiałbym iść do sądu, co zajęłoby wieki i kosztowałoby mnóstwo czasu i pieniędzy. Owszem, dostałbym nakaz, ale Magda mogłaby go zlekceważyć. Mojego kolegę to spotkało. Dostał nakaz, ale jego żona ma to w nosie i w rezultacie facet prawie nie widuje swoich dzieci. Nie chcę, żeby mnie to spotkało, dlatego muszę być bardzo ostrożny i dlatego poważnie traktuję groźby Magdy.

- Ktoś, kto bez przerwy wygłasza groźby, rzadko je realizuje.

- Mimo wszystko nie chcę jej drażnić.

Owinęłam szyję szalikiem.

~ Ale drażnisz mnie. I współczuję Jessice, że każesz jej milczeć. To nie w porządku.

- Już się do tego przyzwyczaiła - nigdy nie opowiada o Stevie. Dzieci rozwiedzionych rodziców szybko uczą się dyskrecji. Obawiałem się, że może coś chlapnąć, bo byłaś w telewizji, a lepiej, żeby Magda nie wiedziała.

- Rozumiem - mruknęłam, otwierając drzwi. Zimny podmuch wdarł się do środka. - Nie podoba mi się, że tak jej ulegasz, jakby była jakimś... bóstwem.

- Nie zdajesz sobie sprawy, jak skomplikowana jest moja sytuacja.

- Owszem, zdaję. - Było tak zimno, że z ust leciała mi para.

Pokręcił głową.

- Nie, nie zdajesz. Nie zrozumiesz tego, dopóki nie będziesz miała własnych dzieci...

- Tu pewnie masz rację - mruknęłam.

- To wszechogarniające. - Położył sobie rękę na sercu. - Więż jest tutaj. A jeśli coś was rozdziela, czujesz... pustkę. Codziennie umieram ze strachu, że będę rzadziej widywał Jessicę, że matka wzbudzi w niej nienawiść do mnie, że wywiezie ją za granicę.

- A może to zrobić?

- Tak. Ciągle powtarza, że Steve chciałby zamieszkać we Francji i że jeśli ją poprosi, żeby z nim wyjechała, zrobi to. Mówi też, że jeśli jej się z nim nie ułoży, wróci na Węgry. A ja nie chcę, żeby do tego doszło, więc robię, czego chce. Muszę tak postępować ze względu na Jessicę. Dziecko potrzebuje ojca.

- Tak, ale...

- Kiedy Jessica u mnie nocuje, prawie nie śpię. Wiesz, czemu? Bo kiedy już ją położę, utulę, pocałuję i przeczytam jej bajkę, siedzę godzinami i patrzę na nią. Nie chcę tracić ani jednej chwili. - Miał łzy w oczach. - Kiedy Magda mnie zostawiła, nie odeszła sama. Zabrała moje dziecko, moją rodzinę. Więc proszę cię, Lauro, nie krytykuj mnie. Postaraj się zrozumieć. A jeśli nie potrafisz, może powinniśmy się rozstać.

Poczułam, jak ogarnia mnie panika.

- Ależ ja rozumiem. Naprawdę - zapewniłam. - Może nawet więcej, niż myślisz. Ale rozumieć to jedno, a poczuć to drugie.

Luke powstrzymał łzy.

- Wiem, Lauro, i przepraszam. - Wziął mnie za rękę. - Przykro mi, że moje życie nie jest proste jak wtedy, gdy byliśmy tylko my. Ale nie żałuję, że tak nie jest, bo mam Jess. Proszę, wytrzymaj ze mną. - Przyciągnął mnie do

siebie. - Nie chcę cię stracić i obiecuję, że nie zawsze tak będzie. Przysięgam, że wszystko się zmieni. Daj mi trochę czasu.

Rozdział 8

Następnego dnia w większości brukowców były zdjęcia Luke'a i głupkowate nagłówki typu: UKOCHANY WYGRYWA! W „News” wiedzieli nawet, że zrezygnował z odwrócenia ról. Cóż, my także chcielibyśmy odwrócić role i zadać Laurze jedno pytanie; Dlaczego twój mąż zniknął? - przeczytałam i zrobiło mi się słabo. - Znany działacz charytatywny Nick Little przepadł bez śladu trzy lata temu, lecz Laura znalazła pocieszenie w ramionach dawnego ukochanego, marszanda Luke'a Northa. North jest mężem Magdy Laszlo, węgierskiej tłumaczki, z którą spędził dziewięć lat...

- Straszne - powiedziałam do Toma, gdy dokończyłam artykuł.

Siedzieliśmy w ciasnym pokoju bez okien na tyłach budynku. Tom montował wczorajszy odcinek. Zazwyczaj pomaga mu Sara, ale pojechała już do domu na święta.

- Nie szukam pocieszenia w ramionach Luke'a - mówiłam. - Po prostu spotykam się z nim. I jakim prawem piszą, że on nadal jest z Magdą? Rozstali się rok temu.

- Bo nie udzieliłaś im wywiadu. - Tom nie odrywał wzroku od monitora. Zerknął na pulpit, wcisnął kilka klawiszy. - Nie dałaś im, czego chcieli, nie zwierzyłaś się z bólu i cierpienia, więc teraz zrobią z ciebie modliszkę.

- Z zemsty?

- Nie, przyjęli tylko inny punkt widzenia. Chcą pisać o tobie i nie pozwolą, żeby taki drobiazg jak twoja niechęć do współpracy zepsuł im dobry temat.

- Ale dlaczego chcą o mnie pisać?

Wzruszył ramionami.

- Bo w sprawie z Nickiem jest tajemnica, a poza tym... bo tak. Zwróc uwagę, że brukowce całkowicie ignorują niektórych znanych ludzi, choćby bardzo kontrowersyjnych, a inni wiecznie są na pierwszych stronach. Do tego rywalizacja między „News” i „Post”. Są jak psy walczące o kość, którą w tej chwili jesteś ty.

- Nerys miała rację - westchnąłem. - Gdybym udzieliła paru wywiadów, daliby mi spokój.

- Nerys działa wszystkim na nerwy, ale czasami rzeczywiście trafia w dziesiątkę. To, że odmawiałaś wywiadów, tylko spotęgowało ich zainteresowanie.

Jeszcze raz przebiegłam artykuł wzrokiem. Czułam się jak w gabinecie luster w wesołym miasteczku, gdzie widzisz swoje odbicie groteskowo zniekształcone. Myliłam się, sądząc, że jeśli nie udzielę nikomu wywiadu, prasa da mi spokój.

- Nie mogę ich pozwać? Albo zażądać, żeby wydrukowali sprostowanie?

- Nie, bo Luke nadal jest żonaty, prawda?

- Na papierze.

- Więc nie ma mowy o zniesławieniu. Przykro mi, Lauro. Wiem, że ci ciężko.

- Cóż, za to mamy dobrą reklamę - mruknęłam ironicznie. - Channel 4 pewnie nie posiada się ze szczęścia.

- Nie przyznają się do tego otwarcie, ale pewnie tak. Takie nagłośnienie programu kosztowałoby ich fortunę.

- Ty pewnie też uważasz, że świetnie się składa?

- Nie, skądże - obruszył się.

- Nie udawaj - naciskałam. - Przyznaj się.

- Nie.

- Przecież to ty wpadłeś na pomysł z teleturniejem, więc chyba się cieszysz, że media o nas piszą.

- Ale nie twoim kosztem. Nie podoba mi się, że obrzucają cię błotem. Wiem, jak to jest. - Pewnie myślał o Tarze. - Ale obawiam się, że...

- Że wiedziałam, co ryzykuję - dokończyłam ponuro.

- Szczerze? Właśnie tak. Rozmawialiśmy o tym i uznałaś, że szkoda byłoby zmarnować taką okazję.

- Nadal tak uważam.

- Tak, ale płacisz najwyższą cenę. Ciekawe, czy Nick coś z tego widział - mruknął, ustawiając początek przerwy reklamowej. Spojrzałam jeszcze raz na gazetę i idiotyczną ramkę na dole strony:

Może ty wiesz, gdzie się podziewa mąż Laury? Jeśli tak, zadzwoń na naszą gorącą linię, numer: 0-800-677-745. Gwarantujemy anonimowość! Poniżej było zdjęcie Nicka z podpisem POSZUKIWANY, jakby wysłano za nim list gończy.

- Czasami też się nad tym zastanawiam. Jeśli nadal jest w kraju, może nawet oglądał teleturniej. Ale z tego, co wiem, równie dobrze może być w Tasmanii.

Przypomniał mi się slogan SudanEase: Nawet małe kroki prowadzą daleko. Ciekawe, czy Nick o tym myślał, gdy planował zniknięcie? Porzucił stare życie jak wąż skórą.

- Może jest w Sudanie? - podsunął Tom.

Spojrzałam na niego z ukosa.

- To mało prawdopodobne. Po pierwsze, nie zabrał paszportu. Po drugie, nawet gdyby tam dotarł, zauważyliby go jego współpracownicy.

Zapadła cisza. Tom spojrział na zdjęcie Luke'a.

- Ale ułożyłaś sobie życie.

- Tak. Zabawne, powiedziałaś mi, że jeszcze kogoś spotkam, i tego samego dnia Luke pojawił się na planie. Radziłaś, żebym chwyciła dzień, i właśnie to zrobiłam. Zaledwie sześć tygodni temu, a wydaje mi się, że minęło już z pół roku.

- Czyli dobrze się wam układa. Jeśli nie liczyć tych bzdur, oczywiście. - Zerknął na gazetę.

Hm. - Przypomniały mi się zdjęcia Jessiki i Magda i Luke wpatrzeni w siebie. - Jest... dobrze. - Wyobraziłam sobie, jak Magda nakłada mu gulasz na talerz. - Świetnie.

- Jak to jest za drugim podejściem? - Zdziwiło mnie to pytanie, bo Tom na ogół unikał tematów osobistych. - Lepiej niż za pierwszym?

- Inaczej, bo sytuacja jest inna. Ale Luke ma cudowną córeczkę. Wczoraj ją poznałam. Jest naprawdę urocza.

- Ostatnio coraz bardziej lubisz dzieci. - Tom nie odrywał wzroku od monitora.

Zapadła cisza.

- Bo widzisz, ja jestem w podobnej sytuacji - wyjaśnił.

Spojrzałam na niego zdumiona.

- Naprawdę. Moja dziewczyna ma synka.

- Tak? Ile ma?

- Trzy i pół. - Nagle dotarło do mnie, że w tym samym wieku jest syn Toma. - To świetny chłopak. Spotykam się z Giną od stycznia...

- Z Giną? A ja myślałam... - Ugryzłam się w język.

Spojrzał na mnie ciekawie.

- Co?

- Że... - Przecież miała na imię Sam. - Że jesteś sam. Nie mówiłeś, że się z kimś spotykasz.

- Bo to świeża sprawa. Poznałem Ginę w Nowy Rok. Ją i Sama. Sam to uroczy dzieciak, bardzo go polubiłem.

Przed oczami stanęła mi tamta walentynka. Więc Sam to syn dziewczyny Toma. Urocze. Ale i dziwne, że Tom jest tak zaabsorbowany cudzym dzieckiem, skoro porzucił własne.

- Jak się poznaliście?

- W parku. Wracalem pieszo od znajomych, u których byłem na obiedzie, i nagle zobaczyłem, jak w moją stronę biegnie mały chłopczyk, wymachując pękiem anielskiego włosia. Tuż przede mną potknął się i przewrócił. Zaczął płakać, więc pomogłem mu wstać. Po chwili podeszła jego mama. Zaczęliśmy rozmawiać... - Uśmiechnął się. - I dała mi wizytówkę.

- Jakie to romantyczne. Spędzasz z Samem dużo czasu?

- Sporo. - Splótł ręce za głowę. - Gina studiuje zaocznie, ma zajęcia w weekendy. Ja zabieram wtedy Sama na huśtawki, później mu czytam i oglądamy telewizję. Bardzo to lubię. To najmiłsze chwile tygodnia.

- Cóż - mruknęłam, - To fajnie. - Nie wiedziałam, co jeszcze mogę powiedzieć, bo zwykle nie rozmawiamy z Tomem o życiu prywatnym. Nawet kiedy Nick odszedł, Tom o nic mnie nie pytał, tylko mi pomagał.

- A była żona Luke'a? - zapytał. - Z jej strony wszystko w porządku?

Na samą myśl o Magdzie zrobiło mi się słabo.

- Chyba się nie gniewasz, że pytam? Po prostu jestem... ciekawy.

- No cóż... Magda... jest w porządku. Jest... - Kusilo mnie, żeby powiedzieć prawdę, ale nie chciałam zawieść Luke'a. - Jest fajna.

- Więc masz szczęście. - Chwila milczenia. - Bo czasami bywa okropnie.

- No właśnie - mruknęłam.

Tom zerknął na mnie badawczo.

- Niektórzy mają pecha - dodałam szybko. - A jak u ciebie?

- Tak samo. - Wzruszył ramionami. - Jej były czasami wpada, ale w sumie jest w porządku.

Wyłączył komputer.

- No, gotowe. - Przez chwilę przyglądał mi się uważnie i już myślałam, że zada mi jedno ze swoich „bardzo poważnych pytań”. On jednak tylko wyjął płytę i podpisał ją. A zatem, Lauro... wesołych świąt.

Sięgnęłam po torebkę.

- Wzajemnie.

- Masz jakieś plany?

- Nie... właściwie jeszcze nie. Muszę pogadać z Lukiem. - Wstałam. - To do wtorku.

Uśmiechnął się.

- Do wtorku.

Więc dziewczyna Toma jest rozwiedziona i ma dziecko, pomyślałam. Poprawiło mi to humor; cieszyłam się, że jedziemy na tym samym wózku. Ale kiedy szłam Westbourne Park Road do galerii Luke'a, zaczęłam się zastanawiać: dlaczego Tom tak otwarcie opowiadał o Samie, skoro wie, że ja wiem, że porzucił własne dziecko. Na Powis Square doszłam do wniosku, że romans z Giną to forma pokuty. Nagle zadzwoniła moja komórka.

- Laura? - To Hope. Bardzo zdenerwowana.

- Gdzie jesteś?

- W domu, pakuję się. Jestem w kiepskiej formie.

- Przecież wyjeżdżasz dopiero jutro.

- Nie dlatego. Chodzi o to, że... - pociągnęła nosem. - Znalazłam coś. Dowód.

- O Boże. Co?

- Paragon. Od Tiffany'ego. Był w kieszeni jego marynarki. Wczoraj miał ją na sobie.

Moje serce przestało bić. Więc stało się. Mike przestał uważać.

- Za co ten paragon?

Znowu szloch w słuchawce.

- Za srebrny wisiołek ze złotym serduszkim. Dla niej. Wiem to na pewno, przecież nie kupił tego dla nikogo innego...

- A może dla ciebie? Może kupił ci to na... na urodziny.

- Są dopiero za kilka miesięcy!

- Więc może to tylko... prezent. Już przedtem kupował ci różne drobiazgi u Tiffany'ego. Może chce ci to dać w weekend.

-Nie.

- A może to prezent dla jego mamy albo siostry.

- Nie, nie. Wiem, że to dla tej... kobiety, bo na paragonie podano też koszt wygrawerowania napisu. Ma na imię - chlipnięcie - Clare.

- Clare? - Nerwowo szukałam w pamięci. Nic. Minęłam Talbot Road.

- Nie znam żadnej Clare, a on o żadnej nie mówił. I pomyśleć, że jest z nią teraz, w tej chwili! - No tak, jest czwartek. Mike znowu pracuje do późna. - Pewnie właśnie jej to wręcza, a ona się zrewanżuje... - dodała gorzko. - To

na pewno ktoś z pracy. Większość romansów zaczyna się w pracy... a tam u niego jest tyle atrakcyjnych kobiet... a Mike jest taki przystojny...

- Tak, Hope, ale kocha ciebie.

- Wcale nie jestem taka pewna. Boże, Lauro... - zanosila się szlochem. - Jutro muszę z nim lecieć do Sewilli i udawać, że wszystko jest w porządku, choć przecież gorzej być nie może.

- Nie płacz, Hope, proszę.

- Nie mogę. Na moim miejscu też byś płakała.

- No, tak.

- Nie mogę jeść, nie mogę spać...

- Jeśli uważasz, że masz wystarczający dowód, porozmawiaj z nim. Poczeka, aż wróci, pokaż mu ten paragon i spokojnie zapytaj, co to za zakup.

- Nie!

- Będziesz musiała, Hope.

- Nie dzisiaj.

- Dlaczego?

- Bo wtedy przestanie się z nią spotykać.

- A nie chcesz tego?

- Nie! Jeszcze nie teraz! Widzisz, chcę, żeby we wtorek poszedł do niej jak zawsze.

- Dlaczego? - Skręciłam w Ledbury Road.

- Żebyś go śledziła.

Jęknęłam.

- Nie odmawiaj mi po raz drugi - prosiła Hope. - Wcześniej nie chciałaś, bo obawiałaś się, że będziesz musiała przekazać mi złą nowinę, ale ja już wiem. - To fakt. - Wiem, że ma romans, nie wiem tylko, gdzie się z nią spotyka, jak ona wygląda...

- Ale po co ci to? - Przed oczami stanęła mi scena sprzed lat: Luke z Jennifer. Do dzisiaj pamiętam, jak się wtedy czułam.

- Chcę mieć dowody. Żeby móc podjąć pewne kroki.

- Słuchaj, działasz pochopnie. Nawet jeśli Mike robi coś, czego nie powinien, to jeszcze nie oznacza, że między wami koniec. Ludzie potrafią się uporać z gorszymi kryzysami. Po to są terapie, specjaliści...

- Lauro, znam siebie. Jeśli Mike mnie zdradził, nigdy mu tego nie wybaczę.

- Nie wiesz tego na pewno.

- Wiem. Kiedy we wtorek wyjdzie z pracy, musisz go śledzić.

- O Boże!

- Proszę, Lauro, zrób to dla mnie. Jestem załamana. Muszę wiedzieć, dokąd chodzi. Błagam.

- No dobrze. Nie chcę, ale to zrobię.

- Czego nie chcesz i co zrobisz? - zapytał Luke, gdy weszłam do galerii. Pocałował mnie.

- Nic takiego, rozmawiałam z Hope.

- Przejrzałam listę gości na wernisaż Craiga Davie. Będzie mnóstwo ludzi. Ty też przyjdiesz, prawda, Lauro? We wtorek wieczorem.

Nagle dotarło do mnie, że nie przyjdę, i to przez Hope. Zdenerwowałam się na dobre. Nie chciałam ani śledzić Mike'a, ani stracić wernisażu.

- Przyjdiesz, prawda? - powtórzył Luke, sięgając po kurtkę.

Nie wiedziałam, jak mu powiedzieć, że prawdopodobnie nie przyjdę.

- Oczywiście - odparłam.

Włączył alarm, zamknął drzwi i poszliśmy do niego. Właśnie piliśmy drinki na tarasie pod kwitnącą wiśnią obsypaną drobnymi różowymi kwiatami, które opadały na nas jak konfetti, kiedy zadzwonił jego telefon.

- Ciekawe, kto to - mruknęłam.

Magda, ma się rozumieć. Jak zawsze. Luke rozmawiał z nią spokojnie. Wyjątkowo nie dzwoniła z awanturą, ale szukała pocieszenia. Zdaje się, że bał się nie udać. Steve źle ją traktuje. Co Luke na to? Może Steve chce się wycofać? Ubawił mnie widok Luke'a w roli telefonu zaufania, a nie chłopca do bicia.

- Przecież nie zrobiłam nic złego - jęczała Magda na cały ogród. - Złaż, Yogi! Złaż z kanapy! Już!

Luke skrzywił się.

- Oczywiście, Magdo, na pewno nie chodzi o ciebie. Jesteś urocza. Ależ tak... Pojmuję. Doszło do małego nieporozumienia między tobą a jego klientem? - Uśmiechnął się do mnie. - Oczywiście, że masz prawo do własnego zdania... Oczywiście, że Steve powinien okazać większą wyrozumiałość... Hm... Tak, rzeczywiście jest bardzo nietolerancyjny. Tak, Magdo, ma wielkie szczęście, że spotkał ciebie...

- Zwłaszcza że ma kulę u nogi - podchwyciła. - No wiesz, tę swoją koszmarną byłą żonę. Jest dla niego okropna.

- Tak? - zdziwił się Luke, a ja przewróciłam oczami.

- Koszmarna! I potwornie o mnie zazdrosna.

- Nic dziwnego - powiedział Luke. - Jesteś od niej o wiele ładniejsza.

- Cóż, szczerze mówiąc, tak. Widziałam jej zdjęcia. Ma straszego zeza. Złaż, Heidi! Nie wolno na kominek! I to już! Brzydka kózka! Brzydka! Ciągłe

do niego wydzwania, narzeka na alimenty, skarży się na nowego męża... Właśnie stracił pracę. To nie ten, za którego wyszła po Stevie, to był Pete, a teraz jest Jake. Wyszła za niego, bo z Pete'em się nie układało.

- Rozumiem - mruknął Luke.

- Jest zła, bo zarabiał krocie w City. Jake, nie Pete, Pete był nauczycielem. Do tego mają problemy z nastoletnim synem Patrickiem. To znaczy, to jest syn Steve'a. Znaleźli u niego marihuanę i wyrzucili go. Patricka, nie Steve'a. Robią co mogą, żeby go z powrotem przyjęli, bo w maju zdaje maturę, i to z jedenastu przedmiotów, więc to mądry chłopiec. No więc Steve się tym martwi, do tego jego matka w przyszłym miesiącu wychodzi za mąż, za żigolaka. Ona ma siedemdziesiąt trzy lata, a on tylko sześćdziesiąt dwa. Może dlatego Steve tak się denerwuje...

Siedziałam na tarasie i myślałam, że spotykając się z Lukiem, jednocześnie spotykam się z Magdą, jej przyjacielem, jego byłą żoną, matką, z byłym jego byłej żony i z potomstwem wszystkich. Tyle osób, których nie znam i których pewnie nigdy nie poznam, chyba że na pogrzebie Magdy (o ile, oczywiście, nie ja ją zamorduję, bo wówczas nie pozwolono by mi w nim uczestniczyć). Nagle w moim świecie znalazło się mnóstwo ludzi, że już nie wspomnę o piątce karłowatych kóz... Kręciło mi się od tego w głowie.

- Steve nie wydaje się szczęśliwy - mówiła Magda. - Co prawda ja też ostatnio jestem ciągle spięta, no wiesz, całe to zamieszanie w prasie o tobie i... i o...

- Laurze - podsunął usłużnie.

- Szczerze mówiąc, Luke, uważam, że to ty jesteś głównym powodem naszych problemów, bo gdybyś nie spotykał się z tą... z tą... Laurą, nie miałabym starć ze Steve'em.

- To nie fair, Magdo - zaprzeczył łagodnie. Masował sobie skronie.

- Czyżby? Właśnie dzwonił do mnie jeden dziennikarz i pytał, jak się czuję i kiedy się rozwiedziemy. Byłam zdenerwowana sytuacją ze Steve'em, a na balu trochę za dużo wypiałam, bo bardzo bolała mnie głowa, więc powiedziałam tylko, że nie jestem w formie i odmawiam komentarza. O mnie nie napiszą. Za to o tobie tak.

LAURA ODBIŁA MI MĘŻA! - Obwieszczał „Post” następnego ranka. **TYLKO U NAS! PORZUCONA ZONA MÓWI CAŁĄ PRAWDĘ!** Na dużym zdjęciu Magda w szlafroku podlewa tulipany. Nie miała pojęcia, że jest fotografowana.

Żona Luke'a Northa, kochanka Laury Ouick z teleturnieju *Wiem wszystko* opowiedziała nam, przez co przeszła, odkąd mąż porzucił ją dla gwiazdy telewizji. „Nie, jeszcze nie mamy rozwodu”. Co sądzi o romansie męża? „Nie mogę o tym mówić”, wyznała przez łzy z podziwu godnym opanowaniem. Na pytanie, co sądzi o rywalce, pani North powiedziała tylko: „bez komentarza”. Ileż można zawrzeć w dwóch krótkich słowach...

Artykuł zilustrowano trzema zdjęciami. Pierwsze - moje - zrobiono wczoraj, kiedy rozmawiałam z Hope. Podpis informował, że Laura czuje pętlę na szyi - czy walczy o rozwód? Na drugim Luke, całujący mnie, gdy wchodzę do galerii, a na trzecim Sweetie i Yogi buszujący po ogrodzie.

Byłam tak zaszokowana, że mało brakowało, a wyszłabym z kiosku, nie płacąc. Pobiegłam do domu, żeby jeszcze raz na spokojnie wszystko przeczytać. Zaniemówiłam ze złości.

- Widziałem już - zawołał Luke z samochodu. Jechał do sklepu po wino na wernisaż.

- Nie odbiłam nikomu męża! Pozwę tych drani! Magdę też bym pozwała, gdybym nie wiedziała, że wszystko skupi się na tobie.

- To bez sensu, nawet gdybyś miała fortunę na proces. Przecież Magda właśnie to powiedziała. Zacytowali ją dosłownie, tyle że w zupełnie innym kontekście.

- Więc pewnie też jest wściekła?

- Nie, wręcz przeciwnie, zachwycona.

- Jak to? Przecież przedstawili ją jako ofiarę.

- A ona nie ma nic przeciwko temu. Lubi sobie wyobrażać, że to ja ją rzuciłem. Gdy zapytałem, czy już zażądała sprostowania, powiedziała, że w ogóle nie zamierza tego robić.

- Jak myślisz, zrobiła to celowo?

- Nie. Nie jest aż tak perfidna.

- Ale dla mnie to Fatalny Piątek, a nie Wielki. A ty jakie masz plany?

- Zawiozę wino do galerii i skoczę do drukarni po katalogi. O trzeciej jadę po Jessicę. Spędzi ze mną wieczór.

- Myślałam, że się spotkamy.

- Przepraszam, ale Magda wychodzi i zaproponowałem, że się zajmę małą.

- A jutro? Spotkamy się?

- Raczej nic, zabieram Jessicę do rodziców.

- A wieczorem?

- Jessica nocuje u mnie jak zawsze, a w niedzielę idziemy do Magdy.

- Cudownie - rzuciłam gorzko.

- Będzie szukanie wielkanocnych jajek i Jessica chce, żebyśmy byli razem. To chyba rozumiałe. Lauro, proszę, nie złość się na mnie.

- A w niedzielę wieczorem?

- Zobaczymy...

- Więc poniedziałek?

- Widzisz... w poniedziałek jedziemy do matki Magdy.

- Czyli zostawiłeś mnie na całe święta! Rewelacja!

- Naprawdę mi przykro. Obiecuję, że ci to wynagrodzę.

- Nie mogę pojechać z wami do twoich rodziców? Chętnie się z nimi spotkam. Może oni ze mną też?

- Oczywiście, już mi to mówili, ale Magda wpadnie w szal, jeśli się dowie, że zabrałem cię tam z Jess. Nie mogę ryzykować.

- Wpadnie w szal? Przecież ona już jest szalona. Powinieneś być jej powiedzieć, że jesteś wolny i jeśli chcesz, możesz uwzględnić swoją dziewczynę w twoich planach weekendowych.

- Tak, wiem, powinienem być tak postąpić, i w przyszłości tak zrobię, obiecuję. Ale jeszcze nie teraz...

- Dlaczego?

- Bo w majowy weekend chcę zabrać Jessicę do Wenecji.

- Nic mi o tym nie mówiłeś.

- Bo wymyśliłem to niedawno. Jeden z moich artystów bierze tam ślub. Zaprosił mnie i pomyślałem, że fajnie byłoby zabrać Jess. Magda wstępnie się zgodziła, więc wolę jej nie drażnić. Zrozum, Lauro, muszę chodzić na paluszkach.

- Rozumiem - prychnęłam.

Byłam wściekła na Luke'a, ale i na siebie, że wcześniej nie omówiłam z nim planów weekendowych. Nie sądziłam, że nie będzie miał dla mnie czasu, i nie zaplanowałam nic innego. Hope i Felicity wyjechały, a moi rodzice mieli pełne ręce roboty, bo Wielkanoc to początek sezonu turystycznego. Trudno, będę musiała zająć się sama sobą. Będę czytać, pływać, posprzątam mieszkanie - zaniedbałam je, odkąd w moim życiu ponownie pojawił się Luke.

W sobotę poszłam na pływalnię, a w drodze powrotnej kupiłam mnóstwo kwiatów. Gdy skopałam malutki ogródek i sadziłam pelargonie, zobaczyłam, jak po schodach wbiega kobieta z wielkim rottweilerem na smyczy. Zadzwoniła do Cynthii. Pół godziny później kobieta i pies wyszli. Cynthia, elegancka jak zwykle, odprowadziła ich do drzwi.

- Dajcie znać, jak sobie radzicie - mówiła. - W razie potrzeby, przyjdź na dodatkową sesję.

- Dziękujemy, Cynthia. - Kobieta uśmiechnęła się. - Teraz jestem o wiele spokojniejsza. Chodź, Dinky.

Cynthia machała im na pożegnanie.

- Kolejna zadowolona klientka? spytałam.

- Tak, przyjechała z Godalming. Bardzo jej zależało na sesji. - Dzisiaj Cynthia pachniała Magie Noire. - A że są święta, mogłam jej policzyć trochę więcej.

- Miło z twojej strony, że pozwoliłaś jej przyjść z psem.

- Miło? - roześmiała się. - Przecież to pies jest klientem.

- Co?!

- No tak, nieco zmieniłam profil.

- Jak to?

- Teraz zajmuję się terapią zwierząt. Uświadomiłam sobie, że nie wykorzystuję w pełni mojego daru komunikowania się ze zwierzętami, więc poszłam na dwudniowy kurs komunikacji międzygatunkowej dla zaawansowanych. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to przydatne.

Rzeczywiście, nie wyobrażałam sobie.

- W poniedziałek zamieściłam ofertę na mojej stronie w Internecie i wyobraź sobie, od razu miałam czterech pacjentów, w tym dwóch dzisiaj. Sesja z Dinky przebiegła pomyślnie. Udało mi się wychwycić jej fale i zlokalizować problem.

- Czyli?

- Cóż, nie powinnam ci mówić, wiesz, tajemnica lekarska...

- No tak.

- Dinky - ściszyła głos - obawia się, że jej zegar biologiczny wkrótce przyspieszy. Ma już prawie pięć lat, więc to zrozumiałe, ale jej właścicielka nie znosi widoku szczeniąt. Teraz pani poszuka jej odpowiedniego partnera i Dinky zostanie mamą. - Łypnęła na mnie z ukosa. - Ty też się postaraj. Powinnaś mieć dziecko. Prawda?

Co za bezczelność! Już miałam powiedzieć Cynthia, gdzie może sobie wsadzić swoje impertynenckie rady, gdy zobaczyłam panią Singh, która właśnie wyszła na schody. Jak zwykle popatrzyła na mnie ze współczuciem.

- Wiesz, Lauro, widziałam wczoraj ten artykuł o tobie. - Przechyliła głowę na bok. - Chciałam ci powiedzieć, że nie wierzę w ani jedno słowo. W ani jedno powtórzyła.

- Bardzo się cieszą, bo to wszystko kłamstwa.
- Wiem, że nigdy nie odbiłabyś męża innej kobiecie.
Dziękuję, pani Singh.
 - Wiem, że nie muszę się martwić o mojego Arjuna.
 - Nie musi pani.
 - Nigdy nie wierzę w to, co wypisują gazety - odezwała się Cynthia. - Aż za dobrze znam dziennikarzy. To oszuści, kłamcy, dranie...
 - Ci z brukowców na pewno - zgodziłam się.
 - Nie, wszyscy! Wszyscy są tacy sami! Uwierz mi, to banda krwiożerczych, kłamliwych, zepsutych chamów! - Odetchnęła głęboko. - Za pół godziny przychodzi zestresowana świnka morska. Nie mogę się tak unosić.

Ciekawe, dlaczego tak bardzo nie lubi dziennikarzy. Może kiedy grała, miała złe recenzje? Ale przecież minęło tyle czasu... Ledwie zatrzasnęła za sobą drzwi, przestałam zwracać sobie nią głowę. Stara dziwaczka, pomyślałam i wróciłam do wiosennych porządków.

Skończyłam w ogrodzie i zabrałam się do wnętrza. Otworzyłam szafę w sypialni. Rzeczy Nicka przejrzałam w lutym, ale moich wtedy nie tknęłam. Postanowiłam, że oddam na cele dobroczynne wszystko, czego nie nosiłam, odkąd zniknął. Gdy weszłam na stołek, żeby zdjąć ubrania z górnej półki, dostrzegłam kartonowe pudło na szafie. Zdjęłam je i podniosłam wieko. W pudle leżała biało-niebieska reklamówka, a w niej - zaczytany egzemplarz poradnika *Czego się spodziewać, gdy oczekujesz dziecka* i małe kartki spiszki w misie, których nie miałam serca oddać.

„Powinnaś mieć dziecko, Lauro...”

Tak, pomyślałam z goryczą, powinnam. Czy raczej powinnam była.
Cynthia miała rację.

W niedzielę przejrzałam wszystkie gazety - na szczęście nie było nic o mnie. Potem poszłam na spacer do Holland Park. Przystawałam przy ogrodach, patrzyłam na kwitnące tulipany. Wreszcie uznałam, że równie dobrze mogę popracować nad pytaniami do drugiej serii. Mieliliśmy spore zaległości z Dylanem. Otworzyłam biuro zapasowym kluczem, weszłam do środka i usiadłam przy biurku. Idealnie.

Jakie morze leży 390 metrów poniżej poziomu morza? Morze Martwe.

Z czego gotuje się bouillabaisse? Z ryb.

Ile tygodni ma embrion, gdy powstaje serce? Pięć.

Jak wygląda zero w zapisie rzymskim? Nie ma takiej cyfry.

Dlaczego Luke zostawił mnie samą na całe święta? Bo boi się Magdy.

Wzór chemiczny tlenku węgla? CO.

Podstawowa zasada przy romansie z dzieciny facetem? Pamiętaj, że zawsze będziesz na drugim miejscu.

Ku mojemu zdumieniu drzwi frontowe zaskrzypiały.

- Cześć. - W głosie Toma było zdumienie. - Co ty tu robisz?

Zarumieniłam się, jakby mnie przyłapał na wynoszeniu setki długopisów.

- Są święta. Myślałam, że... masz plany.

- Cóż... - wzruszyłam ramionami. - To nie było nic pewnego. Musimy podgonić z pytaniami do następnej serii, więc pomyślałam, że się do tego zabiorę.

Tom skinął głową i zdjął marynarkę.

- A ty? - zapytałam.

- Och, wiesz, mam mnóstwo pracy. Muszę sprawdzić rachunki, przejrzeć projekt o Leninie dla BBC 4 i pomyśleć o Cannes. Festiwal producentów się zbliża.

- Jedziesz?

- Oczywiście. Chcę sprzedać prawa do teleturnieju.

- Jest duże zainteresowanie?

- Stany, Francja i Niemcy, ale chcę osobiście wszystkiego dopilnować.

Bawiłam się długopisem. Był z fundacji Nicka.

- Więc pomyślałam, że dzisiaj to wszystko załatwię - ciągnął Tom.

- Jasne.

- Poza tym okazało się, że nie mam planów. - Spojrzałam na niego. Uśmiechnął się krzywo. - No, dobra, to pracuj.

Pobiegłam wąskimi schodami do gabinetu na górze, a ja pracowałam dalej, wertowałam encyklopedie i szukałam dobrych pytań.

Jaka psia rasa zawdzięcza nazwę największemu stanowi w Meksyku? - Chihuahua.

Którą z kolei literą greckiego alfabetu jest delta? Czwartą.

Co w Rosji oznacza dacza? Domek letniskowy.

Gdzie jest mój mąż? Nie mam pojęcia.

Zadzwoiła moja komórka. Szukałam jej nerwowo w torebce.

- Lauro, to ja. - Zerknęłam na zegarek. Wpół do ósmej.

- Wracasz?

- Nie, właśnie dlatego dzwonię. Naprawdę bardzo mi przykro, bardzo chciałam się z tobą zobaczyć, ale na razie nie mogę wyjść.

- Dlaczego? Jesteś tam od obiadu. Teraz moja kolej, Luke.

- Ale Phoebe źle się czuje - zniżył głos. - Magda wpadła w panikę i chce, żebym został jeszcze trochę i udzielał jej wsparcia, na wypadek gdyby trzeba było wezwać weterynarza.

- Rozumiem.

- Naprawdę mi przykro.

- Nie przejmuj się - rzuciłam lekko. - Już się przyzwyczajam do ciągłych rozczarowań.

- Przepraszam... to tylko przejściowe... Kocham cię, Lauro... dobrze, Magdo! Później zadzwonię.

Po chwili usłyszałam kroki na schodach.

- Nadal tu jesteś? - zapytał Tom miękko.

- Nie, wyszłam godzinę temu - rzuciłam niegrzecznie. - Przepraszam. Zdenerwowałam się. Jestem... zmęczona. I jak, skończyłeś pracę?

- Nie, ale mam już dosyć. Więc idę.

- Ja... dobrze mi idzie, jeszcze trochę posiedzę. - Nie mogłam mu powiedzieć, że przegrałam z sobą.

- A może... Lauro, czy mogę ci zadać bardzo poważne pytanie?

- Tak?

- Co powiesz na drinka? Oczywiście jeśli nigdzie się nie wybierasz.

- Nie, nie wybieram się - odparłam z goryczą. - I drink dobrze mi zrobi, o ile znajdziesz gdzieś czynną knajpę.

- Smitty zawsze ma otwarte.

- Fakt. Smitty będzie miał otwarte nawet w Boże Narodzenie...

- I w dzień Sądu Ostatecznego.

- Więc do Smitty'ego. - Sięgnęłam po torebkę.

- Myślałem, że się szykujesz na romantyczny weekend we dwoje - zaczął Tom, gdy kilka minut później siedzieliśmy w knajpce przy Ali Saints' Road.

Upiłam drinka.

- Nic z tego.

- Nie spotykasz się z Lukiem?

Niespokojnie poruszyłam się na krześle.

- Nie udało się, bo w święta ma...

- Nie mów, sam wiem: zobowiązania rodzinne.

Skinęłam głowę.

- Właśnie dlatego jestem taka nerwowa.

- Domyśliłem się. Niełatwa sprawa, co?

- Cóż... bywa trudno. - Bawiłam się serwetką.

- To mało powiedziane.
- Racja. Ten weekend to koszmar.

Uśmiechnął się.

- Komu to mówisz!
- U ciebie też?

Skinął głową.

- Wady i zalety związków z partnerami z dziećmi.
- Wyrozumiałość to podstawa, co?
- Nie wyrozumiałość, Lauro. Świątość. - Zamówił następną kolejkę. -

Domagam się beatyfikacji za to, co znoszę.

Rozgryzłam smażonego banana.

- Na przykład? Nie mów, jeśli nie chcesz.
- Ależ nie ma sprawy. Chętnie to z siebie wyrzucę. Mogę?
- Oczywiście. Jesteśmy przyjaciółmi.

Powiedział, że kiedy poznał Ginę, była samotną matką, mąż rzucił ją pół roku wcześniej dla innej, a teraz chce wrócić.

- Nie pokazywał się przez dłuższy czas, aż nagle dowiedział się, że ja jestem na horyzoncie, poza tym jego związek się rozpadł, i teraz odgrywa wzorowego ojca rodziny, a ze mnie robi drania, który rozbija idealny układ.

Skądś to znałam.

- Co robi?

- W kółko wydzwania, zwłaszcza późnym wieczorem i rano, żeby się przekonać, czy tam jestem. Wpada niezapowiedziany. Często jestem u Giny ze względu na Sama, a przecież nie będę się chował, nie robię nic złego.

- Gina go wpuszcza?

- Nie, rozmawia z nim na progu.

- A jego kontakty z Samem?

- W tym rzecz. Gina pozwala mu widywać się z matym w niedziele, ale nie u niego w domu, bo uważa, że jest zbyt nieodpowiedzialny. Czyli u niej.

- Więc ciebie nie może tam być.

- No właśnie.

- A oni są razem.

- Tak.

- A tobie to się nie podoba.

- Dziwisz się? Kiedy ją poznałem, była wolna, a teraz spędzają razem tyle czasu.

- To trudne - przyznałam. Czulałam, jak dostaję szczękoscisku.

- Dzisiaj pojechali do jej rodziców. Przyszedłem do pracy, bo się wkurzyłem i chciałem o tym zapomnieć.

Uśmiechnęłam się gorzko.

- Gina mówi, że Sam jest spokojniejszy, kiedy widzi, że rodzice się lubią, ale nie o to chodzi.

- Nie o to - zgodziłam się. - Tom, czy mogę ci zadać bardzo poważne pytanie?

- Tak.

- Dlaczego jesteś z Giną?

- To naprawdę bardzo poważne pytanie. Cóż... lubię ją. Jest miła, mądra i podoba mi się. I jeszcze... - Nerwowo bawił się podkładką pod szklankę.

- Sam nie wiem... naprawdę bardzo lubię Sama. Brakowałoby mi go, gdybyśmy się rozstali...

- Giny też?

Spojrzał na mnie.

- Oczywiście. Ale denerwuje mnie, że jej były ciągle się koło niej kręci. Z drugiej strony, to jasne, jest przecież ojcem Sama. - Wzruszył ramionami.

- A ja nie.

Za to jesteś ojcem innego chłopczyka, miałam na końcu języka. Co z nim? Nie tęsknisz za nim? Nie żałujesz tego, co zrobiłeś? Może dlatego umawiasz się z Giną?

Tom napił się piwa.

- Dziwne. - Spojrzał na mnie. - A była Luke'a? Wczoraj pisali o niej w gazecie. Pewnie same bzdury?

Skinęłam głową.

- Stek kłamstw. Odeszła od Luke'a dziesięć miesięcy przed tym, jak się spotkaliśmy.

- Poznałaś ją?

- Nie.

Sączyłam drinka i zastanawiałam się, jak to jest, że kobieta, której nie widziałam na oczy, wywiera tak wielki wpływ na moje życie. Była wszechobecna i niewidzialna, jak Bóg.

- A poznasz?

- Wolałabym nie.

Tom się zdziwił.

- Przecież wczoraj mówiłaś, że jest w porządku.

Teraz ja bawiłam się podkładką.

- Kłamałam. Prawda jest zupełnie inna. Odeszła od Luke'a, ale nie chce, żebym ja z nim była. Nie pozwala, żebym miała cokolwiek wspólnego z Jessicą, nie wie nawet, że ją poznałam. Celowo zajmuje Luke'a, kiedy tylko może, jak dzisiaj, żeby mi udowodnić, że nadal należy do niej. Trzyma go za jaja, bo jest matkąjego dziecka. Magda to mój problem.

- Nie Magda. Luke. Powinien ustalić granice.

- Wie o tym i chciałby, ale boi się, że Magda ograniczy mu spotkania z córką.

- Jeśli się postawi, straci ciebie. Tego też powinien się obawiać. Ja na jego miejscu...

Spojrzałam na niego.

- Zresztą to on cię uwodził, prawda? To on zgłosił się do programu. On zaprosił cię na kolację. Wszyscy to widzieliśmy. Więc bez względu na jego sytuację, musi odnaleźć równowagę.

- Pytanie, jak odnaleźć równowagę z osobą nie zrównoważoną? - mruknęłam. - Magda jest... niestabilna. Z drugiej strony, nie mogę krytykować Luke'a, bo to tak, jakbym mu zarzucała oddanie dziecku. Już wolę, że jest taki jak teraz, niż gdyby spędzał z nią za mało czasu. Wiesz, jak pomyślę o faceciach, którzy tak po prostu porzucają żony i dzieci, lekceważą obowiązki... - Na policzkach Toma wykwitł rumieniec. - Jak... jak mąż Giny. Ale Luke'owi jest ciężko.

Tom skinął głową.

- Rozumiem. Słuchaj, umieram z głodu, a moja lodówka świeci pustkami. Dotrzymasz mi towarzystwa przy kolacji?

- Jasne. Też nic nie jadłam od rana.

- Na co masz ochotę?

Studiowałam kartę dań. Zupa z dyni, zapiekanka ze słodkich ziemniaków, pieczony kurczak, ryż z fasolą.

- Może rybę z grilla? - zastanawiał się Tom. - Albo steki?

Podszedł Smitty.

- Słucham?

- Dla mnie koźlę w ziołach.

Rozdział 9

Wniedzielę Hope zadzwoniła z Sewilli. Właśnie skończyli kolację w uroczej knajpcie niedaleko katedry.

- Jestem świetną aktorką - szepnęła. - Mike nie ma zielonego pojęcia, że wiem.

Jak się zachowuje?

- Normalnie, choć wydaje się trochę... spięty. Wczoraj wieczorem był taki dziwny moment, już myślałam, że mi wszystko wyzna, ale nagle się rozmyślił, jakby to, co chciał powiedzieć, było zbyt bolesne. - Urwała, słyszałam, jak pociąga nosem. - To straszne pomyśleć, że to prawdopodobnie nasz ostatni wspólny wyjazd.

- Jesteś pewna, że tego chcesz, Hope?

- Tak. Jestem pewna. Oczywiście mogłabym schować głowę w piasek i udawać, że wszystko jest w porządku, ale i tak ode mnie odejdziesz. Nie, Lauro, muszę wiedzieć.

- Więc mam go śledzić?

- Tak.

-I przysięgasz, że nie będziesz mnie o nic obwiniała? Nieważne, czego się dowiem?

- Przysięgam.

- Choćby to było okropne?

- Choćby to było okropne.

- No dobrze. Podaj mi jego adres.

- Tower 42, Old Broad Street 25. Na pewno trafisz.

- O której zwykle kończy?

- Wpół do siódmej. W holu jest kafejka, tam możesz poczekać.

- Nie zobaczy mnie?

- Nie. Kafejka jest w głębi, ale zobaczysz go, jak wyjdzie, bo ściany są ze szkła.

I tak we wtorkowy wieczór pojechałam metrem na Liverpool Street i przeszłam do Old Broad Street. Brnęłam pod prąd - urzędnicy z City kierowali się w przeciwnym kierunku. Była ładna pogoda, więc nie czułam się zbyt głupio w okularach słonecznych na nosie. Naprzeciwko mnie Tower 42 poblaskiwała oknami w popołudniowym słońcu.

Weszłam do środka i usiadłam w Cafe Ritazza, skąd dyskretnie obserwowałam obrotowe drzwi. Żałowałam, że nie jestem gdziekolwiek indziej, naj-

chętniej na wernisażu w galerii Luke'a. Zadzwoiłam do niego o wpół do szóstej i powiedziałam, że się spóźnię, ale przyjadę. Nie mogłam powiedzieć mu całej prawdy, a nie chciałam kłamać.

Jeśli wierzyć broszurce, którą wzięłam, wchodząc do budynku, Tower 42 zawdzięcza nazwę czterdziestu dwóm piętróm, z czego firma Mike'a zajmowała cztery najwyższe. Przyszłam dwadzieścia minut przed czasem, więc wyciszyłam dźwięk w komórce, żeby mnie nie zdradziła. Piłam cafe latte i, jak zawsze w chwilach znudzenia, wymyślałam nowe pytania.

Najwyższy budynek świata? Sears w Chicago.

Kto zaprojektował budynek Opery w Sydney? Jorn Utzen.

Ile trwa ludzka ciąża? Czterdzieści tygodni.

Zerknęłam na zegarek. Szósta piętnaście. Urzędnicy wylewali się z wind i wychodzili przez obrotowe drzwi na zatłoczoną ulicę. Niektórzy skręcali w stronę Liverpool Street, inni machali na taksówki. Wyglądali tak samo, wszyscy w ciemnoszarych garniturach, jedwabnych krawatach i szalikach od Hermesa. Nagle moje serce przestało bić. Mike. Wysiadł z windy. Zerwałam się na równe nogi i w tym momencie zdałam sobie sprawę, że to nie on. Usiadłam z powrotem, rozejrzałam się nerwowo, czy nikt nie widział mojego falstartu, ale kafejka była właściwie pusta. Odetchnęłam głęboko.

Hope ma rację, rzeczywiście pracuje tu mnóstwo atrakcyjnych kobiet. Dwudziesto-, trzydziestokilkuletnie, szczupłe, zadbane, efektowne. Kuszące. Ciekawe, czy Mike już przedtem zdradzał żonę. Byłam na niego zła, że sprawia Hope zawód. I że mnie w to wciąga.

Dwadzieścia pięć po szóstej. Wyobrażałam sobie, jak Mike sprząta swoje biurko, wkłada marynarkę, sięga po teczkę, w której jest... no właśnie, co? Seksowna bielizna z La Perłą? Kolczyki od TiffFany'ego, komplet do wisior-ka? Przyglądałam się kolejnym mężczyznom wychodzącym z windy. Nie, to nie on. Nie, nie, nie... Moment... Nie, ten też nie... Nie, nie nie, nie... Obserwowałam oba wyjścia, wodziłam wzrokiem od drzwi do wind... Nie, nie, nie on... Nie... Tak!

Zerwałam się z krzesła. Teraz to Mike, nie ma co do tego wątpliwości. Widziałam, jak wysiada z windy, energicznym krokiem idzie do drzwi, wychodzi na dwór i skręca w lewo. Pobiegłam za nim. W moich żyłach buzowała adrenalina. Szłam za Mikiem Old Broad Street. Nagle zasłonił mi go autobus. Co będzie, jeśli stracę go z oczu? Przerazona, wypadłam na jezdnię. Taksówka zatrąbiła ostrzegawczo.

- Głupia krowa! - wrzasnął rowerzysta w lycrze. Ominął mnie w ostatniej chwili. Po drugiej stronie ulicy widziałam, jak Mike skręca w Threadneedle

Street, mija bar kanapkowy Pavarotti i zmierza do giełdy. Szłam za nim mniej więcej w odległości trzydziestu metrów i starałam się zachować normalną minę. Zszedł w dół, do metra. Czułam się jak płatny zabójca, gdy tak go śledziłam.

- Przepraszam! - wrzasnęła kobieta, którą niechcący popchnęłam. Mruknięłam coś pod nosem i zobaczyłam logo Central Line. Dlaczego Mike wsia- da tutaj do Central Line? Przecież do stacji Liverpool Street miał bliżej? Nagle uświadomiłam sobie, że wybrał linię City i Waterloo. Zakręciłam i zobaczyłam, jak zbiega na peron. Dlaczego jedzie do Waterloo? Pewnie złapie pociąg na przedmieścia albo wysiądzie przy Clapham Junction. Ciekawe, ile ta Clare ma lat i jak wygląda. Wyobraziłam sobie dwudziestopię- cioletnią rudowłosą piękność, nieokielznaną i szaloną. Przeciwiństwo Hope.

Byłam już na dole. Mike doszedł do końca peronu. Słyszałam jego kroki na marmurowej posadzce. Jeśli się odwróci, zobaczy mnie. Ukryłam się za niskim grubym facetem w beżowym prochowcu. Na szczęście huk z oddali narastał, owiało nas ciepłe powietrze i pociąg wtoczył się na peron. Drzwi się otworzyły, sporo ludzi wysiadło, a my weszliśmy do środka.

- Uwaga, drzwi się zamykają... - ostrzegało nagranie.

Kątem oka dostrzegłam, że Mike wszedł do sąsiedniego wagonu. Widzia- łam go przez szklane drzwi, stał pośrodku. Nie wydawał się podniecony ani szczęśliwy, a raczej smutny. Może było mu wstyd? A może romans zmierzał do końca?

Gdy wjeżdżaliśmy na stację Waterloo, zrobiło mi się słabo na myśl, jak trudno będzie go śledzić w tłoku w godzinie szczytu. Wysiedliśmy. Mike minął drogowskazy do pociągów podmiejskich, wbiegł po schodach na górę, przez chwilę szukał w kieszeni biletu. Ruszyłam za nim. Po chwili zobaczy- łam dzienne światło i poczułam świeże powietrze na twarzy.

Śledziłam go przez cały dworzec. Martwiłam się, co zrobię, jeśli od razu pójdzie na peron: nie mam biletu i nie wiem, jak go kupić, nie tracąc Mike'a z oczu. Ale on wcale nie szedł na perony. Szedł do wyjścia. W ślad za nim wyszłam pod wielkim kamiennym łukiem na zewnątrz. Byliśmy niedaleko National Theatre. Może tu się z nią umówił.

Mike minął sznur taksówek czekających na klientów i skręcił w York Road. Szedł pewnym krokiem, widać, że dobrze znał drogę. Po prawej stronie było London Eye. Szklane gondole lśniły w wieczornym słońcu. Z bólem serca pomyślałam o Nicku.

Mike zatrzymał się na skrzyżowaniu. Przyczaiłam się na przystanku autobusowym i ledwie światła się zmieniły, ruszyłam za nim. Przyśpieszył kroku, więc musiałam coraz bardziej wyciągać nogi, żeby nie stracić go z oczu. Po prawej stronie widziałam Big Bena i Pałac Westminsterski. Byliśmy przy moście Westminsterskim, mijały nas autobusy. Rzeka leniwie płynęła pod nami. Wiatr rozwiewał mi włosy.

Mike przeszedł na drugą stronę ulicy, ale nie wszedł na most, jak się spodziewałam, tylko na teren szpitala Świętego Tomasza. Myślałam, że go minie i pójdzie dalej nabrzeżem, ale nie, skierował się do głównego wejścia. W drzwiach minął pacjenta z gipsem na nodze.

Co on tu robi? Nie tak sobie wyobrażałam romantyczną randkę. Chyba że jego dziewczyna tu pracuje... Może jest lekarką albo pielęgniarką i przyszedł po nią. A może odwiedza przyjaciela? Albo... tak, pewnie po prostu na coś się leczy. Tak, na pewno, uznałam, mijając kwiaciarnię. Ulżyło mi. Coś mu jest, ale nie chce martwić Hope. Tyle że to dziwna pora jak na wizytę lekarską, no i co z wisiorkiem z imieniem Clare? Może więc to Clare jest chora, zastanawiałam się, idąc za Mikiem długim korytarzem. Clare choruje i dlatego jest taki smutny. Leży w szpitalu od dwóch miesięcy, więc to pewnie coś poważnego.

Mike zatrzymał się przy windach. Cofnęłam się dyskretnie, bo skoro udało mi się dotrzeć za nim aż tutaj, nie chciałam, żeby teraz mnie zobaczył. Co zrobię, jeśli jednak mnie zauważy? Udam zdziwienie i powiem, że przyszłam odwiedzić chorą przyjaciółkę. Nadjechała winda. Mike wszedł i zniknął mi z oczu.

Rzuciłam się do drugiej windy. Na szczęście zaraz przyjechała. Wcisnęłam wszystkie guziki. Nie wiedziałam, na które piętro jedzie Mike. Jego winda była pełna ludzi; przy odrobinie szczęścia ktoś będzie wysiadał na każdym piętrze i tym sposobem zdążę zobaczyć, czy Mike jest na korytarzu.

Pierwsze piętro. Wyrzałam ostrożnie. Nigdzie nie widać Mike'a. Drzwi się zamknęły.

Na drugim piętrze też nie zobaczyłam, za to do mojej windy wsiadły cztery osoby. Stałam przy samych drzwiach, a kobieta na wózku inwalidzkim posyłała mi zabójcze spojrzenia, ale uparcie trwałam na posterunku.

Trzecie piętro... Czwarte... Piąte... Za każdym razem wyglądałam na korytarz, ale Mike przepadł. Zgubiłam go.

Siódme piętro. Nagle zobaczyłam go. Stał jakies piętnaście metrów ode mnie i czekał, aż otworzą się drzwi na oddział. Nie widziałam jaki, Mike

zasłaniał mi tabliczkę. Wsiadłam z windy, skręciłam za róg i zatrzymałam się przy tablicy informacyjnej. Zerknęłam na Mike'a. Westchnął i jeszcze raz zadzwonił do drzwi. Po chwili wreszcie się otworzyły i stanęła w nich pielęgniarka w zielonym kitlu.

- Cześć, Mike - powitała go. - Co słychać?

Świetnie, Julie. Co u niej? - zapytał nerwowo.

- Jak zawsze. Ale ucieszy się, kiedy cię zobaczy.

Napis na ścianie głosił: **ODDZIAŁ NOWORODKÓW. NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.**

Stałam tam kilka minut i czytałam informacje o karmieniu piersią, ale nic z tego do mnie nie docierało. Podeszłam do drzwi. Nie miałam pojęcia, co zrobić, wiedziałam tylko, że muszę wiedzieć więcej. Nie wpuszczą mnie, chyba że kogoś odwiedzam. Zastanawiałam się, jak pokonać tę przeszkodę, gdy za moimi plecami rozsunęły się drzwi windy i wysiedli z niej mężczyzna i mały chłopiec. Mężczyzna niósł bukiet białych tulipanów, a chłopiec wielkiego pluszowego misia z niebieską kokardą na szyi. Stanęli koło mnie i mężczyzna nacisnął dzwonek. Widziałam, jak pielęgniarka idzie w naszą stronę, i po chwili drzwi się otworzyły.

- Przyszliśmy odwiedzić Sandrę King - powiedział mężczyzna.

Pielęgniarka wpuściła nas do środka - pewnie uznała, że jesteśmy razem. Odetchnęłam z ulgą. Szłam długim korytarzem, wdychając zapach środka do dezynfekcji i płynu do podłogi. Czułam, jak moje serce przyspiesza. Dookoła płakały dzieci. Czyżby jedno z nich było dzieckiem Mike'a?

Zaczęłam liczyć. Hope powiedziała, że zaczęła coś podejrzewać pod koniec stycznia. Jeśli Mike przychodzi tu dwa razy w tygodniu, dziecko urodziło się przed czasem. Minęłam dwa puste inkubatory i pomyślałam, że już wiem, dlaczego zachowywał się tak dziwnie na chrzcinach Oli vii. Zżerały go nie tylko wyrzuty sumienia, ale i strach. Tak, chrzciny to ostatnia uroczystość, na jaką Mike miał ochotę.

Swoją drogą, ileż kłamstw musiał wymyślać, żeby to wszystko ukryć przed Hope. Nie tylko przez ostatnie dwa miesiące, ale i wcześniej, kiedy Clare była w ciąży. Ciekawe, ile to już trwa. Co najmniej rok, może nawet dłużej? Minęła mnie pielęgniarka. Uśmiechnęła się, ale na szczęście nie zapytała, kogo odwiedzam. Z prawej strony miałam otwarte sale i w kilku zobaczyłam matki z dziećmi przy piersi. Skręciłam w lewo. Kolejny długi, ponury korytarz. Minęła mnie kobieta w żółtej koszuli. Szła powoli, trzymając się za brzuch. Widać, że niedawno rodziła. I oto Mike, nieświadomy mojej obecności...

Trzymał dziecko. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli i trzymał dziecko na ręku. Gładził maleństwo po plecach i kołysał je delikatnie. Dziecko miało na sobie białe śpioszki i czapeczkę i bez przerwy płakało.

Kiedy przerwało na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu, usłyszałam słowa Mike'a*

- Cicho, cicho, kochanie... Wszystko będzie dobrze... zobaczysz... Cicho, kochanie...

Cofnęłam się, usiadłam na krześle i przyglądałam się im jeszcze chwilę. Byłam w szoku. Nie mogłam oddychać. Jak ja to powiem Hope?

Tak, Hope, śledziłam Mike'a, tak, wiem, dokąd chodzi... Nie, nie straciłam go z oczu... Nie, nie mam dla ciebie dobrych wiadomości, bo... Tak, Hope, tak... Tak, chyba kogoś ma, ale jest jeszcze gorzej, niż myślałaś, bo widzisz... No cóż... on ma dziecko, Hope... Tak, dziecko... Nie wiem... Nie, nie wiem, czy to dziewczynka, czy chłopiec... Tak, to jego dziecko... Przykro mi, Hope... Widziałam... Widziałam na własne oczy... W Szpitalu Świętego Tomasza... Nie, Hope, proszę, nie płacz... Niestety to prawda... Tak, to na pewno Mike... Widziałam, jak nosił dziecko na rękach. Utulał je, bo bardzo płakało. To chyba wcześniak, ale już nie jest w inkubatorze. Tak, wydaje mi się, że właśnie to robi, kiedy nie wraca do domu o czasie. Odwiedza w szpitalu swoje dziecko i dlatego tak dziwnie się ostatnio zachowuje. Tak. Musisz z nim porozmawiać i powiedzieć, że wiesz o dziecku, a wtedy... Przykro mi, Hope. Myślałam, że się mylisz, ale najwyraźniej nie... Przykro mi, naprawdę...

- Czy mogę pani pomóc?

- Słucham?

Wróciłam do rzeczywistości. Mówiła coś do mnie kobieta w fartuchu pielęgniarki z plakiatką **SIOSTRA ODDZIAŁOWA**.

- Czy mogę pani pomóc? - powtórzyła. - Kogo pani odwiedza?

- Ja... - Spojrzałam na Mike'a i ścisnęło mnie w gardle.

- Dobrze się pani czuje? - zapytała. - Dziwnie pani wygląda.

- Bo to dziwna sprawa. Czy możemy porozmawiać?

Dwadzieścia minut później wyszłam ze szpitala. Byłam wstrząśnięta. Jak Hope i Mike sobie z tym poradzą? To niemożliwe. Nie rozmawiałam z nim, nie chciałam, ale wiedziałam już wszystko. Teraz pytanie - jak przekazać to Hope? Wyobraziłam sobie, jak siedzi w domu i nerwowo czeka na mój telefon. Nie, nie mogłam z nią rozmawiać, przynajmniej nie teraz. Wyłączyłam więc komórkę, złapałam taksówkę i postanowiłam wrócić do domu. W drodze

doszłam do wniosku, że nie mogę powiedzieć tego Hope przez telefon. Zamiast do domu, gdzie wydzwaniałaby na telefon stacjonarny, pojechałam do Luke'a, zwłaszcza że obiecałam mu, że wpadnę na wernisaż. Jest za piętnaście dni - Luke na pewno jeszcze jest w galerii. Podałam kierowcy adres.

W galerii było kilkanaście osób. Trzymali puste kieliszki, śmiali się i rozmawiali. Zobaczyłam Hugh. Jeszcze tego mi brakowało.

- Hugh, co za niespodzianka.

- Cześć. - Pocałował mnie w policzek, jakby nie było nic dziwnego w tym, że spotykam go na wernisażu z kobietą inną niż moja siostra.

- Cześć, Chantal - przywitałam się uprzejmie. - Zabawne, że was tu spotykam.

- Popieram lokalnych artystów - wyjaśnił Hugh. - A umówiliśmy się z Chantal na drinka, więc postanowiła tu wpaść.

- No właśnie. - Zarumieniła się.

- Ale już wychodzimy - dodał Hugh.

- Ucałuj ode mnie Fliss - rzuciłam lekko.

- Jasne. - Co za bezczelność.

- Laura! - To Luke. Pocałował mnie.

- Przepraszam, że się spóźniłam. Nie mogłam wcześniej...

- Nie szkodzi - zapewnił ciepło. - Ważne, że jesteś.

- To był mój szwagier - wskazałam głową Hugh. - Mąż Felicity.

- Wiem, kiedyś go poznałem, a dzisiaj mi się przypomniał. A ta blondynka?

- Chantal Vane, przyjaciółka Felicity. Chyba przesadzili, przychodząc tu razem.

- Dlaczego? Och, rozumiem. Myślisz, że oni...

- Nie wiem, miejmy nadzieję, że nie. - Mam wystarczająco dużo problemów z mężem jednej siostry. - Jak wernisaż?

Luke się rozpromienił.

- Świetnie. Było sto pięćdziesiąt osób i sprzedałem dziesięć obrazów. Craig już wyszedł - dodał. - Ale chodź, obejrzysz obrazy.

Szliśmy przez galerię i posłusznie wydawałam okrzyki zachwytu, choć dla mnie były to tylko barwne plamy na płótnie. Starłam się zapamiętać, co Luke mówi o sztuce abstrakcyjnej i intelektualnym wyzwaniu, jakie ze sobą niesie, ale nie mogłam się skupić. Miałam wrażenie, że mówi coś do mnie z końca długiego, ciemnego tunelu. Przedstawił mi swoich przyjaciół, Grania i Imogen. Okazało się, że jest ojcem chrzestnym ich dziewięćmiesięcznej córki.

- Jest cudowna - zachwycił się. - Jessica też za nią przepada.
- To wasze pierwsze dziecko? - zapytałam.
- Moje tak - odparła Imogen. - Grant ma jeszcze dwóch fantastycznych chłopców, dwunasto- i dziewięcioletniego. Uwielbiają Amelię, prawda? Szczęściara z niej.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę i powiedzieli, że muszą wracać. Ostatni goście już wyszli. Luke zostawił asystenta, żeby pozbierał resztę kieliszków.

- Zainteresowanie było ogromne - paplał radośnie, gdy szliśmy do niego.
- Bałem się, że zaraz po Wielkanocy nikt nie przyjdzie, a tu proszę. Dobrze się czujesz? - Spytał nagle. - Jesteś taka... cicha.

- Boli mnie głowa. - Nie kłamałam.

- Biedactwo. Zaraz poczujesz się lepiej.

- Raczej nie. - Myślałam o Hope. Biedaczka ciągle czeka i się zamartwia. Ale teraz i tak nie mogę do niej zadzwonić, bo Mike już wrócił. Zadzwonię jutro rano. Ale jak powiedzieć coś takiego przez telefon? Nie mogłabym. Muszę to zrobić twarzą w twarz. Albo... Nagle wiedziałam. Tak, właśnie tak.

- Urządzimy sobie spokojny domowy wieczór - ciągnął Luke. Trzymał mnie za rękę. - Zrelaksujemy się, może wypożyczymy jakiś fajny film. Na przykład *Mumię III*

Doszliśmy do jego domu. Gdy Luke otwierał furtkę, coś przykuło moją uwagę. Na podjeździe leżały dzinsy.

- Skąd one się tu wzięły? - zastanawiał się. Moje serce fiknęło kozła. - A to? - Podniósł ze schodów białe majteczki i różową koszulkę. - Co to...

- To moje - powiedziałam cicho.

- Twoje?

- Moje. - Było mi niedobrze.

- O Boże. - Otworzył drzwi, wyłączył alarm i pobiegł na górę. Zapalił światło w sypialni.

- O Boże - powtórzył.

Pierwsze, co zobaczyliśmy, to moje jedwabne kimono. Było nie do poznania, bo pocięto je na strzępy. Poniewierały się na łóżku, na podłodze. Jeden wylądował na głowie misia, który wyglądał, jakby się opalał i włożył chustkę.

- O Boże... Tak mi przykro, Lauro. - Podniósł strzęp błękitnego jedwabiu. - Nie wiem, co powiedzieć. Wstyd mi. Kupię ci nowe - dodał bezradnie.

- Nie trzeba - sapnęłam, zbyt wstrząśnięta, by dać upust złości. - Nie ma sprawy...

Opadł na łóżko.

- Tak mi przykro, Lauro... - Pokręcił głową. - Ona jest... nienormalna.

Weszłam do łazienki. Kłapa sedesu była opuszczona, ale z jednego boku zwisał rękaw mojego kaszmirowego swetra, jakby chciał się wydostać. Podniosłam kłapę i dziękowałam losowi, że Magda wrzuciła moje ubranie do czystej wody. Na lustrze napisała wielkimi literami *SUKA*. Moją szminką, oczywiście, którą później złamała. Moja pianka do włosów zdołała ścianać. Moje kosmetyki do makijażu pływały w bidecie. Moja suszarka, z obciętym sznurem, leżała w koszu na śmieci.

Wyobraziłam sobie, jak Magda dokonuje aktu zniszczenia w ataku szału wywołanym przez... przez co? I wtedy sobie przypomniałam.

- Przełożyłam jej rzeczy. - Zajrzałam do szafy. Jej bluzki, suknie i buty wróciły na dawne miejsce.

- Jezu - jęknął Luke. Siedział na łóżku, bawił się skrawkiem kimona i kręcił głową.

- Pytanie tylko, jak się tu dostała? - Spojrzała na mnie. - Jak, Luke?

- Cóż...

- Nie włamała się, to pewne.

- No, nie.

- Ma klucz? Błagam, nie mówi mi, że ma klucz!

- Nie ma. Ale wie, gdzie chowam zapasowy. Ale nie zrobiła tego tylko dlatego, że przewiesiłaś jej rzeczy.

- Więc dlaczego?

- Dowiedziała się, że poznałaś Jess.

- Skąd? Widziała jajko ode mnie?

- Nie. Oddała jej zdjęcia do wywołania i zobaczyła cię na jednym z nich.

- Och. - Przypomniało mi się, jak nie zdążyłam się usunąć z kadru.

- Zadzwoiła do mnie wściekła. Byłem zajęty, miałem pełne ręce roboty w związku z wernisazem i kazałem jej spadać. Nie myślałem, że zareaguje w ten sposób.

- Chcesz powiedzieć, że przyjechała tu z Chiswick tylko po to, żeby pociąć moje ciuchy?

- Nie, musiała tu przyjechać, bo Jessica umówiła się z koleżanką z Notting Hill. Kiedy małe się bawiły, weszła tu, rozejrzała się, zobaczyła, że przełożyła jej rzeczy, i... wpadła w szal. To już było ponad jej siły.

Usiadłam obok niego. Nie musieliśmy oglądać *Mumii II*. Mieliśmy własny horror.

- Porozmawiam z nią - obiecał. - Wynagrodzę ci to, nie wiem jak, ale... - Ukrył twarz w dłoniach. - To koszmar, Lauro. Nawet sobie nie wyobrazasz, jaki to stres. Jakbym mieszkał na kraterze.

- Magma - mruknęłam. - Szkoda, że nie ma na imię Magma.

Oparłam się. Coś gniotło mnie w dłoń, więc zajrzałam pod poduszkę. Leżały pod nią wielkie krawieckie nożyce, którymi Magda posłużyła się w dziele zniszczenia. Wstałam.

- Nie zostanę tu dzisiaj. - Sięgnęłam po torebkę. - Przykro mi, Luke. Dla mnie to też za wiele. I bez tego miałam ciężki dzień. - Pomyślałam o Mike'u i dziecku. - Jutro porozmawiamy.

' Zbiegłam na dół. Nie miałam siły na gniew, szok był zbyt wielki. Ale idąc Bonchurch Road, dziwiłam się, że Magda w niszczycielskiej furii niszczyła moje rzeczy, a potem zamknęła okno, z którego ciskała je na dwór, i jak zawsze włączyła alarm.

Zegar wybił jedenastą. Spojrzałam na komórkę. Hope dzwoniła osiem razy i zostawiła pięć dramatycznych wiadomości na poczcie głosowej. Napisałam jej SMS, że dzisiaj nie możemy porozmawiać, ale zadzwonię rano. Obudził mnie jej telefon.

- Dlaczego nie oddzwaniałaś? - szlochała. Znużona zerknęłam na zegarek. Za dziesięć siódma. Prawie nie spałam. - Szalałam z niepokoju - jęczała. - Dlaczego nie dzwoniłaś?

- Najpierw - wychrypiałam - było to niemożliwe, a kiedy już mogłam, Mike wrócił.

Słyszałam, jak głośno wciąga powietrze.

- Czego się dowiedziałas? - Milczałam. - No, czego? - ponaglała. - Do kąd chodzi? Jaka ona jest, ta Clare? Młodsza ode mnie? Ładniejsza? Widziałas jej zdjęcie? Co właściwie widziałas? Powiedz mi, Lauro. Nie wytrzymam tego! Nie wytrzymam! Muszę wiedzieć. Powiedz mi, słyszysz? Powiedz, błagam...

- Nie, nie powiem ci.

Chwila ciszy.

- Jak to - nie powiesz? Musisz. Po to go śledziłaś. O co ci chodzi?

- O nic. Ale nie powiem ci, co widziałam.

- Dlaczego?

- Bo chcę ci to pokazać. Jutro pojedziesz ze mną i zobaczysz na własne oczy. Do tego czasu masz wziąć się w garść. Nie zwracać mi głowy i nie

podawać w wątpliwość moich motywów i mojej uczciwości, bo wiesz, Hope, ja też mam swoje problemy... - Bolało mnie gardło. I uwierz mi, że staram się, jak mogę.

- To coś strasznego - chlipnęła. - Dlatego nie chcesz mi powiedzieć. Bo to takie straszne. Najstraszniesze na świecie.

- Cóż...

- Mike ją kocha, tę Clare... - sapnęła. - Tak?

- Cóż, chyba tak.

- Moje małżeństwo legło w gruzach.

- Może... ale zaufaj mi i nic mu nie mów. Proszę, nie zaczynaj żadnej rozmowy na ten temat.

- Nawet gdybym chciała, nie mogę, bo pojechał do Brukseli i wróci dopiero jutro w południe. Może pojechała razem z nim - dodała z goryczą.

- Raczej nie - zapewniłam. - Spotkamy się na stacji metra Westminster o siódmej wieczorem.

- Dokąd pojedziemy?

- Zobacysz.

Rozdział 10

Po południu mieliśmy nagranie. Zwycięzcy osiągnęła bardzo wysoki wynik i, o wstydzie, chciała odwrócić role. Zadała mi w sumie proste pytanie: co powodowało wypicie wody z mitycznej rzeki Lete? Ostatnie wydarzenia osłabiły moją koncentrację i odpowiedziałam, że senność, zamiast że zapomnienie. Widownia wyraźnie się ucieszyła, ja się zirytowałam, a zawodniczka podwoiła wygraną: zgarnęła trzydzieści dwa tysiące funtów, poważnie naruszając nasz budżet. A kiedy kończyliśmy ostatniego dubla, wyłączyli prąd i przez pół godziny siedzieliśmy w ciemnościach, bo w studio nie ma okien. Nie znoszę ciemności, więc odetchnęłam z ulgą, gdy znowu włączono prąd i mogłam wracać do domu. Luke zadzwonił, kiedy siedziałam w taksówce.

- Właśnie rozmawiałem z Magdą - powiedział. - Głupio jej z powodu tego, co się stało.

- Tego, co się stało? - Zamknęłam szybę działową, żeby kierowca mnie nie słyszał. - Raczej tego, co zrobiła.

- Jest jej naprawdę przykro, Lauro. Jest taka...
- Rozdarta - podsunęłam.
- Skruszona. Przyznaje, że ją poniosło.
- Nie. Luke, jej nie poniosło. Ona oszalała!
- Ostatnio przechodzi trudny okres.
- Biedaczka. Nie ma to jak trochę szaleństwa po ciężkim dniu, prawda? - Zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle.
- I martwi się, bo im się nie układa ze Steve'em. Ona...
- Chce go zarząnąć?
- Ma wrażenie, że ich związek wkrótce się skończy, i zdenerwowała się, że przełożyłaś jej rzeczy.
- A mnie denerwowało, że ciągle wiszą w twojej szafie!
- Czasami Magda nie panuje nad sobą - ciągnął. Nie słuchał mnie. - Teraz jest spokojniejsza. Normalna. Prawie.

Światło zmieniło się na zielone.

- Słuchaj, Luke, rozumiem, że Magda jest matką twojego dziecka i dlatego jest co najmniej święta, a już na pewno nie można jej krytykować, ale nie ulega wątpliwości, że to wariatka. Spójrzmy prawdzie w oczy: ja jestem Jane Eyre, ty to pan Rochester, a Magda to Berta Mason, tylko nie siedzi zamknięta na strychu, a lata po domu z wielkimi nożycami. Skąd wiesz, że jutro nie zamieni ich na piłę elektryczną? Albo zechce pociąć moje ciuchy, kiedy mam je na sobie?

- Posłuchaj, Lauro, Magda wyciąga gałązkę oliwną. Mam nadzieję, że ją przyjmiesz. Chciałaby cię poznać.

Zatkało mnie.

- Nie ma mowy.

- Bardzo cię proszę.

- Nie po tym, co zrobiła! Nie! Nie mogłabym! Zresztą po co?

Westchnął.

- Po to, że muszę utrzymywać z nią poprawne stosunki, co oznacza, że ty też musisz, jeśli mamy być razem. Nie chcesz tego?

Wyglądałam przez okno.

- Chcę.

- Więc Magda będzie też częścią twojego życia.

- Nie rozumiem. W tym kraju są miliony małżeństw po rozwodzie, Luke. Żony numer jeden i dwa raczej nie utrzymują żadnych kontaktów. Dzieciaki się podwozi i zabiera. Wolałabym, żeby tak było z Magdą i ze mną.

- Posłuchaj, Lauro, wiem, że ona bywa trudna...

- Delikatnie mówiąc.

- Ale jeśli chcesz nawiązać więź z Jessica, a chyba tego chcesz...

Wyrzłałam przez okno. Byliśmy w Chiswick.

- Oczywiście, że chcę.

- Więc czy ci się to podoba, czy nie, musisz się jakoś dogadać z Magdą.

- Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby Magda była normalna, ale jak sam się przekonałeś wczoraj wieczorem, to ostatnie, co można o niej powiedzieć.

- Proszę cię, Lauro. Czasami bywa... normalna.

- Zachowuje się okropnie, niszczy moje rzeczy, a ty chcesz, żebym się przed nią płaszczyła, jak ty. Nie, nie zgadzam się!

- Nie musisz. Bądź tylko miła. Pomóż mi stworzyć szczęśliwe otoczenie dla Jessiki.

- Przykro mi, ale obawiam się, że to niemożliwe.

- Owszem, możliwe. Pamiętasz Imogen i Granta? Poznałaś ich wczoraj w galerii.

- Tak.

- Grant i Rosie rozstali się pięć lat temu. Rok później Grant poznał Imogen, pobrali się, w zeszłym roku urodziła się mała. I wszyscy świetnie się dogadują. Rosie lubi Imogen, w niedziele przywozi chłopców i zazwyczaj zostaje na obiedzie. Uwielbia Amelię i chętnie z nią zostaje, żeby Grant i Imogen mogli gdzieś wyjść. Czasami wszyscy razem jadą do jego rodziców. Są przyjaciółmi, Lauro, a dzieci dorastają szczęśliwe i spokojne. Chciałabym, żeby u nas było podobnie.

- Bardzo to piękne, ale rzecz w tym, Luke, że po pierwsze nietypowe, a po drugie, Rosie to najwyraźniej kobieta rozsądna, czego o Magdzie nie da się powiedzieć. Przykro mi, że komplikuję ci plany, ale wczoraj zniszczyła moje jedwabne kimono. A ty prosisz, żebym wypiła z nią herbatkę jak w sztuce Oscara Wilde'a!

- No... tak. Jutro będzie w domu. Sprawisz mi wielką przyjemność, jeśli przyjdiesz. I pomożesz mi, bo nie chcę, żeby Magda zmieniła zdanie co do Wenecji. Proszę cię, Lauro. Wiem, że proszę o dużo, ale mam nadzieję, że to dla mnie zrobisz.

Dlaczego wszyscy proszą mnie o rzeczy, na które nie mam ochoty? - zastanawiałam się zdenerwowana. Dlaczego wszyscy czegoś ode mnie chcą? Z drugiej strony, byłam ciekawa Magdy i chciałam pomóc Luke'owi. Zanim się zorientowałam, usłyszałam, jak mówię:

- No dobrze, do cholery. O której?

Rekiny z brukowców, pozbawione przez święta smakowitych kąsków, rzuciły się na mnie z nową zjadłością. CZY LAURA TRACI PRZEWAGĘ? zastanawiał się „Daily News” następnego ranka. Zdjęcie, na którym byłam bardzo zmartwiona, ilustrowało artykuł o tym, jak przyjaciele martwią się o mnie, bo bardzo stresuje mnie praca, zżera niepokój o męża, a jeśli dodać do tego wyrzuty sumienia, że spotykam się z żonatym mężczyzną... wszystko jasne. Podpis pod zdjęciem głosił: Laura w stresie. Anonimowy informator donosił, jakoby mi wyznała, że wyrzuty sumienia, że odebrałam Magdzie męża, nie dają mi spać. Podobno w ogóle nie jem i jestem na krańcu anoreksji.

- Musisz przedstawić swoją wersję wydarzeń - stwierdziła Nerys, kiedy przyszłam do pracy. Poprawiła włosy, w tym tygodniu w odcieniu zielonkawym. - Moim zdaniem pozwalasz im na zbyt wiele.

- Owszem, mam tego dosyć.

- Więc udziel wywiadu - podsunęła. - Dzień dobry, Trident TV...

- Nerys ma trochę racji - zauważył Tom. - To się ciągnie już za długo. Czas, żebyś wzięła sprawę w swoje ręce. To samo mówią w Channel 4.

- Myślałam, że się cieszą z darmowej reklamy i rosnącej oglądalności. Zdaje się, że przekroczyliśmy cztery miliony?

- Tak, ale martwią się o ciebie. Uważają, że powinnaś zareagować.

Przekonał mnie i kiedy później zadzwonili z dobrej gazety, przyjąłam rozmowę.

- Pani Quick? - Dziennikarz wydawał się sympatyczny. - Nazywam się Warren Sillitoe. „Sunday Semaphore”.

- Tak?

- Po pierwsze, chciałem powiedzieć, że jestem pani wielkim fanem. Program jest świetny.

- Dziękuję.

- Czytałem, co „Daily News” o pani wypisuje. - Zarumieniłam się. - Brukowce nie dają pani spokoju.

- To prawda.

- Jak się domyślam, zmyślili większość cytatów?

- Tak.

- Zdaję sobie sprawę, że do tej pory nie chciała pani rozmawiać z prasą, ale może zmieni pani zdanie i zgodzi się udzielić wywiadu dobrej gazecie.

- Cóż, szczerze mówiąc, właśnie się nad tym zastanawiałam.

- Więc zadzwoniłem we właściwej chwili.

- Może. Co miałabym powiedzieć?
- Prawdę. Prawdę o sobie. A to niestety oznacza, że musiałyby pani powiedzieć o odejściu męża.

Moje serce zamarło.

- Musiałabym?

' - Niestety, inaczej taki tekst nie miałby sensu. Przy okazji od razu zapytam, co panią drażniło w dotychczasowych artykułach?

- Szczerze mówiąc, wszystko. Ale przede wszystkim sugestia, że rozbiłam małżeństwo Luke'a Northa. Żona odeszła od niego dziesięć miesięcy wcześniej. Poza tym to nieprawda, że jestem trudna we współżyciu i wymagająca.

- Ma pani za sobą ciężki okres. Ale „Sunday Semaphore” to poważna gazeta i przynajmniej będzie pani miała okazję przedstawić swoją wersję wydarzeń. - Chwila ciszy. - Podam pani mój bezpośredni numer. Proszę dać mi znać, gdyby się pani zdecydowała.

- A dostanę tekst do autoryzacji?

Zawahał się.

- Na ogół tego nie robimy.
- A ja na ogół nie udzielam wywiadów. Wezmę to pod uwagę tylko pod warunkiem, że dostanę tekst do autoryzacji. - Zdziwiła mnie własna asertywność.

- No dobrze, zobaczę, co się da zrobić.

- A czy pańska gazeta wesprze finansowo fundację poszukiwania zaginionych?

-Tak.

- Kwotą co najmniej pięciuset funtów?

Roześmiał się.

- Twarda z pani zawodniczka.

- Jeśli chce pan tego wywiadu...

- Tak. Oczywiście będziemy mieli wyłączność.

- Oczywiście. Ale jeszcze muszę się zastanowić.

Napisano o mnie tyle kłamstw, że jego propozycja wydała mi się bardzo kusząca, ale nie chciałam decydować pochopnie. Miałam za dużo rzeczy na głowie, między innymi spotkanie z Hope. Bałam się tego.

Zjawiłam się dziesięć minut przed czasem. Hope już czekała. Stała przy wielkiej mapie, bladej jak pergamin. Była na mnie zła, że nie mówię, dokąd idziemy, ale wzięła się w garść. Ruszyliśmy. Rozmowa nie kleiła się, więc żeby ją czymś zająć, powiedziałam o propozycji „Semaphore”.

- Mam nadzieję, że porządna gazeta nie będzie drukować bzdur - mruk-
nęła.

- I obiecał, że dadzą mi tekst do autoryzacji.

- Naprawdę?

- Tak, nieoficjalnie.

- W takim razie zrób to.

- Sama nie wiem. Na razie mam za dużo rzeczy na głowie. Także... to.

- Dokąd my właściwie idziemy, Lauro? Proszę, powiedz mi. Już nie mogę
wyttrzymać. Dokąd idziemy? - powtórzyła, gdy byłyśmy nad Tamizą.

- Zobaczysz.

Skrzywiła się gniewnie.

- Daleko jeszcze?

- Nie. - Spojrzałam w lewo. London Eye i Oxo Tower, a w oddali eleganc-
kie białe przęsła mostu Hungerford. Nad Tamizą uwijały się mewy.

- Mike tam będzie, prawda? - spytała. - Zobaczę go.

- Tak.

- Nie mieści mi się w głowie, że to robię. Pozwalam, żebyś mnie ciągnęła
Bóg wie gdzie.

- Robisz to, bo prosiłaś, żebym śledziła Mike'a, a teraz chcesz się przeko-
nać, czego się dowiedziałam.

Przez kilka minut szłyśmy w milczeniu.

- Daleko jeszcze? - powtórzyła Hope.

- Nie. - Zatrzymałyśmy się przed szpitalem. - Jesteśmy na miejscu.

- Jak to? Przecież tu jest szpital.

- No właśnie.

- Idziemy do szpitala?

- Tak. - Ruszyłyśmy do głównego wejścia.

- Ale dlaczego?

Nie odpowiedziałam.

- Dlaczego? - powtórzyła.

Weszłyśmy do budynku.

- Bo tutaj jest Mike. - Minęłyśmy kwaciarnię i kiosk i poszłyśmy do wind.

- Właśnie tu przychodzi od dwóch miesięcy.

- Nie rozumiem - szepnęła. - Nie jest chory, prawda? Proszę, nie mów mi,
że jest chory.

- Nie jest.

- Więc co tu robi? - Wsiadłyśmy do windy. - Odwiedza kogoś?

Wcisnęłam siódmkę.

- Tak, odwiedza kogoś.

- Clare? - dopytywała się Hope. - Odwiedza Clare?

Tak.

- O Boże. Więc to ona jest chora, tak? - Nie odpowiedziałam. - Odwiedza ją, bo jest chora. Ale co jej jest? Chyba coś poważnego, skoro Mike przychodzi tu od dwóch miesięcy. Dlaczego mi nie odpowiadasz? Dlaczego milczysz?

- Bo chcę, żebyś to zobaczyła.

- Nie rozumiem - jąknęła. - Po co ta tajemnica? Jeśli naprawdę jest chora, nie będzie zachwycona, że żona jej faceta zjawia się w szpitalu!

Siódme piętro.

Wysiadłyśmy. Hope zobaczyła napis nad drzwiami i zbladła.

- Toru?

- Tak.

Uniosła rękę do ust.

- Na pewno?

- Tak.

- Więc... - pisnęła cicho. - O Boże. Dziecko?

- Tak. Dziecko.

- O Boże - powtórzyła. - Dziecko. Dziecko. - Pokręciła głową. - Nie wejdę tam, Lauro.

- Musisz.

- Nie mogę. - Miała oczy pełne łez. Patrzyła na mnie wrogo.

- Zaufaj mi.

- Zaufać ci? Niby dlaczego? Jesteś okrutna. Okrutna... - Wykrzywiła usta.

- Okrutna i wredna. Jak mogłaś mnie tu przyprowadzić...

- Może tak uważasz, ale nie jestem okrutna.

- Więc dlaczego tu jesteśmy? Chcesz mnie upokorzyć? Napawasz się moim cierpieniem? Nie rozumiem. - Szukała chusteczki w torebce. - Żałuję, że cię prosiłam - szlochała. - Żałuję, że prosiłam cię o pomoc!

- Za późno - odparłam. Nacisnęłam guzik i pielęgniarka otworzyła drzwi.

- Dzień dobry. Była pani u nas kilka dni temu, prawda?

- Tak. A to moja siostra.

Hope uśmiechnęła się z trudem.

- Prosto i w lewo. Zna pani drogę.

Hope cały czas szlochała.

- Ty świnió - wysapała, gdy zgodnie z poleceniem pielęgniarki myłyśmy ręce w łazience dla odwiedzających. - Co ty sobie myślisz? Przyprawiasz mnie tu, żebym na własne oczy zobaczyła, że mój mąż ma nie tylko romans, ale i dziecko? Dlaczego mi to robisz? - Energicznie wycierała ręce w papierowy ręcznik. - Czerpiesz z tego sadystyczną przyjemność czy co? - Cisnęła ręcznik do śmietnika. - Masz do mnie o coś pretensje? Jakies urazy z dzieciństwa? Chcesz mnie ukarać? Teraz? Po dwudziestu latach?

Szłyśmy korytarzem. Nie rozmawiałyśmy. Słuchałyśmy dziecięcego zawożenia i ściszonych głosów odwiedzających. Nasze buty skrzypiały na linoleum.

- Dlaczego mi to robisz? - powtórzyła ciszej. - Dlaczego, na Boga, tak mnie... Jesteś okrutna i nie rozumiem, jak... Och...

Mike nas nie zauważył. Przechadzał się powoli z dzieckiem w ramionach. Na jego twarzy malowały się czułość i troska.

- Cicho, cicho, kochanie. Cicho już, nie płacz. Proszę, malutka, nie płacz, o tak, cichutko... Wszystko będzie dobrze... cicho... cicho...

Hope stanęła jak wryta i patrzyła na Mike'a.

- Nie zniosę tego - powiedziała. - Nie mogę, po prostu nie mogę...

- Cicho już, nie płacz...

-Więc to tu...

-Tak.

- Cały czas?

-Tak.

- Nie płacz, malutka...

-Nie wytrzymam tego -wychrypiała. -Niedobrze mi. O Boże... O Boże... dziecko. A gdzie... Clare? Gdzie ona jest? Chcę ją zobaczyć, skoro już tu jesteśmy. Chcę zobaczyć kobietę, która urodziła mojemu mężowi dziecko. Która zniszczyła moje małżeństwo, moje... moje życie. Gdzie ona jest? Gdzie Clare? Powiedz mi, Lauro.

- Ma ją na ręku - odparłam.

- Jak to?

- Tuli ją.

Zamrugła nerwowo.

- Nie rozumiem.

- Clare to dziecko.

- Clare to dziecko? Och. Więc... gdzie matka?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem. Mike też nie. Nie zna jej. I nigdy nie pozna.

Hope przyglądała mi się, jakbym spadła z kosmosu.

- Więc... jak?

- Matka Clare to narkomanka. Jest uzależniona od heroiny, Clare też. Dzieci narkomanek cierpią jak ludzie na odwyku, więc trzeba, żeby ktoś je tulił i pieścił, są bardzo nerwowe, dużo płaczą. Mają bardzo napięte mięśnie i nie mogą spać, trzeba je masować i głaskać. Pielęgniarki nie zawsze mają na to czas. Więc robi to Mike i inni wolontariusze. Nie ma pojęcia, że wiem, nie wie, że rozmawiałam z szefową programu.

- Och. - Hope nadal patrzyła na Mike'a. Drżały jej usta. Łza spłynęła po policzku.

- Moja malutka, cicho...

- Rozumiem - szepnęła Hope.

- Cicho, maleństwo, wszystko będzie dobrze...

- Więc nie miał romansu?

-Nie.

- I cały czas robił... to? - Zamrugła z niedowierzaniem.

-Tak.

- Ale... dlaczego mi nie powiedział? Dlaczego?

- I wtedy Mike podniósł głowę. Patrzył na nas szeroko otwartymi oczami.

- Sama musisz go o to zapytać.

Następnego dnia w pracy czekał na mnie e-mail od Hope.

Wzięłam sobie wolne. Może spotkamy się na lunchu?

- Ja stawiam - zastrzegła, gdy wpadłam do Zucca's. - Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Nadal była blada, ale już nie tak spięta, jakby wreszcie pozwoliła sobie na chwilę relaksu.

- Przepraszam - powiedziała. - Przepraszam za wszystko, co mówiłam wczoraj w szpitalu.

- To ja przepraszam, że nie powiedziałam ci od razu. Wiedziałam, że będzie ci ciężko, ale uznałam, że tak będzie lepiej.

- Miałaś rację. Musiałam to zobaczyć. Musiałam przeżyć szok.

- Co się stało, gdy wyszłam?

- Mike był bardzo zdziwiony, kiedy mnie zobaczył. Poprosił, żebym poszła do domu. Kiedy wrócił, rozmawialiśmy do drugiej w nocy. Dlatego wzięłam dziś wolne, byłam taka zmęczona. Do tego stres... Nie wiedziałam...

Urwała. - Nie zdawałam sobie sprawy...

- Jak bardzo mu zależy?
- Nie miałam zielonego pojęcia, dopóki go tam nie zobaczyłam. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. To był temat tabu.
- Dlaczego?
- Miała łyzy w oczach.
- Bo Mike wiedział, że nie zmienię zdania.
- Rozumiem.
- Powiedział, że bardzo mnie kocha i że nie chce mnie stracić, więc kiedy się dowiedział o tym programie...
- A jak się dowiedział?
- Od koleżanki z pracy. Była wolontariuszką, powiedziała mu o tym mimochodem i zgłosił się. Trochę trwało, zanim przyjęli jego kandydaturę, bo wszystkich dokładnie sprawdzają. Ukrywał to przede mną, bo wiedział, że gdyby wyznał prawdę, doprowadziłoby to do bolesnej rozmowy, a on po prostu bardzo chciał przytulić dziecko... Ukryła twarz w dłoniach. - Chciał się przekonać, jak to jest kołysać dziecko do snu. Clare jest na oddziale dłużej niż inne dzieci, bo była bardzo chora. Od początku się nią opiekował. Ale pod koniec tygodnia mała wraca do domu i Mike chciał, żeby miała coś od niego.
- Stąd wisiorek.
- Hope skinęła głową.
- Wie, że już nigdy jej nie zobaczy. Nie zna jej nazwiska, nie wie, kim jest jej matka, gdzie mieszka, nic. Wie tylko, że potrzebowała miłości. - Z trudem powstrzymywała łyzy. - Bardzo się do niej przywiązał. Płakał, kiedy mówił, że nigdy więcej jej nie zobaczy.
- Więc naprawdę zakochał się w Clare.
- Tak. - Wyjęła chusteczkę z torebki.
- Przegadaliście pół nocy - zauważyłam. - Z jakim skutkiem?
- Na razie z żadnym. Ale przynajmniej zrozumiałam, jak bardzo mu brakowało... dziecka.
- Nie domyślałaś się?
- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, a Mike zawsze sprawiał wrażenie człowieka, którego dzieci w ogóle nie interesują. Teraz wiem, że tylko udawał. Powiedział, że kiedy braliśmy ślub, myślał, że to żaden problem, ale z czasem zaczęło mu to doskwierać, zwłaszcza kiedy jego przyjaciółom rodziły się dzieci. Mówił, że każde kolejne chrzciny napawały go coraz większą goryczą.
- Dlatego tak dziwnie się zachowywał na chrzcinach Olivii.

- Tak. I dlatego nie chce odwiedzać Fliss. Nie może znieść, gdy ona ciągle opowiada o małej.

- Znam to uczucie - mruknęłam.

- A wczoraj wieczorem, gdy siedzieliśmy w naszym ślicznym kremowym saloniku, Mike rozejrzał się i stwierdził, że chciałby, żeby dzieci bazgrały po ścianach, poplamily dywan i podarły obicia. Pragnie chaosu i bałaganu. Tego, czego zawsze chciałam uniknąć.

- Więc?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Na razie cieszę się, że to nie to, co podejrzewałam. Mike nie ma romansu i nie kłamał, kiedy mówił, że nie byłby do tego zdolny. Ale jak mogę z nim być? No jak? - Znowu miała łzy w oczach. - On bardzo mnie kocha, ale chce mieć dzieci. A jedno z drugim się wyklucza.

- Więc nie zmienisz zdania?

Hope westchnęła.

- Nigdy nie chciałam dzieci. Cięża, poród, zarwane noce, płacze i nerwy, to wszystko wydawało mi się okropne. - Znowu westchnęła. - Nie wszyscy muszą mieć dzieci. Można się bez nich obejść, prawda? - Milczałam. - Nic na to nie poradzę, tak uważam.

- A nie mogłabyś... nie mogłabyś...

Spojrzała na mnie.

- Zmienić zdania? - Pokręciła głową. - Nie sądzę. - Odetchnęła głęboko.

- O czym myślisz?

- O tym, jak kilka lat temu Felicity zapytała Mike'a, czy chciałby mieć dzieci.

- Naprawdę? I co odpowiedział?

- Że to kwestia miłości.

- Cóż, ładnie.

- Też tak pomyślałyśmy.

- Powiedziałaś mi to samo, kiedy zapytałam, jak znosisz ten układ z Lu-kiem.

- Tak? - zmarszczyłam brwi. - No tak, rzeczywiście.

Siedziałyśmy chwilę w milczeniu, a potem Hope poprosiła o rachunek.

- Dzięki za pomoc. - Sięgnęła po torebkę. - Wiem, że nie chciałaś tego robić.

- Szkoda, że w ogóle musiałam.

Wstałyśmy.

- Wracasz do pracy? - spytała.

- Nie, Tom powiedział, że mogę się urwać, bo byłam w pracy w niedzielę wielkanocną.

- Więc dokąd idziesz?

- Do Luke'a. - Zatrzymałam się w drzwiach. - Na herbatkę. Z Magdą.

-Z Magdą?!

-Tak.

- Lauro, jeśli to prima aprilis, to pomyliły ci się daty.

- Niestety, to nie prima aprilis - odparłam ponuro.

Choć prima aprilis były o wiele odpowiedniejszym dniem na spotkanie z Magdą, stwierdziłam kilka minut później, gdy pukałam do drzwi Luke'a. Zerknęłam w okna sypialni, pewna, że zaraz wylecą stamtąd moje dzinsy.

- Laura! - Luke uśmiechał się promiennie, ale przewrócił znacząco oczami. - Magda i Jessica już są.

- Świetnie - mruknęłam.

Pojawiła się Magda. Powitała mnie ciepłym uśmiechem, jak starą przyjaciółkę.

- Tak się cieszę, że wreszcie mogę cię poznać! Jessico, skarbie, weź od Laury płaszcz.

Cicha i przygaszona Jess posłusznie wykonała polecenie. Magda podała mi dłoń, suchą i chłodną, co uświadomiło mi, że moja jest obrzydliwie wilgotna. Czułam, że się pocę na całym ciele. Oby tylko nie wyczuła mojego strachu.

- Wejdz - powiedziała Magda.

Ruszyłam za nią do salonu. Nie podobało mi się, że była żona mojego faceta zachowuje się jak pani jego domu, i zżerała mnie zazdrość, bo Magda była po prostu piękna.

Zdjęcia nie oddawały jej urody. Miała bardzo jasną cerę, włosy lśniące jak jedwab, duże, szeroko osadzone oczy z wielkimi źrenicami, jak Jessica, drobne dłonie i stopy, wąską talię... Była jak porcelanowa laleczka.

Ja, z burzą niesfornych włosów i nieregularnymi rysami, chciałam ją znie nawidzić, ale nie mogłam. Przyłapałam się na tym ze zdumieniem, gdy Magda paplała coś z uroczym akcentem, a Luke nerwowo zaciskał usta.

Węgry dały światu Edwarda Tellera, twórcę bomby atomowej, i Estee Lauder. Terror i piękno. Wypisz-wymaluj - Magda.

Wypytywała mnie o program.

- Uwielbiamy go, prawda, Jessico? - Mała skinęła głową. - Jesteś bardzo mądra. - Wygładziła spódnice w kwiaty. - Luke mówi, że zawsze taka byłaś.

- Była pierwsza klasa - powiedział.

Pierwsza klasa? Luke nigdy nie używa takich wyrażen.

- Może herbaty? - zaproponował z idiotycznym uśmiechem.

- Dla mnie darjeeling - poprosiła Magda. - Nie sprawię ci kłopotu, Luke?

A ty, Lauro, jakiej się napijesz?

- Ziołowej - odparłam. Coś uspokajającego, pomyślałam. Tego mi trzeba.

- Może rumiankowa? Jeśli masz - dodałam, jakbym nie wiedziała, że w kuchni są dwa opakowania. Nie chciałam drażnić Magdy, sugerując, że coś mnie łączy z tym domem.

- Się robi! - zawołał i klasnął. W życiu nie słyszałam, żeby wołał: Się robi. Dorzuć mi jakąś tabletkę, chciałam powiedzieć. Najlepiej valium. Albo dolej whisky. Cokolwiek, byle zmniejszy napięcie, które towarzyszyło temu dziwnemu spotkaniu. I wiesz co? Przynies mi jeszcze dezodorant, bo pod pachami mam już plamy wielkości Bangladeszu.

Magda paplała i paplała, jak królowa, która łaskawie udziela audiencji gubernatorowi z zapominanego krańca imperium, albo jakby była mamą Luke'a, a ja jego nową dziewczyną. Teraz miła i słodka, później go skrytykuje, bo wybranka ma krzywe nogi, brzydką cerę i w ogóle się nie nadaje. Jakie to dziwne, że tak tu z nią siedzę i rozmawiam jak z kimś normalnym, skoro zaledwie czterdzieści osiem godzin temu zniszczyła moje rzeczy. Magda opowiadała coś o Chiswick i szkole Jessiki, a ja usiłowałam wyobrazić ją sobie w niszczycielskim szale. Nie mogłam. Pomyślałam o niebieskim kimonie, które do tej pory leży w śmietniku za domem jak poćwiartowane zwłoki. Kusiło mnie, żeby zapytać, co ją skłoniło do takiego zachowania...

Wrócił Luke z herbatą. Stał dobre pięć metrów ode mnie, a i tak widziałam krople potu na jego czole. Jak zdenerwowana dziewczyna, która chce się podlizać, spytałam o kozy. Dobry ruch. Magda rozpromieniła się, a ja zapamiętałam sobie, żeby włączyć do teleturnieju jakieś kozie pytanie.

- Na co trzeba zwracać uwagę, wybierając kozę? - zapytałam.

- Najpopularniejsze są wykastrowane kozły - tłumaczyła z zapałem. - Wolę je, bo - zerknęła na Luke'a - kiedy nie myślą ciągle seksie, rozwija się ich inteligencja i... sama nie wiem... - wzruszyła ramionami - osobowość.

- Kozłobowość - poprawił Luke.

- Osobowość - upierała się z uśmiechem. - Dzięki brakowi testosteronu wolą bawić się z ludźmi, a nie z innymi kozami.

- Naprawdę?
 - O, tak. Nasze chodzą za nami jak psy, prawda, Jess?
- Mała skinęła głową.
- Zwłaszcza Sweetie.
 - Beczą, kiedy nas słyszą. Siadają nam na kolanach.
 - To urocze.
 - Ale nie pozwalamy im włączyć na łóżka i kanapy, prawda, skarbie?
 - Tak. Na stół też nie - odparła mała poważnie.
 - To bardzo rozsądne. A co jedzą?
- Magda uśmiechnęła się.
- To zależy. Nasza Heidi zje wszystko, prawda, Jess?
 - Wszysciutko.
 - Ale pozostałe są raczej wybredne. Oczywiście jak wszystkie kozy jedzą siano.
- Siano alfalfa - dopowiedziałam, bo przypomniało mi się, jak Luke kiedyś o tym wspominał.
- Tak. - Magda zaszczyciła mnie promiennym uśmiechem, pokazując idealnie białe, równe zęby. - Problem w tym...
 - Tak? Pochyliłam się do przodu.
 - Że ma bardzo wysoką zawartość cukru.
 - Ojej.
 - A to może spowodować nadwagę albo nawet otyłość i kamicę nerkową.
- Moja twarz przybrała odpowiednio zmartwiony wyraz. - Muszą też mieć sól do lizania, wzbogaconą w minerały. To bardzo ważne.
- Jessica mądrze kiwała głową.
- To dlatego Phoebe zachorowała? - zainteresowałam się.
 - Tak, miała za mało witamin. Ale teraz już z nią lepiej.
 - A gdzie śpią?
 - W Chiswick mają dwie duże psie budy. W ciągu dnia włączają na nie i się bawią, bardzo to lubią.
 - A w nocy śpią w środku - wyjaśniła Jessica.
 - Czasami wchodzi do środka w ciągu dnia - dodała Magda. - Ale na ogół wcześniej idą do łóżka...
 - Z dobrą książką? - podsunęłam radośnie.
- Zdumienie wykrzywiło piękną twarz Magdy.
- Nie, Lauro. Kozy nie czytają. One po prostu mają swoje nawyki. Idą spać o zmierzchu i wstają o świcie.

- Nie lubią się moczyć - dodała Jessica.
- To prawda, skarbie. Można by pomyśleć, że są z cukru! - Wszyscy się roześmieliśmy. - Ale czasami zabieram je na spacer na smyczy.

- Tak?

- Tak, pokazuję je na wystawach i to część szkolenia.

- Jakieś nagrody?

- Och, Lauro, mnóstwo. - Zaczęła wymieniać wszystkie rozety, które Yogi i Sweetie zdobyli na pokazach w Surrey i Windsorze. - Phoebe była mruwaną kandydatką do złota w swojej klasie, ale zdobyła tylko brąz.

- Naprawdę? - Poczulałam autentyczny zawód.

- Między nami: zawody były ustawione.

- Jak to?

Ona i Jessica skinęły głowami.

- Niestety, świat hodowców kóz karłowatych jest bardzo skorumpowany - Magda wydeła piękne usta. - Ale moje maleństwa świetnie sobie radzą. Yogi jest kozą miesiąca na stronie internetowej klubu.

- Pewnie jesteś z nich bardzo dumna.

- Tak. Są takie ładne. I mądre.

No, nie byłbym taki pewien - wtrącił się Luke. - Spójrzmy prawdzie w oczy, Magdo. Kozy mają iloraz inteligencji około trzydziestu pięciu.

Kolejne pytanie do quizu, pomyślałam.

Jaki jest średni iloraz inteligencji kozy karłowatej? Trzydzieści pięć.

- Nieprawda! Są bardzo mądre! - Magda zerknęła na zegarek. - Ojej! Muszę iść! Muszę nakarmić moje maleństwa, a później idziemy na przyjęcie. Odlatuję.

- Lecę - poprawił Luke spokojnie.

Uśmiechnęła się do niego.

- Tak, oczywiście. Cieszę się, że cię poznałam, Lauro. - Objęła mnie serdecznie. Miałam nadzieję, że nie poczuła smrodu spod moich pach. - Pa, Jessico. - Pocałowała córkę. - Bądź grzeczna dla tatusia, aniołku. Cześć, Luke.

Odprowadził ją do drzwi, a gdy wrócił, nadal szeroko uśmiechnięty, radośnie zatarł ręce.

- Ale było fajnie, co?

Rozdział 11

Dziwne - powiedziała Fliss, gdy zrelacjonowałam jej spotkanie z Magdą. Karmiła Oliwię jedną piersią, z drugiej odsysała mleko elektryczną pompką. - Najpierw niszczy ci ciuchy, a potem jest słodka jak miód?

- Głupie, co? - mruknęłam, wpatrzona w pompkę, która warczała jak wiertło u dentysty.

- Co najmniej. Może ma rozdwojenie jaźni czy coś takiego. Tacy ludzie mają straszne huśtawki nastrojów. Wiesz, pólkule mózgowe odmawiają współpracy.

- Była urocza - zastanawiałam się na głos. Pojemnik był już prawie pełen. Ciekawe, czy Fliss odżywia się trawą, że ma takie wyniki mleczarskie. - Ale widać gołym okiem, że to wariatka.

- Szalona Magda - podsumowała Fliss. - Luke pewnie był szczęśliwy, że zachowała się przyzwoicie.

- Tak.

- Przeprosiła cię za zniszczenie ciuchów?

- Skąd. Wręcz przeciwnie, zachowywała się, jakby to ona mi wybaczała i przymykała oczy na moje grzechy.

- No, no, jaka wielkoduszna.

- Moim zdaniem normalne zachowanie to w jej wypadku synonim przeprosin.

- Skąd taka odmiana? - Fliss wyłączyła pompkę i zakręciła butelkę.

- Luke twierdzi, że Magda wie, że przesadziła. Poza tym dobrze jej się układa ze Steve'em. Ostatnio przechodzili trudny okres, bo Magda pobiła się z jego najważniejszym klientem, ale teraz już wszystko w porządku.

- Co on w niej widzi? - Fliss włożyła lewą pierś do stanika.

- Pewnie to samo, co kiedyś Luke.

- Czyli?

Wyobraziłam sobie Luke'a, jak drżącą ręką szkicuje jej nagie ciało.

- Jest boska.

- Naprawdę?

- Tak. Nie można oderwać od niej oczu.

- Okropne. - Wzruszała mnie lojalność Fliss.

- Wolałabym, żeby była brzydsza, ale niestety, wygląda jak Catherine De-nevue.

- Ale Luke nie był z nią szczęśliwy.

- Nie. Odkochał się.
- I teraz chce ciebie.
- Tak twierdzi. Powiedział, że chce, żebyśmy byli razem.
- Świetnie. Zależy mu na tobie. A dzieci? - Podniosła Olivię i czekała, aż małej się odbije. - Chciałby mieć więcej? - Starła kilka kropli mleka z koszulki.

- Nie rozmawialiśmy o tym, ale sądzę, że tak.

- Cudownie. - Posadziła mi Olivię na kolanach i schowała butelkę z mlekiem do zamrażarki. Stało już tam kilkanaście innych. - Lauro, ciąża to cudowny czas dla kobiety.

- Wiem - wymknęło mi się. Spojrzała na mnie pytająco. - To znaczy... od ciebie. - Nigdy nikomu poza Nickiem nie powiedziałam, że już byłam w ciąży.

- Fajnie byłoby, gdybyście mieli dziecko, i to jak najszybciej, żeby Olivia miała małych kuzynów do zabawy, plawdamójskalbeńku?

- Kosalogogojagoo - odparła Ol i via.

- Szkoda, że Hope nie chce mieć dzieci - mruknęła Fliss.

- Fakt. - Nie mówiłam jej o problemach Hope.

- Mike nie ma nic przeciwko temu. Najwyraźniej nie zależy mu na dzieciach.

- Hm.

- A wiesz, skąd się wzięła wersja o bocianie przynoszącym dzieci?

- Nie.

- Ze skandynawskiej legendy. Nienarodzone dzieci zamieszkują podmokłe tereny, bagna, rozlewiska, jeziora. A ponieważ bociany często tam żerują, uznano, że po drodze zabierają dusze dzieci i przynoszą do rodziców. Urocze, prawda?

- Tak.

Felicity wzięła ode mnie Olivę, a ja zastanawiałam się, gdzie mieszkała duszyczka mojego dziecka. W strumieniu? W źródélku? W rzece? Wyobraziłam sobie bociana, jak ją zabiera, leci, a potem, w połowie drogi, zawraca.

- Lauro, nigdy cię o to nie pytałam, ale czy Nick chciał mieć dzieci?

Poczułam ucisk w gardle.

- Nie wiem. Ale i tak nie ma sensu o tym rozmawiać, prawda?

- Nadal żadnych wieści? - spytała. Pokręciłam przecząco głową. - Nawet teraz, przy tym całym zamieszaniu w prasie?

- Nie. „Daily Post” apelował do czytelników, żeby dzwoniли, jeśli coś o nim wiedzą, więc „Daily News” nie mógł być gorszy i oddelegował dwóch dziennikarzy do tej sprawy.

- Może go znajdą.

- Wątpię.

- Co zrobisz, jeśli jednak trafią na jego ślad?

- O Boże... Nie wiem. To przerażające pytanie.

- Ale może będziesz musiała je sobie zadać.

- Nie - upierałam się. - Będą się zajmowali tą sprawą tylko przez kilka dni. Gdyby mieli go znaleźć, musiałoby się to stać lada dzień. - Zmieniłam temat. - Czy Hugh mówił ci, że widziałam go w galerii Luke'a?

- Tak, był z Chantal.

- Wydawało mi się, że... spieszyła się na mój widok.

- Wiem, że jej nie lubisz, ale czemu masz o niej takie złe zdanie?

- Bo ty masz za dobre. Słuchaj, Fliss, ona coś knuje. Poluje na niego.

- Lauro, znam Chantal. Wszystko jest w porządku. Spotkali się, żeby porozmawiać o nowym wynalazku Hugh. Teraz już wiem, co to jest.

- Tak?

- Tak. Złożyli już wniosek patentowy.

- Więc co to jest?

- Cóż, coś dla dziecka. Wiesz, że zawsze narzekam, że nie mam ściereczki pod ręką?

Spojrzałam na jej poplamioną koszulkę.

- Tak.

- A kiedy już ją znajdę, to cholerstwo zaraz mi spada?

- Tak.

- To była jego inspiracja. Wymyślił specjalny śliniaczek, ale nie kawałek szmatki, tylko całe urządzenie, które się mocuje. Jest to flanela podbita sztucznym tworzywem. Narzucasz to tak i tym sposobem jesteś zakryta, a dzięki specjalnemu kształtowi idzie tędy i tędy... - Machała lewą ręką. - Poczekaj, lepiej zrozumiesz, kiedy ci to pokażę. - Pochyliła się, dotknęła mojego lewego ramienia i przesunęła rękę w dół, muskając moją pierś. - Widzisz, przechodzi pod pachą i albo się go wiąże, albo zapina na rzepy, a przy szyi będzie haftka, żeby...

- Dotknęłaś mojej piersi - stwierdziłam.

- Przepraszam.

- Nie, nie o to chodzi. Coś sobie przypominałam.

- Tak?

- Może dlatego pomyślałam, że Hugh obmacuje Chantal. - Wróciłam myślami do tamtego wieczoru w Julie's. - Pewnie omawiali z Chantal ten sprzęt...

- Na pewno. Mówiłam ci, że po to się spotkali. Chantal zajmuje się robotą papierkową, więc musiała sporządzić dokładny opis.

- A Hugh jej to tłumaczył?

- Tak.

Pomyślałam, że może byłam niesprawiedliwa. Jeszcze raz wyobraziłam sobie tamtą scenę. Tak, byłam niesprawiedliwa. Zrobiło mi się głupio.

- Wszystko się wyjaśniło! Ale i tak uważam, że wydawali się podejrzanie szczęśliwi.

- Bo byli - zapewniła Fliss. - Ale tylko dlatego, że ich zdaniem ten śliniak to naprawdę realny pomysł. Wiesz, w kółko powtarzałam Hugh, że powinien wynaleźć coś naprawdę pożytecznego, i chyba wreszcie mu się udało. Dzięki jego wynalazkowi skończy się wieczne szukanie ścierki i wycieranie poplamionych ubrań. Będzie się je sprzedawać w opakowaniach po pięć sztuk. Jeden nakładasz rano, nosisz, aż się zabrudzi, i wrzucasz do pralki.

- To chyba rzeczywiście niezły pomysł.

- Tak, może nawet coś na tym zarobimy. Hugh i Chantal bardzo się zapalili, ona nawet w to zainwestowała. Co prawda może upłynąć sporo czasu, zanim wszystko ruszy z miejsca, a nam już się kończą pieniądze. Na szczęście Olivia dostała następną reklamę, więc wystarczy na kolejny miesiąc. W przyszłym tygodniu mamy dwa castingi i bardzo na nie liczę, bo to intratne reklamy...

Fliss zaczęła mi opowiadać o castingach, o matkach, które tam poznaje, o ich dzieciach, o konkurencji... A potem zachwycała się intelektem Olivii, która jakoby ogląda już filmy dla dwulatków i śledzi akcję. Poczułam ulgę, kiedy zadzwoniła moja komórka. Warren Sillitoe pytał, czy już podjęłam decyzję co do wywiadu.

- Rozumiem pani wątpliwości - zapewniał. - Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli pani się zgodzi, przekazemy na konto fundacji nie tylko wymienioną przez panią sumę, ale cały dochód z naszej dorocznej akcji charytatywnej.

- Naprawdę?

- Tak. Mamy dwa miliony czytelników, więc będzie to około dwustu tysięcy. Może więcej.

Pomyślałam, ile wsparcia okazała mi fundacja w najtrudniejszych chwilach. Pomyślałam o Trish, która zajmowała się moją sprawą i przez trzy koszmarnie pierwsze miesiące dzwoniła trzy razy dziennie, żeby się dowiedzieć, jak sobie radzę.

- Dwieście tysięcy to ogromna suma - mówił Warren.

- Cóż... - Byłabym egoistką, gdybym odmówiła, poza tym chciałam przedstawić moją wersję wydarzeń. - No, dobrze - powiedziałam. - Zgadzam się. Ale pod warunkiem, że dostanę tekst do autoryzacji.

- Oczywiście.

Następnego ranka pobiegłam do gabinetu Toma, żeby mu powiedzieć o wywiadzie. Czytał gazetę i palił papierosa, co zdarza mu się bardzo rzadko.

- Tom? - Podniósł głowę. - O Boże! Co ci się stało? - Wyglądał, jakby zderzył się ze ścianą. Miał podbite prawe oko. Niebieska źrenica była ledwo widoczna pod opuchniętą powieką.

Wczoraj wieczorem miałem wątpliwą przyjemność poznać byłego męża Giny. - Zgasił niedopałek. - Przemity człowiek.

- Właśnie widzę. Co się stało?

- Przyszedł o północy zalany w trupa. Chciał się przekonać, czy tam jestem. Gina nie zamknęła drzwi na łańcuch i wszedł do środka, więc grzecznie poprosiłem, żeby wyszedł. Nie spodobało mu się to.

- Biliście się?

Tom pokręcił głową.

- Rzucił się na mnie, podbił mi oko i wyszedł, mamrocząc, że jeśli jeszcze raz mnie tu zastanie, to mnie zabije.

- Wezwałeś policję?

- Nie, bo gdyby sprawa trafiła do sądu, byłby notowany, a to nie pomoże ani Ginie, ani Samowi. Ale facet powinien się pilnować. Fatalnie tylko, że w przyszłym tygodniu jadę do Cannes, a nie chcę, żeby wszyscy pomyśleli, że wdaję się w bójkę. Będę musiał cały czas nosić okulary słoneczne.

- Jak wszyscy, więc nie będziesz się wyróżniał. Zresztą do tego czasu siłownik zblednie.

- A twoja eks? - zapytał. - To znaczy Luke'a - poprawił się.

Opowiedziałam mu o kimonie. Jego zdrowe oko rozszerzyło się ze zdumienia. Potrząsnął głową.

- Ostra zawodniczka.

Uśmiechnęłam się z trudem.

- To było koszmarnie, ale kilka dni później razem piłyśmy herbatę i teoretycznie mamy się zaprzyjaźnić i żyć długo i szczęśliwie.

- Tak?

- Może - roześmiałam się. - Nie wiem. Luke tego chce.

- Szczytny cel.

- Tak, ale czy realny? Problem w tym, że Luke ma bardzo kulturalnych przyjaciół, którzy świetnie sobie poradzili w trudnej sytuacji. Są po rozwodzie, a tu proszę: wspólne obiady, święta i tak dalej. Chciałby, żeby u nas też tak było. Wyobraził sobie rodzinę idealną, tylko że według Magdy moje miejsce to taki pomocnik Kopciuszka. Ale wpadłam, żeby ci powiedzieć, że postanowiłam wyrównać rachunki z prasą. Zgodziłam się udzielić wywiadu „Sunday Semaphore”, bo mam już dosyć bzdur z brukowców.

- To rozsądne posunięcie. O ile dziennikarz jest uczciwy.

- Wydaje się miły. Nazywa się Warren Sillitoe.

Tom pokręcił głową.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Ja też nie, ale miło nam się rozmawiało przez telefon.

- Na wszelki wypadek najpierw zadzwoń do Channel 4.

- Dobrze, ale i tak jestem spokojna, bo obiecał dać mi tekst do autoryzacji.

- Więc nie masz się nad czym zastanawiać.

Umówiliśmy się na wywiad na następny czwartek. Myślałam, że Darren będzie chciał się spotkać w klubie czy hotelu, on jednak uznał, że wydam się bardziej zwyczajna i prawdziwa, jeśli porozmawia ze mną w moim domu, a nie w ekskluzywnej restauracji. Wzruszyło mnie, że tak mu zależy, żebym dobrze wypadła. Rzeczniczka prasowa Channel 4 pytała, czy chcę, żeby nam towarzyszyła, ale odparłam, że sobie poradzę.

Fotograf był pierwszy. Błyskawicznie wypstrykał dwa filmy.

- Mam się uśmiechnąć? - zapytałam, kiedy wycelował we mnie obiektyw.

- Nie, Warren mówił, że zależy mu na powadze i dostojeństwie...

O wpół do piątej zadzwonił domofon.

Przez telefon Warren wydawał się starszy; w rzeczywistości miał dwadzieścia parę lat, okulary i wygląd szkolnego kujona. Kontrastował z tym pewny siebie, śmiały głos.

- Od dawna pan pisze? - zapytałam, podając mu kawę.

- Od półtora roku.

Mleczko?

- Śmietankę, jeśli można. A nie ma pani przypadkiem jakiegoś ciastka?
- Oczywiście.
- Nie zdążyłem zjeść lunchu.
- Może zrobić panu kanapkę?

Pokręcił przecząco głową, więc wyłożyłam na talerzyk herbatniki w czekoladzie.

- A czym pan się przedtem zajmował? - Zaniósłam tacę do salonu.
- Pracowałem w City. Później zająłem się handlem nieruchomościami, ale uznałem, że dziennikarstwo jest ciekawsze.

- I jest?

- W sumie tak.

Zapytałam, z kim przeprowadzał wywiady, i przyznał się, że pisał głównie w dziale sportowym, a wywiad ze mną to jego pierwszy poważny tekst. Więc to dlatego jego nazwisko nic mi nie mówiło. No i oczywiście nie czytam „Semaphore”.

Siedzieliśmy w salonie. zaproponował, żebyśmy najpierw porozmawiali nieoficjalnie, a dyktafon włączy, dopiero kiedy oboje będziemy gotowi. Zdziwił się, że mieszkam przy takiej zwyczajnej, małej uliczce, zważywszy na popularność teleturnieju. Wyjaśniłam, że nie mogę się wyprowadzić.

- Chciałaby się pani przenieść do lepszej dzielnicy?

- Nie wiem, czy do lepszej, ale chciałabym spróbować. Nie dlatego, że mi się tu nie podoba, Notting Hill jest cudownie kosmopolityczne, ale dla mnie z tym miejscem wiążą się złe wspomnienia. - Skinął głową ze zrozumieniem. - No i sąsiedzi doprowadzają mnie do szału.

- Dlaczego?

- Plotkują. To mała uliczka, wszyscy się znamy. To przemili ludzie, ale wolałabym zachować większą anonimowość.

- Nie ma tu zbyt wielu rzeczy pani męża, prawda? - zauważył, rozglądając się dokoła.

- Wszystko schowałam. Nie mogłam znieść ich widoku.

- Chciała pani pozbyć się wspomnień?

- Nie, ale najwyższy czas żyć dalej, a jego rzeczy sprawiały, że nadal żyłam przeszłością.

- Rozumiem. I ulżyło pani?

- Tak. Poczułam się wolna. Wprawdzie miałam wrażenie, że postępuję okrutnie, ale musiałam się uwolnić od przeszłości.

Warren omówił pobieżnie pytania, które mi zada, i poprosił, żebym streściła, co chcę powiedzieć. Interesowało go, skąd się wziął pomysł teleturnieju, jak powstaje taki program i co sądzę o innych prowadzących teleturnieje, na przykład o Anne Robinson z *Najsłabszego ogniwa*. Nie odpowiedziałam na ostatnie pytanie, bo nie przepadam za tym programem, a nie chciałam go krytykować.

- Rozumiem - skinął głową. - *Najsłabsze ogniwo* jest prymitywne, prawda?

- Cóż, pytania są banalne, ale to bardzo popularny program, a Anne dobrze go prowadzi.

- A Jeremy Paxman?

- Czasami wydaje się zniecierpliwiony, ale z drugiej strony ma cudowne poczucie humoru i jest bardzo mądry, więc... tak, możemy o nim porozmawiać.

- Ja osobiście nie znoszę Roberta Robinsona z *Miliarda w rozumie* - wyznał nagle. - Jest strasznie ponury, prawda?

- Cóż, tak.

- I nie posiada się ze zdziwienia, kiedy kobiecie uda się odpowiedzieć!

- Fakt. - Zachichotałam.

- Świetnie, pani Smith! To poprawna odpowiedź! Nie do wiary!

Przewróciłam oczami.

- Szczerze mówiąc, ilekroć to słyszę, mam ochotę wyrzucić radio przez okno.

Gawędziliśmy tak jeszcze chwilę i wreszcie Warren zapytał, czy może włączyć dyktafon. Zgodziłam się. Wcisnął czerwony guziczek i przysunął dyktafon bliżej mnie.

- Dobra, zaczynamy - powiedział.

Nigdy dotąd nie udzielałam wywiadu. Rzeczniczka prasowa Channel 4 radziła odpowiadać krótko i zwięźle.

- Kiedy uznasz, że powiedziałaś wszystko, co chciałaś, trzymaj buzię na kłódkę - pouczała. - Nie staraj się wypełniać luk i wyjaśniać niejasności, tam czyhają pułapki.

Rozsądne podejście, ale zorientowałam się, że Warren potrzebuje dobrego materiału, jeśli ma napisać ciekawy tekst. Postanowiłam znaleźć kruchą równowagę między zwięzłością a otwartością.

Pytał mnie o Cambridge, o pierwsze kroki w BBC, o to, jak poznałam Toma, o teleturniej i jak to się stało, że sama go prowadzę. Na szczęście nie pytał o innych prowadzących, za co byłam mu wdzięczna. Rozmawialiśmy

0 Luke'u i wyjaśniłam, jaka jest jego sytuacja i ile trwa nasz związek. Później poruszył temat Nicka. Opowiadałam o jego pracy w SudanEase i o naszym małżeństwie. Zapytał, dlaczego tak mało jego rzeczy jest w mieszkaniu.

- Spakowałam wszystko - wyjaśniłam powtórnie. - Czekałam trzy lata i uznałam, że życie toczy się dalej. Chciałam zacząć od nowa.

- I nie można pani obwiniać - przyznał. - Trzy lata to szmat czasu. Proszę mi powiedzieć o tym dniu, gdy Nick zniknął. Jak to było?

Warren współczująco kiwał głową, a ja opowiadałam wszystko ze szczegółami, poczynając od dwóch głuchych telefonów, po koszmarne miesiące poszukiwań. Kilka razy przerywałam, żeby wziąć się w garść, ale byłam z siebie dumna, bo nie rozkleiłam się. Nie chciałam, żeby mnie opisał jako ofiarę.

- Co było w tym wszystkim najgorsze? Oprócz samego zniknięcia Nicka?

- Fałszywe alarmy - było ich sporo na początku - a potem takie symboliczne kamienie milowe. Na przykład kiedy uświadomiłam sobie, że Nicka nie ma już od tysiąca dni. Jego urodziny, moje, rocznica ślubu. Na początku mają przypada dziesiąta rocznica ślubu i już wiem, że nie będzie mi lekko. Trudne jest też Boże Narodzenie, podobnie jak Nowy Rok, bo wtedy to się stało.

- Jak się pani czuła, kiedy się dowiedziała od fundacji, że Nick jest cały i zdrowy, ale nie chce się z panią kontaktować?

- Załamana. I zraniona.

- A zaskoczona?

Spojrzałam na niego.

- Oczywiście. Tak, zaskoczona też. Bardzo.

Warren wypytywał też o artykuły w brukowcach. Powiedziałam, że czułam się okropnie, czytając tyle kłamstw na mój temat.

- Kłamstw i niedomówień - dodał. - I aluzji. Na przykład, że ponosisz odpowiedzialność za zniknięcie męża.

- No właśnie.

- Ze to pani wina.

- Tak, kilka artykułów to sugerowało.

- A czy możliwe, że to prawda?

- Nie wiem, może tak to wygląda... - Wyrzałam przez okno. - Może się wydawać, że źle go traktowałam, że go skrzywdziłam... odepchnęłam... Tak przynajmniej przedstawiały to brukowce.

- A jest w tym choćby odrobina prawdy?
Zarumieniłam się.
- Przepraszam, że o to pytam - dodał szybko. - Robię to, żeby mogła pani zaprzeczyć.
- Nie ma w tym ani źdźbła prawdy - odparłam. - Ani odrobiny.
- Więc nie ma pani wyrzutów sumienia?
- Mam, jak każdy w mojej sytuacji. To normalne, gdy twój partner znika bez śladu i nie wiesz, gdzie jest.
- Ani dlaczego to zrobił.
- Ani dlaczego to zrobił - powtórzyłam po chwili. Westchnęłam. - Masz wrażenie, że to twoja wina. Tak, oczywiście, mam wyrzuty sumienia.
- Chociaż to nie jest pani wina?
Poczułam przypływ żalu i wstydu.
- Tak.
- Więc jak to jest? Cały czas zastanawia się pani, czy było to coś, co pani zrobiła? Albo czego nie zrobiła?
Poruszyłam się i westchnęłam.
- Tak. Analizuję nasze rozmowy, w kółko, z maniackim uporem.
- Wiec jeśli to była pani wina...
- Wbiłam wzrok w stolik.
- Ale nie była.
- Ale gdyby była, jak by się pani czuła?
- Jak bym się czuła? - Spojrzałam na niego. - Okropnie. Byłabym załamana. Ale, jak powiedziałam, to nie była moja wina.
- Zabawne - stwierdził Warren po chwili. - Prowadzi pani teleturniej, zadaje pytania, a w pani życiu cały czas jest to wielkie pytanie bez odpowiedzi.
- Tak, ta ironia nie umknęła mojej uwadze.
- Zainteresowanie mediów panią zaskoczyło?
- Całkowicie. Wiedziałam, że kiedy gazety skojarzą, że Nick to mój mąż, zrobi się trochę szumu, ale nie spodziewałam się czegoś takiego.
- Domyśla się pani dlaczego?
- Chyba tak. Gdyby nie chodziło o mnie, też byłabym ciekawa. Gdybym się dowiedziała, że, przykładowo, mąż Carol Vordeman zniknął bez śladu trzy lata temu, też bym się zastanawiała, co robi i gdzie jest, ilekroć zobaczę ją na ekranie. Byłabym ciekawa, co robiła, żeby go odnaleźć, i czy jeszcze kiedyś go zobaczy.
- I dlaczego odszedł? - Spojrzał na mnie. - Nie byłaby pani ciekawa, dlaczego odszedł?

- Cóż, sama nie wiem...
- Chyba interesowałoby panią, co go do tego skłoniło? Jak do tego doszło?
- Może tak, chociaż...
- Byłaby pani ciekawa, co między nimi zaszło?
- To bardzo skomplikowane. Jeśli ktoś znika bez śladu, kieruje się bardzo złożonymi motywami.

- Ale na pewno jest nieszczęśliwy i zagubiony. Nick taki był?

- Nie wiem. Tak... może...

- W innym wypadku nie zrobiłby tego.

- Chyba nie.

- A dlaczego, pani zdaniem, był nieszczęśliwy i zagubiony?

Przyglądałam się Warrenowi.

- Nie wiem. Tuż przed zniknięciem stracił ojca. Może to się przyczyniło.

- A coś jeszcze?

- Nie, nic. Zupełnie nic. Możemy przejść dalej?

Po dłuższej chwili Warren wrócił do tematu teleturnieju i opowiedziałam mu o drugiej serii zaplanowanej na wrzesień oraz o innych programach, nad którymi pracujemy, co umożliwił nam sukces *Wiem wszystko*.

- Więc firma się rozwija.

- Tak. Sprzedaliśmy licencję do ośmiu krajów, w tym do USA, co oznacza, że możemy pracować nad nowymi projektami. Szukamy nowych pracowników, remontujemy biuro. Trident świetnie sobie radzi. - Poczulałam przyпіły dumy.

Warren pochylił się do przodu i wyłączył dyktafon.

- To chyba wszystko. Bardzo pani dziękuję, Lauro. Nie będę pani dłużej zwracał głowy.

- Nie ma sprawy. Dostanę tekst do autoryzacji?

- Tak. Prześlę faksem albo przeczytam przez telefon.

- Kiedy mniej więcej?

Szukał czegoś w teczce.

- Za kilka tygodni. Wydrukujemy tekst pierwszego maja, na początku miesiąca zaginionych.

Świetny pomysł. Dzięki temu zbierzecie więcej funduszy. Dam znać fundacji, co planujecie.

Odprowadziłam go do drzwi. Już podnosiłam rękę do zamka na dole, gdy drzwi otworzyły się z zewnątrz i na progu stanęła Cynthia z zakupami.

- Cześć, Lauro - mruknęła. W blasku słońca wydawała się znużona i krucho. Nagle zobaczyła Warrena i poczerwieniała.

- Cynthia, to Warren Sillitoe. - Wzdrygnęła się i uśmiechnęła z wyraźnym trudem. Warren był zaskoczony.

- Zna pan ją? - zapytałam, kiedy poszła na górę.

- Nie, w życiu jej nie widziałem.

Dziwne. Z drugiej strony, Cynthia to dziwaczka.

Wyszedł. Cynthia wyjrzała zza drzwi.

- Poszedł już? - spytała teatralnym szeptem.

- Tak. - Odwróciłam się. - Dlaczego? O co chodzi?

- Już ja ci powiem, o co chodzi! - syknęła, schodząc na dół. - Chodzi o to, że to... fiut!

- Słucham?

- To fiut! - powtórzyła z nienawiścią.

- Ostre słowa, Cynthia. Wydaje się w porządku.

- Ale nie jest. Oni wszyscy to fiuty! - Najwyraźniej miała na myśli dziennikarzy. Zaraz, zaraz, ale skąd wie, że Warren jest dziennikarzem? Może jednak w tym całym wróżbiarstwie coś jest.

- To parszywe gnojki - dodała. - Warren Sillitoe, też mi!

- Cóż, Cynthia, tak się nazywa.

- Nieprawda. Okłamał cię. Nazywa się Warren Fiut.. - Spojrzałam na nią pustym wzrokiem. - Fiut. F-y-i-o-u-t.

- Och.

- Szkoda, że nie wyrzuciłaś go na zbity pysk, kiedy tylko tu przyszedł. Udzieliłaś mu wywiadu, tak?

- Tak.

- O Boże. - Kręciła głową z dezaprobatą. - Niedobrze.

- Jak to: niedobrze? Wydawał się bardzo w porządku.

- No pewnie - burknęła. - Ale jest zupełnie inny, to podły...

- Cynthia... - Czulałam, jak ogarnia mnie panika. - O co ci chodzi?

- Dobrze, powiem. Chodź ze mną.

Poszłyśmy do niej. Po raz pierwszy zaprosiła mnie do środka. Meble były bardzo gustowne, ale, jak Cynthia, lata świetności miały już za sobą. Chiński brokat na szezlongu przetaił się i wyblakł, podobnie jak jedwabny abażur na lampie. Aksamitne poduszki na kanapie straszły łysymi plackami, w perskim dywanie brakowało frędzli. Na mahoniowym stoliku stało kilka fotografii w srebrnych ramkach. Na wszystkich widniała Cynthia. Przyjrzałam się im. Do dzisiaj była efektowna, ale w młodości zapierała dech w piersiach. Brytyjska Claudia Cardinale.

- Warren Sillitoe, akurat! - mruzczała. - Naprawdę nazywa się Warren Fyiout. Sillitoe to panięskie nazwisko jego matki.

Mój żołądek fiknął salto.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Bo... - Jej ręka zdrząła, gdy podnosiła srebrny imbryk. - Bo znam jego ojca. Łączyła nas długa... znajomość. - Kotka Hans pojawiła się nie wiadomo skąd i ocierała o nogi gospodyni.

- A kim jest jego ojciec?

- To sir John Fyiout.

- Redaktor naczelny „Sunday Semaphore”, tak?

- Tak. - Hans wskoczyła jej na kolana.

- Więc dlaczego Warren cię nie poznał, skoro tak dobrze znał jego ojca?

- Nigdy się nie poznaliśmy, Warren i ja. Widziałam go na zdjęciach. Moja znajomość z jego ojcem była tajemnicą. Byłam jego...

- Przyjaciółką? - podsunęłam.

- Kochanką. Nie będę owijać w bawełnę. Byłam jego kochanką przez dwadzieścia pięć lat.

- To kawał czasu.

- Mnie to mówisz? - westchnęła. Podała mi porcelanową filiżankę. - Właściwie nie mogłam narzekać. Miałam piękne mieszkanie przy Hans Place. Miałam dobrą pensję i otwarty rachunek u Harrodsa. Jeździłam na wakacje do Marrakeszu, na St. Bart's. Miałam łożę w operze. Jadałam w Ritzu, nosiłam kreacje najlepszych projektantów... - Stąd te eleganckie ciuchy. - Oczywiście chciałam zostać żoną Johna - ciągnęła - ale wmawiałam sobie, że w rzeczywistości nią jestem. Jego bratnią duszą. - Głos się jej załamał. - Zawsze tak mówił. Twierdził, że beze mnie sobie nie poradzi. - Głaskała kotkę, starała się uspokoić.

- Jak go poznałaś?

- Na premierze filmu *Szpieg, który mnie kochał*, w 1977. Miałam wtedy trzydzieści sześć lat, John, o dziesięć lat starszy, był przystojny i władczy. Od dwudziestu lat był dziennikarzem, ale dzięki sprytowi i różnym machinacjom dostał się do rad nadzorczych wielu koncernów medialnych, w tym tego, który finansował film. Zakochałam się w nim bez pamięci, choć wiedziałam, że ma żonę. Do dzisiaj mi wstyd z tego powodu. Twierdził, że w jego małżeństwie nie ma miłości i że żona w ogóle się nim nie interesuje, całkowicie pochłonęły ją dzieci. Warren, najmłodszy, był wtedy malutki. To chyba nic najlepšíj świadczy o Johnie, prawda? - westchnęła.

Pomyślałam o Tomie.

-Nie.

- Czas mijał, a John nadal był z żoną. Kiedy się złościłam, tłumaczył, że jest chora i rozwód może ją zabić. Czasami twierdził, że czeka, aż dzieci podrosną. Historia stara jak świat. - Szukała chusteczki w kieszeni jedwabnej bluzki.

- Rozumiem. Nie odszedł od niej?

Cynthia odwróciła głowę. Starła się uspokoić.

- Ależ owszem - powiedziała z goryczą w głosie. - Odszedł. I to było najgorsze. Odszedł od niej w końcu. - Jej usta zdrząły. - Ale nie dla mnie!

- Och... tak mi przykro. - Hans mruzczała błogo, nieświadoma cierpienia Cynthii. Tyle, jeśli chodzi o komunikację międzygarunkową.

Cynthia wytarła oczy i głęboko zaczerpnęła tchu.

- Mniej więcej rok temu John powiedział, że odchodzi od Mary. Nie posiadałam się z radości na myśl, że dłużej nie będę musiała się ukrywać. Przyszedł do mnie i powiedział, że Mary zgodziła się na rozwód i trzeba będzie sprzedać mieszkanie przy Hans Place. Zapytałam, gdzie zamieszkamy. Nie odpowiadał. - Bawiła się kryształowym koralikiem. - Powiedział, że Mary zatrzyma dom w Mayfair, więc on przeniesie się do Hampstead. Powiedziałam, że to cudownie, nie obchodzi mnie, gdzie zamieszkamy, byle razem. I wtedy zadał cios. Powiedział, że bardzo mu przykro, ale zakochał się w kimś innym, w kobiecie, o której nigdy nie słyszałam.

- W kim?

- W amerykańskiej dziennikarce. Ma na imię Deborah, jest od niego o trzydzieści lat młodsza, ma nogi jak wykałaczki, wielkie stopy i zero biustu. - Podniosła rękę do obfitego dekoltu.

Jak przez mgłę przypomniałam sobie fotografie sir Johna Fyiouta w jednym z brukowców. Towarzyszyła mu anorektyczna brunetka.

- Widziałam jej zdjęcia - ciągnęła żałośnie Cynthia. - Nawet nie jest ładna. Nie tak, jak ja kiedyś...

Odruchowo spojrzałam na fotografie w ramkach.

- Cynthio, byłaś i nadal jesteś piękna. Czas był dla ciebie łaskawy. - Starłam się ją pocieszyć.

- Kiedyś grałam Kleopatrze - wyznała smutno. - Byłam wtedy za młoda, ale mój Boże, jak ja bym ją teraz zagrała... Ale... John ze mną zerwał. - Znowu miała oczy pełne łez. - Powiedział, że mam trzy miesiące, a potem muszę opuścić mieszkanie przy Hans Place.

- Nie pomógł ci finansowo?

- Twierdził, że nie może, bo rozwód i tak go zrujnuje. To oczywiście kłamstwo. Byłam z nim tak długo... dwadzieścia pięć lat. Dla niego zrezygnowałam z kariery, był zazdrosny, gdy spotykałam się z innymi mężczyznami. - Więc dlatego nie chciała rozmawiać o ostatnich rolach. Nie gra od lat. - Dla niego zrezygnowałam z... -- Znowu łzy. - Z szansy na normalną rodzinę, na dzieci.

- A chciałaś je mieć?

- Tak, bardzo. Ale w tamtych czasach samotne macierzyństwo budziło zgorzelenie i nie chciałam tracić tego, co miałam. Więc to tylko i wyłącznie moja wina. - Wzruszyła ramionami. - Zdaję sobie z tego sprawę. Byłam utrzymanką i wierzyłam, że spotka mnie nagroda za lata oddania. A w rezultacie wyrzucił mnie jak starego psa.

- To straszne.

- Tak. Pod każdym względem. Nie pracowałam, naiwnie wierząc, że będę z Johnem do końca życia. Byliśmy razem tak długo, nie mieściło mi się w głowie, że to się może zmienić. A kiedy miałam sześćdziesiąt trzy lata, wszystko się skończyło. Nie miałam Johna, za to musiałam zacząć zarabiać na życie. John tymczasem zaczął wszystko od nowa z młodszą kobietą. Choć nie wierzę, żeby długo z nim wytrzymała - dodała.

- Nie pomógł ci? Nie starał się jakoś złagodzić ciosu?

- Dał mi czek na dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Miałam ochotę go podrzeć, to było takie upokarzające, ale zdawałam sobie sprawę, że te pieniądze są mi potrzebne. Pozwolił mi także zachować wyposażenie mieszkania. Meble są świetnej jakości, choć nieco zniszczone, jak widać. Miałam sporo biżuterii, więc ją sprzedałam i wpłaciłam pierwszą ratę za to mieszkanie. Na resztę wzięłam pożyczkę i dlatego param się wróżbiarstwem. Tylko w ten sposób mogę zarabiać.

Więc to był ten punkt zwrotny w jej życiu, o którym wspominała przy pierwszym spotkaniu.

- Nie brałaś pod uwagę kroków prawnych? Żeby wycisnąć z niego więcej pieniędzy? Albo jakichś, bo ja wiem, alimentów?

- O nie! - oburzyła się. - To takie poniżające, takie... sprzedajne. Nie, zachowam dumę, choćby nie wiem ile mnie to kosztowało. Ale było mi bardzo ciężko, gdy jednocześnie straciłam ukochanego i poczucie bezpieczeństwa.

- Więc w pewnym sensie jesteś chyba wdzięczna losowi za tamten wypadek na klifie. - Cisza.

- To nie był wypadek - powiedziała w końcu. To był wysoki klif i miałam nadzieję, że zginę. Ale kiedy odzyskałam przytomność i zdałam sobie sprawę, że naprawdę mogę umrzeć, zrozumiałam, jak bardzo chcę żyć. Żaden mężczyzna nie jest wart mojego życia.

- Oczywiście.

Zrozumiałam, że każdy dzień, choćby najtrudniejszy, jest bezcenny. Że życie to wszystko, co mamy. Nie można go odrzucać w chwilach zwątpienia, depresji, obawy o przyszłość.

-Nie.

- Odtąd uczę się żyć zupełnie inaczej niż dotychczas, on... a on... - W jej oczach znowu zalśniły łzy. - To takie niesprawiedliwe... - Ukryła twarz w dłoniach. Teraz już wiedziałam, czemu nienawidzi dziennikarzy.

- Ten Warren - ciągnęła - to okropny młody człowiek.

Poczułam nieprzyjemny ucisk w żołądku.

- Wydaje się w porządku.

- Ale nie jest. Nic robi niczego jak należy. Ojciec przez znajomości wysłał go do Eton, później do Oksfordu. Wyleciał, bo oblał egzaminy na pierwszym roku prawa. Chciał się przenieść na historię sztuki, ale uczelnia go nie przyjęła. Na bankowości też mu się nie udało. Zajął się inwestycjami i poniósł klęskę. Pamiętam, jak jego ojciec się denerwował. Półtora roku temu, tuż przed naszym rozstaniem, Warren zapragnął spróbować swoich sił w dziennikarstwie. Ojciec kazał mu zacząć na samym dole. Najpierw sprzedawał miejsca reklamowe, później pisał wierszówki w dziale sportowym, więc zależy mu, żeby się wybić. Nie potraktuje cię ulgowo, Lauro, ostrzegam. Nie będzie miły i wyrozumiały, bo to najprawdziwszy...

- Fiut? - podsunęłam.

-Tak.

Rozdział 12

Następnego ranka rozmawiałam z Sue, rzeczniczką prasową Channel 4. Sprawdziła go: do tej pory rzeczywiście pisał o sporcie i nie figurował na jej liście dziennikarzy, do których bez czosnku i Biblii nie podchodź. Obiecała, że porozmawia z „Semaphore”. Godzinę później oddzwoniła z informacją, że wywiad wydrukują najwcześniej za dwa tygodnie.

- Jeśli napiszą coś nie tak, zdążymy temu zaradzić - uspokajała. - Nie martw się, póki nie zobaczymy, co napisał. Mam nadzieję, że nie powiedziałaś niczego, co mógłby wykorzystać przeciwko tobie?

- Nie. Od początku było wiadomo, co mówię oficjalnie, a co nie. Bardzo uważałam na to, co mówię. Pojawiło się kilka trudnych pytań, których się spodziewałam, ale odpowiadałam krótko i zwięźle i niczego nie palnęłam.

- Poczekajmy do autoryzacji i miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

W niedzielę kupiłam „Semaphore”, żeby zobaczyć, jak Warren pisze. Zajrzałam do działu sportowego, gdzie znalazłam jego krótki tekst o golfie. Później przeglądałam całą gazetę. I nagle zamarłam...

MOJA WINA, krzychał nagłówek na piątej stronie. A pod spodem ja na zdjęciu, bardzo smutna.

LAURA OUICK PRYZNAJE, ZE TO 2 JEJ WINY JEJ MĄŻ ZNIKNAŁ...

Poczułam się, jakbym spadała z urwiska.

Pod nagłówkiem widniał wielki cytat: Żle go traktowałam... skrzywdziłam... odepchnęłam.

Z bijącym sercem przebiegłam wzrokiem całą stronę.

Laura Ouick, prowadząca teleturniej *Wiem wszystko*, udzieliła „Sunday Semaphore” ekskluzywnego wywiadu. Szczerze mówiła o zniknięciu swego męża Nicka Little. Przyznaje, że uważa, że to przez nią zniknął bez śladu trzy lata temu.

Ręce mi drżały, policzki płonęły. Wydrukowali to od razu, jak najświeższą wiadomość, a mieli poczekać kilka tygodni... Co gorsza, Warren wrobił mnie.

Wstęp, nieoficjalny, został wykorzystany w najgorszy możliwy sposób, a to za sprawą nieuczciwego doboru cytatów. Na przykład to, co mówiłam o Bonchurch Road, miało świadczyć o moim „braku tolerancji”.

Ouick twierdzi, że gdyby mogła, wyprowadziłaby się z Ladbroke Grove, o którym mówi, ironicznie przewracając oczami, że jest „cudownie kosmopolityczne”. Nie podoba jej się cicha spokojna uliczka, gardzi sąsiadami, którzy, jak twierdzi, doprowadzają ją do szału.

W jej mieszkaniu nie ma żadnych śladów jej męża, choć byli razem sześć lat, bo, jak sama powiedziała, „nie mogła znieść ich widoku, musiała uwolnić się od przeszłości”. Ouick przyznaje też, że usunięcie ich ją wyzwoliło, choć było też okrutne.

Nie tyle pociął, co porznął cały wywiad tępą piłą. Napisał to tak, że wydawałam się postacią wręcz groteskową. Warren wypatroszył moje zdania tępym nożem, który później wbił mi w plecy.

Jeśli chodzi o jej związek z dawnym ukochanym Lukiem Northern, Quick twierdzi, jakoby żona zostawiła go dziesięć miesięcy wcześniej... Nie twierdziłam, oznajmiłam to, bo taka jest prawda. Słowa „twierdzi” i „jakoby” miały zasiać kolejne wątpliwości.

Rozmawiamy o *Wiem wszystko!* Ku mojemu zdumieniu Quick bez oporów krytykuje kolegów po fachu, uważa na przykład, że Ann Robinson z *Najsłabszego ogniwa* jest banalna, Jeremy Paxton - niecierpliwy, a stary poczciwy Robert Robinson z *Miliarda w rozumie* tak ponury, że nie może go słuchać, bo ma ochotę wyrzucić radio przez okno. Choć nowa w branży, Laura Quick nie szczędzi krytyki bardziej doświadczonym kolegom po fachu.

Z obrzydzeniem wspominałam, jaki miły Warren się wydawał, jak bardzo się martwił, żebym dobrze wypadła. Ale najwyraźniej chodziło mu o coś wręcz przeciwnego. Nawet moją walkę ze łzami przedstawił jako coś złego: Rozmawiamy o jej byłym mężu i Quick nie roni nawet jednej łzy. Spodziewałem się, że będzie płakać, ale nie.

Obawiałam się, że Warren zrobi ze mnie ofiarę, on tymczasem przedstawił mnie jako bezlitosną sukę bez serca. I najwyraźniej o to mu chodziło.

Kiedy pytam prezenterkę, która sama przyznaje, że jest trudna i wymagająca, co jej zdaniem skłoniło jej męża do odejścia, Quick wierci się niespokojnie. Choć w programie godzi się na odwrócenie ról, w rzeczywistości woli zadawać pytania, niż na nie odpowiadać. Powtarza uparcie, że jego odejście to nie jej wina, ale z jej słów przebija fasz. Aż wreszcie, pod wpływem delikatnych pytań, nie wytrzymuje. „Tak, czuję się winna, mówi. I to bardzo. Jestem załamana... Żle go traktowałam... skrzywdziłam... odepchnęłam...”

Doczytałam do końca. Było mi niedobrze, zaschło mi w ustach. Sillitoe wszystko zaplanował, nawet to, że na zdjęciu jestem poważna. Prosił fotografa o poważne zdjęcie, ale nie chodziło mu o dostojeństwo, tylko o poczucie winy. Manipulował mną, sprawił, że powiedziałam za dużo, wprawdzie nieoficjalnie, on jednak wykorzystał wszystko. Nie dość, że wykorzystał, to jeszcze zniekształcił, wypaczył.

Zapukałam do Cynthii.

- Podły gnojek - wysapała, kiedy skończyła czytać. - Rozumiesz teraz?
- Tak - wychrypiałam. - Ale dlaczego? Co ja mu takiego zrobiłam?

- Nic. Ale nie w tym rzecz.
- A w czym?
- Rzecz w tym, że chce sobie wyrobić nazwisko. Napisał coś tak ohydne-
go, że wszyscy będą o tym mówić i Warren będzie kontrowersyjny, a nie
nudny i nieważny. Brakuje mu talentu, żeby zrobić to dobrze, więc zabrał się
do kariery od innej strony.

Wkrótce się przekonałam, jak nisko upadł. W poniedziałek rano szefo-
wa PR Channel 4 złożyła oficjalną skargę do „Semaphore”, ale chciałam
też sama porozmawiać z Warrenem. Zadzwoiłam na jego bezpośredni
numer.

- Warren Sillitoe. - Wydawał się obrzydliwie zadowolony z siebie. Wy-
obraziłam sobie, jak wchodzi do redakcji sprężystym krokiem i czeka na
gratulacje od kolegów.

- Laura Quick. - Chwila ciszy.

- Co mogę dla pani zrobić? - zapytał impertynencko.

- Zaraz się pan dowie, Warren. Najpierw proszę mi powiedzieć, dlaczego
pański tekst ukazał się dwa tygodnie przed czasem?

- Cóż, w ostatniej chwili zmieniono plany i nie puszczono jednej z bieżą-
cych wiadomości, a tak się złożyło, że już miałem wszystko napisane i mój
tekst wskoczył na tamto miejsce.

- Doprawdy?

-Tak.

- Więc dlaczego nie przesłał mi go pan do autoryzacji?

- W zaistniałych okolicznościach nie było na to czasu.

- Nie wierzę.

- Zarzuca mi pani kłamstwo?

- Owszem. Bo pan to wszystko zaplanował. Dlatego napisał pan tekst tak
szybko. Wymyślił pan to sobie jako najświeższą wiadomość, a nie reportaż.
I nie miał pan zamiaru dać mi tekstu do autoryzacji. Teraz to wiem.

- Może pani myśleć, co się pani żywnie podoba. Nic mnie to nie obchodzi.

- Ale mnie obchodzi, że napisał pan stek bzdur! I to na mój temat.

- Niczego nie wymyśliłem. Wszystko to pani powiedziała.

- Ale pan wie, że w innym kontekście! Przeinaczył pan moje słowa i nadal
im zupełnie inne znaczenie!

- To kwestia interpretacji. Czytałem między wierszami.

- Tak? A ja czytam między kłamstwami. Kto określiłby samego siebie słowami „trudny i wymagający”? Nikt. Ja też nie.

- Cóż, właśnie teraz jest pani trudna...

- Nie, nie trudna. Jestem oburzona i mam do tego prawo. Nie mam pojęcia, skąd pan wziął ten cytat. Nigdy nie powiedziałam panu, że jestem trudna i wymagająca.

- Ależ tak. Dokładnie tymi słowami.

- Kiedy?

- Podczas naszej pierwszej rozmowy. Telefonicznej.

- Nie powiedziałam tego.

- Powiedziała pani. Mam to na taśmie.

- Słucham?

- Mam to na taśmie - powtórzył spokojnie.

Poczułam się, jakbym dostała w splot słoneczny.

- Nagrywał mnie pan?

- Tak.

- Od chwili, gdy podniosłam słuchawkę?

Tak.

Co za bezczelność.

- Ależ to... niezgodne z prawem.

- Nieprawda. Nie zdarzyło się pani, że słyszy pani informacje, że ta rozmowa może być nagrywana do celów szkoleniowych i tak dalej?

Poczułam, jak moja szczeka opada i podnosi się w niemym proteście.

- Tak, ale w takiej sytuacji uprzedzają delikwenta. Wiadomo, że jest się nagrywanym. Nikt nie nagrywa rozmów w tajemnicy, jak jakiś... szpieg.

- Proszę mnie obrażać, jeśli to poprawi pani humor - mruknął obojętnie. - Nie zrobiłem nic niezgodnego z prawem.

- Ależ to... nieetyczne.

- Zawsze nagrywam. Nagrałem wszystko, co pani mówiła.

- Nieprawda. Przez pierwszych dwadzieścia minut wywiadu miał pan wyłączony dyktafon, włączył go pan dopiero później, pamiętam.

- Nagrałem wszystko - powtórzył. - Żeby nie było wątpliwości.

- Nie rozumiem... Och... już wiem. Miał pan jeszcze jeden dyktafon. - Cisza. - W kieszeni albo w teczce. - Nie odpowiadał. - Ale pierwsza część naszej rozmowy miała być nieoficjalna. Obiecał mi to pan.

- Nie ma czegoś takiego jak część nieoficjalna - zauważył grzecznie.

Otworzyłam usta ze zdumienia.

- Jest, jeśli ma się odrobinę przyzwoitości. Powtarzam, nie powiedziałam, że jestem trudna i wymagająca, powiedziałam, że to jedna z bzdur, które na mój temat wypisują brukowce. Nie powiedziałam też - wściekle dżgnęłam

gazetą palcem - że źle traktowałam męża. Powiedziałam, że sugerowały to gazety. Pan celowo wsadził mi te słowa w usta, żebyś wyszła na winną jego odejścia. A nie jestem temu winna.

- Ale się pani obwinia, może nie?

- Nie, ja...

- Dla mnie to oczywiste. Wyczułem pani niepokój i zdenerwowanie przy tym pytaniu i uznałem za mój dziennikarski obowiązek o tym napisać. Przykro mi, że artykuł się pani nie spodobał, ale trudno. Oboje mamy dużo pracy, więc może już skończymy tę rozmowę?

- Nie, nie skończymy, Warren, bo mam panu jeszcze dużo...

Odłożył słuchawkę.

Usiłowałam się oczyścić, a otworzyłam puszkę Pandory. Jaka byłam naiwna, sądząc, że rozsądniej będzie udzielić wywiadu dobrej gazetce, nie brukowcowi. Wyszło dużo gorzej.

- Najgorszy brukowiec potraktowałby mnie lepiej - poskarżyłam się Hope, kiedy w końcu dodzwoniłam się do niej na komórkę tego popołudnia.

- Możliwe - powiedziała. - Ale artykuł do tego stopnia ociekał jadłem, że od razu wiadomo, że ten cały Warren Sillitoe coś tam coś do ciebie miał. I widać, że wyrwał zdania z kontekstu, bo twoje tak zwane cytaty mają zaledwie kilka słów, widać, że wszystko poprzerał. To tandeta, nie dziennikarstwo. - Słyszałam ruch uliczny w tle. Byłam ciekawa, gdzie jest Hope.

- Ty to widzisz, bo pracujesz w PR. Zwykli ludzie uznają, że naprawdę to wszystko powiedziałam. - Na samą myśl znowu zrobiło mi się niedobrze. - Od niedzieli nic nie jadłam. Prawie nie zmrużyłam oka. Posłałam kwiaty i listy z przeprosinami do Anne Robinson, Jeremy'ego Paxmana i Roberta Robinsona.

- Sillitoe to dżdżownica - mruknęła Hope.

- Błąd. Dżdżownica ma dziesięć serc, on - żadnego. Słuchaj, on tu był, siedział u mnie w domu, gawędził ze mną, pił kawę ze śmietanką, jadł czekoladowe ciasteczka i cały czas planował, jak to opisać, i wszystko nagrywał.

- Paskudne - zgodziła się. - Zastawił na ciebie pułapkę i zniesławił. Zrobisz coś z tym? - Dyszała, jakby szła coraz szybciej.

- Jeszcze nie wiem - odparłam. - Rozmawiałam z Channel 4 i oni twierdzą, że to trudna sprawa. Gazety zawsze liczą, że ludzie nie pozwą ich do sądu ze względu na koszty, finansowe i emocjonalne. A jeśli się coś znacznie, a potem zrezygnuje, oszczercy będą tryumfować i wydrukują coś

w stylu: Prezenterka wycofuje oskarżenie - „Semaphore” oczyszczony z zarzutów.

- Ale ty masz solidne podstawy. - Ściszyła głos. -- Na przykład ten fragment, kiedy twierdzi, że Nick załamał się przez ciebie i dlatego odszedł, to ewidentne oszczerstwo. Chociaż...

- Chociaż co?

- Cóż, żeby udowodnić w sądzie, że to nieprawda, musiałabyś mieć zeznanie Nicka, że tak nie było.

- No, tak.

A tego nie zdobędziemy.

Zesztywniałam.

- Niby dlaczego?

- Bo Nicka nie ma.

Odetchnęłam z ulgą. Zupełnie nie myślałam.

- No, tak.

- Powinnaś porozmawiać z Tomem.

- Nie mogą, w piątek wrócił z Cannes i zaraz poleciał do Montrealu na siedemdziesiąte urodziny ojca. Nie bąda mu zawracała głowy na urlopie.

- Słuchaj, Lauro, pogadamy o tym innym razem, dobrze? Muszę wyłączyć telefon.

- Gdzie jesteś? W metrze?

- Nie. W Świętym Tomaszu.

- Po co?

- Umówiłam się z Mikiem.

Zerknęłam na zegarek.

- Jest dopiero wpół do siódmej. Mike skończy o dziewiątej.

- Oboje skończymy.

- Jak to?

- W zeszłym tygodniu zaakceptowali moją kandydaturę. Dzisiaj zaczynam.

- O rany. Świetnie.

- Cóż, bez względu na to, co będzie z naszym małżeństwem, chciałam spróbować.

- Wspaniale, ale dlaczego?

- Bo... sama nie wiem... żeby dotrzymać Mike'owi towarzystwa. Dzisiaj dostanie nowe dziecko, chłopczyka. No i za mało robię dla innych. Daję pieniądze na akcje dobroczynne i chodzą na imprezy charytatywne, ale sama nigdy niczego nie zrobiłam.

- A tutaj chodzi właśnie o osobiste zaangażowanie. Rozumiem.
- To tak niewiele, Lauro. Trzeba po prostu chodzić z dzieckiem na rękę. Biedactwa... - głos jej się załamał. - To straszne, pomyśl tylko, ile wycierpiał na samym początku drogi.

- Tak, ale wyzdrowieją. Bardzo się cieszę, że się zaangażowałaś.
- Oczywiście wiesz, dlaczego naprawdę to robisz?
- Ja... nie.
- Nie domyślasz się?
- Cóż...
- Tak naprawdę...
- Tak?
- To jest moja kara, że go podejrzewałam.
- Och. - Rozczarowała mnie. - Rozumiem.
- Biedny Mike - westchnęła.
- No, ale przecież zachowywał się podejrzanie. Nie mówił ci, co robi, a nie mogłaś się tego domyślić.
- Słuchaj, Lauro, muszę kończyć, nie chcę się spóźnić pierwszego dnia. Głowa do góry. I nie przejmuj się „Semaphore”, ta sprawa śmierdziała od początku. Luke na pewno cię wspiera.

Wspierał, do pewnego stopnia. Artykuł Warrena go rozwścieczył, ale skończyło się na groźbach pozbawienia go życia i zębów. Więcej na ten temat nie rozmawialiśmy, bo Luke martwił się wyjazdem do Wenecji. Obawiał się, że Magda storpeduje jego plany w ostatniej chwili.

- Wyobrażam to sobie - mruknął, szkicując mnie następnego dnia. - Nie ruszaj się, proszę.

- Przepraszam. - Słyszałam, jak ołówek sunie po papierze.
- Dzień przed wyjazdem uzna, że Jessica jednak nie powinna jechać albo przypomni sobie, że zorganizowała już coś tu, w kraju, albo powie, że mała jest chora, albo uda, że zgubiła jej paszport. Nie ruszaj się, proszę. I odpręż się.

- Nie mogę, jestem za bardzo spięta. Czuję się, jakby przyklejono mi do twarzy ten grymas.

- Przykro mi.
- Magda wam nie przeszkodzi - ciągnęłam. - Ostatnio dobrze się jej układa ze Steve'em, więc będzie łaskawa.

Nadal wydzwaniała do Luke'a sto razy dziennie, ale teraz ucinała sobie z nim słodkie pogawędki, a nie robiła karczemne awantury.

- Zadzwoń do mnie - szczebiotała w automatycznej sekretarce. - Chciałabym z tobą porozmawiać...

Luke posłusznie oddzwaniał, Magda pytała go o jakieś bzdury i po chwili opowiadała, jaka jest szczęśliwa ze Steve'em, jak dobrze się im układa, jaki on jest dobry, czuły, troskliwy dla kóz i tak dalej. Luke zawsze włączał zestaw głośnomówiący, więc wszystko słyszałam.

- Jest taki kochany - zachwycała się. - Wreszcie stanęłam na nogi.

- Cieszę się - zapewniał Luke.

- Dziękują. Jestem bardzo szczęśliwa. Steve to wspomniały mężczyzna.

- Bardzo się cieszą - powtarzał. - Zasłużyłaś na to.

- Zaprosił mnie na ślub swojej matki.

- Cudownie.

- W przyszły weekend.

- To naprawdę świetnie, Magdo. W przyszły weekend?

- Tak. W sobotę wieczorem będzie wielkie przyjęcie - obowiązują stroje wieczorowe.

- Świetnie, Magdo.

Odłożył słuchawkę z promiennym uśmiechem.

- Bosko. Nie będzie marudziła w związku z Wenecją. Steve, też cię kocham - zażartował. - Jesteś cudowny.

- Gdzie się zatrzymacie w Wenecji?

- W hotelu Danieli. To odrestaurowany pałac niedaleko placu Świętego Marka.

- Byłeś tam już?

Chwila wahania.

-Tak.

- Kiedy?

- W podróży poślubnej.

- Rozumiem. Więc masz piękne wspomnienia.

- No tak, wtedy byliśmy szczęśliwi. Niestety, nie trwało to długo - dodał z żalem. - W każdym razie to piękny hotel. I drogi, ale chcą trochę porozpuszczać Jess.

- Brzmi cudownie - rozmarzyłam się. Spojrzałam na mój portret. Byłam smutna i spięta.

- Lauro, chciałbym, żebyś z nami pojechała, ale to mój pierwszy wyjazd z Jess.

- W porządku, nie musisz się tłumaczyć.

- Niedługo wyjedziemy razem. Po Wenecji wszystko się zmieni. Magda ciągle mówi, że chcą wyjechać z małą ze Steve'em, więc nie powinna się sprzeciwiać, jeśli my zrobimy to samo, prawda?

- Nie, ale będzie.
- Pojedziemy w jakieś piękne miejsce - ciągnął. - Może na Kretę? Co ty na to?
- Nie. - Spojrzał na mnie zdumiony. - To znaczy tak, ale nie na Kretę.
- Dlaczego nie?
- Byłam tam na ostatnim urlopie z Nickiem.
- Och, rozumiem. Złe wspomnienia?
- Smutne. Tam po raz ostami byliśmy szczęśliwi. - I mieliśmy ku temu powody. Ale w ciągu miesiąca wszystko się zmieniło. Jego ojciec zachorował i umarł, a potem wszystko potoczyło się jak po równi pochyłej, aż do tego wypadku przed Bożym Narodzeniem...
- To może Korsyka? - zastanawiał się Luke.

W piątek Tom wrócił z Kanady i złożył formalną skargę na Warrena Sillitoe do stowarzyszenia dziennikarzy. Jego podbite oko było już tylko lekko żółtawe.

- Paragraf dziesiąty kodeksu zabrania używania tajnych urządzeń nagrywających - wyjaśnił i wręczył mi kopię pisma. - Na tym oparłem skargę.
- A celowe przeinaczanie moich słów?
- To już trudniejsze.
- Ale okropne.
- Wiem, ale kodeks pozwala na selektywny wybór zebranego materiału. Teraz żałuję, że namawiałem cię na ten wywiad - dodał. - Ale kto się tego spodziewał?

Cynthia, pomyślałam z goryczą.

- A e-mail od niego, że dostanę tekst do autoryzacji?
- Rozmawiałem z prawnikami z Channel 4 i mówią, że da się to obejść.
- On mnie zniesławił, Tom.
- Tak, ale czy naprawdę chcesz iść z tym do sądu? W ten sposób tylko ściągniesz uwagę na twoje małżeństwo. Chcesz tego?
- Zniesławił mnie. Obrzucił mnie błotem.
- Może lepiej będzie, jeśli po prostu przełkniesz gorzką pigułkę. Postaram się, żeby stowarzyszenie skłoniło go do przeprosin, ale nie wszczynaj kroków prawnych, bo zostaniesz bez grosza przy duszy, za to z obłądem w oczach. Wszelkie działania prawne są... okropne. - Najwyraźniej myślał o swoim rozwodzie. - Słuchaj, Lauro, chciałbym ci zadać bardzo poważne pytanie...
- Tak?

Rzucił na biurko kilkanaście próbek wykładziny.

- Która ci się podoba? W przyszłym tygodniu zaczyna się remont, musimy wybrać dzisiaj.

Przejrzałam próbki i zatrzymałam się przy zielonej w delikatny wzorek.

- Ta - orzekłam. - Zielony uspokaja, a spokój jest mi teraz bardzo potrzebny.

- OK. A tu masz próbki farb. - Przeglądałam kolorowe karteczki, przykładałam do ściany, aż wybrałam odpowiedni odcień. - Zrobi to Arnie, znam go od dawna - ciągnął Tom. - Jest tani, więc ma mnóstwo klientów, ale powiedział, że zdąży ze wszystkim w długi weekend. Dzień wcześniej wyniesiemy z Dylanem meble.

- Jak było w Kanadzie?

- Stresująco - mruknął.

Ciekawe dlaczego. Może widział syna i to tak na niego podziałało. A może chciał się z nim zobaczyć, a była żona nie pozwoliła? Nie mogłam go o to zapytać, bo choć zwierzył mi się z problemów z Giną, jego małżeństwo zawsze było tematem tabu. Zresztą tak nie wiedziałabym, co powiedzieć. Wiesz, Tom, tak mi przykro, że zostawiłeś żonę z malutkim dzieckiem. Jaka szkoda, że zostawiłeś noworodka. Szkoda, że już cię nie zobaczy. Szkoda, że wszystko spieprzyłeś.

- Co u Luke'a? - zapytał nagle.

- Och... w porządku.

- A jego eks?

- Świetnie. Dobrze jej się układa z facetem, więc i u nas wszystko w porządku.

Gdy tego wieczoru oglądaliśmy z Lukiem wiadomości, zadzwonił telefon.

- Luke? - chlipnęła Magda. Jak zawsze zestaw głośnomówiący był włączony.

- Cześć - odparł. - Właśnie miałem do ciebie zadzwonić, chciałem powiedzieć Jess dobranoc.

Kolejne chlipnięcie.

- Co ty, masz katar?

- Niiieeee...

- Magda? Co się stało? - Płakała. - Magda!

- O Boooooże - zawodziła. - To okropne.

- Co takiego?

- Stało się coś strasznego.

- Jessica?
- Nie, nie chodzi o Jessicę.
- Luke odetchnął z ulgą.
- Więc o co? - zapytał.
- To takie straszne... Steve...
- Co?
- On...
- Co się stało?
- Nie mogę o tym mówić...
- Magda, powiedz, proszę.
- Steve...

Nie żyje, pomyślałam z zadziwiającym spokojem. Chce powiedzieć, że umarł, i te słowa nie przechodzą jej przez gardło. Już widziałam jego szczątki na autostradzie albo jak osuwa się przy osiemnastym dołku. A może Yogi stratował go na śmierć... Przygotowałam się na cios.

- Steve... Steve...
- Nie żyje? - wyszeptał Luke. - Chcesz powiedzieć, że Steve nie żyje?
- Oby nie żył! Steve mnie rzucił! - zawyła.

Rozdział 13

Nie mógł wybrać gorszej chwili - narzekał Luke, gdy godzinę później odłożył słuchawkę. — Dlaczego akurat teraz?

Analizowałam w myślach ich rozmowę. Magda opowiadała, że była u Harveya Nicholasa i kupiła sobie piękną kreacją za dwieście funtów. Wracła do Chiswick taksówką, gdy Steve zadzwonił na komórkę.

- Powiedziała mu o nowej kreacji - tłumaczyła przez łzy. - I mówiłam, jak się cieszę, że poznam jego rodzinę, i pochwaliłam się, że kupiłam taki piękny prezent dla jego mamy. A on milczał przez chwilę, a potem powiedział, że bardzo mu przykro, ale uważa, że będzie lepiej, jeśli nie pójdę...

- To okropne - zapewnił Luke ciepło. - Najpierw cię zaprosił, a teraz... Ale dlaczego?

- Powiedział, że nie w porządku byłoby przedstawiać mnie rodzinie, skoro ma wrażenie, że nasz związek nie przetrwa.

Biedna Magda, myślałam. A już sądziła, że wszystko jest na dobrej drodze.

- Podał jakieś powody? - Luke zachowywał się jak wzburzony ojciec. Niemal oczekiwałam, że sięgnie po szpicrutę.

- Powiedział... że jego zdaniem... nie pasujemy do siebie. Że jestem uroczą i piękną...

- Bo jesteś - zapewnił Luke. - Wszyscy tak mówią...

- Dziękuję. - Pociągnęła nosem. - Ale powiedział, że nie uważa, że bym była dla niego odpowiednią partnerką. A właśnie że jestem - szlochała. - Jestem i już! Przecież wydałam osiemdziesiąt funtów na prezent dla jego matki, a nawet jej nie lubię!

- Pewnie, że jesteś dla niego odpowiednia! - zgodził się Luke. - Co za idiota! - Nie wiedziałam, czy to szczere oburzenie, czy obawa przed potencjalnymi komplikacjami.

Powiedział, że od wielu tygodni zastanawiał się, jak to powiedzieć.

- Czy to ma coś wspólnego z jego pracą? - zapytał Luke delikatnie. - Z tym klientem, z którym miałaś pewne nieporozumienie?

Chwila ciszy.

- O kórego ci chodzi?

- Tego, którego nazwałaś idiotą?

- Nie, to nie ma z tym nic wspólnego. - Znowu szloch. - Ten okropny człowiek przeszedł do innej firmy, więc nie, to nie o to chodzi...

Luke przewrócił oczami.

- Może Steve rzucił ją z zemsty? - zastanawiałam się później.

Luke pokręcił głową.

- Nie. Podobała mu się. Inaczej nie wytrzymałby z nią tak długo. Po prostu zdał sobie sprawę, że Magda to zbyt duże ryzyko. Taki facet jak Steve szuka porządnej, potulnej żony, a Magda jest nieprzewidywalna. Dla mnie to fatalnie.

- Obawiasz się, że nie pozwoli ci zabrać Jessiki do Wenecji?

Westchnął ciężko.

- Tak, uzna, że mała musi dotrzymać jej towarzystwa.

- Biedna Jessica.

W pewnym momencie słyszałam, jak mówi:

- Nie płacz, mamusiu. Nie martw się, ja się tobą zaopiekuję. Proszę, nie płacz. - Serce się krajało.

Cały czas spodziewałam się informacji, że z Wenecji nici. Zastanawiałam się nawet, wstyd się przyznać, czy jeśli Jessica nie będzie mogła je-

chać, Luke zabierze mnie. Ale dni mijały, a on nic nie mówił na ten temat. Magda dzwoniła jak zawsze, Luke już nie włączał zestawu głośnomówiącego, tłumaczył, że to byłoby nie fair wobec niej, nie teraz, kiedy jest załamana.

- Więc jedziecie? - zapytałam w środę, dwa dni przed wyjazdem. Oglądaliśmy teleturniej. Akurat zaczęła się przerwa na reklamy.

-Tak.

- Magda pozwala ci zabrać Jessicę? - Skinął głową. - Jak sądzisz, wymyśli coś w ostatniej chwili?

- Nie, chyba nie. - Wydawał się bardzo spięty. Pewnie właśnie tego się obawiał.

- To dobrze, że nie myśli tylko o sobie, zwłaszcza teraz. - Zaskoczyło mnie, że poczułam do niej szacunek.

- Mam coś dla ciebie - powiedział nagle Luke.

- Tak? A co?

Sięgnął za kanapę i wyjął torbę z logo Georgina von Etzdorf. W środku był jedwabny szlafrok w różowe tulipany.

- Dziękuję. - Pocałowałam go. - Śliczny.

- Cóż, uznałem, że chociaż tyle mogę zrobić. Miałem ci go kupić wcześniej, ale w całym tym zamieszaniu...

- Uwielbiam go - dotknęłam cienkiego materiału. - Powiedz, na ile jedziesz?

- Na cztery dni. W piątek nie ma lekcji, więc mamy dodatkowy dzień. Wracamy w poniedziałek wieczorem.

- A kiedy ślub?

- W sobotę po południu.

- Gdzie się zatrzymacie? - Spojrzał na mnie. - Chciałabym do was zadzwonić. Mówiłeś, jak ten hotel się nazywa, ale zapomniałam...

- Będę miał włączoną komórkę. O, reklamy się skończyły. - Wbiliśmy wzrok w ekran.

- Gdzie po upadku Francji mieściła się siedziba rządu francuskiego?

- W Vichy! - krzyknął.

Poprawna odpowiedź,.

Nie widziałam się z Lukiem aż do jego wyjazdu, bo Jessica u niego mieszkała. Kiedy zadzwoniłam, byli już na lotnisku.

- Jessica się cieszy?

- Bardzo. Prawda, kochanie?

- Tak, bardzo się cieszę! - usłyszałam stłumioną odpowiedź. - Bardzo, bardzo!

Ja też się cieszyłam. Nie dość, że zobaczy Wenecję, to odpocznie od matki.

- O której wylądujecie?

- Koło drugiej, zameldujemy się w hotelu i pójdziemy zwiedzać. Wywołałi nasz lot. Później zadzwonię.

Tęskniłam za Lukiem, ale cieszyłam się, że jest z Jessica. Wyobrażałam ich sobie, jak suną gondolą. Niemal widziałam zachwyt Jessiki, gdy wędrują po placach i uliczkach, zaglądają do kościołów i pałaców. Luke na pewno opowie jej o Giorgione, Tycjanie i Veronese. Jest na tyle duża, że co nieco zapamięta.

Tego wieczoru rozmawialiśmy krótko. Byli w Murano, widzieli, jak powstaje szkło. Następnego dnia był ślub, więc nie dzwoniłam, ale o ósmej wieczorem pomyślałam, że fajnie byłoby go usłyszeć. Niestety, miał wyłączoną komórkę, więc żeby się czymś zająć, włączyłam telewizję. Zaczął się właśnie film o Gallipoli. W scenie w szpitalu polowym zobaczyłam Tarę McLeod. Grała rolę pielęgniarki, która zakochała się w oficerze, żonatym i z dzieckiem, więc ich miłość musi skończyć się nieszczęśliwie. Dokładne przeciwieństwo tego, co wydarzyło się naprawdę. Patrząc na napisy końcowe, zastanawiałam się, czy Tom to oglądał i jak się z tym czuje.

Dochodziła dziesiąta. Luke nie odzywał się przez cały dzień i zaczynałam się denerwować. Zadzwoniłam do niego. Nie powinien jeszcze spać.

- Tu Luke North. Niestety nie mogę teraz rozmawiać. Proszę zostawić wiadomość po sygnale... - Nie znoszę automatycznych sekretarek, więc się nie nagrałam.

Źle spałam, obudziłam się wcześniej. Zerknęłam na budzik - siódma dziesięć, czyli ósma dziesięć we Włoszech. Po chwili znowu do niego zadzwoniłam. Nadal nie odbierał. Żałowałam, że nie mam numeru do hotelu; chciałam go złapać, zanim zjedzą z Jess na śniadanie. Zaraz, jak się nazywał ten hotel? Daniela? Tak. Zadzwoniłam do informacji i po chwili wybierałam numer hotelu. Podniesiono słuchawkę po trzech dzwonekach.

- *Prontol*

Rozsunęłam zasłony i poprosiłam o połączenie z pokojem Luke'a Northa. Nie, nie znam numeru pokoju. Pan Luke North z Londynu.

- Luke North, mam - mruknął recepcjonista. - *Signor* i *signora* North. - *Signorina*, poprawiłam go w myślach. - *Un fatimo, por favore*.

Jeden sygnał, dwa, trzy... Nie ma go. Pięć... Pewnie jedzą z Jess śniadanie. Albo bierze prysznic i nie słyszy dzwonka. Może już wyszli. Wyobrazili-

łam sobie, jak idą przez plac Świętego Marka i płoszą gołębie. Nagle ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo? - niewyraźny, znajomy głos.

Zrobiło mi się gorąco. Nogi ugięły się pode mną jak po wielkim wysiłku.

- Halo? - powtórzyła. Opadłam na łóżko. *Signora*.

- Magda? - wychrypiałam. Cisza. Czułam, jak serce wali mi o żebra. Zrobiło mi się niedobrze. - Czy to Magda? - Brak odpowiedzi, szmery i szelesty, gdy przekazywano słuchawkę z rąk do rąk.

- Halo? - zaczęła nerwowo Jessica.

- Tu Laura.

- Halo?

- Jessico...

- Taty nie ma - powiedziała. - Je śniadanie.

- A odebrała mama, tak?

- Tak. To znaczy nie. Chce pani rozmawiać z tatą? Zaraz wróci.

- Nie ma sprawy - mruknęłam. - Nie muszę. Do zobaczenia, Jess.

Westchnienie ulgi.

- Do zobaczenia.

Więc to dlatego nie chciał mi podać telefonu do hotelu. To dlatego miał ciągle wyłączoną komórkę - bał się, że usłyszę Magdę. I dlatego ostatnio nie włączał zestawu głośnomówiącego - bał się, że Magda coś chlapnie. Dlatego wiedział, że nie pokrzyżuje mu planów - ona też jechała. I dlatego dał mi szlafrok, uświadomiłam sobie. Bo wiedział, że mnie zdradzi. Po raz kolejny.

Siedziałam bez ruchu, zbyt wstrząśnięta, by cokolwiek robić. Kto się zajmuje kozami? - pomyślałam nagle.

Telefon już dzwonił, tak jak się spodziewałam.

- Cześć, tu Laura, niestety nie ma mnie w domu...

Znowu. Potem zaćwierkała moja komórka i znowu domowy... Zapaliło się czerwone światelko. Luke nagrywał się na sekretarkę.

- Lauro - błagał - odbierz, jeśli tam jesteś, proszę. Bardzo cię proszę. Przepraszam. Nie mogłem ci powiedzieć, bo byłabyś wściekła, a Magda wpadła w histerię z powodu Steve'a, powiedziała, że nie da mi Jess, pokłóciliśmy się. Tłumaczyłem, że nie może karać Jess za swojego pecha, i wtedy zdecydowała, że Jess pojedzie... jeśli ona też. Nie chciałem tego, ale uparła się, zaczęła też podpuszczać Jessicę i w rezultacie nie mogłem się nie zgodzić, a nie chciałem, żeby Jessica straciła ten wyjazd, bardzo się na niego cieszyła. Miałem wyrzuty z twojego powodu, nie chciałem cię skrzywdzić. Zmieniłem rezerwację, mamy połączone pokoje, tak że Magda z Jessicą są

obok, i prosiłem, żeby nie odbierała telefonów. - Westchnął zdenerwowany.
- Prosiłem, żeby nie odbierała telefonów - powtórzył. - Posłuchaj, wyśko-
czymy razem na weekend, może do Pragi albo Budapesztu, nie, tam nie,
chciałem powiedzieć: do Bukaresztu albo do Barcelony. Od lat tam nie by-
łem i...

Nacisnęłam **STOP**, wzięłam prysznic i wyszłam. Pierwszy maja, wiosna
w powietrzu, a ja w takim humorze...

Przeszłam wzdłuż Portobello, gdzie handlarze już rozstawiali swoje kra-
my, skręciłam w Kensington Park Road i z bólem serca minęłam restaurację,
w której byliśmy na pierwszej randce. Potem Ladbrooke Square, Holland Park
Avenue i znalazłam się przy Clarendon Road. Zatrzymałam się na rogu przed
domem Hope i zadzwoniłam do drzwi. Cisza. Po chwili to ona zadzwoniła
do mnie na komórkę.

- Cześć, Lauro.
- Jesteś tam? - zapytałam.
- Nie - odparła ze śmiechem. - Jestem tu.
- Czyli gdzie?
- W Babington House. Mike ma urodziny.
- No tak. Zapomniałam.
- Nie przejmuj się. Porwałam go na długi weekend. Jest cudownie, właś-
nie się kąpaliśmy. Co u ciebie?
- W porządku. - Nie chciałam psuć jej nastroju. - Zadzwoni, kiedy wróci-
cie.

Wybrałam numer Fliss.

- Halo? - Miała zmęczony głos. Pewnie mała nie dała jej spać.
- Fliss, mogę do ciebie wpaść? Widzisz, właśnie się dowiedziałam, że...
- Ty się dowiedziałas? - wpadła mi w słowo. - Nie ty jedna! Przeżyłam
koszmar! Pokłóciłam się z Hugh...
- O co?
- Wczoraj zepsuł mi się komputer, więc zalogowałam się na jego laptopie,
znam hasło, i przeczytałam te maile. Od niej.
- Od kogo?

Od Chantal! Miałas rację! Nie wierzyłam ci, ależ ze mnie idiotka! My-
ślałam, że to tylko sprawy służbowe, ale miałas rację! Pisał, że nie może się
doczekać, kiedy znowu ją zobaczy, że chciałby gdzieś z nią wyjechać i... -
Płakała. - A ona... że bardzo by tego chciała... Jak on mógł? Jak mógł mi to
zrobić? Drań. Nasza córeczka ma siedem miesięcy, a on... Nie mogę rozmia-
wiać. Niepłaczskalbenku...

Odłożyła słuchawkę. I dobrze. Nie miałam siły jej pocieszać, przytłaczały mnie własne problemy. Przeszłam przez jezdnię i weszłam do Holland Park. W cieniu drzew panował przyjemny chłód, suche zeszłoroczne liście szeleściły pod nogami.

„Prosiłem, żeby nie odbierała telefonów. Prosiłem...”

Gdyby Magda go posłuchała, nie wiedziałabym o niczym. Więc to tak? Co gorsza, wciągnął w te machinacje Jessicę, przecież na pewno się obawiał, że mała może coś palnąć albo pokazać mi zdjęcia. Już kiedyś ją prosił, żeby trzymała język za zębami.

„Nie powiesz mamusi, że poznałaś Laurę, dobrze?”

Przypomniałam sobie, jak smutno zwiesiła główkę.

Byłam wściekła. Niemal biegłam przez park. Nie zwracałam uwagi na budzącą się do życia przyrodę, na kwitnące wiśnie, błękitne niezapominajki, na wisterię zwieszającą się z muru liliową kaskadą, na pawie krzyczące na trawniku. Minęłam boisko do krykieta, wyszłam z parku na Kensington High Street, pełną sklepów otwartych nawet w niedzielę, minęłam Kensington Pałac i Albert Memoriał. Znowu skręciłam. Teraz szłam przez Hyde Park. Mijałam rowerzystów w kaskach i zamyślonych rolkarzy, ojców z wózkami, bawiące się psy i, co najgorsze, zakochane pary spacerujące za rączkę pod wiekowymi dębami.

Poszłam w zakątek parku, gdzie świry dzieliły się ze światem swoim szaleństwem.

- Kosmici zaatakują lada dzień...
- Zatrują wodę...
- Niech Anglia odzyska dawną chwałę...
- Księżna Diana żyje!

Przepychałam się przez tłum gapiów, znudzonych, rozbawionych, zainteresowanych. Sama miałam ochotę wleźć na skrzynkę i wygłosić monolog, który od półtorej godziny chodził mi po głowie.

Minęłam Serpentine i kaczki na wodzie, przeszłam koło Lido i kawiarni pełnej ludzi.

- Laura! - usłyszałam. Zatrzymałam się... i zazgrzytałam zębami. Jeszcze tego mi brakowało. - Jeśli cię interesuje moje zdanie, powinnaś trochę odpocząć.

- Nerys.

- Jak się cieszę. - Uśmiechała się szczerze. Zrobiło mi się głupio, że zawsze jestem dla niej taka niemila.

- Co tu robisz? - zapytałam. - To znaczy, przepraszam, po prostu się zdziwiłam.

- Mieszkam niedaleko, w Paddington.
- No tak, zapomniałam. - Dzisiaj jej włosy były w odcieniu drzewa lekowego.

- Przychodzę tu co niedziela, bez względu na pogodę. Karmię kaczki. Obserwuję świat. - Wskazała drugą stronę jeziora. - Patrzę na ludzi w łódkach. Nie ma drugiego takiego miejsca - stwierdziła z zadowoleniem.

- Fajnie - mruknęłam. Zrobiło mi się ciemno przed oczami.

Poklepała ławkę obok siebie.

- Na twoim miejscu złapałabym oddech, Lauro. Siadaj.

- Dobrze.

Usiadłam koło Nerys i nagle nie przeszkadzało mi jej towarzystwo. Tuż przed nami, nad wodą, kaczki walczyły o kawałek bułki.

- Dobrze się czujesz, Lauro? - Nerys przyglądała mi się badawczo.

Przełknęłam ślinę.

- Tak, Nerys, dziękuję.

- Na pewno? - zapytała ze szczerą troską. Tylko tego mi było trzeba. W końcu się rozplakałam...

- Przeżyłam szok - szlochałam.

Nerys pokręciła głową.

- Wiąc dlatego masz taki kiepski humor. - Jak na osobę zwykle skupioną na sobie okazała się dobrą słuchaczką. - Jego była podniosła słuchawkę. Nie denerwuj się, Lauro. - Podała mi chusteczkę. - Nie powinien być tego robić. O, nie.

- Nawet nie przyszło mi do głowy, że to zrobi.

- Ale z tego, co mówisz, wynika, że spędza z nią dużo czasu.

- Tak - wychrypiałam. - Bardzo dużo. Bo chce być z dzieckiem. To cena, którą musi zapłacić.

- Nie, Lauro - powiedziała powoli. - To cena, którą ty płacisz. - Milczałam. - Nieważne, dzieci czy nie - ciągnęła - nie może sobie wyjeżdżać z byłą żoną, jeśli jest z tobą. Tak się nie robi. Moim zdaniem powinien być odwołać ten wyjazd.

Uśmiechnęłam się. Po raz pierwszy z satysfakcją wysłuchałam jej opinii.

- Nie chciał sprawić zawodu córce. - Wbiłam wzrok w jezioro. Słońce odbijało się w wodzie.

„Jessica jest dla mnie całym światem. Brakuje mi jej”.

„Czasami siadam na jej łóżeczku i płaczę”.

„Bardzo przeżyła nasze rozstanie”.

„Ta więź jest tutaj, w sercu”.

- Uwielbiam ją - ciągnęłam. - Jest dla niego najważniejsza, a to oznacza, że często przegrywam. To takie... frustrujące. Spotykamy się od trzech miesięcy, a nie spędziliśmy razem nawet jednej niedzieli. Mam wrażenie, że nasz związek jeszcze się na dobre nie zaczął.

Na jeziorku nastolatek mocował się z wiosłami. Jego łódź ani drgnęła.

- Dlaczego to znosisz, Lauro?

Hope też mnie o to pytała. Powiedziałam wtedy, że to kwestia miłości. Ale teraz wiedziałam, że odpowiedź nie jest taka prosta.

- Bo... - Czułam, jak coś mnie ściska za gardło. - Widzisz... przez ostatnie trzy lata... - Znowu miałam czarne plamy przed oczami. Spuściłam wzrok i patrzyłam, jak lzy kapią mi na ręce. - Straciłam całą pewność siebie. Nie wiedziałam, jak z kimś być. Jak budować związek. Od tak dawna nie byłam na randce. Odkąd poznałam Nicka, przed dziesięcioma laty.

- Spokojnie, Lauro. - Położyła mi dłoń na ramieniu.

- Postanowiłam zacząć od nowa, ale byłam przerażona... I nagle zjawił się Luke. Chciał być ze mną, więc się zgodziłam. Chciałam chwytać dzień.

- Nie - poprawiła Nerys. - Nie dzień. - Spojrzałam na nią. - Chciałaś schwytać przeszłość.

Zapatrzyłam się na jeziorko. Jej słowa niesły się echem po mojej głowie. „Chciałaś schwytać przeszłość...” To prawda. Chciałam iść do przodu, a szłam w tył.

- Mogę ci coś doradzić? - odezwała się.

- Tak. - Po raz pierwszy naprawdę chciałam to usłyszeć.

- Zawsze uważałam... - zawahała się. - Pracuję z wami od ponad dwóch lat i... cóż, ilekroć widzę was razem, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że idealnie do siebie pasujecie... - Kręciłam głową. - Lauro, on ma o tobie bardzo wysokie mniemanie. Zginąłby bez ciebie. W kółko to powtarza.

Spojrzałam na nią.

- Naprawdę?

-Tak.

- Ciągłe się zachwyca, jaka jesteś wspaniała. Jaka mądra.

- Nie jestem mądra - odparłam z goryczą. - Jestem idiotką.

- I jaka jesteś śliczna.

- Nieprawda. Jestem *une jolie laide*, mam okropne włosy i wielkie stopy.

- Ale mam wrażenie, że nigdy nie myślałaś o nim w ten sposób. - Nie zwracała uwagi na moje słowa.

- Szczerze mówiąc... chyba nie.

- Dlaczego? Przecież go lubisz.

- Oczywiście. Jest wspaniały.

- Więc?

- Cóż... ma kogoś.

- Z tego nic nie będzie. - Zbyła mnie machnięciem ręki. - Powiedz, Lauro, **0** co ci naprawdę chodzi?

Nie chciałam powiedzieć jej prawdy, nie chciałam, żeby przestała szanować Toma. Nie chciałam być niełojalna wobec niego i nie fair wobec niej, przecież go uwielbia.

- Czy to dlatego, że jest szefem? - naciskała.

- Tak. To zbyt... skomplikowane.

- Sama nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Ludzie często umawiają się z kimś z pracy. - Pomyślałam o Hope. Kiedyś pracowała z Mikiem, poznali się na szkoleniu. - Lauro, nie zmarnuj swojej szansy, jak ja - wyznała nagle.

- Minęło już dwadzieścia pięć lat, a codziennie o tym myślę.

- Jak to?

- Spotykaliśmy się z Patrickiem dwa lata, zaręczyliśmy się... I wtedy inny chłopak, Alan, zawrócił mi w głowie i zerwałam z Patem. Czekał na mnie trzy lata, ale kiedy wreszcie zrozumiałam, że popełniłam błąd, było za późno - ożenił się z inną. Ma troje dzieci i nadal jest żonaty, a ja... - Urwała. - Zawsze żałowałam, że za niego nie wyszłam, bo, z różnych przyczyn, nigdy później nie miałam ku temu okazji. - Zaciśnęła dłoń na złotym medalionie. Jakie to smutne, nadal ma jego zdjęcie, pomyślałam. Żyje wyobrażeniami, jak mogłoby być. Zobaczyła, że patrzą na medalion. - Pokażę ci - zaproponowała.

- Nie musisz, Nerys - zapewniłam. - To zbyt osobiste.

- Nie ma sprawy. Chętnie ci pokażę.

Otworzyła medalion szkarłatnym paznokciem.

Patrzyły na mnie dwie ptasie twarze, żółta i zielona.

- To Tweetie - powiedziała, wskazując lewe zdjęcie. - A to Pie. Mam ich od ośmiu lat. To wspaniali kompani, gwizdzą, aż miło się słucha. - Nagle zadzwoniła jej komórka. - O, cześć, Tom. Co? O Boże. - Kręciła głową 1 cmokła z przejęciem. - O Boże - powtórzyła. - Biedny Dylan. A mówiłam mu, żeby uważał na tym motorze. Miał wypadek - szepnęła do mnie. - Złamał sobie ręką. Rozumiem, Tom, ktoś musi ci pomóc... Tak, tak... Wiesz,

akurat spotkałam Laurę. Siedzimy nad Serpentine, tak, jest bardzo ładnie. Nie, nie ma sprawy, tak mówi. Będzie u ciebie za dwadzieścia minut. - Rozłączyła się.

- Hm... Nerys, przepraszam, ale czemu mnie nie zapytałaś?

- Bo wiedziałam, że się zgodzisz - odparła.

Rozdział 14

Bylałam w biurze dwadzieścia minut później. Już z daleka widziałam szeroko otwarte drzwi. Nagle Tom, zdenerwowany, pojawił się w progu. Miał na sobie białą koszulkę i džinsy, i papierosa w zębach.

- Dzięki, że przyszłaś - powiedział, ciskając do kontenera dwa worki śmieci. - Malarze przyjdą jutro z samego rana, po południu zerwą starą wykładzinę. Trzeba wszystko wynieść i spakować. To bardziej pracochłonne, niż sądziłem. Liczyłem, że Dylan mi pomoże, ale miał wypadek.

- Damy sobie radę - zapewniłam. Byłam wściekła na Luke'a i pełna energii, więc myśl o pracy fizycznej sprawiła mi radość.

- Dobrze się czujesz, Lauro? - Tom przyglądał mi się uważnie. Zaciągnął się papierosem i zgasił niedopałek na murku. - Wydajesz się...

- Nic mi nie jest - odparłam szybko. Nie chciałam rozmawiać ani nawet myśleć o Luke'u. Zabrałam Tomowi gumkę i związałam włosy - Do roboty.

Wyłączyliśmy komputery i drukarki. Przez kilka godzin przesuwaliśmy meble. Wynieśliśmy biurka i krzesła na zewnątrz i okryliśmy folią. Później zabraliśmy się do regałów. Plastikowe worki na śmieci wypełniały się starymi kasetami wideo, taśmami demo, paczkami starych ulotek i korespondencji sprzed lat.

- Trzeba było się pozbyć tych śmieci już dawno - mruknął Tom, taszcząc naręczę starych gazet do śmietnika. - Nerys mówiła mi to od kilku miesięcy, ale nie chciało mi się do tego zabrać.

Pracowaliśmy od kilku godzin i kontener powoli się wypełniał. Koszulka Toma nie była już biała, tylko szara. Zerknął na zegarek.

- Wpół do trzeciej. Zjedzmy coś. Skoczę po kanapki.

Wrócił po dziesięciu minutach z dwoma papierowymi torebkami.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał. Odwrócił pustą skrzynkę, żebyśmy mieli na czym usiąść.

- Z tego. - Podniosłam zdjęcie, które znalazłam, kiedy wyszedł. Byliśmy na nim oboje, w otoczeniu pudeł. - Nasz pierwszy dzień tutaj. Pamiętasz? Wrzesień 1991.

- Tak. - Przyjrzał się fotografii. - Było strasznie gorąco, prawie trzydzieści stopni. Umierałem ze strachu na myśl, na co się porywam. Pożyczyłem mnóstwo kasy i bałem się, że nic z tego nie będzie. - Podał mi zdjęcie.

Mówiłam ci, że wszystko będzie dobrze. I miałam rację.

- Udało się nam - przyznał. - A co to za zdjęcie?

- Och. - Nie chciałam mu go pokazywać. Spojrzał na fotografią i zarumienił się.

Zrobiono ją na ceremonii wręczenia nagród BAFTA, wiosną 2001 roku. Nominowano nas za fabularyzowany dokument o Helenie Trojańskiej. Na zdjęciu był Tom i Amy, jego żona, w szóstym miesiącu ciąży. Ślicznie wyglądała w jasnoniebieskiej sukni i z różą we włosach, widziałam jednak, że jest spięta. Z perspektywy czasu powody były jasne - pewnie już wtedy wiedziała, że Tom ma romans z Tarą, która siedziała po jego drugiej stronie. Piękna, promienna, siedziała trochę za blisko. A w tleją i Nick, wysoki i przystojny. Kilka miesięcy później oba te związki się rozpadły. Zdjęcie budziło nostalgię, ale i niepokój.

Tom oddał mi je bez słowa i wyjął kanapkę z torby.

- Byliśmy tacy młodzi - powiedziałam, żeby przerwać milczenie.

Wzruszył ramionami.

- To było dawno.

- Zatrzymamy je? - spytałam, chociaż znałam odpowiedź.

- Nie. Ale to tak. - Podniósł inną fotografię: on, ja, Sara i Nerys świętujemy sprzedanie *Wiem wszystko*. Machamy wielką butlą szampana, Tom obejmuje mnie i uśmiecha się promiennie.

- To była cudowna chwila. A wszystko dzięki tobie, Lauro.

- Nie, to ty wymyśliłaś teleturniej.

- Ale wszystko zaczęło się od ciebie. Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że dorabiasz, układając pytania do quizów?

- Tak. Gdyby Nick nie odszedł, nie zajęłabym się tym, więc w pewnym sensie zawdzięczamy wszystko Nickowi, choć wątpię, żeby o tym wiedział.

Tom skinął głową.

- Jutro jest nasza dziesiąta rocznica ślubu. - Otworzyłam puszkę coli. - Chyba nie będę świętować. - Dziwnie się poczułam, mówiąc to, jakbym obchodziła urodziny zmarłego. Otworzyłam paczkę chipsów i zastanawiałam się, czy Nick pamięta, co jutro za dzień.

Pracowaliśmy dalej. Było już po piątej, kiedy zaczęliśmy opróżniać regały. Spakowaliśmy wszystkie książki do pudeł - słowniki, poradniki, kompendia. Zdjęłam z półki encyklopedię, a tam, w kącie, leżał mój słownik łaciński, a obok - mój Horacy. Więc to tu się podziewał. Cienka książeczka otworzyła się na zaczytanej stronie.

Spójrz, jak Soraktu szczyt
Biało się jarzy w śniegu,
Rzeki ściał ostry mróz
I zatrzymał je w biegu,
Las się pod śniegu ciężarem ugina.
Nie skąp ognisku drew,
Sobie nie żałuj wina,
Kaź czteroletnie dać
Z dwuuszne go sabina.
To cię, Taliarchu, przed mrozem uchroni.
Reszta - to bogów rzecz.
Ufaj im. Bo, gdy oni
Wichry przepędzą precz
Z morza wrzącego toni,
Nie drgnie już cyprys ni stare jesiony.
Troskę o jutro rzuć!
Každy dzień ze spokojem
Przyjmij za losu dar,
Zapisz na dobro swoje.
Baw się Kameną i wiedz korowody,
Zanim ci przykry szron
Włosy przysypie, młody!
Idź na ulicę, w tłum,
Zaznaj miłej swobody
Schadzek wieczornych przy szepcie tajemnym...
Chętej dziewczyny śmiech
Zdradzi ją w kątku ciemnym,
Kiedy zesuwasz w dół
Klejnot jej naramienny...
Niby się wzbrania, lecz opór daremny*.

* **Horacy** *Do Taliarcha (Pieśń I, 9)*, tłum. **Julian Tuwim**.

- Co to? - zapytał Tom.

Podaliśmy mu książkę.

- Przeczytaj też ten obok.

Nie dociekaj, nie nasza to rzecz, Leukonoe,
kiedy umrzeć mam ja, kiedy ty, nie odślaniaj
babilońskich arkanów. Co ma być niech będzie.

Czy wiele zim przed nami, czy właśnie ostatnia
pędzi Morze Tyrreńskie na odporne skały:
rozważnie klaruj wino, nadzieję odmierzaj
na godziny - czas biegnie zazdrosny o słowa -
i weseląc się dziś nie dowierzaj przyszłości*.

- Co ma być, niech będzie - powtórzył w zadumie.

- A nie, co było - mruknęłam. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

Zadzwoiła moja komórka. Odebrałam, nawet nie patrząc, kto dzwoni.

- Laura! - Luke. - Muszę z tobą porozmawiać, wyjaśnić wszystko osobiście. Widzisz, ja właściwie wcale cię nie okłamałem, nie powiedziałem, że Magda nie jedzie...

Rozłączyłam się. Zadzwoił ponownie chwilę później. Nie odebrałam. Za trzecim razem zawahałam się, a wreszcie zablokowałam rozmowy z jego numeru.

- Wszystko w porządku? - spytał Tom.

Czułam na sobie jego wzrok.

- Tak - odparłam. - Wszystko w porządku.

Zaciągnęliśmy skrzynie na zewnątrz, Tom zdemontował regały, zdjęliśmy ze ścian plakaty i zdjęcia. Potem poszliśmy na górę i wynieśliśmy wszystko z piętra. Dochodziła ósma. Bolały mnie plecy, byłam cała spocona.

- To już wszystko? - Rozejrzałam się po pustym biurze.

- Jeszcze jedna rzecz - odparł. - Ale nie musisz...

- Co?

- Arnie mówił, żeby umyć ściany, wtedy farba lepiej się trzyma. Zajmie nam to z godzinę, ale naprawdę bardzo mi pomogłaś, Lauro... Dokąd idziesz?

- Po wiadro.

Wzięliśmy po gąbce i zabraliśmy się do pracy. Bardzo mi się to podobało. Płukałam gąbkę w ciepłej wodzie i zamazyście ścierałam ze ścian brud i kurz, jakbym machała do kogoś w oddali. Ramiona mnie bolały, ale nie zwraca-

***Horacy** *Do Leukonoe (Pieśń 1 U)*, tłum. Adam Ważyk.

łam na to uwagi. Praca dawała mi zapomnienie i satysfakcję, akurat to, czego mi było trzeba.

- Tu Radio 4 i Michael Rosen ze słowami tygodnia.

Tom znalazł przenośne radjko i tak pracując, słuchaliśmy dyskusji o niuansach współczesnego języka. Zainteresował nas zwłaszcza fragment o słowach zapożyczonych z innych języków, które zadomowiły się w angielskim: karma, fiasko, bonsai.

- Francuskie powiedzonka są najlepsze - mruknął Tom. - *Esprit de corps, creme de la creme, joie de vivre...*

- *Carte blanche* - włączyłam się. - *Tete a tete...*

- *Femme fatale* - wyliczał. -1 oczywiście *coup de foudre* - dodał z lekkim grymasem.

- Hm. - *Coup de foudre*. Oszaleć z miłości.

Zapadł zmrok i kiedy zabraliśmy się do pracy na piętrze, musieliśmy zapalić światło.

- Prawie skończone - mruknął.

Czułam, jak pot spływa mi po plecach.

- Ej! - zawołał nagle.

Słyszałam, jak z westchnieniem podszedł do kontaktu i pstryknął kilka razy.

- Żarówka - mruknął. - Pójdę po nową.

- To nie żarówka. - Wyrzłam na korytarz. - Na dole też nie ma światła.

- Czyli korek. Pójdę sprawdzić. Korki są przy recepcji.

- Nie zostawiaj mnie tu samej. - Wpadłam w panikę. - Boję się ciemności.

- To chodź ze mną. Ostrożnie.

Wyszliśmy na korytarz. Okazało się, że światła nie ma w całym budynku.

Wyrzłam przez okno.

- Nigdzie nie ma.

Mews spowiła ciemność, nigdzie nie widziałam nawet ulicznych latarni. Słychać było tylko szcęk otwieranych drzwi, gdy ludzie wychodzili na zewnątrz, żeby zobaczyć co się dzieje. Z oddali dobiegało wycie policyjnych syren i dźwięk klaksonów.

- Może to tylko na naszej ulicy - stwierdziłam.

- Nie, to większa awaria. Nie działają światła ruchu.

Przypomniała mi się awaria w studio kilka tygodni temu. Wyciągnęłam ręce przed siebie.

- Gdzie jesteś? - zapytałam nerwowo. - Nie widzę cię. Nic nie widzę. - Nagle zobaczyłam w oddali fluorescencyjne wskazówki jego zegarka i poczułam jego dłoń na swojej. Usłyszałam syk zapalniczki i po chwili zobaczyłam jasny płomyk. Nasze cienie tańczyły na nagich ścianach.

- Przerwywamy program - usłyszeliśmy w radio. - Wiele dzielnic Londynu jest pozbawionych energii elektrycznej. Przyczyna awarii jest nieznana, ale rzecznik Transco zapewnia, że nie ma mowy o zamachu terrorystycznym...

- Pewnie potrwa tylko kilka minut. - Tom podniósł zapalniczkę wyżej. Płomień odbijał się w szybie. Przypomniały mi się obrazy Rembrandta. - Usiądźmy i poczekajmy.

Wróciliśmy do sali konferencyjnej i usiedliśmy na wielkiej skórzanej kanapie, zbyt ciężkiej, by ją ruszyć z miejsca.

- Radzimy zostać w domu, póki nie usuniemy awarii - mówiło radio. - W miarę możliwości radzimy unikać otwartego ognia. Jeśli wybieracie się w drogę, poczekajcie, aż sytuacja wróci do normy. W naszym studio jest...

- Odprowadzę cię do domu - zaproponował Tom. - Na dworze jest bardzo ciemno, przez chmury nie widać nawet księżyca.

- Nie mamy latarki?

- Nie, ale pójdziemy powoli.

Wyobraziłam sobie, że wpadam na słupek i znowu łamię sobie nos albo potykam się i skręcam nogę, albo że ktoś mnie napada. To możliwe, prawda? Co gorsza, wyobraziłam sobie, że siedzę sama w domu po ciemku.

- Wolalabym poczekać. To pewnie nie potrwa długo.

- Muszę oszczędzać zapalniczkę, gaz mi się kończy.

Po chwili znowu ogarnął nas mrok.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. Skóra zatrzeszczała, gdy się poprawił na kanapie.

Podkuliłam nogi.

-Tak.

- Awaria zaskoczyła nas w niedzielny wieczór, więc ucierpi mniej osób, niż gdyby wydarzyła się w środku tygodnia - pocieszał spiker. - Jak tamta wielka awaria w sierpniu 2003 roku, pamiętacie?

Rozgorzała dyskusja na ten temat. Jeden z gości w studio zauważył, że mamy długi weekend i sporo osób wyjechało, więc dzięki temu mniej ludzi

ucierpi. Od razu pomyślałam o Luke'u. Wspominali też wielką awarię, w Stanach w 2003 roku, gdy pięćdziesiąt pięć milionów ludzi zostało pozbawionych elektryczności, bo przestało pracować dwadzieścia jeden elektrowni. I znów informacje z Londynu:

- Setki ludzi uwięzione w pociągach metra...
- Szpitale mają własne generatory...
- Ludzie wychodzą z kin...
- Dziwny nastrój...
- Gigantyczne korki...

Ktoś zasugerował, że awarię spowodowały burze na Słońcu, ale astronom uznał tę teorię za bzdurną. Ktoś inny podejrzewał, że może to działanie anty-globalistów szykujących się do demonstracji następnego dnia.

- Idiocyzm - mruknął Tom. - To zwykła awaria.

Na zewnątrz ludzie rozmawiali, żartowali. Ktoś grał na gitarze. Tom wyłączył radio, gdy temat audycji się zmienił.

- Kwadrans po dziesiątej - powiedział. - Włączą prąd o wpół do jedenastej, może wcześniej.

Dwadzieścia minut później nadal było ciemno. Nie mieliśmy nic innego do roboty, więc siedzieliśmy tak w aksamitnej czerni i rozmawiali szeptem, jakby mrok pozbawił nas pewności siebie. Słyszeliśmy własne oddechy.

- Czuję się jak w filmie, tylko brakuje filmu - zauważył Tom. - Już wiem...
- Słyszałam, jak szuka zapalniczki w kieszeni. - Potrzymaj, dobrze?

Pochylił się i splótł dłonie kciukami do dołu, a palcami do góry. Cień się poruszył i znieruchomiał.

- Co to jest? - zapytał.

Przyjrzałam się uważnie.

- Pies?

- Nie, nie pies. Oto odpowiedź. - Cień zaczął skakać po ścianie.

- Królik?

- Nie, króliki nie mają sterczących uszu.

- Koń skaczący przez przeszkodę?

-Nie.

- Lama?

- Lamy nie skaczą.

- Kangur! - krzyknęłam triumfalnie.

- Tak - potwierdził Tom. - Kiedy byłem mały, zawsze się tak bawiliśmy na wakacjach nad jeziorem Memphremagog.

- Gdzie to jest?

- W Quebec, niedaleko Montrealu. Cudowne miejsce. Pływaliśmy kajakami, łowiliśmy ryby i bawiliśmy się w teatr cieni.

- Dobrze ci idzie.

- Wieczorami nie było nic innego do roboty. Moja mama robiła świetnego słonia.

- Afrykańskiego czy indyjskiego?

- Rany, kończy mi się gaz. Zgaś zapalniczkę.

Znowu otoczyła nas antracytowa czerń. Wzdrygnęłam się.

- Naprawdę boisz się ciemności? - zapytał.

- Tak. Niejest tak źle, jeśli ktoś mi towarzyszy, ale sama... Nie śmiej się ze mnie, ale do dzisiaj śpię przy zapalonym świetle.

- Naprawdę? I z misiem?

- Nie. Przed laty dałam go Luke'owi. Nadal go ma. Ale nie będę walczyła o prawa rodzicielskie - dodałam. - Ani nawet o prawo do spotkań.

Tom poruszył się lekko.

- Nie brzmi to dobrze.

- Bo nie jest. Szczerze mówiąc, jest źle.

- Gdzie jest Luke?

- W Wenecji.

- Och.

- Z Magdą.

- O rany.

Opowiedziałam mu wszystko.

- Jezu - sapnął. - Ale numer. Więc to koniec?

Westchnęłam.

- Tak, chyba tak. Nie dlatego, że ją zabrał, i nie dlatego, że ulega jej we wszystkim, ale dlatego, że mnie zawiódł.

- Okłamał cię?

- Och, nie, Luke nigdy nie kłamie. Po prostu o niektórych rzeczach nie mówi. Po prostu je pomija. Na przykład to, że zabiera byłą żonę do Wenecji. Na pewno wiedział to co najmniej od tygodnia, a nawet o tym nie wspominał.

- Ciebie też pomijał - domyślił się Tom.

- Tak.

- Przykro mi. Widziałem, że jesteś smutna.

- Ale już mi lepiej. Wreszcie zrozumiałam, i to za sprawą Nerys, że spotykałam się z Lukiem z niewłaściwych powodów.

- Chciałaś dokończyć niedokończone sprawy?

- Nie. Ze strachu. Ze strachu przed nieznanym, przed czymś nowym. A on chyba dlatego był ze mną. Dużo przeszedł, a ja przypominałam mu szczęśliwe, bez troskie chwile. Ale dzisiaj Nerys sprawiła, że zaczęłam się zastanawiać, dlaczego z nim jestem, i rozumiałam, że właśnie z tego powodu. A to za mało, by z kimś być.

- Więc lepiej to skończyć - stwierdził. Słyszałam jego równy, spokojny oddech. - Ja też powiedziałem Ginie, że nic z tego nie będzie.

Nerys miała rację. Po raz kolejny.

- Widziałem się z nią wczoraj i zapytałem, czy możemy być tylko... przyjaciółmi. Nadal chciałbym się z nimi widywać, zwłaszcza z Samem, ale nie chcę się angażować, bo...

- Bo to zbyt ryzykowne, zwłaszcza że jej mąż ciągle jest w pobliżu?

- Nie, sprawajest o wiele prostsza. Kiedy wyjechałem, zdałem sobie sprawę, że tęsknię nie za Giną, tylko za Samem. O niej właściwie nie myślałem, za to o nim - tak. Wyobrażałem go sobie na huśtawce, na fotelu, na rowerku, przed telewizorem...

- Bardzo go lubisz.

- Tak. Bardzo. - Podniósł zegarek do oczu i opuścił rękę. - Ale jej nie kocham. Gdyby tamtego dnia nie dała mi wizytówki, do niczego by nie doszło. To ona naciskała. I zachęcała mnie do kontaktów z Samem. - Przypomniała mi się walentynka od małego. Słodkie, ale wyrachowane. - Szukała zastępczego tatusia.

- Nie kusiło cię?

Westchnął.

- Z jednej strony tak. Gdybym czuł do niej coś więcej, chciałbym zastąpić Samowi ojca. Poradziłbym sobie nawet z jej głupim eks. Ale nie kocham jej, ona mnie też nie. Byliśmy razem z niewłaściwych powodów. Szukała zastępczego ojca, a ja... - Urwał.

- Czego ty szukałeś? - spytałam miękko. W ciemności ledwo widziałam jego profil.

- Chyba... mojego syna - Gdzieś w oddali zegar kościelny wybił godzinę.

- Brakuje mi go - szepnął.

- Tak myślałam. Ale nigdy o nim nie mówisz, więc nie pytałam. Domyślałam się, że bardzo cierpiełaś.

Westchnął.

- Myślałem, że umrę, kiedy go straciłem.

- Nigdy go nie widzisz?

- Nie. Ale szukam go codziennie. Ilekroć widzę małego chłopca, wstrzymuję oddech.
- Nie masz z nim żadnego kontaktu?
- Nie.
- Mimo że byłeś mężem Amy? To dziwne. No, ale pewnie było jej bardzo ciężko.
- Mówiła, że pęka jej serce.
- Czyli nie może na ciebie patrzeć?
- Tak. Mówiła, że nie może na mnie patrzeć, bo zaraz myśli o... - Przełknął ślinę.
- O tym, że ją rzuciłeś. Że odszedłeś. - Zdałam sobie sprawę, że przekraczam granicę, ale nic nie mogłam na to poradzić. Chciałam o tym porozmawiać, chciałam zrozumieć.
- Tak, odszedłem - przyznał. - Ale bardzo przez nią cierpiałem.
- Jak możesz mieć jej coś za złe? Nie gniewaj się, że to mówię, ale twoje zachowanie... szczerze mówiąc, nigdy tego nie rozumiałam. To znaczy... przepraszam, nie chcę ci prawić kazań, wiem, że ludzie są różni, ale widzisz, zawsze cię lubiłam i szanowałam, i po prostu nie mieści mi się w głowie...
- Lauro, o co ci chodzi?
- Chodzi mi o to, że... że nigdy nie rozumiałam, jak mogłeś tak postąpić. Jak mogłeś zostawić Amy, i to w takiej chwili.
- Musiałem - odparł.
- Wcale nie musiałeś. Słuchaj, wiem, że to nie moja sprawa, ale jesteś świetnym facetem i chciałabym zrozumieć.... - Z trudem tłumiliłam szloch. - Chciałabym zrozumieć, jak ktoś taki jak ty może porzucić żonę miesiąc po tym, jak urodziła mu dziecko, i odejść z inną.
- Cisza. Uraziłam go. Rozdrapałam stare rany. Trzeba było trzymać język za zębami.
- Ależ ja tego nie zrobiłem - powiedział wreszcie.
- Słucham?
- Nie odszedłem do innej kobiety.
- Jak to? Przecież zakochałeś się w Tarze i zostawiłeś Amy, chociaż zaledwie kilka tygodni wcześniej urodziła ci dziecko. Dlaczego zaprzeczasz?
- Dlaczego zaprzeczam? - powtórzył. Nawet w ciemności widziałam łzy w jego oczach. - Zaprzeczam, bo to nieprawda. Skąd wytrząsnęłaś te bzdury?

- Cóż... - zamrugałam szybko, zbita z tropu. - Domyśliłam się już wtedy... i powiedziała mi twoja siostra...

- Christina? Kiedy?

- Kiedy poszliśmy na obiad. Odszedłeś od stolika, żeby porozmawiać przez telefon, i wtedy mi powiedziała. Chyba chciała wyrzucić to z siebie.

- Nie mogła ci tego powiedzieć.

- Ale zrobiła to. Niby skąd miałabym wiedzieć?
Skóra na kanapie zatrzeszczała, gdy zmienił pozycję.

- Co dokładnie powiedziała?

Skupiłam się.

- Że rozstaliście się przez *coup de foudre*, dokładnie pamiętam. Chodziło jej o to, że straciłeś głowę dla Tary i... nie mogłeś się opanować. - Czułam, jak przygląda mi się intensywnie.

- Lauro, nie to miała na myśli. Bo nie tak było.

- Nie?

- Nie. *Coup de foudre!* Owszem. Ale nie mnie to spotkało.

- Co?

- Chodziło jej o Amy.

- Amy?

- Tak. To ona straciła głowę z miłości. To ona miała romans i mnie została. Myślałem, że wiesz.

- Nie. Nie wiedziałam. - Kręciło mi się w głowie.

- Myślałem, że wszyscy wiecie. Byłem pewien, że o tym słyszałaś.

- Nie, Tom, nikt o tobie nie plotkuje. Nie wiem, co myśleli inni, ale ja...

- Myślałaś, że zostawiłem Amy z malutkim dzieckiem, bo zakochałem się w Tarze?

- Tak - wychrypiałam.

- Naprawdę myślisz, że byłbym do tego zdolny? Że mógłbym porzucić własne dziecko?

- No, nie... Nie myślę tak i dlatego nigdy nie mogłam tego zrozumieć, cały czas mnie to dziwiło. Pamiętam, jaki byłeś szczęśliwy, kiedy Amy zaszła w ciążę, jak się cieszyłeś, kiedy Gabriel się urodził. Pamiętam, jak piliśmy szampana i przywiązywaliśmy niebieskie baloniki do twojego krzesła.

- Tak, byłem bardzo szczęśliwy. - Nie mogłem mówić ze wzruszenia. - Narodziny Gabriela to najszczęśliwszy dzień mojego życia.

- Przykro mi, Tom. - Miałam łzy w oczach. - Przez cały ten czas sądziłam, że ty... A to Amy... Christina miała na myśli Amy.

- Nic nie wiesz, Lauro, prawda?
- O czym? - [wtedy zrozumiałam.
- Gabriel to nie moje dziecko.
- Nie... - Wstrzymałam oddech.
- Nie moje dziecko - powtórzył ochryple.
- Och - szepnęłam.
- Minęły już cztery lata i teraz mogę o tym mówić. A może mówię o tym tylko dlatego, że jest tu ciemno jak w grobie, nie widzę ciebie, twojej reakcji i jestem odważniejszy niż zwykle, a jednocześnie czuję się bezpieczny. Poza tym chcę, żebyś wiedziała, zresztą sądziłem, że wiesz. Amy miała kogoś. Nie miałem o tym zielonego pojęcia.

- Jak się dowiedziałeś?

- Zaraz po porodzie dziwnie się zachowywała. Ciągłe płakała, kiedy brałem Gabriela na ręce. Myślałem, że martwi się o małego, bo miał ostrą żółtaczkę. Byłem dla niej bardzo czuły, ale to tylko pogarszało sprawę. A potem... kiedy Gabriel miał trzy tygodnie, jego stan nagle się pogorszył.

- Pamiętam...

- Lekarze sugerowali transfuzję, właściwie wymianę całej krwi w organizmie. Powiedzieli, że trzeba sprawdzić krew z banku krwi, bo Gabriel ma grupę AB Rh+ i antygeny Rz Rz. Upierałem się, że to niemożliwie, bo ja mam O Rh+, a Amy ARh-, więc jakim cudem Gabriel miałby mieć jakąś rzadką grupę krwi? Dodałem, że trochę o tym wiem, bo mój przyjaciel ma antygeny Rz Rz, odziedziczył je po dziadku Indianinie. Lekarka odparła, że o pomyłce nie ma mowy. Amy denerwowała się coraz bardziej, ale ciągle myślałem, że to ze strachu o małego. Wtedy lekarka wyszła z pokoju. W pierwszej chwili nie rozumiałem dlaczego, dopiero później do mnie dotarło. Amy załamała się, powtarzała z płaczem, że bardzo jej przykro i że nie chciała mi tego zrobić. Pomyślałem, że czuje się winna... - Urwał. - I wtedy mi powiedziała. Wyznała, że Gabriel nie jest moim dzieckiem. Poczuję się, jakbym leciał w przepaść... Mój umysł nie przyswajał tego, co powiedziała. Aż w końcu zrozumiałem. Nie musiała nawet mówić, kto jest ojcem. Od razu wiedziałem. Miałem wrażenie, że cały mój świat się zawalił.

- To przyjaciel?

- Bliski, jeszcze ze studiów. Pracowaliśmy razem w CBC, a później wysłali go do Londynu. Nie dotarł na nasz ślub, poznał Amy, kiedy przyjechał do Londynu. Zaprosiliśmy go na kolację, a oni... To była miłość od pierwszego

wejrzenia. *Coup de foudre*, tak mi to później tłumaczyła. Pamiętam, jak się dziwiłem, że Amy nie cieszy się z ciąży. A ona była w panice.

Przypomniałam sobie zdjęcie z ceremonii BAFTA. Teraz już wiedziałam, dlaczego Amy była taka spięta.

- Co zrobiłeś, kiedy się dowiedziałeś?

- W pierwszej chwili byłem kompletnie skołowany. Nie wiedziałem nawet, czy powinienem brać Gabriela na ręce. Chciałem, ale miałem wrażenie, że straciłem do tego prawo. Amy powtarzała, że mnie kocha, ale chce być z Andym, więc wszystko było jasne. Do dziś uważam Gabriela za moje dziecko. Mojego syna. I tak to było. - Klasnął w dłonie ze sztuczną pogodą. - Cóż, wszyscy mamy swoje smutne historie.

- To prawda. - Za jednym razem stracił żonę i dziecko. - Dlatego tak się przywiązałeś do Sama.

- Tak. Są w tym samym wieku.

- Widujesz czasami Gabriela?

- Nie. Nie jest moim dzieckiem, tak jak Sam. Nie ma dla mnie miejsca w jego życiu. Jestem tylko byłym mężem jego mamy. Rozstaliśmy się z Amy w okropnej atmosferze, wyjechała z Andym do Kanady. Z czasem nauczyłem się myśleć o Gabrielu inaczej, ale w Montrealu zawsze jest mi ciężko, zwłaszcza że przejeżdżam niedaleko ich domu.

- Więc dlatego powiedziałeś, że podróż była stresująca.

- Tak. Ale wracam tam, bo w Kanadzie mieszkają moi bliscy. - Westchnął. - Christina powiedziała ci to, co powiedziała, bo myślała, że znasz prawdę, i chciała jakoś usprawiedliwić Amy, którą bardzo lubiła. A ty źle ją zrozumiałeś i miałaś o mnie złe zdanie.

- Przepraszam. Ale... w gazetach pisali co innego. Że byłeś z Tarą i Amy nie mogła tego wytrzymać.

- Czyżbyś ostatnio nie przekonała się na własnej skórze, że gazety nie zawsze piszą prawdę?

- No tak, ale... ty nigdy temu nie zaprzeczyłeś. Nie powiedziałeś: słuchajcie, napisali o mnie stek bzdur, nie wiercie w to.

- To prawda. Tara miała wtedy bardzo nachalnego agenta, to on podsunął prasie historyjkę o naszym romansie, bo uznał, że drobny skandal dobrze zrobi jej karierze. Nie podobało mi się to, ale nie zaprzeczyłem, wolałem, żeby ludzie mieli mnie za drania niż... - Urwał. - Tak, rozumiem, że mogłaś się nabrać. W rzeczywistości byliśmy z Tarą tylko przyjaciółmi. Wtedy nie mogłem nawet patrzeć na kobiety, a co dopiero... Byłem w rozpacz.

Cofnęłam się pamięcią do tamtych czasów.

- Dobrze to ukrywałaś. Widziałam, że coś cię gryzie, ale sądziłam, że chodzi o rozwód. No i nigdy nie mówiłaś o życiu osobistym, nawet kiedy mnie odwiedzałaś po zniknięciu Nicka. Gdybyś wtedy coś powiedział...

- Po co? Miałam własne problemy. Zresztą nie chciałam współczucia, chyba to rozumiesz. Rozmawiałam tylko z Tarą. Chodziliśmy razem do kina, do pubu. Pocieszała mnie, ale nie tak, jak myślisz.

- Rzeczywiście tak myślałam... choć trudno mi było w to uwierzyć.

- Ale wierzyłaś.

- Bo wszystko na to wskazywało, no i wprowadziła mnie w błąd rozmowa z Christiną...

- Myślałam, że wiesz, że nie mógłbym tak postąpić. Przecież dobrze mnie znasz. Dlaczego we mnie nie wierzyłaś?

- Przepraszam. Byłam niesprawiedliwa.

- To prawda. Ja ciebie nigdy nie osądzałem.

- I przez to czuję się jeszcze gorzej.

- Brukowce pisały o tobie różne bzdury, ale nie uwierzyłem w ani jedno słowo. Wiem, że Nick odszedł z siebie tylko znanych powodów. A gdyby ktoś mnie zapytał, czy mogłabyś zadać mężowi cios tak bolesny, że załamałby się nerwowo, odpowiedziałbym, że na pewno nie. Gazety usiłują obarczyć cię winą, zwłaszcza ten cholerny „Semaphore”, aleja...

- No tak, ale...

- Co? - Zegar wybił trzeci kwadrans. Zaraz północ.

- Widzisz, Tom... ja naprawdę mam wyrzuty sumienia, że Nick odszedł przede mną.

- Dlaczego? Przecież to nie twoja wina. Nie ponosisz odpowiedzialności za to, co się działo w jego głowie.

- A mnie się wydaje, że tak. - W oddali wyła karetka pogotowia.

- Jak to?

Milczałam chwilę.

- Wydarzyło się coś... - powiedziałam wreszcie - z czym nie mógł się uporać.

- Nie musisz mi o tym mówić.

- Ale chcę. Tylko tobie. - Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że nie powiedziałam o tym Luke'owi. - Mieliśmy wypadek na kilka dni przed Bożym Narodzeniem.

- Pamiętam, Nick był ranny w głowę. Później mówiłaś, że może to spowodowało odejście.

- Tak mówiłam, ale sama w to nie wierzyłam, bo znałam prawdziwy powód. Nie mógł się uporać z czymś, co zrobiłam czy raczej co powiedziałam...

- A co powiedziałaś?

Słyszałam własny oddech.

„Zabiłeś nasze dziecko”.

- Zrzuciłam mu coś strasznego...

Zabiłeś nasze dziecko...

- Byłam w ciąży - wyznałam.

- Byłaś w ciąży? - zdziwił się.

- Tak, jesienią 2001 roku.

- Nie wiedziałem.

- Nie mówiłam nikomu, zresztą miałeś wtedy tyle spraw na głowie... To było kilka miesięcy po narodzinach Gabriela.

- I co się stało? - zapytał. - Nick chciał, żebyś usunęła?

- Nie, skąd! Bardzo się cieszył. Ja też. Dowiedzieliśmy się pod koniec września, gdy byliśmy na Krecie. - Przypomniałam sobie Nicka na balkonie hotelowym, w jego ulubionej niebieskiej koszuli w tropikalne rybki. - Postanowiliśmy, że nikomu o tym nie powiemy, nawet moim siostram, do szesnastego tygodnia. W czternastym miałam USG i wszystko było dobrze. - Przypomniałam sobie szybkie bicie małego serduszka i widok na monitorze: dziecko uniosło jedną rączkę, jakby do nas machało. - Chcieliśmy powiedzieć wszystkim w Nowy Rok. Bałam się, jak zareaguje Felicity, bo wtedy sama desperacko starała się zajść w ciążę.

- I co się stało? - powtórzył miękko. Miałam wrażenie, że jestem na spowiedzi, a Tom jest kapłanem.

- W sobotę przed Bożym Narodzeniem pojechaliśmy na imprezę dobroczynną do Sussex. Na rzecz SudanEase, więc musieliśmy tam być, choć nie miałam ochoty. W drodze powrotnej mieliśmy wypadek, wpadliśmy do rowu. Zabrano nas do szpitala. Powiedziałam, że jestem w ciąży, i pielęgniarki zapewniły mnie, że wszystko będzie dobrze, że dziecku nic się nie stanie. Wróciłam do domu i przeczytałam w poradniku, że zdarzało się, że kobiety łamały zębra, a dzieciom nic nie było. Więc chyba miałam strasznego pecha, bo dwa dni później poroniłam.

Tom wziął mnie za rękę.

- Bardzo mi przykro - szepnął. - Nie wiedziałem.

- Nick powiedział ci, że mam grypę. Byłam w szpitalu. To była dziewczynka.

- Przykro mi - powtarzał. - Za bardzo pochłaniało mnie własne nieszczęście, ale rzeczywiście wydawałaś się wtedy bardzo przygaszona.

- Oboje z Nickiem byliśmy załamani. Kilka dni później pokłóciliśmy się. Na tamtym przyjęciu wypił kieliszek wina, więc powiedziałam, że ja poprowadzę, ale on się uparł i usiadł za kierownicą. Wiedział, że nie lubię jeździć po ciemku. Nie wypił dużo, ale pomyślałam, że może miał zwolniony refleks... i powiedziałam tę straszną rzecz. Następnego dnia przepraszałam go, tłumaczyłam się stresem. Pozornie wszystko wróciło do normy, ale w Nowy Rok Nick zniknął.

- Wtedy, kiedy mieliście wszystkim powiedzieć o ciąży.

- Tak. Zaplanował to, bo już kilka dni wcześniej podjął pięć tysięcy ze swojego konta. Tak, uważam, że to moja wina. Skrzywdziłam go, zraniłam. Moje wyrzuty sumienia to doskonały tytuł.

- Och, Lauro... nie powinnaś się obwiniać. Byłaś w kiepskim stanie...

- On też. Bardzo przeżył śmierć ojca, pokłócili się i nie zdążyli pogodzić. Pewnie sam myślał, że straciłam dziecko przez niego, więc kiedy mu to zarzuciłam... bał się, że będę mu to wypominać bez końca... i nie wytrzymał.

- Uważasz, że sam się obwiniął.

- Tak, więc nie chciał słuchać jeszcze moich zarzutów. Przypomniała mi się Cynthia i jej wizja.

Z twojego życia odeszła nie jedna osoba, lecz dwie...

- Często o niej myślę. Miałaby już prawie trzy lata. Mała dziewczuszka w różowej sukience i sandałkach. - Zegar wybił północ.

- To okropne, że cię zostawił, bez względu na jego stresy.

- Mogliśmy uporać się z tym razem. Mogliśmy spróbować jeszcze raz.

- A on odszedł...

Przebrzmiało ostatnie uderzenie zegara. Drugi maja. Rocznica naszego ślubu.

- Odszedł. Wtedy, kiedy go najbardziej potrzebowałam.

Rozdział 15

Nie wiedzieliśmy, kiedy włączono prąd, bo zasnęliśmy. Tom zaproponował, że się położy na ziemi, ale spaliśmy oboje na kanapie. On z głową na oparciu, ja z głową na jego kolanach. Obudziliśmy się sztywni i obolali.

- Siódma pięć - wychrypiął i włączył radio. - Jezu, moja szyja.

- ...wraca do normy. Prawdopodobnie przyczyną awarii był defekt elektrowni Hurst, niedaleko Bexley w Kent. Awaria trwała sześć i pół godziny...

Przed domem zatrzymał się samochód. Tom wyjrzał przez okno.

- Arnie. Mówił, że będzie na siódmą.

Wyjrzałam: trzech malarzy w białych kombinezonach. Tom pobiegł na dół otworzyć drzwi.

- Dzień dobry - pozdrowił mnie jeden z malarzy, kiedy i ja zeszałam. Taszczył puszkę farby i drabinę.

- Dzień dobry... już wychodzę.

- Dzięki za pomoc - powiedział Tom. Objął mnie i przytrzymał chwilę. - Zadzwoń - obiecał.

Szłam do domu pustymi ulicami, mrużąc oczy od słońca. Zasnęłam, ledwie przyłożyłam głowę do poduszki.

Obudziłam się w południe, nadal obolała, i przygotowałam sobie gorącą kąpiel. Cały czas myślałam o rozmowie sprzed kilku godzin.

„Cierpiełam. *Coup de foudre* był jej...”

„Naprawdę myślisz, że byłbym do tego zdolny?”

„Że zostawiłbym żonę z dzieckiem? Że porzuciłbym własne dziecko?”

„Dlaczego we mnie nie wierzyłaś?”

No właśnie, dlaczego. Przez ponad trzy lata uważałam, że Tom zrobił coś okropnego. Gdybym tak nie myślała, może już wcześniej zobaczyłabym go w innym świetle.

Przez otwarte okno wpadał do łazienki uliczny hałas: kakofonia krzyków, gwizdów i dzwonekó w rowerowych. No tak, dzisiaj protestują. Ulice były pełne ludzi. Pomyślałam, że pójdę popatrzeć na demonstrację. Ubierałam się, kiedy zadzwoniła moja komórka. Okazało się, że nie odebrałam pięciu połączeń - dwóch od Fliss i trzech od Luke'a. Nagle znowu zadzwonił telefon. Felicity.

- Gdzie ty się podziewałaś? - zaczęła gniewnie.

- Och... - Byłam zbyt zmęczona, żeby jej tłumaczyć. - Pracowałam.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, przez co przeszałam... Hugh wyszedł z Oliwią, nie słyszy mnie. Ale przyparłam go do muru i wszystko potwierdził.

- Doszło do czegoś?

- Nie, dzięki Bogu, że zajrzałam do jego komputera, sam to przyznał. Przeżyłam najgorszą dobę w życiu. A do tego ta cholerna awaria! Rano zajrzałam do zamrażarki - klęska! Zepsuło się szesnaście butelek mojego mleka! OBO-żeHughwracakończę.

Zastanawiałam się, po co jej szesnaście butelek mleka, kiedy telefon zadzwonił ponownie.

- Laura! - Luke. - Nie wiem, dlaczego nie mogłem się do ciebie dodzwonić. Ciągle słyszałem informację, że abonent nie przyjmuje połączeń. Słuchaj, jestem już w drodze na lotnisko, porozmawiamy jak wrócę. Bardzo chcę cię... - Rozłączyłam się i wybrałam kod blokujący.

Podniosłam z podłogi jedwabny szlafrok, nadal w papierowej torbie, nieknięty. Taki piękny, a jednocześnie skalany, brudny. Co z nim zrobić? Odać na cele dobroczynne, a może Fliss, Hope albo mamie...

- Auu! Łup! Łup!

Cynthia. Dam go Cynthii. Włożyłam szlafrok z powrotem do torby i poszłam na górę.

Zapukałam energicznie, żeby mnie usłyszała.

- Laura! - rozpromieniła się. - Cudownie! Wejdz!

Idąc za nią do salonu, poczułam, że dziś użyła innych perfum. Co to jest? O, już mam, te nowe Chanel.

- Napijesz się kawy? - zaproponowała. - Właśnie zaparzyłam.

- Dzięki, nie będę zwracała ci głowy. Jest piękna pogoda, chciałam się przejść i...

- Chwytać dzień - dokończyła. - Bardzo dobrze. Miłego dnia. - Łup! - Ten cholerny telewizor...

- Co oglądasz?

- *100 najgorszych filmów świata*. Bardzo mi na tym zależy.

- Czemu?

- Bo w siedmiu wystąpiłam - odparła dumnie.

Znowu walnęła w telewizor. Schyliłam się i nacisnęłam kilka guzików. Obraz przestał migać.

- Dzięki! Jak to zrobiłaś?

- Tym guzikiem.

- Nie wiedziałam.

- Jak sobie radziłaś podczas awarii? - zapytałam.

- Dobrze, lubię ciemność. Wtedy wszystko lepiej widzę. Rozumiesz?

- Tak. - Po ostatniej nocy naprawdę rozumiałam. - Mam coś dla ciebie, Cynthia.

- Naprawdę? - Podałam jej torbę. - Ojej. - Wyjęła szlafrok. - Jest piękny.

- Hans uderzyła łapką w pasek. - Nie powinnaś mi go dawać. To znaczy jest piękny, ale... Nie chcesz go?

- Niechciany prezent - wyjaśniłam.

- Och. Od... - Skinęłam głową. - Więc nie udało się wam?

Znowu potwierdziłam.

- Miałas rację.

- Wiedziałam. - Jednak nałata mi kawy. - Od pierwszej chwili, gdy go zobaczyłam. To od razu widać po aurze. Jego jest pomarańczowa, za bardzo się gryzie z twoją.

- Nie wierzyłam ci. Uważałam, że wiem lepiej, i zlekceważyłam twoje przepowiednie - kajałam się. - Przepraszam.

- Uważałaś, że to stek bzdur - stwierdziła pogodnie.

- Tak. Ale teraz nie jestem już taka sceptyczna.

- Więc jednak są rzeczy na niebie i ziemi...

-Tak.

Podniosłam jedną z jej ulotek. Wróżka Cynthia pozwoli ci zrozumieć przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Piłam kawę i myślałam, jak dużo o mnie wiedziała. „Nie znałaś jej długo, ale kochałaś ją. Nie chciałaś, żeby odeszła”. To prawda. Właściwie oceniła także moje obecne życie. Miłość jest tuż-tuż. Ale nie z Lukiem. A jeśli chodzi o przyszłość...

- Zbliży się koniec, Lauro - powiedziała teraz. Pewnie chodzi jej o koniec związku z Lukiem. Cóż, jeśli o mnie chodzi, już go zakończyłam, wczoraj. - I nowy początek. - Napila się kawy, zamknęła oczy. - Widzę jezioro - powiedziała po chwili.

Uśmiechnęłam się.

-Tak?

- Piękne jezioro, gdzieś wpuszczy. Złote liście. Jesień. I zwierzęta. Nawiązuję z nimi łączność. - Jej powieki zatrzepotały. - Nie wiem, co to za zwierzę. Chwilczkę. .. - Przechyliła głowę na bok. - Dziwne - mruknęła. - Wygląda jak...

- Kangur? - podsunęłam radośnie.

-Tak...

Na dworze hałasowali demonstranci.

- Dzięki za kawę, Cynthio. Idę się przejść.

- I ja dziękuję za prezent, Lauro. - Poklepała szlafrok. - Najchętniej nosiłabym go cały dzień.

Doszłam do końca Bonchurch Road. Na Ladbroke Grave nadjeżdżali cykliści, dzwoniąc i trąbiąc. Towarzyszyli im antyglobaliści w maskach George'a Busha i Tony'ego Blaira. Czulałam się jak w karnawale.

PRECZ z BOMBAMI! ŻADNYCH GRANIC! - głośno transparenty. **ROZSZCZEPIAJCIE ZAPALKI, NIE ATOMY!** Hasła widniały na plakatach i koszulkach. **SOLIDARNOŚĆ Z AZYLANTAMI - WOLNY PRZEPLYW LUDZI, NIE TOWARÓW! WOJNIE MÓWIMY: NIE!** Demonstranci poprzebierali się za wikingów, klaunów albo po prostu powijali w „Financial Times”. Jeden z rowerzystów paradował w stroju do krykieta. Anarchiści taszczyli wielki transparent z napisem: **CZEMU POLICJA MA MONOPOL NA PRZEMOC?** A policjanci obserwowali tłum i starali się robić dobrą minę do złej gry.

- Jeszcze jedno słowo i pana aresztuję - ostrzegał policjant młodzieńca w koronkowej sukni ślubnej.

- Odwal się, glino!

- Jeszcze jedno słowo i pana aresztuję.

- Odwal się, glino!

- Jeszcze jedno słowo i pana aresztuję.

- Odwal się, glino!

Zadzwoń moja komórka.

- Laura?

- Tom. - Nastawiłam dźwięk na głośniejszy, żeby go słyszeć przez uliczny hałas. - Jak się masz? - spytałam. Zatkanam drugie ucho palcem.

- Dobrze, a ty?

- Też.

- Świetnie. Słuchaj, mam do ciebie bardzo poważne pytanie.

- Tak?

- Czy naprawdę powiedziałas Nerys, że uważasz mnie za najbardziej seksownego, inteligentnego, cudownego i przystojnego faceta, jakiego kiedykolwiek poznałaś? Wpadła, żeby zobaczyć, jak sobie radzimy, i powiedziała, że jej to wszystko powiedziałas. Oczywiście jestem zbyt skromny, by jej uwierzyć i wolałem się upewnić... Więc jak?

Wahałam się chwilę.

- Tak, Tom - odparłam. - Tak powiedziałam.

Poszłam z demonstrantami na Ladbroke Grove i tam skręciłam do Holland Park. Kiedy mijałam bramę, byłam sto razy szczęśliwsza niż wczoraj w tym samym miejscu. Nie wiadomo dlaczego ulżyło mi, gdy zwierzyłam się Tomowi. Dzisiaj nie uciekałam już wzrokiem od dzieci na huśtawkach. Ba, zatrzymałam się na chwilę przy placu zabaw i obserwowałam dzieci w piaskownicy i na zjeżdżalni, na drabinkach... Może pewnego dnia i ja będę

miała dziecko. Byłam już raz w ciąży, więc mogę zajść ponownie. A jeśli nie... są inne sposoby, by założyć rodzinę.

„Wierzę, że jeśli naprawdę chcesz mieć dziecko, los ci je da, w taki czy inny sposób”.

Kupiłam „Evening Standard” w kiosku na rogu i usiadłam z gazetą na ławce. Była cienka, z uwagi na święto. Sporo miejsca poświęcono awarii i jej skutkom, było kilka słów o demonstrantach, dalej dział sztuki, aż moją uwagę zwrócił tytuł: NORMANOWI DZIĘKUJEMY. Tekst dotyczył Scrivensa. Podobno R. Sole zwolnił go, bo kupował akcje firmy, która eksperymentuje na zwierzętach. Przypomniał mi się pierwszy artykuł na mój temat i fala obrzydliwości, która mnie później zalała. Nie zdołałam powstrzymać złośliwego uśmiechu.

Wpół do siódmej. Wróciłam do domu i właśnie smażyłam sobie omelet, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

Luke. Był zmęczony, na jego twarzy widniał cień zarostu. Chyba tylko rzucił walizkę w progu i zaraz tu przyszedł.

- Posłuchaj, rozumiem, że jesteś na mnie wściekła, ale mogłaś przynajmniej odbierać moje telefony.

- Nie chciałam z tobą rozmawiać.

Spojrzał na mnie błagalnie.

- Nie bądź taka.

- Luke, sam powiedziałeś, że po Wenecji wszystko się zmieni - tłumaczyłam łagodnie. - I naprawdę się zmieni. - Zamknęłam drzwi.

Bzzzzz. Niechętnie otworzyłam je ponownie.

- Wiesz, że na Florydzie nie wolno śpiewać w miejscach publicznych, mając na sobie kostium kąpielowy?

- Nie. - Pokręciłam głową. - Nie wiedziałam.

- A wiesz, że bambus rośnie do dziewięćdziesięciu centymetrów na dobę?

-Nie.

- A że starożytni Egipcjanie tresowali pawiany, żeby im podawały do stołu?

- Luke, to fascynujące, ale dajmy sobie spokój. To bez sensu. - Znowu zamknęłam drzwi.

Bzzzzz. Otworzyłam.

- A czy wiesz, że więcej bliźniąt rodzi się na wschodzie niż na zachodzie? Gapiłam się na niego.

- A czy ty wiesz, że mnie to nic nie obchodzi? Nie będziemy razem, Luke. Bardzo cię lubię, ale nic z tego nie będzie. Próbowaliśmy dwa razy. To wystarczy.

- Tak mi przykro. Wiem, że cię zawiodłem. Przez Magdę... Głupio mi...
- Niepotrzebnie. - Westchnęłam. - Bardzo kochasz Jessicę, więc dlaczego nie spełnisz jej największego marzenia? Czemu znowu nie zamieszkacie razem?

- O Boże... - przewrócił oczami.

- Dlaczego nie? Miałbyś Jess na co dzień. Wprawdzie Magda jest szalona, ale co z tego? Nikt nie jest doskonały. A ze mną ci się nie uda. Do widzenia, Luke. Nie ma u ciebie moich rzeczy, więc nie dzwoń więcej.

Zamknęłam drzwi i wróciłam do środka, bardziej przejęta, niż sugerował mój spokojny głos. Oczywiście omlot spalił się na wiór. Wyrzuciłam go do śmieci.

Bzzzzz.

Świetnie, pomyślałam. Teraz już naprawdę się zdenerwuję.

Otworzyłam energicznie drzwi. Cholera. Jeszcze tego brakowało. Znowu więzień na przepustce z reklamówką pełną towaru. Wysoki, szczupły, krótko ostrzyżony, z ciemną brodą, w skórzanej kurtce. Westchnęłam zirytowana.

- Proszę, nie zamykaj mi drzwi przed nosem... - zaczął.

- Daruj pan sobie tę kłiwą opowieść - wpadłam mu w słowo. - Kupię coś od pana, jak zawsze, ale błagam, nie każ mi pan wysłuchiwać swojej łązawej historii. A skoro już przy tym jesteśmy, dlaczego wy zawsze przychodzicie po zmroku...

Zaczął płakać. O cholera. Płakał. Przyglądałam mu się, zbyt poruszona, by oddychać. Nagle spojrział na mnie i wyraźniej zobaczyłam jego rysy. Znajome. O Boże...

- Laura.

Czułam, jak drżą mi usta, a serce wali jak oszalałe. Teraz i ja miałam łzy w oczach.

- Nick.

- Laura - powtórzył.

- Ja... nie poznałam cię - szepnęłam. Nick, którego znałam, był potężnym mężczyzną. Ten Nick był chudy i żyłasty. I opalony. Miał głębokie zmarszczki na czole. Włosy, dawniej gęste i falujące, teraz przylegały do czaszki. Na skroniach przyprószyła je siwizna. Musiałam jeszcze raz usłyszeć jego głos, żeby się upewnić.

Patrzył na mnie.

- Czy mogę... wejść?

W wyobraźni tyle razy przeżywałam tę chwilę. Planowałam, co powiem, jak się zachowam, jak powitam go z lodowatą uprzejmością albo, co bar-

dziej prawdopodobne, wściekła jak osa. A kiedy już do tego przyszło, zanie-
mówiłam i stałam jak słup soli.

- Chcesz wejść? Proszę...

Przestąpił próg i zobaczyłam, że ma na sobie dżinsy. Nick, którego znałam,
nigdy ich nie nosił. Jest o dobre piętnaście kilo chudszy. To inny człowiek.
Zmieniło się wszystko: twarz, sylwetka, krok, nawet ręce. Kiedy odkładał
płócienną torbę, zauważyłam, że są twarde i zaczerwienione.

Staliśmy w salonie jak nieznajomi na przyjęciu.

- Jesteś głodny? - zapytałam.

- Nie - odparł. - Dziękuję. Złapałem okazję i zatrzymaliśmy się w restau-
racji. - Wydawało mi się, że ma inny akcent.

- Złapałeś okazję? Skąd?

- Z Harwich. - Rozglądał się po pokoju. - Zmieniło się tu.

- Tak, niedawno przemaalowałam całe mieszkanie.

- Mogę usiąść?

- Oczywiście, proszę. Może się czegoś napijesz.

- Nie, dziękuję.

Siedzieliśmy po obu stronach kominka, obcy, a jednocześnie bliscy. Mia-
łam wrażenie, że przyglądamy się sobie przez rozległy kanion, choć w rze-
czywistości dzieliło nas zaledwie półtora metra.

- Mieszkasz w Harwich? - spytałam. Zaschło mi w ustach.

- Nie, zszedłem ze statku.

- Skąd? - Czułam, jak moje serce bije coraz szybciej. - Gdzie byłeś? Gdzie?
- Powiedz mi.

- W Holandii.

- W Holandii? - powtórzyłam. - Po co?

- Pracowałem. Na plantacji.

- Na plantacji? - zdziwiłam się. Nick nie znosił wsi.

- Na plantacji tulipanów. Pracuję na polach tulipanów...

Przeszył mnie dreszcz. Wstałam.

- Dokąd idziesz? - zawołał za mną.

- Chyba oboje powinniśmy się napić.

- Od dawna chciałem wrócić - tłumaczył kilka minut później.

- Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

Wbił wzrok w szklankę z whisky. Zauważyłam, że ma popękaną skórę na
palcach.

Westchnął.

- Nie wiedziałem jak. Często o tobie myślałem... Czuję się okropnie... Było mi wstyd. Ale łatwiej było tam zostać, niż stawić temu wszystkiemu czoła. - Słyszeliśmy tykanie zegara.

Pierwszy szok już minął, a whisky, której zwykle nie piję, nieco ukołła nerwy. Zadawałam kolejne pytania.

- Cały ten czas byłeś w Holandii? - Skinął głową. - Więc kiedy porzuciłeś samochód w Blakeney, planowałeś, że...

- Nie miałem pojęcia, co zrobię - wszedł mi w słowo. - Wiedziałem tylko, że muszę uciec. Nie od ciebie - dodał. - Od siebie samego. Teraz mogę o tym mówić, bo moje życie się zmieniło, ale wtedy nie byłem w stanie.

- Gdzie spędziłeś pierwszą noc?

- W samochodzie. Rano poszedłem do portu. Był tam kuter rybacki i słyzałem, jak ktoś mówi, że płynie do Hagi. Zapłaciłem szyprowi, żeby mnie zabrał. Mieliśmy ciężką przeprawę. Dotarliśmy na miejsce następnego dnia.

- A potem?

- Pojechałem autobusem do Lejdy i mieszkałem tam jakiś czas w schronisku. Zobaczyłem ogłoszenie, że szukają ludzi do pracy na plantacji tulipanów w Hillegom. Kupiłem namiot i rower i pojechałem...

- Namiot?

- Tak, tam mieszka się w namiotach. Nie miałem nic przeciwko temu. Ba, spodobało mi się. I zacząłem pracę.

- Co robiłeś?

- Najpierw sortowałem cebulki. Według wielkości. Ta monotonia przynosiła mi ulgę. Miałem zajęte ręce i wolną głowę. - Podniósł szklankę do ust. - Płacili mi czterdzieści guldenów dziennie. Później pracowałem w szklarniach. Sadziłem tulipany, ścinałem, wiązałem w pęczki po dziesięć, pakowałem do pudeł, a po sezonie szykowałem cebulki na eksport.

- Nikt cię nie pytał, skąd jesteś, jak się tam znalazłeś?

- Było nas wielu, głównie mężczyźni, przeważnie z Turcji i Europy Wschodniej. Nikt o nic nie pytał.

- Jak długo tam byłeś?

- Nie mam pojęcia, żyłem z dnia na dzień. Myślałem, że kiedyś wrócę, ale... czas płynął i... - Urwał.

- Więc czemu teraz?

Spojrzał na mnie i ponownie uderzyło mnie, jak się postarzał, jak się zmienił.

- Wierzysz w znaki? - zapytał. - Pewnie nie, zawsze byłaś racjonalistką... „Stoi na polu kwiatów...”

- Wiem.

„Otaczają go. To wspaniały widok”.

- Ale ostatnio zmieniłam zdanie.

- Dlaczego?

- Bo przekonałam się, że nie wszystko da się logicznie wytłumaczyć.

- Wierzę, że los dał mi znak - ciągnął. - Niedawno coś się... stało. I dlatego wróciłem.

- Co?

- Dwa tygodnie temu... - odetchnął głęboko - stałem na polu tulipanów. To szczyt sezonu. Codziennie przyjeżdżają tysiące turystów. - Napił się whisky. Było ciepło, ale wiał wiatr. Tam często wieje, od morza. Była trzecia. Od rana przechadzałem się po polu, sprawdzałem, czy naszych kwiatów nie atakuje jakaś choroba. Sadzimy je odmianami. Najpierw sprawdziłem żółte, później różowe z białym paskiem...

- Wiem jakie. - Bukiet takich tulipanów dostałam od Luke'a na walentynki.

- Później byłem przy czerwonych. Grupa turystów weszła do kafejki. Sami emeryci. Niedługo później wyszli. Po chwili zobaczyłem, jak właściciel kafejki goni gazetę na wietrze. Nie udało mu się złapać całej, wiatr rozrzucił kartki po całym polu. Jedna leciała na mnie jak wielki biały ptak. Była tuż koło mnie, więc ją złapałem. Miałem ją zwinąć i wrzucić do torby, kiedy zobaczyłem, że to gazeta angielska. Zerknąłem na nią. I zobaczyłem ciebie...

- To był szok... Nie tylko sam fakt, że to ty, ale twoja mina, ten koszmarny nagłówek, twoje poczucie winy... Stałem tam jak wryty... i poczułem się okropnie.

„To wspaniały widok, ale on jest smutny”.

- Wiedziałem, że muszę wrócić. Można by powiedzieć, że to przypadek. Angielski turysta zostawił gazetę na stoliku, wiatr ją porwał i tak się złożyło, że ja ją złapałem. Ale z drugiej strony, można to potraktować jako znak...

- To znak - zgodziłam się cicho. - Nie musisz mi tego tłumaczyć. Ale po co wróciłeś?

- Żeby z tobą porozmawiać. Wcześniej nie mogłem, ale teraz moja sytuacja się zmieniła i pomyślałem, że muszę spróbować wyjaśnić ci, dlaczego postąpiłem tak, a nie inaczej.

- To bardzo miłe z twojej strony - mruknęłam. - Naprawdę jestem ciekawa, co cię do tego skłoniło. A, i dzięki, że zadzwoniłeś na gorącą linię fundacji. Dzięki temu mogłam wreszcie przestać włączyć się po nabrzeżu i zaglądać

w twarz wszystkim bezdomnym. I przestałam się zamartwiać, że leżysz martwy w rowie. Wielkie dzięki, Nick. Szkoda tylko, że zrobiłeś to po trzech miesiącach, a nie po trzech dniach. Słyszałeś mnie w radio?

- Tak, miałem mały radioodbiornik i łapałem Radio 4 na długich falach. Wtedy zadzwoniłem do fundacji.

- Kiedy mi powiedzieli, że nie chcesz ze mną rozmawiać... nie pojmowałam tego. Skoro zadzwoniłeś do nich, czemu nie do mnie?

- Próbowałem. Dwa razy. - Dopiero teraz przypomniałam sobie głuche telefony. - Rozłączałem się, bo wiedziałem, że jeśli coś powiem, cokolwiek, choćby kilka słów, zaczniemy rozmawiać i będę musiał wrócić. A nie byłem na to gotowy. Chciałem wrócić w swoim czasie.

- Rozumiem - powiedziałam cicho. - Czyli teraz. I pewnie sądzisz, że postępujesz szlachetnie, że raczyłeś wrócić... Tylko po to, żeby mi wreszcie powiedzieć, gdzie się, do cholery, podziewałeś. - Ukryłam twarz w dłoniach. - Zniszczyłeś mi życie... Nie wychodziłam z domu... Nawet wstanie z łóżka wymagało wysiłku... Nie mogłam spać... Byłam strzępem człowieka... Nie jadłam...

- Przepraszam, Lauro - powtórzył. - Bardzo przepraszam.

Pokręciłam głową.

- Możesz to powtarzać codziennie przez następne dwadzieścia lat, a to i tak za mało. Zostawiłeś... chaos. Zostałam sama z trudami dnia codziennego, że nie wspomnę o koszmarze pierwszych trzech miesięcy, kiedy nie wiedziałam, czy w ogóle żyjesz. Nocami chodziłam po mieszkaniu i płakałam.

- Przepraszam - powtórzył. Miał łzy w oczach.

- Nie musiałeś zniknąć - szlochałam. - Mogłeś powiedzieć: Słuchaj, Lauro, już nie chcę z tobą być. Rozstańmy się.

- Ale ja tego nie wiedziałem. Nie widziałem niczego poza własnym bólem. Byłem zagubiony. Najpierw śmierć ojca, a potem...

- To cię nie tłumaczy - powiedziałam. Łzy spływały mi po policzkach. - Nic tego nie tłumaczy. Nie masz pojęcia, co przeżywałam.

- Nie rozmawiałem z nim przez dwa miesiące. Pokłóciliśmy się, byłem zły. Chciałem to naprawić, ale nie wiedziałem jak. Cały czas czekałem, że zadzwoni i powie: Nick, chodźmy na obiad. Ale nie dzwonił. Ja też nie, a potem on umarł. Nie mogłem się pogodzić z myślą, że rozstaliśmy się w gniewie. Chciałem, żeby mnie objął, jeszcze jeden jedyny raz... - Znowu się rozplakał. - A potem straciłaś dziecko. Obwiniałem się o to... i ty też mnie winiłaś. To, co wtedy powiedziałaś...

- Wiem, to było straszne. Bardzo cię przepraszam.

- Za dużo zważyło się na mnie w krótkim czasie. A najgorsze, że... widzieliśmy ją. Widzieliśmy, jak do nas machała... - Spuścił głowę.

- Mieliliśmy pecha, Nick. - Łza spłynęła mi po policzku. - To nie wypadek sprawił, że poroniłam. Nie był aż tak poważny. Tego dnia od rana kiepsko się czułam. Może tak miało być... Nigdy się tego nie dowiemy.

Westchnął.

- Zżerały mnie wyrzuty sumienia i poczucie winy. Najpierw ojciec, później dziecko... Nie mogłem się z tym uporać.

- Ale razem mieliśmy szansę. A ty po prostu odszedłeś. I zabrałeś wszelką nadzieję. Miałam wrażenie, że straciłam wszystko. Myślałam, że nigdy nie dojdę do siebie.

Siedzieliśmy w milczeniu, przytłoczeni uczuciami. Wbiłam wzrok w podłogę.

- W gazecie pisali, że jesteś z Lukiem - odezwał się w końcu.

- Już nie. - Otarłam oczy. - A co u ciebie? Chyba niełatwo romansuje się w namiocie?

- Już nie mieszkam w namiocie. Mam mały domek na plantacji. Jestem brygadzystą.

- Gratulacje.

- Mam też psa. Rottweilera. Wabi się Betsy i jest kochana.

- Zawsze chciałeś mieć psa, ale to było niemożliwe, bo oboje pracowaliśmy.

- Lauro... - Zobaczyłam plamę na podłodze. Muszę się nią zająć. - Chcę ci coś powiedzieć.

- Co? - Ogarnęło mnie znużenie.

- Ja... mam kogoś. Nazywa się Anneka.

- Gratulacje. Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi wśród tulipanów. Chętnie będę waszą druhną, ale jeszcze nie mamy rozvodu.

- To dobra i porządna dziewczyna.

- Bardzo się cieszę i mam nadzieję, że nie wywiniesz jej takiego numeru jak mnie. - Nie odrywałam wzroku od plamy. Muszę ją wywabić. Niech zniknie bez śladu, jak on.

- Mamy dziecko.

Może ciepła woda wystarczy. Jeśli będę mocno tarła...

- Ma dziesięć miesięcy. - Ale bez proszku, bo się odbarwi. - Ma na imię Estella.

- Ładnie. - Podniosłam głowę. - Na cześć tulipana? Estelli Rijnveld?

- Tak.

- Więc dlatego możesz rozmawiać o przeszłości, tak?

- Tak. Jestem... sam nie wiem. Wydawało mi się, że wszystko, co pokocham, umiera. Dlatego spodobała mi się praca na plantacji. Miałem świadomość, że w każdej cebulce drzemie życie, które się rozwinie, jeśli o nie zadbam.

- Masz jej zdjęcie?

Sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów i wyjął portfel, a z niego - małą fotografię. Estella stała koło wielkiego bukietu tulipanów. Miała szeroki uśmiech i niesforną ciemną czuprynę.

- Podobna do ciebie. - Zastanawiałam się, czy nasza córeczka wyglądałaby jak ona. Pewnie tak. - Czy twoja... partnerka... Anneka... wie o mnie? Powiedziałaś jej?

- Dwa tygodnie temu. Pokazałem jej artykuł. Była zła, że nie powiedziałem jej wcześniej. Powiedziała, że muszę wrócić, że muszę cię uwolnić.

- Miała rację.

Wstał.

- Pojdę już.

- Gdzie się zatrzymałeś?

- W Bayswater, w hotelu.

- A twoje rzeczy? Zatrzymałam je, wbrew temu, co napisali w tym artykule. Są w pokoju gościnnym. Twoje ubrania...

- Są na mnie za duże.

- No tak. Bardzo schudłeś. A twoje obrazy? Zdjęcia?

- Nie mamy na nie miejsca. Zrób z nimi, co chcesz.

- SudanEase otworzył sklep. Zaniosę je tam.

- Chciałbym tylko zdjęcia rodziców.

- Oczywiście. Zaraz przyniosę.

Po chwili wróciłam z siatką.

- Proszę.

Podałam mu też kartkę papieru.

- Zapisz mi swój adres, żebym mogła ci przesłać papiery rozwodowe. To potrwa kilka miesięcy.

Wyjął długopis z kieszeni i zaczął pisać.

- Niklas Gering? - zajrzałam mu przez ramię.

- Tak się teraz nazywam. To moje nazwisko po flamandzku. Tam nikt nie zna Nicka Little.

- A ty? - zapytałam.

- Ja tak. Teraz tak.

- Dostaniesz połowę mieszkania - powiedziałam, kiedy wkładał marynarkę. - Zaraz wystawię je na sprzedaż.

- Nie po to wróciłem, Lauro.

- Wiem.

- Nie musisz go sprzedawać. Zostań tu, jeśli chcesz.

- Nie. Dziękuję, ale nie. Jest... skażone. W każdym razie pieniądze ci się przydadzą. Masz dziecko.

- A gdzie ty zamieszkasz?

- Nie wiem, na razie coś wynajmę. A więc... - Podniósł torbę. Co się mówi w takiej sytuacji? - Dzięki, że wpadłeś. - Przeszliśmy do holu. - Wiesz, że dzisiaj jest nasza rocznica ślubu?

Zamrugnął.

- Rzeczywiście. Zapomniałem. Przepraszam.

- Nie szkodzi. To już naprawdę nie ma znaczenia.

Położył dłoń na klawiszu.

- Nie myśl o mnie źle, Lauro. - Milczałam. - Może zostaniemy w kontakcie. - Uśmiechnął się smutno.

Pokręciłam głową.

- Nie, Nick. Na pewno nie.

Epilog - pół roku później

Ostatni piątek października. Siedzimy z Tomem w kuchni przy Moorhouse Road, a Fliss i Hugh pakują się na górę na kolejny weekendowy wypad we dwoje. My zaopiekujemy się Oliwią, jak już dwukrotnie wcześniej. Przez urządzenie monitorujące słyszymy, jak Fliss kręci się po sypialni, a Olivia wykrzykuje coś gniewnie z kojca.

- Dobrze, dobrze, skalbeńku - szczebioce moja siostra. - Marnusia już idzie. O, jesteś, Hugh. Zdejmij mi torbę z szafy, dobrze? Co powiesz na to? Kupiłam wczoraj Agnes B.

- Hm, cudowne... - odpowiada Hugh. - Zwłaszcza odkąd zgubiłaś te ostatnie pięć kilo.

Chyba się całują, Felicity piszczy radośnie, a Olivia krzyczy.

- Nic nieszkodzisz, skalbeńku - zapewnia Fliss. - Mamusia i tatuś tylko się bawią.

- Wiesz, Fliss, naprawdę byłaś gruba.

- Wiem. Ale popatrz teraz!

- Moja chudzinka...

I znowu pisk.

- Wiesz, Hugh, powinieneś częściej flirtować z moimi przyjaciółkami. Nie ma to jak stres, żeby schudnąć.

- Nie chcę z nikim flirtować - mruczy Hugh. - Tylko z tobą... Mam nadzieję, że nam dadzą królewskie łóżko w Chewton Glen.

- Musi uważać na figurę - mówię do Toma. - Bo wie, że Hugh nie jest z kamienia. To najlepsze, co jej się mogło zdarzyć.

- Jestem taka szczupła - cieszy się Fliss. - Chyba mogłabym nosić rzeczy Hope.

- No, nie wiem. Za to ona na pewno mogłaby nosić twoje.
- To prawda, jest taka gruba, jakby się spodziewała co najmniej czwororazków!

Felicity jest trochę zła, że Hope zaszła w ciążę przy pierwszej próbie, ale jej irytację łagodzi fakt, że już teraz, w piątym miesiącu, Hope jest potężna - ma twarz jak arbuz i stopy jak szynki. W oczach Felicity sprawiedliwości stało się zadość.

- Zawsze wiedziałam, że kiedyś zmieni zdanie - dowodzi. - Miło, że Mike się zgodził, dzieci chyba w ogóle go nie interesują. Kiedy u nas był, nigdy nie zwracał uwagi na Olivię. Niektórzy mężczyźni nie wiedzą, co tracą.

Uśmiechnęłam się do Toma, który zna całą historię.

- Porządny z niego facet - mruczy Hugh, a ja podziwiam Olivię na reklamie chodzika. - Pomyśl, nie tylko brał udział w tym programie charytatywnym, który Hope wynalazła...

- I to na nią podziałało - wtrąca Fliss.

- ...ale też jest zdecydowany wziąć urlop wychowawczy i na trzy lata zawiesić karierę na gwoździu, gdyby Hope jednak uznała, że pieluchy sanie dla niej.

- Z mojego zawieszenia kariery nic nie wyszło - mówi Fliss. - Mam pełne ręce roboty.

- To ironia losu, bo stać nas na to, żebyś nie pracowała.

- Wiem. Zabawne, co? - śmieje się.

Patrzę na zdjęcie Hugh w artykule o jego superśliniaku, na który licencję sprzedał największym sieciom produkującym rzeczy dla dzieci w Anglii i w USA. Krótka wzmianka informuje, że jego współpracowniczka Chantal Vane przeniosła się do Stanów.

- Jakie to romantyczne - mówię do Toma. - Połączeni ślimakiem.

Z artykułu dowiaduję się, że Hugh pracuje nad serią produktów dziecięcych, w tym nad pieluchami z warstwą z gorteksu.

- Mam urwanie głowy - szepce Fliss. - Ale jestem bardzo szczęśliwa.

- Praca ci służy - odpowiada Hugh.

Fliss zajmuje się jego PR, pomaga mu w pracy i wykląda w szkole rodzenia, gdzie może do woli opowiadać o dzieciach i ma wdzięczną publiczność. Pracuje także nad pilotem serialu *Dzieci mówią*, który Trident wyprodukuje, a Fliss będzie prezenterką. Tom mówi, że kamera ją kocha. Zawsze to wiedziałam. Będzie to pierwszy program tego rodzaju w telewizji kablowej.

- No dobrze, Hugh - mówi. - Jestem gotowa. Jeszcze tylko przebiorę małą.
- Nie przebieraj, i tak jest śliczna.

- Chodźmójskalbeńku. - Olivia bulgocze gniewnie, gdy Fliss kładzie ją na stole. - Nie wierę się, o tak. Hugh, te twoje pieluchy są super. Jesteś taki mądry i masz świetne pomysły.

- Kocham cię - wyznaje Hugh.
- Kocham cię - odpowiada Fliss.
- Gojagojagoja - krzyczy Olivia.

Pięć minut później wszyscy schodzą do kuchni. Otwierają butelkę szampana i pijemy po lampce, oprócz Hugh, bo prowadzi. Pokazujemy im plan mieszkania, które kupujemy, zaledwie pół kilometra stąd, przy Stanley Square. Cena przyprawia nas o dreszcze, ale Tom dostaje ogromne tantiemy ze Sta-nów.

- Piękne - zachwyca się Fliss. - Trzy sypialnie i ogrody Stanley Square pod nosem.

- Wiem. - Bardzo się cieszę.
- Mają tam śliczny plac zabaw - dodaje moja siostra.
- To jedna z zalet tego miejsca - mówi Tom. - Sądzymy, że może się przydać.

Pokazujemy im zdjęcia z podróży do Kanady. Montreal, rodzice Toma przed ich domem w Westmount, Christina i ja w ogrodzie botanicznym, Tom i ja na łcie miasta, i wreszcie jezioro Memphremagog.

- Pięknie tam - wzdycha Fliss. - Te drzewa...
- Cudownie - mówię. - Rodzice Toma mają tam domek. Jeżdżą tam od lat.
- Widzieliście jakieś zwierzęta? - pyta Fliss. - Są tam niedźwiedzie?
- Tak - mówi Tom. - I jelenie.
- I orły - dodaję. - Widzieliśmy niezłego orła.
- Niezłego orła? - Hugh mruży oczy.
- Tak, był naprawdę niezły, bardzo wyraźny. Widziałam też strusia.
- Strusia? - dziwi się Fliss.
- Strusia trudniej zobaczyć - wtrąca się Tom. - Ale to możliwe.
- I kilka słoni - dorzucam.
- Indyjskich - wyjaśnia Tom.

Fliss przewraca oczami.

- Napijcie się jeszcze szampana. Na nas czas, jeśli mamy zdążyć na kolację. Pa, skarbie. - Całuje OHwią, Hugh głaszcze **japo** główce. Mała zaczyna płakać, kiedy dociera do niej, że rodzice wychodzą. Niosę Olivie do salonu, żeby ją czymś zająć.

- Co puścimy? - pyta Tom. Mała już nie płacze, siedzi mi na kolanach. Tom przegląda zbiór płyt DVD.

Wybieramy film dla Olivii. Czuję się jak w raju, gdy tak siedzimy z szampanem, Olivią i sobą nawzajem. Film się kończy, czas położyć Olivie spać. Układam ją, Tom nakręca grającą zabawkę. Olivia zasypia błyskawicznie, przytulona do misia. Wracamy na dół i słuchamy, jak pochrapuje. Szykuje nam kolację i cały czas myślę, jaka jestem szczęśliwa. Znowu. Trauma zniknięcia i powrotu Nicka to już przeszłość.

Nalewam Tomowi szampana. Siedzi przy stole i ogląda nasze zdjęcia.

- To była cudowna podróż, prawda? - mówi.

-Tak.

- Ale wiesz, kiedy siedzieliśmy nad jeziorem Memphremagog i patrzyliśmy na zachód słońca, chciałem cię o coś zapytać...

-Och.

- No właśnie. Ale jakoś się na to nie zdobyłem. Następnego dnia poszliśmy w góry i podziwialiśmy jezioro, i znowu chciałem cię zapytać. Ale znowu tego nie zrobiłem. Więc może zrobię to teraz. To będzie bardzo poważne pytanie. Tak poważne, że zadam je szeptem.

Podchodzi do mnie, pochyla się, obejmuje mnie i szepce mi do ucha. Ogarnia mnie przyjemne ciepło.

- To bardzo poważne pytanie - mówię.

Patrzy na mnie z wyczekiwaniem.

-I...

Uśmiecham się.

- Odpowiedź brzmi: tak.